

**Dan Abnett**

# **Komisarz Gaunt**

*Warhammer 40,000: Gaunt's Ghosts: The Founding: Ghostmaker*

**Duchy Gaunta**

**tom II**

# Monthax

*„Przejmując dowództwo nad Krucjatą na Światach Sabbat po powszechnie szanowanym marszałku Slaydo, marszałek Macaroth przystąpił do dalszej ofensywy mającej przywrócić pod panowanie Imperium grupę ponad stu zamieszkałych systemów położonych na krawędzi Segmentum Pacificus.*

*Wiele legend narodziło się w trakcie tej dwudziestoletniej wojny: ostatnia bitwa Psów z Latarii na Lamicii, zwycięstwa Żelaznych Węży na Presariusie, Ambold XI i Fornax Aleph, operacje tak zwanych Duchów Gaunta na Canemarii, Spurtis Elipse, Menezoidzie Epsilon i Monthaxie. Z wymienionych powyżej akcji właśnie Monthax najbardziej intryguje imperialnych historyków. Klasyfikowana jako bezpośrednia konfrontacja z siłami Chaosu, bitwa o Monthax pełna jest niejasności, a związane z nią szczegółowe informacje wciąż pozostają utajnione. Tylko plotki i spekulacje stanowią próbę odkrycia prawdy”*

- fragment Historii Późnych Krucjat Imperialnych.

Wbrew wszelkim pozorom było lato.

Nieustępliwy ulewny deszcz kapał w strugach wody linię imperialnych fortyfikacji spadając z nieba zasnutego dywanem szarych chmur. Kolczaste karłowate krzewy o szerokich ciężkich liściach pokrywały każdy cal błotnistej ziemi i dna płytkich bajor. Z nadejściem pory deszczowej spora część ładu znikła. Rozlewiska mętnej wody wypełniły wszelkie naturalne zagłębienia ziemi stając się wylegarnią chmar miniaturowych muszek oraz cykających głośno insektów.

W powietrzu unosił się dziwny zapach, przywodzący na myśl odór potu. Nie on sam zdumiewał pułkownika-komisarza Ibrama Gaunta, tylko fakt, iż to nie jego ludzie byli źródłem tego zapachu. Odór bił od brudnej wody, chorych roślin, błota. Monthax cuchnął zgnilizną i rozkładem.

Na planecie nie można było wykopać klasycznych okopów. Umocnienia wykonano z kompozytowych płyt i ściętych na miejscu drzew. Wały w postaci stert worków z piaskiem wnieśli własnymi rękami Tanithijczycy. Przez trzy dni, od momentu zrzutu na pokładach statków desantowych, w okolicy rozbrzmiewał wyłącznie dźwięk narzędzi. Oraz wszechobecne cykanie miliarda owadów.

Wycierając pot w świeżo założoną bluzę Gaunt opuścił swój punkt dowodzenia, trzypokojowy modułowy habitat ustawiony na metalowych filarach utrzymujących budowlę ponad powierzchnią wody. Włożył na głowę czapkę komisarza, chociaż wiedział, że za jej przyczyną lada moment pot zacznie mu ściekać prosto w oczy. Miał na sobie wysokie buty, bryczesy i mundurową bluzę, na którą narzucił przeciwdeszczowy płaszcz. Było zbyt gorąco, aby go zabierać i zbyt ulewnie zarazem, by bez niego wychodzić na dwór.

Kiedy zszedł po metalowych schodkach na ziemię, jego buty zanurzyły się na dwadzieścia centymetrów w satynowego koloru wodę. Przystanął na moment. Zmarszczki na powierzchni bajora wygładziły się po chwili pozwalając mężczyźnie spojrzeć w swe odbicie. Drugi Gaunt widniał w pozycji horyzontalnej na powierzchni wody u stóp oficera. Wysoki, szczupły, o pociągłej twarzy w ironiczny sposób komponującej się z jego nazwiskiem.<sup>1</sup>

Podniósł wzrok i przeciągnął nim po gęstwinie niskich roślin. Na horyzoncie, zasłoniętym częściowo oparami bagiennych mgieł, błyskały ogniki artyleryjskiej kanonady, znaczącej wymianę ognia pomiędzy ciężkimi działami Imperium i Chaosu.

Przebrnął przez rozlewisko kierując się w stronę niewielkiego pokrytego kępami roślin wzniesienia, na którym stał wał krzyżujący się nieco dalej z główną linią fortyfikacji.

---

<sup>1</sup> Gaunt - (ang.) chudy

Za długą krętą linią umocnień przywodzącą na myśl gigantyczną literę S długości trzech kilometrów czekali żołnierze Pierwszego i Jedynego Tanithu. Samodzielnie przygotowali swoje pozycje, ustawicznie naprawiając je i wzmacniając za pomocą nowych, szybko rdzewiejących płyt kompozytu. Usypane ręcznie pryzmy ziemi za wałami pełniły rolę składników amunicji zapobiegających jej zamoknięciu. Tysiąc pięciuset mężczyzn w czarnych beretach i ciemnych kamizelkach przeciwodłamkowych trwało w pełnej gotowości do akcji. Niektórzy z nich pilnowali punktów obserwacyjnych, inni siedzieli na stanowiskach broni ciężkiej. Pozostali palili papierosy, żartowali i spekulowali. Wszyscy tkwili w grubej na przynajmniej piętnaście centymetrów błotnistej mazi.

Kwatery, również ustawione na metalowych filarach uniemożliwiających zalanie ich przez bagienną wodę, znajdowały się trzydzieści metrów za linią umocnień, tworząc niewielkie sanktuaria suchości.

Gaunt ruszył wzdłuż wzniesionego nad wałem zadaszania zmiierzając w stronę pierwszej grupy gwardzistów, próbujących umocnić podmywany wodą wspornik daszku.

Pokrzykujące głośno ptaki przeleciały nad głową komisarza, łopocząc wielkimi białymi skrzydłami, które kontrastowały z różowym kolorem ich łap. Insekty wciąż cykały.

Wielkie plamy potu wykwitły na materiale bluzy w okolicy pach oficera po zrobieniu zaledwie tuzina kroków. Muszki kąsały natrętnie. Wszelkie myśli o przyszłości, o mającej nadejść walce odpłynęły z umysłu Gaunta ustępując miejsca echem przeszłości. Wspomnieniom.

Zmełł w ustach przekleństwo wycierając czoło. W dni takie jak ten, kiedy bezsilne wyczekiwanie ciągnęło się godzina za godziną, odległe wspomnienia pojawiały się najczęściej. Twarze utraconych towarzyszy, zaginionych przyjaciół, obrazy tryumfów i porażek.

I początku...

# I - Stwórca Duchów.

Ogień, dziwnie przypominający kwiat. Pulsujący. Błady zielonkawy ogień poruszający się niczym żywa istota. Pożerający świat, cały świat...

Otwierając oczy komisarz Ibram Gaunt spojrział w szklane odbicie swej szczupłej wąskiej twarzy. Na jej tle, za oknem wahadłowca, czarnozielony ocean bezkresnej puszczy przesuwiał się w dół z ogromną szybkością.

- Zbliżamy się do miejsca lądowania, sir.

Gaunt oderwał wzrok od okienka wahadłowca i rozejrzał się wokół. Jego adiutant Sym odwzajemnił spojrzenie przełożonego. Był puciołowatym mężczyzną około pięćdziesiątki, o zaróżowionej twarzy oszpeconej starymi śladami po poparzeniach na policzku i szyi.

- Powiedziałem, że zbliżamy się do miejsca lądowania - powtórzył Sym.

- Słyszałem - kiwnął głową Gaunt - Przypomnij mi jeszcze raz plan wizyty.

Adiutant usiadł wygodniej w lotniczym fotelu i wyjął z kieszeni munduru elektroniczny notes.

- Oficjalna ceremonia powitalna. Spotkanie z elektorem Tanith i najwyższymi rangą dostojnikami. Przegląd regimentów Fundacji. I całonocny bankiet.

Spojrzenie Gaunta powędrowało ponownie ku przemykającej za okienkiem promu puszczy. Szczerze nie znosił wszelkich pompatycznych ceremonii i Sym doskonale o tym wiedział.

- Jutro rozpoczniemy załadunek. Rozmieszczenie ludzi i sprzętu powinno nam zająć resztę tygodnia - adiutant zaakcentował ostatnie zdanie próbując złagodzić posepny nastrój komisarza.

Gaunt nie odwrócił głowy.

- Spróbuj przyśpieszyć załadunek. Niech zaczynają natychmiast. Po co tracić resztę dzisiejszego dnia i noc?

- To powinno być wykonalne - skinął głową Sym.

Cichy sygnał dźwiękowy obwieścił rozpoczęcie procedury lądowania. Obaj gwardziści poczuli raptowny spadek siły przyciągania. Inni mężczyźni siedzący w przedziale pasażerskim promu: wiecznie milczący astropata oraz delegaci Adeptus Ministorum i

Departamento Munitorium zapięli pośpiesznie pasy bezpieczeństwa. Sym poszedł w ich ślady patrząc przez okienko na ciemne lasy, które tak zaintrygowały Gaunta.

- Dziwne miejsce, to Tanith. Ludzie mówią różne rzeczy - podrapał się po podbródku - Mówią, że te lasy się ruszają. Zmieniają położenie. Drzewa... chodzą. Pilot mówił, że można się zgubić w tej puszczy po kilku minutach marszu.

Sym zniżył jeszcze bardziej głos i zaczął szeptać.

- Powiadają, że to skaza Chaosu. Może pan sobie wyobrazić? Podobno Tanith zostało skażone Chaosem, bo leży zbyt blisko Krawędzi.

Gaunt nic nie odpowiedział.

Dachy i wieże Tanith Magna wzbijały się w niebo chwytając mały cień wahadłowca. Położone pośród dzikiej gęstej puszczy miasto sprawiało z lotu ptaka wrażenie kamiennej cytadeli, ciemnoszarej twierdzy wzniesionej na niewielkiej odkrytej przestrzeni wydartej lasom. Na szczytach iglic powiewały miejskie proporce. Za wysokimi murami miasta Gaunt dostrzegł wielki fragment wykarczowanej puszczy, na którym jaśniały rzędy kolorowych polowych namiotów. Były ich tysiące. Pola Fundacji.

Ponad namiotowym miasteczkiem górowały czarne kadłuby statków transportowych. Ich rampy i luki załadunkowe były szeroko otwarte, gotowe do połknięcia żołnierzy i pojazdów regimentów Tanithu. Moich regimentów, powtórzył w myślach komisarz, pierwszych regimentów Imperialnej Gwardii powołanych do służby na tym enigmatycznym, leśnym świecie pogranicza.

Przez osiem lat Gaunt służył jako oficer polityczny w Ósmym Hyrkanu - sławnym regimencie, któremu towarzyszył od dnia Fundacji na mroźnych płaskowyżach Hyrkanu po krwawo wywalczone zwycięstwo na Balhaucie. Wielu wtedy poległo, w ich miejsce przyszli nowi rekruci. Zbyt wiele nieznanymi twarzami w znajomych mundurach. Nadszedł czas, aby zmienić otoczenie i Gaunt poczuł szczerą ulgę na wieść o nowym przydziale. Jego doświadczenie i staż bojowy czyniły z komisarza idealnego kandydata na stanowisko dowódcy dziewięciu tanithijskich regimentów. Częstka duszy oficera czuła radość i podniecenie na myśl o nieoczekiwanej promocji, ale w sercu komisarza dominowała przede wszystkim pustka i zniechęcenie. Jak nigdy dotąd czuł się wypalony, niczym gliniana skorupa.

Brak chęci do życia dręczył go od dnia śmierci Slaydo. Stary marszałek chciał, aby jego protegowany objął to stanowisko, aby otoczył opieką nowych rekrutów Gwardii. Czyż nie stąd wziął się ten pożegnalny prezent? Nieoczekiwana promocja pośród dogasających ognisk

walk na Balhaucie, awans do stopnia komisarza-pułkownika? W ten sposób Gaunt stał się jednym z nielicznych oficerów politycznych władnych sprawować formalną komendę nad regimentem Gwardii. Był to znak wielkiego zaufania, wielkiej wiary. A Ibram czuł się taki zmęczony. Nie umiał potraktować tego awansu jako nagrody.

Wahadłowiec zaczął schodzić stromo w dół, w kierunku platformy umieszczonej na płaskim dachu jednej z największych wież cytadeli.

Na Polach Fundacji ludzie podnieśli głowy odprowadzając wzrokiem lecący w stronę miasta prom. Czarny statek niczym wielki chrabąszcz zmierzał prosto na górujące ponad cytadelą lądowisko.

- Ktoś ważny - oświadczył Larkin przystawiając dłoń do oczu, by osłonić je przed promieniami słońca. Patrzył przez chwilę, po czym splunął w środek rękawicy i powrócił do polerowania metalowej sprzączki pasa.

- Kolejny palant. Kolejny nadęty obcy - burknął Rawne i położył się na plecach wystawiając twarz do słońca.

Colm Corbec stał przed swoim namiotem nie odrywając wzroku od oddalającego się wahadłowca.

- Larkin ma rację. To ktoś ważny. Na burtach promu widać wielkie insygnia Gwardii. Chyba przyleciał ktoś odpowiedzialny za przegląd regimentów. Może ten komisarz-pułkownik osobiście?

Przestał obserwować lądujący wahadłowiec i rozejrzał się wokół. Wszędzie widział rzędy trzyosobowych namiotów i gwardzistów w nowiutkich mundurach, oglądających swój ekwipunek, czyszczących broń, jedzących i palących papierosy, grających w kości i śpiących. Otaczało go sześć tysięcy Tanithijczyków, głównie żołnierzy piechoty, chociaż dostrzegał też uniformy jednostek artylerii i broni pancerniej. Trzy pełne regimenty Tanithu.

Corbec usiadł przy niewielkim ognisku trzaskającym opodal namiotu, zatarł dłonie. Nowy czarny mundur uciskał go pod pachami, z trudem opinając masywną sylwetkę mężczyzny i budząc jego ustawiczną irytację. Rzucił okiem na swoich sąsiadów z namiotu: Larkina i Rawne. Larkin był niski i krępy, o pociągłej wąskiej twarzy. Podobnie jak pozostali Tanithijczycy miał czarne włosy i bladą skórę. Wyróżniały go błyszczące niebezpiecznie niebieskie oczy, trzy srebrne kolczyki w lewym uchu i błękitny smok wytatuowany na prawym policzku. Corbec znał Larkina od dłuższego czasu: przed imperialnym poborem razem służyli w tym samym oddziale milicji miejskiej Tanith Magna. Zdążył już poznać zalety towarzysza - oko strzelca wyborowego i odważne serce - oraz jego słabość -

niestabilny i nadpobudliwy charakter.

Rawne budził niepokój Corbeca. Wiecznie milczący mężczyzna o diabelskich oczach i ostrych rysach twarzy, ozdobionych tatuażem w kształcie gwiazdy pod jednym okiem. Był podobno młodszym oficerem milicji w Tanith Attica czy w jednym z innych miast południa, ale bardzo niewiele mówił na ten temat. Corbec odnosił niejasne wrażenie, że pod arogancką aparycją miejskiego milicjanta skrywa się zimny, pozbawiony skrupułów umysł mordercy.

Bragg - wielki, hałaśliwy, kochany Bragg - wychynął ze swego namiotu niosąc butelkę gorącej sacry.

- Ktoś chce się ogrzać? - zapytał retorycznie olbrzym.

Corbec uśmiechnął się szeroko. Bragg podniósł cztery trzymane w drugiej ręce metalowe kubki i podał je kolegom. Larkin wymamrotał jakieś podziękowanie, Rawne nie odparł nic, wziął tylko kubek i cofnął się o krok od pozostałych.

- Myślisz, że to komisarz? - zapytał Bragg przypominając sobie ostatnie słowa Corbeca.

- Gaunt? Całkiem możliwe - Corbec pociągnął łyk sacry i skinął głową.

- Gadałem z ludźmi z Munitorium. Mówią, że jest twardy niczym gwoździe. Ma medale.

Podobno to prawdziwy zabójca.

Rawne parsknął pogardliwie słysząc te słowa.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego regimentami nie może dowodzić jeden z naszych. Wszystko, czego potrzebujemy to dobry oficer milicji.

- Myślę, że byłbym się nadawał - uśmiechnął się zaczepnie Corbec.

- On powiedział: dobry, frajerze! - wykiął go natychmiast Larkin powracając do obsesyjnego polerowania sprzączki.

Corbec podszedł do Bragga i obaj nalali sobie po jeszcze jednej kolejce alkoholu.

- Czy to nie jest dziwne, że tak chętnie się tutaj pchaliśmy? - zapytał cicho Bragg - Możemy nigdy nie wrócić do domu.

- Taka to już praca - odparł Corbec - Służyć Imperatorowi daleko stąd, pośród odległych gwiazd. Postaraj się nie myśleć o tym w taki pesymistyczny sposób.

- Uważajcie! - ostrzegł ich Forgal wystawiając głowę spoza płachty swojego namiotu - Lezie tutaj wielki Garth i ma bardzo niewesołą minę.

Spojrzeni we wskazanym kierunku. Major Garth, dowódca ich jednostki, parł szybkimi krokami pomiędzy rzędami namiotów, rzucając na prawo i lewo zwięzłe komendy. Oficer był mężczyzną o beczkowatej klatce piersiowej i masywnej sylwetce charakterystycznej dla osób spędzających dzieciństwo w otoczeniu o podwyższonej grawitacji.

- Pakować manatki, chłopaki. Czas wsiadać na statek.



- Myślałem, że zaczynamy jutro? - Corbec zmarszczył brwi.

- Ja też tak myślałem, i pułkownik Torth i Departamento Munitorium, ale wygląda na to, że nasz komisarz-pułkownik jest bardzo niecierpliwym człowiekiem i życzy sobie rozpocząć załadunek zaraz po przeglądzie regimentów.

Pokrzykując i klnąc major powędrował dalej wzdłuż namiotów.

- Myślę, że właśnie wszystko się zaczyna - powiedział Colm Corbec do siebie samego.

Gaunta bolała głowa. Sam już nie wiedział, czy przyczyną bólu była niekończąca się wymiana uprzejmości z różnymi urzędnikami i dygnitarzami Tanithu, których nazwisk nie potrafił zapamiętać, jałowa i nadęta konwersacja pełna kurtuazyjnych zwrotów, powolna defilada maszerujących pod tarasem elektorskiego pałacu gwardzistów czy też po prostu doprowadzająca przyjezdnych do szału muzyka kobz, zdających się zawodzić jęklonie w każdej komnacie, na każdej ulicy i we wszystkich zaułkach kamiennego miasta.

Widok maszerujących żołnierzy nie poprawiał mu nastroju. Błazi, ciemnowłosi, w jakiś dziwny sposób niepozorni, szli w czarnych mundurach i płaszczach kamuflujących zarzuconych przez ramię przeciwne do tego, na którym nieśli lasery. Wolał nawet nie wspominać tych przeklętych kolczyków i bransolet, barbarzyńskich tatuaży, źle uczesanych kędziorów, niskiego śpiewnego akcentu. „Chwalebne Pierwszy, Drugi i Trzeci Tanithu” - jego regimenty. Gromada nie budzących zaufania leśników o melodyjnych głosach. Nic pozytywnego nie potrafił na ich temat powiedzieć, przynajmniej nie w tej chwili.

Elektor Tanithu, imperialny gubernator noszący na policzku mały tatuaż przedstawiający węża, objął idących w dół gwardzistów szerokim ruchem ręki.

- Są rezolutni i bystrzy - powiedział elektor, gdy wspólnie przyglądali się z wysokości tarasu ustawionym w dół szeregom rekrutów - Tanith rodzi szczególnych ludzi. Posiadają niezwykle rozwinięte umiejętności ukrywania się i tropienia. Jak można się spodziewać po świecie o poruszających się lasach, Tanithijczycy posiadają zmysł orientacji i wyczuć kierunku. Nigdy się nie gubią. Zauważają to, co inni mogliby przeoczyć.

- Mówiąc szczerze, potrzebuję żołnierzy, a nie przewodników - odparł nieco opryskliwie Gaunt.

- Och, walczyć też umięją - uśmiechnął się promiennie elektor. - Cieszy nas ten ogromny zaszczyt dołączenia do imperialnej armii. Regimenty Tanithu będą ci wiernie służyć, komisarzu-pułkowniku.

Gaunt pokręcił tylko głową, nawet nie próbując ukrywać grymasu politowania na ustach.

Odetchnął z ulgą, gdy tylko znalazł się w gościnnym apartamencie. Umieścił płaszcz i czapkę na drewnianym wieszaku przy drzwiach i usiadł w fotelu. Sym złożył na małym stoliku galowy uniform komisarza przeznaczony na czas mającego rozpocząć się za pół godziny bankietu, po czym przepadł gdzieś bez śladu. Gaunt potarł palcami skronie. Gdyby tylko zdołał się pozbyć w jakiś sposób tego potwornego bólu głowy i uczucia nieznośnej suchości w gardle.

I ta muzyka! Przekłete dudy atakujące jego uszy nawet w ścianach prywatnej kwatery! Zerwał się na nogi i podszedł do okna. Ponad miastem i Polami Fundacji jaśniały płomienie dysz wylotowych transportowców wzbijających się w wieczorne niebo lub podchodzących do lądowania. Nieprzerwanie trwał załadunek żołnierzy nowych regimentów na oczekujące na orbicie frachtowce. Ta przekłeta muzyka!

Gaunt podszedł do okrywających ścianę pokoju draperii i odsunął je na bok. Muzyka umilkła. Siedzący w niewielkiej wnęce chłopiec oderwał wargi od ustnika instrumentu i spojrzał na komisarza okrągłymi oczami.

- Co tutaj robisz? - zapytał ostro Gaunt.

- Gram, sir - odparł chłopiec. Miał jakieś siedemnaście lat, nie był jeszcze mężczyzną, ale wysoka sylwetka nabierała już muskularnych kształtów. Na twarzy o dumnych wyrazistych rysach komisarz dostrzegł niebieski tatuaż w postaci ryby, umieszczony tuż nad lewym okiem. Palce obu dłoni chłopiec trzymał na klawiszach tanithijskich dud, wielkiego skórzanego worka pulsującego rytmicznie pod naciskiem ramion chłopca.

- Czy to był twój pomysł? - zapytał Gaunt.

- Nie. To tradycja. Dudy Tanith grają dla każdego gościa, gdziekolwiek by się nie znajdował, aby bezpiecznie wyprowadzić go spośród ruchomych ścieżek puszczy.

- Ale my nie jesteśmy w lesie, więc natychmiast przestań! - Gaunt urwał na moment i dodał z wysiłkiem - Szanuję tradycje i zwyczaje Tanithijczyków, ale... ale potwornie boli mnie głowa.

- Więc przestanę grać - zgodził się chłopiec - Będę czekał na zewnątrz. Elektor rozkazał, bym wszędzie panu towarzyszył, więc postoję na korytarzu, aż mnie pan wezwie.

Gaunt skinął głową. W drodze do drzwi chłopiec prawie zderzył się z pędzącym pośpiesznie Symem.

- Wiem, wiem... - zaczął komisarz - Jeśli się nie pośpieszę, nie zdążymy na bankiet i... Co? Sym?! Co się stało?!

Widząc wyraz twarzy swego adiutanta pojął, że usłyszy straszne wieści.

Gaunt zebrał członków delegacji w niewielkim drewnianym pomieszczeniu sąsiadującym z salą bankietową. Większość gości miała na sobie galowe uniformy, błyszczące złotymi dystynkcjami i baretkami. Młodszy oficerowie Departmento Munitorium stanęli przy drzwiach grzecznie, ale zdecydowanie wypraszając wszystkich próbujących wejść do środka tanithijskich dygnitarzy.

- Nie rozumiem - oświadczył najwyższy rangą przedstawiciel Departmento Munitorium - Najbliższa strefa frontowa jest rzekomo całe osiemdziesiąt dni lotu stąd! Jak to możliwe?

Gaunt krążył po pokoju czytając raz jeszcze raport.

- Rozbiliśmy ich na Balhaucie, ale zdołali uciec. Meldunki wywiadu i rozpoznanie marynarki kosmicznej sugerowały ich pośpieszny odwrót, całkiem jednak możliwe, że jedna z większych grup ruszyła w naszym kierunku zamiast cofać się na skraj Światów Sabbat - zmełł w ustach przekleństwo.

- W imię Solana! Na swoim łożu śmierci Slaydo precyzyjnie wypowiedział się na ten temat! Flotyllę zwiadowcze miały kontrolować wszystkie bramy skokowe do Osnowy w systemach takich jak Tanith, zwłaszcza w chwilach, gdy stajemy się odsłonięci i bezbronni, jak tutaj! Jak Macaroth to sobie wyobraża?!

Sym uniósł głowę znad rozłożonej na stole mapy sektora.

- Wielki Lord Militant skoncentrował większość sił korpusu na oddalonych od siebie frontach w głębi sektora. Najwyraźniej chce optymalnie wykorzystać przewagę uzyskaną przez swego poprzednika i wejść jak najdalej w Światy Sabbat.

- Balhaut okazał się olśniewającym sukcesem... - zaczął mówić jeden z dostojników Eklezjarchii.

- Zwycięstwem okaże się jedynie wtedy, gdy odpowiednio zabezpieczymy zdobyte terytorium - przerwał mu natychmiast Gaunt - Macaroth złamał stabilną linię frontu w pogoni za nieprzyjacielem. I pozwolił mu wejść bezkarnie na nasze tyły. To jest ewidentny podręcznikowy przykład ludzkiej głupoty! Wróg zaraz to wykorzystał!

- Wystawił nas jak na dłoni - przytaknął inny kościelny dostojnik.

- Godzinę temu statki na orbicie namierzyły wielką armadę wroga wchodzącą w granice systemu. Nie przesadzę, jeśli powiem, że Tanith ma jeszcze tylko godziny życia przed sobą - oświadczył komisarz.

- Możemy walczyć - zaproponował jeden z młodszych oficerów.

- Mamy tylko trzy regimenty. Nie przeszkolone, nie sprawdzone w walce. Żadnych pozycji obronnych, żadnych fortyfikacji. Połowa żołnierzy jest już zaokrętowana na pokłady transportowców, druga połowa właśnie tam wchodzi. Wyładowanie ich i okopanie zajęłoby

przynajmniej dwa pełne dni. A i tak byliby wtedy tylko mięsem armatnim.

- Co możemy zrobić? - zapytał Sym.

Pozostali mężczyźni ucichli wyczekująco.

- Nasi astropaci muszą natychmiast wysłać wiadomość do Dowództwa, do Macarotha, powiadomić go o zagrożeniu. Niech przynajmniej zabezpieczy swoje flanki i tyły. Teraz uwaga: statki transportowe opuszczą orbitę za godzinę albo w chwili ataku, jeśli nastąpi on wcześniej. Ładujcie na pokłady tylu ludzi i sprzętu, ile się tylko da. Cokolwiek tutaj pozostawimy, będzie dla nas stracone na zawsze.

- Opuszczamy Tanith? - zdumiał się oficer Departmento Munitorium.

- Tanith jest już skazane. Możemy umrzeć razem z planetą albo uratować tylu ludzi, ilu zdołamy i wywieźć ich stąd w miejsce, gdzie mogą nam się jeszcze przydać. To wszystko. Idźcie w imię Imperatora!

Nikt nie poruszył się z miejsca, wszyscy stali nieruchomo jakby nie zrozumieli otrzymanych rozkazów lub nie chcieli ich zrozumieć.

- IDŹCIE! - wrzasnął Gaunt.

Nocne niebo nad Tanith Magna płonęło i pluło ogniem w kierunku miasta. Orbitalne bombardowanie zmieniło gęste zielone puszcze w piekło gigantycznego pożaru. Pociski wrywały wielkie dziury w grubych murach miasta, przewracały smukłe wieże i wysokie kamienice. Mroczne kształty przemykały pełnymi dymu korytarzami elektorskiego pałacu. Kształty, które syczały i warczały niczym zwierzęta, a w rękach ścisnęły kurczowo narzędzia śmierci.

Z krzykiem zdławionym przez drażniący śluzówki dym Gaunt wyłamał kopniakiem płonące drzwi i strzelił z boltowego pistoletu. Sprawiał imponujące wrażenie w półmroku płonącego pałacu - wysoka, szczupła sylwetka w długim płaszczu spływającym z szerokich ramion. Bystre oczy człowieka zwęziły się w wąskie linie, gdy ponownie strzelił w ciemność. Czerwonooki kształt przyczajony w dymie opodał zawył nieludzko i zaczął się miotać po podłodze rozchlapując wokół posokę. Wiązka lasera świsnęła nad uchem komisarza. Mężczyzna obrócił się w miejscu, zaczął strzelać, kilkoma susami przeskoczył martwe ciała napastników i pomknął szerokimi schodami w górę budowli, ku wyjściu na platformę startową.

U szczytu schodów, przy drzwiach wiodących na lądowisko, walczyli zaciekle jacyś ludzie. Dwaj zakrwawieni mężczyźni w mundurach tanithijskiej milicji szarpali się z broniącym im dostępu Symem.

- Wpuść nas, skurwysynu! - Gaunt usłyszał przeraźliwy wrzask jednego z milicjantów - Zostawiacie nas tutaj na śmierć! Wpuść nas do promu!

Komisarz zbyt późno dostrzegł błysk metalu w ręku drugiego Tanithijczyka. Strzał z pistoletu huknął w tej samej chwili, gdy oficer wpadł z rozpędu na plecy milicjantów. Uderzył bliższego mężczyznę w głowę kolbą broni i odrzucił nieprzytomnego za siebie, na schody. Drugiego chwycił za mundur i cisnął przez barierkę w zasnutą dymem ciemność poniżej. Sym leżał w rosnącej szybko kałuży krwi.

- Wysłałem sygnał... do frachtowców, jak kazałeś... ostateczny odwrót... zostaw mnie i wsiadaj do wahadłowca, bo...

- Zamknij się - warknął Gaunt próbując podnieść przyjaciela na nogi. Dłonie miał śliskie od gorącej krwi adiutanta - Lecimy razem!

- Nie masz czasu... sam jeszcze zdążysz, ze mną nie... dalej, wynocha! - Sym zaczął kaszleć chrapliwie, z kącika jego ust pociekła strużka krwi. Gdzieś za drzwiami Gaunt usłyszał rosnący szybko ryk rozgrzewanych silników wahadłowca.

- Do cholery, Sym! - jęknął bezradnie komisarz. Adiutant chwycił go desperacko za koszulę. Gaunt pomyślał, że mężczyzna chce wstać i pochwycił go w pasie. Sym jęknął z bólu i przyłgął raptownie do swego przełożonego obracając go impetem ciała w miejscu. W tej samej chwili tors adiutanta eksplodował, a siła detonacji zbiła komisarza z nóg.

Na szczycie schodów Gaunt ujrzał groteskowe sylwetki szturmowców Chaosu. Sym zdążył ich dostrzec wcześniej i w geście ostatecznego poświęcenia zasłonił dowódcę własnym ciałem. Komisarz zerwał się na nogi. Pierwszy strzał przebił ukrytą pod rogatym hełmem twarz najbliższego napastnika. Drugi i trzeci rozdarły klatkę piersiową następnego. Czwarty, piąty i szósty zabiły jeszcze dwóch i posłały ich drgające konwulsyjnie ciała na głowy wbiegających schodami kamratów.

Przy siódmym pociągnięciu za spust Gaunt usłyszał cichy szcęk iglicy.

Cisnął pustym pistoletem w nadbiegających przeciwników i przeskoczył przez próg wiodących na lądowisko drzwi. Czuł już wyraźnie charakterystyczny odór mutacji biorący górę nad gryzącym dymem, słyszał brzęczenie wielkich tłustych much. Zabójcy byli tuż za nim.

Karabin maszynowy zaterkotał rytmicznie ścinając depczących po piętach komisarza napastników. Gaunt odwrócił w biegu głowę i dostrzegł chłopca. Muzykanta z tatuażem w kształcie ryby. Dzieciak klęczał za przewróconym marmurowym filarem opierając o jego wierzch porzuconą przez jednego z wartowników broń.

- Szybciej! - krzyknął Tanithijczyk ponad terkotem karabinu - Ostatni prom czeka na

pana!

Gaunt dopadł burty wahadłowca czując na twarzy żar buchający z dysz statku. Boczny luk właśnie się zamykał i komisarz skoczył w coraz mniejszy otwór zrzucając z ramion krępujący ruchy płaszcz. Wylądował nosem na podłodze przedziału pasażerskiego, zakrwawiony i ociekający potem. Dygnitarze Munitorium gapili się na niego bladzi z przerażenia.

Pociski zaczęły się odbijać z metalicznym jękiem od kadłuba promu.

- Otworzyć właz! - wrzasnął - Otworzyć jeszcze raz właz!

Nikt nie ruszył się z miejsca. Gaunt zerwał się z podłogi i dopadł drzwi przesuwając dźwignię bezpieczeństwa. Luk otworzył się ze szczękiem metalu i chłopiec wskoczył do środka, pociągnięty za kołnierz przez komisarza. Właz zatrzęsął się ponownie szarpnięty obiema rękami Gaunta.

- Teraz! - oficer krzyknął w kierunku kabiny pilota - Zjeżdżaj stąd, już!

Wahadłowiec poderwał się z płyty lądowiska niczym strzała, szarpnięty w górę siłą odrzutu uruchomionych z pełną mocą dopalaczy. Wiązki laserów śmigły wokół statku, w dole pośród snopów iskier zawałała się ze zgrzytem dartego metalu konstrukcja, na której stała platforma. Prom zakreślił w powietrzu ponad miastem, które było teraz jednym ognistym piekłem. Zapominając o normach bezpieczeństwa, regulaminach lotu, nawet imieniu własnej matki, pilot wahadłowca uruchomił wszystkie silniczki korekcyjne i dopalacze, a potem przesunął do końca przepustnicę głównego napędu. Statek pruł czarne warstwy dymu niczym umykający w górę pocisk.

Pozostawione własnemu losowi, zielone puszcze umierały w płomieniach gigantycznego pożaru. Gaunt przecisnął się do najbliższego okienka. Dantejski widok natychmiast przypomniał mu o ostatnim śnie. Ogień, rozszerzający się wokół niczym rozkładający płatki kwiat. Pulsujący, blady, zielonkawy ogień poruszający się niby żywa istota. Pożerający świat, cały świat.

Ibram Gaunt spojrział na swoje odbicie w szybie okienka, na wąską, kredową, zakrwawioną twarz. Drzewa, płonące niczym serce gwiazdy, przesunęły się w dole z niezwykłą prędkością.

Wysoko nad zimnym, skalistym światem Nameth statki Gaunta wisiały w próżni niczym śpiące w bezmiarze oceanu wieloryby. Trzy opasłe transportowce o popielatoszarych kadłubach przywodzących na myśl katedry i fregata eskortowa Navarre, dwukilometrowej długości okręt o smukłych kształtach i licznych wieżyczkach artyleryjskich.

W swej kabinie na pokładzie Navarre Gaunt studiował w samotności najnowsze meldunki wywiadu. Tanith zostało zniszczone stając się jednym z sześciu systemów unicestwionych przez armadę Chaosu, która wykorzystwała lekkomyślność Macarotha wchodząc na tyły korpusu marszałka. Siły krucjaty przystąpiły do odwrotu z wysuniętych pozycji i zaczęły okrążać podjazd wroga. Sporadyczne komunikaty donosiły o wielkiej bitwie ciężkich okrętów w pobliżu Circudusa, trwającej ponad trzydzieści sześć godzin. Imperialna armia walczyła teraz na dwóch frontach.

Natychmiastowy odlot z Tanith pozwolił Gauntowi uratować trzy i pół tysiąca żołnierzy, ponad połowę stanu liczebnego tanithijskich regimentów. Cyniczni, wyzbyci ludzkich uczuć oficerowie mogliby nazwać to ograniczonym sukcesem.

Gaunt wyciągnął spod sterty raportów swój notes i przejrzał jego zawartość. Na wyświetlaczu migotała wiadomość wysłana osobiście przez samego Macarotha. Marszałek gratulował komisarzowi trafnej decyzji i pochwalał jego wybór. Ani jednego słowa żalu po straconej planecie i jej mieszkańcach. Macaroth ograniczył się do wyrazów uznania i polecił zająć pozycję na orbicie Nameth w oczekiwaniu na dalsze rozkazy. Komisarz wyłączył notes i cisnął nim o stół. Czuł się przygnębiony.

Drzwi pokoju otwały się cicho. Do środka wszedł Kreff, oficer porządkowy fregaty, wysoki i ogolony do gołej skóry mężczyzna w szmaragdowym mundurze floty Segmentum Pacificus. Zasalutował niepotrzebnie, jakby usilnie chciał podkreślić swój status tymczasowego adiutanta Gaunta. Od chwili zaokrętowania komisarza odwiedzał pokój swego chwilowego dowódcy przynajmniej dziesięć razy na godzinę.

- Coś nowego?

- Astropaci mówią, że lada chwila coś nadejdzie. Być może właśnie pańskie rozkazy. I, uhm...

Kreff był wyraźnie zakłopotany. Nie znał Gaunta i wiedział dobrze, że komisarz nie zna jego. Sym przez cztery lata musiał się uczyć roli adiutanta, nim stał się użytecznym pomocnikiem.

Sym...

- Co się stało?

- Czy mógłbym zwrócić uwagę na pewien bardzo ważny obecnie problem? Morale ludzi.

- Dobrze, Kreff. Mów szczerze, co ci leży na sercu.

- Nie chodzi o mnie - pokręcił głową Kreff - Jest tutaj delegacja ze statku transportowego...

- Słucham? - Gaunt zeszywniał zauważalnie.

- Delegacja Tanithijczyków. Chcą z panem rozmawiać. Przybyli na pokład trzydzieści minut temu.

Gaunt wyjął z leżącej na łóżku kabury pistolet i sprawdził magazynek.

- Czy w dyskretny sposób dajesz mi do zrozumienia, że mam do czynienia z buntem?

Kreff potrząsnął przecząco głową i zaśmiał się w pozbawiony wesołości sposób. Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi, gdy komisarz schował broń z powrotem do kabury.

- Ilu?

- Piętnastu. Bardzo niskie szarże. Widocznie niewielu ich oficerów uszło z życiem z Tanith.

- Przyślij tu trzech. Dokładnie trzech. Niech sami między sobą wybiorą reprezentantów.

Gaunt usiadł ponownie przy biurku. Przez chwilę zastanawiał się nad założeniem swej czapki i kurtki. Rozejrzał się po pokoju i jego wzrok przyciągnęło odbicie własnej postaci w oknie. Ponad dwa metry kości i mięśni, szczupła niebezpieczna twarz pasująca w ironiczny sposób do nazwiska, krótkie jasne włosy. Miał na sobie bryczesy, podkoszulek i skórzane buty. Kurtka i czapka były atrybutami władzy i autorytetu. Pozbawiony kompletnego uniformu, zwracał w zamian uwagę swą siłą fizyczną i zdrowiem.

Drzwi otworzyły się ponownie i do środka weszło trzech mężczyzn. Gaunt bez słowa zlustrował ich wzrokiem. Jeden był wysoki, starszy od komisarza i potężnie zbudowany. Ręce miał grube niczym belki i pokryte niebieskimi tatuażami. Wyróżniały go błyszczące oczy i kędzierzawa broda. Drugi gość był szczupły i ciemnoskóry, o zimnym spojrzeniu przywodzącym na myśl węża. Nad prawym okiem nosił tatuaż w postaci niebieskiej gwiazdy. Towarzyszył im chłopiec, grajek.

- Poznajmy się - powiedział Gaunt.

- Jestem Corbec - odparł masywny mężczyzna - To jest Rawne.

Tanithijczyk o wzroku węża skinął głową.

- Chłopca już znasz - dodał Corbec.

- Nie z imienia.

- Milo - przedstawił się muzykant - Milo Brin.

- Jak sądzę, przynosicie mi wieści, że Tanithijczycy żądają mej głowy - zapytał sarkastycznie Gaunt.

- Dokładnie tak - odpowiedział Rawne.

Gaunt starannie ukrył zaskoczenie. Żaden z gości nie okazywał mu nawet cienia należnego respektu i szacunku należnego wyższej szarży. Żadnego sir, żadnego komisarzu.

- Wiecie, dlaczego to uczyniłem? Dlaczego zabrałem regimenty z Tanith i pozwoliłem



temu światu umrzeć? I czy wiecie, dlaczego zignorowałem wszystkie wasze prośby nie pozwalając na walkę w obronie rodzinnej planety?

- To było nasze prawo... - zaczął Rawne.

- Nasz świat umarł, komisarzu-pułkowniku - oświadczył Corbec i Gaunt wyprostował się machinalnie słysząc swój wojskowy tytuł. - Widzieliśmy z okien transportowców jak płonie. Powinieneś był nam pozwolić tam zostać i walczyć. Mieliśmy umrzeć za Tanith.

- Wciąż jeszcze możecie to zrobić, tylko gdzie indziej - Gaunt wstał z fotela - Nie jesteście już obywatelami Tanithu. Zrzekliście się tej przynależności wchodząc na Pola Fundacji. Od tamtej chwili jesteście Imperialną Gwardią i nikim więcej.

Odwrócił się plecami do gwardzistów i spojrzął za pancerne okno.

- Oplakuję stratę każdego świata, każdego życia. Nie chciałem patrzeć jak Tanith umiera ani pozostawiać je same na pastwę wroga. Ale muszę zachować lojalność wobec Imperatora, a dla dobra całego Imperium musimy kontynuować krucjatę na Światach Sabbath. Gdybyście pozostali na Tanith, moglibyście jedynie umrzeć. Jeśli tego właśnie chcecie, mogę wam zapewnić wiele stosownych okazji. Potrzebuję żołnierzy, nie trupów.

Przesunął głową na boki jakby kontemlował czerń kosmosu za oknem.

- Wykorzystajcie swój żal umiejętnie, nie pozwólcie się złamać. Niech ból doda wam męstwa. Myślcie logicznie pomimo rozpaczki! Wielu ludzi wstępujących do Gwardii nigdy już nie widzi swego domu. Jesteście jednymi z nich.

- Lecz im pozostaje świadomość, że mają gdzieś dom! - rzucił oschle Corbec.

- Wielu z tych, którzy przeżyją kampanię i przejdą do rezerwy, może otrzymać przydział kolonizacyjny na świat, który został przez nich podbity. Slaydo sprezentował mi taki dar po Balhaucie. Dał mi stopień pułkownika i prawo do skolonizowania pierwszego świata, który zdobędę. Pomóżcie mi to zrobić, a ja w zamian podzielę się z wami tym darem.

- Czy to przekupstwo? - spytał Rawne.

Gaunt pokręcił przecząco głową.

- Tylko obietnica. Potrzebujemy się nawzajem. Ja muszę mieć sprawnie działającą armię, wy zaś cel, który pozwoli złagodzić ból, nadać sens walce, pozwolić spojrzeć w przyszłość.

Komisarz dostrzegł coś w szklanym odbiciu. Nie odwrócił głowy.

- Czy to pistolet, Rawne? Przyszedłeś tutaj chcąc mnie zamordować?

Tanithijczyk wyszczerzył posępnie zęby.

- Czyżby się pan czegoś obawiał, komisarzu?

Gaunt oderwał spojrzenie od pustki kosmosu, odwrócił się w stronę swych rozmówców.

- Z kim zatem mam do czynienia? Z regimentem żołnierzy czy buntowników?

Corbec nie ugiął się przed jego surowym wzrokiem.

- Ludzie potrzebują rozmowy. Uczyniłeś z nich duchy, echa zniszczonego świata. Mamy zabrać na transportowce wyjaśnienie twego postępowania i wieści o ich dalszych losach. Wtedy ochłoną.

- Ludzie powinni zebrać się wokół swoich oficerów.

Rawne zaśmiał się bez cienia wesołości.

- Żadnego z nich nie ma! Cała kadra oficerska nadzorowała załadunek na Polach Fundacji, kiedy zaczęło się bombardowanie. Nikt nie ocalał.

Gaunt skinął głową ze zrozumieniem.

- Lecz to was wybrano do delegacji. Jesteście przywódcami grupy.

- Jesteśmy jedynie na tyle głupi, by dać się innym wypchnąć przed pierwszy szereg - parsknął Corbec.

- To bez znaczenia - odparł Gaunt. - Pułkownik Corbec. Major Rawne. Sami dobierzcie sobie młodszych oficerów i wyznaczcie dowódców pododdziałów. Za sześć godzin oczekuję waszego powrotu z raportami o poziomie morale żołnierzy. Do tego czasu powinienem otrzymać rozkazy dotyczące naszego liniowego przydziału.

Spojrzeli na siebie niemo, nie mogąc wykrztusić słowa ze zdumienia.

- Możecie odejść - oświadczył Gaunt.

Wciąż zmieszani, trzej goście cofnęli się ku drzwiom.

- Milo, pozostań, proszę - powiedział komisarz.

Chłopiec przystanął w miejscu. Drzwi za jego plecami zamknęły się ze szczękiem.

- Jestem twoim dłużnikiem - stwierdził sucho Gaunt.

- Spłacił pan już ten dług. Nie należałem ani do milicji ani do Gwardii. Żyję tylko dlatego, że mnie pan wtedy zabrał ze sobą.

- Zabrałem cię ze względu na twoje przysługi.

- Elektor osobiście polecił mi, bym się o pana troszczył i dbał. Wypełniałem jedynie swe obowiązki.

- Ci dwaj zabrali cię tutaj ze sobą, ponieważ uznali, że twoja obecność może mnie zmiękczyć, prawda?

- Nie są głupcami - stwierdził zdawkowo Milo.

Gaunt usiadł z powrotem na krześle.

- Ty również nie jesteś głupcem. Potrzebuję pomocnika, adiutanta. To nietrudna robota, w głównej mierze oparta na pracy gońca, trudniejszych rzeczy nauczysz się później. Objęcie przez ciebie tej roli ułatwiłoby mi znormalizowanie stosunków z resztą Tanithijczyków.

Zanim Milo zdążył odpowiedzieć, drzwi otworzyły się ponownie i do środka kabiny wszedł Kreff. Ścisnąc w ręce elektroniczny notes zasalutował komisarzowi.

- Przyszły nasze rozkazy, sir.

Odległy grzmot artyleryjskiej kanonady sprawiał wrażenie stałego elementu linii frontu na Blackshardzie. Niekończący się huk ciężkich dział wypełniał ołowiane przestworza ponad pasem wzniesień. Grzbiet wzgórza został solidnie ufortyfikowany, w jego kompozytowych bunkrach czekało na rozkaz do ataku sześć batalionów Imperialnej Gwardii, żołnierzy Dziesiątego Królewskiego Regimentu Sloki.

Pułkownik Thoren przemierzał pieszo linię umocnień. Jego ludzie wyglądali niczym nadnaturalne istoty w swych bogato zdobionych szkarłatnosrebrnych pancerzach osobistych z grzebieniastymi hełmami, zaprojektowanych przez slokańskich zbrojmistrzów w celu szerzenia popłochu wśród wrogów.

Lecz ten wróg nie okazywał lęku. Rozkazy generała Hadraka były precyzyjne, ale serce Thorena ścisnęły żelazne kleszcze niepokoju. Nie czuł ulgi na myśl o rychłym szturmie, wiedział bowiem, jak drogo przyjdzie mu za ten atak zapłacić. Szarżować na oślepię, bez wsparcia, na nieznanym terenie kontrolowanym przez nieprzyjaciela, z nadzieją na znalezienie słabego punktu w liniach wroga - punktu, który mógł wcale nie istnieć. Na samą myśl o szturmie czuł się chory.

Adiutant Thorena zwrócił uwagę swego przełożonego na grupę sześćdziesięciu mężczyzn zmierzających w ich stronę dnem łącznikowego okopu. Obcy mieli na sobie czarne mundury z narzuconymi na wierzch płaszczami kamuflującymi, ciężkimi od deszczu i przylegającymi ciasno do ciał właścicieli.

- Coście za jedno, w imię krwi Balora? - zaczął Thoren.

Zatrzymując swą grupę jej przywódca, olbrzym z czarną gęstą brodą i tatuażem podszedł do Thorena salutując krótko.

- Pułkownik Corbec, Pierwszy Tanithu. Pierwszy i Jedyne. Generał Hadrak wysłał nas tutaj, byśmy udzielili wam wsparcia.

- Tanith? A gdzie to jest, do diabła? - zapytał Slokanin.

- Już nigdzie - wyjaśnił enigmatycznie olbrzym - Generał poinformował nas, że macie zamiar szarżować przez martwą strefę na pozycje wroga. Zasugerował udzielenie wam wsparcia w formie jednostki zwiadowczej, ponieważ uświadomił sobie, że te wasze szkarłatne pancerze świecą z daleka niczym dupy pawianów. Na twarzy Thorena pojawił się gniewny rumieniec.

- Posłuchaj mnie, ty...

Na mundury obu oficerów padł nieoczekiwanie czyjś cień.

- Pułkownik Thoren, jak mniemam?

Gaunt zeskoczył z krawędzi okopu na jego dno.

- Mój regiment wylądował na Blackshardzie wczoraj w nocy, z poleceniem wsparcia sił generała Hadraka na czas przejmowania nieprzyjacielskiej cytadeli. To wymusza pewną kooperację między naszymi jednostkami.

Thoren skłonił się lekko. Więc to był ów Gaunt, świeżo upieczony pułkownik-komisarz. Słokanin słyszał już co nieco o tym człowieku.

- Proszę zapoznać mnie z sytuacją - powiedział Gaunt.

Thoren skinął ręką w stronę adiutanta. Żołnierz rozstawił na dnie okopu przenośny projektor map i wyświetlił na jego ekranie obraz martwej strefy.

- Nieprzyjaciel okopał się głęboko w ruinach starej cytadeli. Forteca miała solidną zbrojownię, tak więc są dobrze wyposażeni. W przeważającej mierze to kultysty Chaosu, szacujemy ich liczebność na siedemnaście tysięcy zdolnych do walki osób. Sądzymy też...

Gaunt uniósł pytająco brwi.

- Uważamy, że należy uwzględnić również obecność pomiotów Chaosu - Thoren oddychał teraz płytko - Główne walki toczą się dalej od nas, ta strefa jest obszarem wymiany ognia artyleryjskiego.

Gaunt pokiwał głową.

- Większość moich żołnierzy została wysłana na centralną linię frontu, ale generał Hadrak polecił wesprzeć ograniczonymi siłami również tę strefę.

Thoren wskazał ponownie mapę.

- Wróg musi planować coś więcej niż tylko przytrzymanie nas w miejscu. Wiedzą przecież, że prędzej czy później się przełamiemy przez ich pozycje, więc najwyraźniej coś szykują. Być może chcą zyskać na czasie, by coś ukończyć. Zwiad wykazał podatność tej części miasta na uderzenie niewielkiej formacji. Pod murami znajdują się tunele i studzienki kanalizacyjne, istny szcurzy labirynt.

- Moi chłopcy specjalizują się w szcurzych labiryntach - oświadczył Gaunt.

- Chcecie pójść przodem?

- To błoto i tunele. Tanithijczycy są lekką piechotą, wy macie masywne pancerze i ciężki sprzęt. Przepuście nas przodem, a potem wzmocnijcie przyczółek, który zrobimy. Nie zapomnijcie podciągnąć cięższej broni.

- Dobrze, pułkowniku-komisarzu - skinął głową Thoren.

Gaunt i Corbec podeszli do reszty tanithijskich żołnierzy.

- To będzie chrzest krwi dla tego regimentu, dla Pierwszego i Jedyne go Tanithu - oświadczył Gaunt.

- Dla Duchów Gaunta - mruknął ktoś w tłumie. Corbec był pewien, że to Szalony Larkin. Komisarz uśmiechnął się.

- Duchy Gaunta, nie zawieźcie mnie.

Gwardziści nie potrzebowali dalszych rozkazów. Na znak Corbeca dobrali się w pary owijając ciała szczelniej płaszczami i odbezpieczając lasery. Wierzchnia warstwa materiału płaszczy i kapturów zmieniła lekko barwę upodabniając się do błotniste go podłoża. Każdy żołnierz przed przeskoczeniem parapetu okopu rozsmarował na czole i policzkach czarną mazistą ziemię.

Thoren odczekał, aż ostatni Duch zniknie z okopu, po czym chwycił za pokrętła stojącego opodal peryskopu. Rozejrzał się po przedpolu, ale po sześćdziesiątce ludzi, którzy właśnie opuścili umocnienia ślad zaginał.

- Gdzie oni są, w imię Solana? - sapnął Slokanin.

Gaunt był oczarowany. Widział już wcześniej jak jego ludzie ćwiczą w ładowniach wojskowych liniowców, ale dopiero teraz, na prawdziwym polu walki, ich umiejętności ujawniły się w całej okazałości. Byli prawie niewidzialni w grząskim błocie, czyniąc ledwie zauważalne znaki ruchu pomiędzy stertami gruzu i wypalonymi wrakami odgradzającymi linię umocnień od wielkich murów cytadeli.

Owinał się szczelnie otrzymanym tanithijskim płaszczem. To był element ugody z Corbecem: Gaunt nalegał, by osobiście uczestniczyć w akcji, Corbec zaś upierał się, aby dowódca przedsięwziął wszelkie kroki mogące utrudnić wywołanie alarmu.

Tkwiąca w uchu słuchawka mikrokomunikatora trzasnęła krótko. Zgłosił się Corbec.

- Pierwsze oddziały już są w tunelach. Posuwają się ciasnym szykiem w parach.

Gaunt dotknął dłonią przełącznika na szyi.

- Opór ze strony wroga?

- Było trochę roboty nożami - padła zwięzła odpowiedź.

Chwilę później komisarz znalazł się przy mrocznym wilgotnym wejściu do jednego z tuneli. Pięciu martwych żołnierzy Chaosu w pomarańczowych szatach swego heretyckiego kultu leżało w błocie. Grupa Tanithijczyków czekała na dowódcę. Corbec ścierał krew z ostrza swojego srebrnego noża.

- Idziemy - polecił Gaunt.

Elektor Tanithu, niechaj dusza jego spoczywa w pokoju, nie skłamał nawet odrobinę, uznał Gaunt. Duchy dowiodły dobitnie swych umiejętności infiltracji na błotnistym przedpolu cytadeli, komisarz nie miał natomiast najmniejszego pojęcia jakim cudem tak pewnie odnajdywały drogę w szaleńczym mrocznym labiryncie tuneli. „Nigdy się nie gubią” stwierdził elektor i miał rację. Nieprzyjaciel uważał najwyraźniej, że nic większego od karalucha nie zdoła przemknąć się przez sieć na wpół zawałonych zrujnowanych kanałów stanowiących dla przeciętnej grupy uderzeniowej śmiertelną pułapkę.

Ludzie Corbeca dokonali tego bez wysiłku w przeciągu kilkunastu minut. Wychodząc z tuneli w obrębie miejskich murów i podcinając srebrnymi nożami gardła wartowników, Tanithijczycy przedostali się w rejon sztabu nieprzyjaciela. I tam tanithijski Pierwszy i Jedyne pokazał jak potrafi walczyć. Elektor nie kłamał.

Ukryty za roztrzaskanym filarem, Gaunt wypalił kilkakrotnie z boltowego pistoletu rozrywając mikrorakietami ciała dwóch kultystów i rozbijając w drzazgi jakieś drzwi. Wszędzie wokół powietrze cięły precyzyjne wiązki laserowego światła wystrzeliwane z pięciu tuzinów tanithijskiej broni.

Opodal Gaunta jakiś starszy Duch zwany przez innych Larkinem zdejmował z pobliskich balkonów kryjących się tam heretyków. Ten człowiek miał niewyobrażalnie perfekcyjne oko strzelca wyborowego. Kawałek dalej inny mężczyzna, uprzejmy na co dzień olbrzym o nazwisku Bragg, ścisnął w rękach ciężki bolter burząc wielkimi pociskami ściany budynków i kolumny arkad. Broń taką woziło się zazwyczaj na kołowej podstawie, ale Bragg zerwał ją z zaczepów i targał ze sobą niczym zwykły karabin. Gaunt nie widział nigdy wcześniej człowieka zdolnego używać ciężkiego boltera bez pomocy siłowników. Tanithijczycy nadali Braggowi przezwisko „Spróbuj znowu” żartując z jego wyjątkowo kiepskich umiejętności strzeleckich, ale przy takiej sile ognia olbrzym nie musiał się kłopotać dokładnym celowaniem.

Z przodu grupy sześciuosobowa drużyna prowadzona przez Corbeca dotarła do jakiegoś kompleksu świątynnego. Po wrzuceniu w wejście granatów gwardziści wślizgnęli się do środka, ubezpieczani wzajemnie w parach.

- Jestem pod ciężkim ostrzałem! - krzyknął do komunikatora Corbec - To jakiś rodzaj kościoła lub kaplicy! Być może główny obiekt!

Gaunt potwierdził odbiór i wysłał w rejon świątyni kilka innych drużyn.

Skradając się nawą wielkiego kościoła Corbec lawirował pomiędzy stertami gruzu i wiązkami wrogich laserów. Machnął ręką w stronę pary idącej za nim - Rawne i Sutha - i trzeciej dwójki. Jego własny partner, Forgal, położył się na brzuchu na pokrytej kurzem

posadzce świątyni i poluzował pasek swego karabinu.

- Tam - syknął mrużąc swe czujne ostre oczy - Za ołtarzem jest przejście na niższy poziom. Ustawili tam mocną zaporę ogniową, dokładnie w wejściu. To ta wielka brama pod łukiem z witrażami.

Forgal miał rację.

- Czujecie ten smród? - w radiu odezwał się Rawne.

Corbec czuł. Odór rozkładu, starego potu, zepsutej krwi. Fetor buchał z wejścia do świątynnej krypty.

Forgal zaczął się czołgać do przodu. Jakaś wystrzelona przypadkowo wiązka lasera ścięła mu wierzch głowy.

- Na świętego fetha! - wrzasnął Corbec i zasypał wejście do podziemi energetycznymi ładunkami, rozbijając w drobne kawałki witraże. Szklane drobiny spadły na ołtarz.

Rawne i Suth wykorzystali zamieszanie wśród obrońców i poczołgali się nieco bardziej do przodu. Major zdjął z pasa tubę z ładunkiem wybuchowym i cisnął ją prosto w otwór wejściowy do krypty.

Grzmot wybuchu ogłuszył wszystkich.

Gaunt usłyszał radiowe wezwanie Corbeca. Wpadł do zadymionego wnętrza świątyni przystając na moment w progu, by wydać dalsze rozkazy.

- Larkin! Bragg! Orcha! Varl! Ze mną! Wy trzej, zabezpieczyć wejście! Cluggan, weź dwie drużyny i sprawdźcie flanki budynku!

Komisarz wszedł do kaplicy, rozbite szkło chrzęściło pod jego butami. Od razu poczuł odór.

Corbec i Rawne czekali przy wejściu do krypty, pozostali Tanithijczycy stali opodal z gotową do użycia bronią.

- Coś jest na dole - oświadczył major i wskazał dłonią schody wiodących do krypty. Gaunt włożył do pistoletu nowy magazynek, schował broń do kabury i podniósł z podłogi laser Forgala.

Pod ołtarzem znajdowała się piwnica. Trupy kultystów wały się po okopconej podłodze krypty niczym połamane szmaciane lalki. Pośrodku komnaty stała zardzewiała metalowa skrzynia, długa i szeroka na dwa metry. Jej wieko pokryte było błuznierczymi symbolami Chaosu.

Gaunt dotknął skrzyni. Metal był gorący, wydawał się ledwie zauważalnie pulsować.

Komisarz cofnął szybko dłoń.

- Co to takiego? - spytał Corbec.

- Wątpię, by ktokolwiek z nas chciał poznać prawdę - odparł Gaunt - Jakaś relikwia nieprzyjaciela, heretycki obiekt kultu, ikona... Czymkolwiek to jest, okazało się niezwykle cenne dla tych potworów, tak cenne, że wszyscy zgodnie poświęcili życie próbując to ochronić.

- Slokański pułkownik był przekonany, że wróg utrzymuje tu pozycje z konkretnego powodu - oświadczył Corbec - Może mieli nadzieję, że otrzymają na czas posiłki i zdołają to ocalić.

- Więc pokrzyżujemy im plany. Zarządzam natychmiastowy odwrót z tego miejsca, prosto pod miejskie mury. Każdy żołnierz zostawi tutaj swój ładunek wybuchowy. Rawne, zbierz je wszystkie i uzbrój, wyglądasz na eksperta w dziedzinie materiałów wybuchowych.

W ciągu kilku minut Duchy znikły z okolic świątyni. Rawne klęczał na posadzce komnaty spinając ze sobą zapalniki niewielkich min przeciwpiechotnych. Gaunt obserwował na przemian pracę majora i drzwi wiodące na schody.

- Pośpiesz się, Rawne, nie mamy wiele czasu. Wróg lada moment powróci w ten rejon z posiłkami.

- Prawie skończyłem - odparł major - Proszę sprawdzić drzwi, sir, Chyba coś słyszałem.

Już użyty zwrot sir powinien był wzbudzić zaniepokojenie Gaunta. Kiedy komisarz odwrócił się w stronę schodów, Rawne skoczył zniemacka w jego kierunku i uderzył oficera pięścią w głowę. Ogłuszony mężczyzna zachwiał się na nogach, a wtedy Rawne pchnął go prosto na stertę ładunków.

- Jakie to świetnie miejsce na śmierć dla takiego skurwysyna jak ty, ojciec Duchów - warknął major - Między szczurami i w brudzie. To takie przykre, że nasz waleczny komisarz nie zdołał uciec ze świątyni, ale przecież kultysty odcięli mu drogę. - Rawne wyjął z kabury swój pistolet i wymierzył lufę w głowę Gaunta.

Komisarz kopnął go nieoczekiwanie i podciął przewracając na podłogę. Przetaczając się po posadzce Gaunt przygniótł majora swym ciałem i uderzył go zaciśniętą pięścią w twarz, raz, drugi. Na ustach Tanithijczyka pojawiła się krew.

Major próbował się bronić, ale Gaunt był od niego masywniejszy. Po wyjątkowo silnym uderzeniu Duch zwiotczał i komisarz pomyślał, że złamał mu kark.

Zerwał się na nogi i rzucił okiem na wyświetlacz czasowego zapalnika. Pozostały już tylko dwie minuty do detonacji. Nadszedł czas na natychmiastowe wyniesienie się z krypty.

Spojrzał w stronę drzwi. Na schodach wiodących do krypty załomotały buty zbiegających w dół żołnierzy Chaosu.



Eksplozja wyrzuciła w niebo słup dymu i gruzu widoczny doskonale z wszystkich imperialnych pozycji w rejonie martwej strefy. Sześć minut później umilkły znienacka ciężkie baterie artyleryjskie obrońców. Krótco potem ogień z broni lekkiej wstrzymali pozostali kultyści.

Gwardyjskie jednostki ruszyły do przodu, z początku ostrożnie i podejrzliwie. Kultystów odnaleziono na zajmowanych przez nich pozycjach, wszystkich martwych. Popelnili zbiorowe samobójstwo, jakby biorąc odpowiedzialność za jakąś potworną porażkę. W podsumowaniu swego raportu o przebiegu kampanii na Blackshardzie generał Hadrak zasugerował, iż to zniszczenie powierzonej obrońcom relikwii Chaosu pozbawiło heretyków jakiegokolwiek chęci do dalszego życia. Hadrak nie omieszkał zwrócić uwagi na zasługi w tym względzie nowo sformowanego regimentu Tanithu, działającego w charakterze wsparcia jego własnych sił. Będąc głównodowodzącym operacją na Blackshardzie Hadrak skupił na sobie gros zaszczytów i pochwał, lecz okazywał szczerzy podziw dla efektów misji podjętej przez „Duchy Gaunta” i publicznie zachwalał ich zdolności w dziedzinie skrytej infiltracji.

Pułkownik-komisarz Gaunt, zraniony w ramię i brzuch, opuścił z życiem martwą strefę dwadzieścia minut po wybuchu i po przyjęciu stosownej opieki medycznej powrócił na swoją fregatę. Bez wątplenia dotarłby do pozycji imperialnych wcześniej, gdyby nie musiał ciągnąć za sobą nieprzytomnego oficera, majora Rawne.

Wciąż odczuwając przytępiony narkotykami ból Gaunt wszedł do jednej z ładowni liniowca. Mieszkało w niej dziewięciuset Tanithijczyków. Wszyscy podnieśli wzrok znad czyszczonej broni i w rozległej sali zapadła znacząca cisza.

- Pierwsza krew dla was - oświadczył komisarz - Pierwsza krew za Tanith. Pierwsza pomszczona rana. Smakujcie tę chwilę.

Stojący u boku Gaunta Corbec zaczął klaskać. Ludzie podchwycili ten gest natychmiast i po chwili cała ładownia rozbrzmiewała dźwiękiem oklasków.

Gaunt przesunął wzrokiem po gwardzistach. Może jednak miał jakąś przyszłość ten regiment, może zdołałby sobie wywalczyć poprzez chwałę obiecaną cenną nagrodę...

Dostrzegł w tłumie postać majora Rawne. Skrzyżowali na ułamek chwili spojrzenia. Rawne nie klaskał.

Fakt ten nieoczekiwanie rozśmieszył Gaunta. Komisarz odwrócił się do Mila i wskazał dłonią wiszącą na ramieniu adiutanta dudy.

- Teraz możesz coś zagrać - powiedział.

# Monthax

Podczas porannego obchodu fortyfikacji fetor podmokłej dżungli zdawał się przytłumiać wszystkie zmysły komisarza. Tanithijczycy, rozebrani do pasa, ładowali łopatami mokrą ziemię do worków, przerywając swą pracę na chwilę, by zaszalutować, wymienić z dowódcą pozdrowienia lub zadać jakieś ostrożne pytania na temat najbliższej przyszłości.

Gaunt odpowiadał tak szczerze jak tylko umiał. Jako komisarz, oficer polityczny, mógł bez trudu wygłosić jakąś pompatyczną frazę. Lecz jako pułkownik czuł obowiązek zachowania prawdy przed swymi ludźmi. A prawda była taka, że sam niewiele wiedział. Owszem, świadom był tego, że przyjdzie im stoczyć ciężką walkę, ale tego rozsądek zabraniał mu otwarcie mówić. Przemawiał zatem prostymi ciepłymi słowami o potrzebie odwagi i cierpliwości, wysławiając się w sposób, którego nauczył go dawny mentor, komisarz-generał Oktar w latach służby z Hyrkanami. Zachowaj swe krzyki do czasu walki, Ibramie. Zanim ona nadejdzie, buduj morale ludzi za pomocą ciepłych zachęt. Sprawiaj wrażenie, jakby cały świat był dla ciebie wolny od trosk.

Gaunt czerpał dumę z faktu, iż nie tylko znał z imienia każdego swego żołnierza, lecz również wiedział o nim to i owo. Tu prywatny żarcik, tam osobista porada. Technika Oktara, niechaj dusza jego spoczywa w pokoju, sprawdzająca się wybornie przez wszystkie te lata. Gaunt próbował utrwalić w swej pamięci każdą ubrudzoną błotem roześmianą twarz oglądaną w trakcie obchodu. Wiedział, że nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby któregoś dnia usłyszał wieści, że szeregowiec o takim, a takim nazwisku poległ, a on nie potrafiłby sobie przypomnieć wówczas jego twarzy. Śmierć zawsze będzie cię prześladować, mawiał Oktar, bądź zatem pewien, że duchy są wobec ciebie życzliwe. Gdyby tylko wiedział jak dosłownie proroctwa miały się okazać jego rady w odległej wówczas przyszłości.

Komisarz przystanął na moment na skraju półokrągłego wału i uśmiechnął się do swych myśli. Opodal jacyś żołnierze kopali wypełniony ziemią worek służący im za piłkę w pośpiesznie zaimprovizowanej grze. Piłka poleciała w jego stronę, więc uderzył ją czubkiem buta posyłając z powrotem w stronę gwardzistów. Niech korzystają z okazji do rozrywki, pomyślał. Jak wielu z nich przeżyje do następnego meczu?

Jak wielu? Straty wciąż rosły. Niektóre z nich były usprawiedliwione, niektóre przerażające, inne zaś całkowicie niepotrzebne. Bolesne wspomnienia gnębiły umysł

zdeprymowany długimi godzinami oczekiwania na nieznane. Oby Imperator sprawił, że ofiary pośród dzielnych żołnierzy Tanithu nigdy już nie okażą się tak wielkie i bezsensowne jak owego pamiętnego dnia na Voltemandzie, rok temu...

## II - Krwawa zapłata.

Jechali od dobrych dwóch godzin przez ciemną puszcę Voltemand Mirewood, gąsienice ślizgały się na grząskiej nawierzchni drogi, a ryk silników rezonował odbijając się od liściastej kopuły nad traktem. Wówczas pułkownik Ortiz ujrzał śmierć.

Nosiła barwy czerwieni. Stała w całkowitym bezruchu na poboczu drogi, pomiędzy pierwszymi drzewami, obserwując przejeżdżającą kolumnę Basilisków. To właśnie ten nienaturalny bezruch zmroził Ortiza. Musiał spojrzeć na śmierć ponownie, za pierwszym bowiem razem przesunął po niej jedynie niewidzącym nic wzrokiem, dopiero po chwili uświadamiając sobie, co właściwie zobaczył.

Była niemal dwukrotnie wyższa od dorosłego mężczyzny, przerażająco masywna, w pancerzu koloru zakrzepłej krwi z pokrytymi brązem wykończeniami. Twarz istoty przywodziła na myśl wygrawerowaną w metalu trupią czaszkę. Demon. Wojownik Chaosu. Pożeracz Światów!

Kiedy Ortiz obejrzał się za siebie ponownie, poczuł jak krew odpływa mu z twarzy. Sięgnął panicznym ruchem po swój komunikator.

- Alarm! Alarm! Zasadzka po prawej! - wrzasnął do mikrofonu. Hamulce zazgrzytały przeraźliwie i dziesiątki ton zmechanizowanej stali zaczęły zatrzymywać się ospale na błotnistym podłożu, zbyt ociężale, by natychmiast zareagować na nieoczekiwane zagrożenie.

Wtedy Kosmiczny Marine Chaosu poruszył się i zaczął biec. Dołączyło do niego sześciu towarzyszy, ukrytych dotąd za pniami drzew.

Dowodzony przez Ortiza konwój ogarnęła dzika panika. Oddział składał się z dziesięciu haubic samobieżnych Basilisk, stanowiących forpocztę złożonego z osiemdziesięciu pojazdów Siedemnastego Pancernego Regimentu Ketzoku, osławionych „Żmij” mających wesprzeć wysiłki Pięćdziesiątego Królewskiego Regimentu Volpone - Błękitnokrwistych. Ketzokanie posiadali siłę ognia zdolną obrócić w gruzy duże miasto, ale pochwyceni w zasadzkę na błotnistej drodze, otoczeni ścianą lasu, bez miejsca na manewrowanie i w obliczu monstrualnego wroga, stali się niemal całkowicie bezbronni. Paniczne okrzyki rozbrzmiewały wzdłuż kolumny. Ortiz słyszał trzask pękających pni drzew - niektórzy kierowcy haubic próbowali zjechać z traktu.

Pożeracze Światów zaczęli zawodzić chrapliwie, z ich zniekształconych gardel dobiegały

nie ludzkie krzyki przenikające do wnętrza pojazdów. Śpiewali imię bluźnierczej istoty, której oddawali cześć.

- Broń krótka! - wrzasnął Ortiz - Użyć broni na zaczepach! - krzyżąc wciąż do mikrofonu pochwycił rękojeść wiszącego na obrotowym zaczepie karabinu maszynowego i odwrócił jego lufę w stronę najbliższego napastnika.

Zaczęło się zabijanie. Do uszu pułkownika dotarł żarłoczny syk miotaczy ognia i dziki skowyt ludzi gotujących się żywcem w kadłubach haubic. Prowadzący szarżę Marine Chaosu dobiegł do pojazdu stojącego przed maszyną Ortiza i zaczął go rąbać swoim łańcuchowym toporem. Snopy iskier tryskały z krawędzi rozprutego metalu. Iskry, ogniki płomieni, kawałki blachy, ludzka tkanka.

Wyjąc potępieńczo Ortiz wymierzył broń w Pożeracza Światów i zaczął strzelać. Pierwsze pociski minęły cel, ale oficer zrobił poprawkę zanim bestia zdążyła odwrócić się w jego stronę. Marine sprawiał wrażenie odpornego na działanie dziurawiących jego pancerz kul. Ortiz wcisnął spust do samego końca omiatając czerwony kształt strumieniem stali. Monstrualna postać zachwiała się w końcu i runęła na ziemię.

Ortiz zmełł w ustach przekleństwo. Pożeracz Światów wchłonął potencjał ognia zdolny unieruchomić Lemana Russa. Pułkownik zauważył, że bęben amunicyjny w jego broni jest niemal pusty. Wyjął magazynek z uchwytu i krzyknął na bombardiera, by ten podał mu nowy, gdy zniecka na postać oficera padł głęboki cień.

Ortiz odwrócił się w miejscu.

Marine Chaosu stał na tylnej platformie Basiliska, gigant zasłaniający swym cielskiem promienie słońca. Heretyk pochylił się do przodu i ryknął tryumfalnie prosto w twarz Ketzokanina, porażając go falą dźwiękową i potwornym odorem. Ortiz zachwiał się na nogach niczym człowiek trafiony ciosem młota. Nie potrafił zmusić się do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Pożeracz Światów zaśmiał się makabrycznie, charkotliwie, dźwięk dobiegający spod hełmu przywodził na myśl pomruk sejsmicznych wstrząsów. Łańcuchowy miecz warknął i uniósł się w górę...

Cios nie padł. Potwór zadygotał, zachwiał się raz, drugi. A potem eksplodował.

Obryzgany krwią i płynami ustrojowymi, Ortiz wygramolił się z włazu haubicy. Dopiero teraz usłyszał dobiegający zewsząd głośny dźwięk kanonady - szczęk laserów, terkot ciężkiej broni maszynowej, huk granatów. Ktoś nacierał od strony lasu przypierając Marines Chaosu do linii opancerzonych pojazdów.

Pozostali Pożeracze Światów umierali na oczach Ortiza. Jeden z nich został kilkanaście razy trafiony laserowymi wiązkami i runął twarzą w błoto. Innego pochwycono w strumieniu

ognia wystrzeliwane z miotaczy płomieni, kiedy w maniakalny sposób rozdzierał gołymi rękami kadłub Basiliska. Języki ognia liznęły skrzynki z amunicją zmagazynowane wewnątrz haubicy i jaskrawa kula płomieni pochłonęła Pożeracza wraz z jego ofiarami. Przerażliwy ryk heretyka długo niósł się ponad trzaskiem ognia.

Wybawcy konwoju pojawili się na poboczu traktu. Imperialni gwardziści: gromada wysokich, ciemnowłosych i bladokórych mężczyzn w czarnych mundurach, ledwie widocznych dzięki narzuconym na ramiona kamuflującym płaszczom. Ortiz usłyszał dziwną, budzącą dreszcze lęku muzykę, która niczym zawroscenie upiora rozdarła ciszę pobliskiego zagajnika. Na jej dźwięk obcy krzyknęli tryumfalnie, a ich głosy natychmiast zlały się z wiwatami ketzokańskich artylerzystów.

Ortiz zeskoczył z platformy haubicy prosto w grząskie błoto traktu i ruszył w stronę nadchodzących gwardzistów.

- Pułkownik Ortiz. Chłopcy, jestem waszym dozgonnym dłużnikiem - oświadczył - Skąd jesteście?

Najbliższy mężczyzna, olbrzym o niesfornej czarnej grzywie, gęstej brodzie i muskularnych nagich ramionach pokrytych niebieskimi tatuażami podniósł w górę swój laser uśmiechając się w geście powitania.

- Pułkownik Corbec, Pierwszy i Jedyne Tanithu. To była dla nas prawdziwa przyjemność, sir.

Ortiz uklonił mu się lekko. Stwierdził z zaskoczeniem, że wciąż jeszcze drży. Z trudem potrafił zmusić się do tego, by zerknąć z ukosa na leżącego opodal w błocie martwego Pożeracza Światów.

- Urządzenie zasadzki na zasadzkę wymaga nie lada dyscypliny. Pańscy ludzie bez wątplenia znajdują się na skrytym działaniu. Dlaczego...

Nie zdążył dokończyć pytania. Brodaty olbrzym, Corbec, zeszywniał zniechęca, na jego twarzy pojawił się grymas niedowierzania. W następnej chwili rzucił się z krzykiem na Ortiza, przewracając go prosto w błoto.

Martwy rzekomo Pożeracz Światów podniósł w górę swój rogaty hełm i szarpał się właśnie z bolterem. Wyjający przeraźliwie łańcuchowy miecz zdekapitował go w ułamku chwili.

Ciężkie okaleczone ciało runęło na ziemię, odcięta głowa potoczyła się gdzieś w bok. Ibram Gaunt zsalutował mieczem niczym zwycięski szermierz, po czym wyłączył mechanizm broni. Spojrzał na Ortiza i Corbeca wstających nieporadnie z ziemi, umazanych niehumanie błotem. Oficer „Żmij” zmierzył wzrokiem wysokiego mężczyznę w długim

ciemnym płaszczu i czapce imperialnego komisarza. Człowiek ten miał bladą szczupłą twarz, a jego oczy były równie mroczna jak kosmiczna pustka.

- Poznaj szefa - roześmiał się Corbec - To pułkownik-komisarz Gaunt.

Ortiz skłonił się lekko ocierając twarz z brudu.

- Więc to wy jesteście Duchami Gaunta.

Major Gilbear nalał sobie brandy z kryształowej karafy stojącej w drewnianym barku.

- Kim do diabła są ci barbarzyńcy? - zapytał przytykając do ust pełne alkoholu naczynie.

Siedzący przy swoim biurku generał Noches Sturm odłożył pióro i oparł się wygodnie o fotel.

- Proszę, poczęstuj się moją brandy, Gilbearze - powiedział z sarkazmem, choć jego potężny adiutant nie zwrócił uwagi na ton wypowiedzi oficera.

Major usiadł na krześle ustawionym przy ekranie komunikatora i spojrzał pytająco na przełożonego.

- Duchy? Czyż nie tak ich nazywają?

Sturm skinął głową obserwując swego zastępcę. Gilbear - Gizhaum Danver De Banzi Haight Gilbear - był drugim synem Haight Gilbearów z Solenhofen, królewskiego rodu Volpone. Miał niemal dwa i pół metra wzrostu oraz pełną arogancji potężną posturę o grubo ciosanych rysach twarzy i zapadniętych oczach, charakterystycznych dla członka volpońskiej arystokracji. Nosił szarozłoty uniform Pięćdziesiątego Królewskiego Regimentu Volpone, zwanego potocznie Błękitnokrwistymi - jednostki gwardyjskiej uważającej się za najczcigodniejszy regiment Imperium. Sturm rozparł się wygodniej na fotelu. - Owszem, wielu nazywa ich Duchami. Duchami Gaunta. A są tutaj, ponieważ ich ściągnąłem.

- Pan ich tu ściągnął? - Gilbear zmarszczył pytająco czoło.

- Jesteśmy tu od sześciu tygodni i wciąż nie potrafimy wyprzeć nieprzyjaciela z Voltis. Dzięki temu wróg kontroluje wszystko na zachód od doliny Bokore. Marszałek Macaroth jest niezadowolony. Dopóki nieprzyjaciel posiada przyczółek na Voltemandzie, ma otwartą drogę do środka Światów Sabbat. Jak sam widzisz, potrzebowałem pewnej dźwigni. Mam przyjemność zaprezentować ci narzędzie, dzięki któremu złamiemy dotychczasowy impas.

- Ta dzika banda? - parsknął pogardliwie Gilbear - Obserwowałem ich w czasie zbiórki po lądowaniu. To jacyś barbarzyńcy, z tatuażami i kolczykami w nosach.

Sturm podniósł leżący na biurku elektroniczny notes i rzucił go w ręce majora.

- Czytałeś raport generała Hadrina po tym jak Slokanie zajęli Blackshard? Wręcz rozplęwał się z zachwytów nad bandą Gaunta. Podobno ci ludzie specjalizują się w infiltracji

i skrytych rajdach.

Generał wstał z fotela i obciągnął swój elegancki mundur. Apartament tonął w żółtym słonecznym świetle wpadającym do środka pomieszczenia przez wielkie okno na jednej ze ścian. Generał oparł swą dłoń na wielkim globusie Voltemandu tkwiącym w jednym z rogów mahoniowego biurka, po czym wprawił go szybkim pchnięciem w ruch spoglądając w zamyśleniu na przesuwane się przed jego oczami kontynenty będące jeszcze niedawno pod władzą Domu Voltimor. Jego obecna kwatery stanowiła wcześniej rezydencję wypoczynkową jednego z największych arystokratycznych rodów tej planety - wielki zamek z szarego kamienia, otoczony pięknymi ogrodami, położony trzydzieści kilometrów od metropolii Vontis. Idealna lokalizacja dla naczelnego sztabu korpusu inwazyjnego.

Na zewnątrz, w głębi wielkiego dziedzińca, drużyna Błękitnokrwistych w pełnych paradnych uniformach ćwiczyła musztrę z użyciem łańcuchowych mieczy. Metalowe ząbki wyły, ostrza błyszczały w promieniach słońca tnąc powietrze w idealnych układach szermierczych. Rozciągający się za dziedzińcem pełen ozdobnych drzewek ogród opadał łagodnie w kierunku nieruchomej tafli jeziora. Światła nawigacyjne błyskały rytmicznie na czubkach masztów komunikacyjnych wznoszących się ponad budynkiem herbarium. Gdzieś z części gospodarczej dobiegało głośnie gdakanie kur.

I kto by uwierzył, że mamy tutaj wojnę, pomyślał Sturm zastanawiając się nad obecną sytuacją poprzednich właścicieli pałacyku. Czy zdołali uciec z tego świata w chwili pierwszego ataku? Stłoczeni i głodujący w brudnych ładowniach statków transportowych, zrównani ironią losu z swymi najniższymi statusem wasalami? A może byli już tylko ludzkim popiołem w ruinach Kosdorfu czy też na stopionej upiornym żarem powierzchni Drogi Metis? Mogli też zginąć z przeraźliwym krzykiem na ustach w stołecznym kosmoporcie, kiedy legiony Chaosu spadły na ten świat niszcząc wszystkie stojące jeszcze na płytach lądowisk kosmiczne statki.

Kogo to zresztą obchodzi, sarknął w myślach generał. Jediną istotną kwestią była wojna, chwała, krucjata, Imperator. Mógł sobie pozwolić na komfort wspomnień o ofiarach dopiero wtedy, gdy zakrwawiona głowa Chanthara, demagoga heretyków trzymających wciąż cytadelę Voltis, zostanie mu podana na srebrnej tacy. A nawet wówczas raczej nie poczułby nadmiernego żalu.

Gilbear wstał ze swojego miejsca uzupełniając poziom alkoholu w kieliszku.

- Ten Gaunt, czy to aby nie znany człowiek? To chyba on służył z Ósmym Hyrkanu?

- Przyniósł im zwycięstwo na Balhaucie. Jeden z faworytów Slaydo. Stary zrobił z niego komisarza-pułkownika. Uznano, że ma w sobie dostatecznie dużo talentu, by wprowadzić do



czynnej służby jeden czy dwa regimenty, więc poleciał na Tanith, by nadzorować tamtejszy werbunek. Flota Chaosu uderzyła na ten świat jeszcze tej samej nocy i zdołał ujsć stamtąd zabierając zaledwie kilka tysięcy ludzi.

Gilbear skinął potakująco głową.

- To właśnie słyszałem. Biedny sukinsyn. W takim razie jego kariera legła w gruzach, skoro dostał komendę nad niedobitkami bandy obszarpańców. Macaroth nie przydzieli mu żadnego transferu, prawda?

Sturm uśmiechnął się kącikami ust.

- Nasz ukochany marszałek niezbyt chętnie patrzy na ulubieńców swego poprzednika. Szczególnie w przypadku Gaunta, ponieważ Slaydo zapewnił jego ludziom prawo kolonizacji pierwszego świata, który podbiją własnymi siłami. Nasz komisarz-pułkownik i jego Tanithijczycy są źródłem zatroskania w naczelnym sztabie, ale nam to tylko się przysłuży. Będą walczyć jak szaleńcy, ponieważ nic nie mogą stracić, a wszystko zyskać.

- No dobrze - Gilbear opuścił trzymającą kieliszek dłoń - A co, jeśli zwyciężą? Jeśli faktycznie okażą się tak świetni jak pan twierdzi?

- Staną się dźwignią naszego sukcesu - odparł Sturm robiąc sobie jeszcze jednego drinka - Nie zyskają żadnych innych korzyści. Przysłużymy się lordowi Macarothowi w dwójnasób, zdobywając dla niego ten świat i pozbywając się w jego imieniu Gaunta i całej tej bandy Duchów.

- Oczekiwaliście nas? - spytał Gaunt sadowiając się na platformie artyleryjskiej ruszającego z miejsca Basiliska.

Pułkownik Ortiz pokiwał potakująco głową opierając się plecami o podniesiony właz.

- Dostaliśmy w nocy rozkaz przejechania na północny kraniec Doliny Bokore, okopania się i ostrzelania nieprzyjacielskich fortyfikacji w zachodniej części Doliny. Sądzę, że ma to być próba ich zmiękczenia. W drodze otrzymałem zakodowany komunikat o wytyczonym na skrzyżowaniu Pavis spotkaniu. Mieliśmy zabrać was ze sobą.

Gaunt zdjął z głowy czapkę i przeczesał palcami krótkie włosy.

- Kazano nam pójść na przełaj do Pavis - odparł - Tam miał czekać wyznaczony do dalszej drogi transport. Moi zwiadowcy natrafili na ślady Pożeraczy Światów, więc cofnęliśmy się w waszym kierunku.

Ortiz zadrżał wyraźnie.

- Całe szczęście dla nas.

Gaunt spojrział w tył nabierającego prędkości konwoju, przesunął wzrokiem po

masywnych kształtach Basilisków mlóących gąsienicami grząskie błoto. Jego gwardziści jechali na kadłubach haubic, po tuzinie na każdym pojeździe, żartując z artylerzystami, wymieniając drobne prezenty i papierosy, czyszcząc broń czy nawet drzemiąc mimo podskakujących ustawicznie wozów.

- Więc to Sturm was tu przysłał? - zapytał Ortiz.

- Mamy pójść w głąb koryta rzeki aż pod same bramy Voltis. Generał uważa, że zdołamy dokonać tego, czemu nie podołało pięćdziesiąt tysięcy Błękitnokrwistych.

- A zdołacie?

- To się okaże - odparł bez cienia uśmiechu Gaunt - Duchy to nowa jednostka, praktycznie niesprawdzona w walce z wyjątkiem jednej małej akcji na Blackshardzie. Lecz posiadają pewne... zalety - tanithijski dowódca zamilkł i zaczął kontemplować wzrokiem złototurkusowe sploty żmii wijące się wokół masywnej lufy Basiliska. Otwarta paszcza gada oplatała wylot działa. Na pozostałych haubicach oficer dostrzegał podobne malunki.

- W dół Doliny Bokore prosto w paszczę piekieł - zniżył głos Ortiz - Nie zazdroszczę wam.

Gaunt uśmiechnął się nieznacznie.

- Walcie tylko po zachodnich wzgórzach i trzymajcie ich przy ziemi. A co tam, wykończcie ich wszystkich, zanim zdążymy wejść do akcji!

- Nie ma sprawy - roześmiał się Ortiz.

- I nie pomylcie się przy ustalaniu koordynatów - dodał Gaunt - Pamiętajcie, że macie przyjaciół w dolinie.

Dwie haubice dalej pułkownik Corbec podziękował grzecznie za wręczone mu przez dowódcę wozu cygaro.

- Doranz - przedstawił się ketzokański oficer.

- Bardzo mi miło - skinął głową Corbec. Cygaro miało posmak licorice, ale przynajmniej dymiło niczym porządny tytoń.

Siedzący przy nogach Corbeca Milo czyścił ustnik swoich tanithijskich dud. Uciskany ramieniem instrument pojękiwał i zawodził cicho.

- Coś ci powiem - wyznał Doranz spoglądając kątem oka na Brina - Kiedy usłyszałem, jak ten mały gra dzisiaj rano, tamte dźwięki przeraziły mnie bardziej od wrzasków heretyków.

Corbec roześmiał się szczerze.

- Dudy mają wiele zastosowań. Gromadzą nas w jednym miejscu, niepokoją wroga. W naszym domu lasy nie stały w miejscu, tylko się poruszały. Dudy pozwalały kierować się we

właściwą stronę i nigdy nie gubić w puszczy.

- Gdzie jest wasz dom? - zapytał Doranz.

- Teraz już nigdzie - odparł Corbec i zaciągnął się cygarem.

Na platformie innego Basiliska Bragg, największy spośród Duchów, oraz mały snajper Larkin grali w kości z dwoma artylerzystami. Larkin zdążył już wygrać złoty sygnet z turkusowym oczkiem w kształcie trupiej czaszki. Bragg przegrał wszystkie swoje papierosy i dwie butelki sacry. Każdy podskok haubicy na wyboistej drodze podrzucił kośćmi lub sprawiał, że wtaczały się one pod osłonę silnika, co niezmiennie budziło lawinę zarzutów o oszustwa i naciąganie wyników.

Siedzący wraz z dowódcą haubicy przy górnym włączniku major Rawne obserwował zabawę żołnierzy bez śladu jakiegokolwiek zainteresowania. Ketzokański oficer czuł się nieswojo w obecności mrukliwego gościa. Rawne był szczupły, sprężysty, w jakiś trudny do określenia sposób niebezpieczny. Przy jednym z jego oczu widniał tatuaż w postaci niebieskiej gwiazdy. Major nie był równie... otwarty i przyjacielski jak pozostali Tanithijczycy.

- Zatem, majorze... jaki właściwie jest ten wasz komisarz? - spróbował zagać rozmowę Ketzokańczyk, skrepowany przeciągającym się niezręcznym milczeniem.

- Gaunt? - odezwał się Rawne odwracając powoli głowę w stronę Żmii - To przeklęty bękart, który porzucił mój świat na śmierć i za to pewnego dnia wyrwę mu serce gołymi rękami.

- Och - chrząknął zmieszany artylerzysta, po czym zniknął w kabinie haubicy uznawszy, że ma tam ważną i niecierpiącą zwłoki sprawę do załatwienia.

Ortiz oddał Gauntowi jego manierkę. Wieczór zbliżał się szybko, wokół zapadał półmrok. Ketzokański pułkownik spojrział na rozkładaną mapę, po czym podał ją komisarzowi.

- Jesteśmy jakieś dwa kilometry od skrzyżowania Pavis. To dobry czas, dotrzemy na miejsce przed nocą. Cieszy mnie to, bo bardzo bym nie chciał jechać przez tę okolicę z włączonymi reflektorami.

- Co nam wiadomo o Pavis?

- Według ostatnich raportów stoi tam batalion Błękitnokrwistych. Jakies pięć setek żołnierzy.

- Nie zaszkodzi sprawdzić - mruknął Gaunt - Są co prawda gorsze rzeczy od wpakowania się o zmroku w zasadzkę, ale nie jest ich wiele. Cluggan!

Wysoki, szarowłosy Duch grający w karty z grupką towarzyszy podniósł czujnie głowę,

po czym zerwał się z miejsca i podszedł po chwiejnej platformie do dowódcy.

- Sierzancie, weźmiecie sześciu ludzi i pobiegniecie przodem konwoju jako zwiad. Jesteśmy dwa kilometry od tego skrzyżowania - Gaunt pokazał sierżantowi mapę - Powinno być bezpieczne, ale po wpadce z Pożeraczami Światów lepiej się upewnić.

Cluggan zasalutował krótko i wrócił do swoich ludzi. W ciągu kilku chwil zebrali broń i ekwipunek, po czym zeskoczyli w biegu z Basiliska na pobocze traktu. Kilka sekund później przepadli wśród drzew niczym duchy.

- No, to robi wrażenie - oświadczył Ortiz.

Na skrzyżowaniu Pavis Źmije przemówiły. Unosząc swe jaskrawo pomalowane lufy ku nocnemu niebu haubice rozpoczęły bombardowanie.

Brin Milo klęczał za kadłubem medycznej Chimery przyciskając do uszu dłonie. Miał okazję uczestniczyć wcześniej w dwóch akcjach: ucieczce z Tanith Magna i szturmie cytadeli na Blackshardzie, ale dopiero teraz na własne oczy ujrzał potęgę gwardyjskiej samobieżnej artylerii.

Ketzokańskie Basiliski zostały okopane w długiej na milę linii na grzbiecie niewielkiego wzniesienia. Schowane do wierzchu kadłuba za ziemnymi wałami, miały ciężkie pociski w kierunku położonych dziewięć kilometrów dalej fortyfikacji wroga po zachodniej stronie doliny. Haubice prowadziły ogień ciągły, a spytany o to pułkownik Corbec powiedział Brinowi, że kanonada taka może potrwać całą noc. Co sekundę odzywało się co najmniej jedno działo, rozpalając ciemności jaskrawym błyskiem płomienia wylotowego, wprawiając ziemię w drżenie hukiem wystrzału.

Na skrzyżowaniu Pavis wznosił się kamienny obelisk znaczący miejsce, w którym stykały się Droga Metis, biegnąca dnem doliny od strony Voltis, oraz szlak Mirewood, skręcający od tego miejsca na wschód. Haubice wtoczyły się na skrzyżowanie wraz z zapadnięciem nocy, minęły obóz stacjonujących w pobliżu Błękitnokrwistych i zajęły pozycje na wzgórzu kierując lufy ku zachodowi. Kiedy na niebie zaczęły błyszczeć pierwsze gwiazdy, pułkownik Ortiz polecił rozpoczęcie nawały.

Milo rozglądał się cały czas wokół wypatrując postaci komisarza, toteż zerwał się z miejsca na widok Gaunta zmierzającego w kierunku zadaszzonego okopu za połową stacją komunikacyjną. Dowódcy towarzyszyła grupa innych oficerów.

- Moja luneta - poprosił komisarz. Milo wyjął ze swego plecaka okutą brązem termowizyjną lornetę i podał ją dowódcy. Gaunt wspiął się na parapet okopu i wyjrzał na zewnątrz.

Corbec przystanął tuż przy komisarzu, tkwiące w kąćniku jego ust cygaro tliło się słabo. Gaunt zerknął z ukosa na tanithijskiego oficera.

- Co to takiego?

Corbec wyjął używkę z ust i zaprezentował ją dumnym gestem.

- Cygaro. Liquorice. Wygrałem całą skrzynkę od dowódcy mojej haubicy i chyba zaczęły mi smakować. Widać coś na zewnątrz?

- Światła Voltis. Tylko reflektory strażnicze i lampy na dachach świątyń. Niezbyt to zapraszający widok.

Gaunt złożył lunetę i zeskoczył z parapetu wręczając instrument swemu adiutantowi. Chłopiec rozstawiał już w tym czasie połowy mapnik: płytę ze szkła osadzoną na metalowej framudze o trzech ruchomych nogach. Gaunt nacisnął klawisz z boku obudowy mapnika i szklana płyta rozjarzyła się słabym blaskiem. Komisarz wsunął do czytnika danych nośnik załadowany informacjami o lokalnej topografii, a potem obrócił ekran mapnika tak, by widzieli go wyraźnie wszyscy zgromadzeni w okopie żołnierze: Corbec, Rawne, Cluggan, Orcha i pozostali wezwani na odprawę Tanithijczycy.

- Dolina Bokore - oświadczył Gaunt stukając w szybę czubkiem swojego srebrnego tanithijskiego noża. Jakby podkreślając jego słowa, gdzieś w pobliżu huknął Basilisk. Okop zatrzęsł się w posadach, mapnik zamigał na moment, w powietrzu uniósł się kurz.

- Szeroka na cztery kilometry, na dwanaście długa, od zachodniej strony okalana wysokimi wzgórzami, na których świetnie się okopał wróg. Na samym jej końcu znajduje się Voltis, stara stolica Voltemandu. Trzydziestometrowej grubości mury z bazaltu. Zbudowana trzysta lat temu w charakterze fortecy przez ludzi, którzy znali się na swym fachu. Korpus inwazyjny Chaosu zajął ją pierwszego dnia wojny jako swój sztab. Pięćdziesiąty Volpone od sześciu tygodni próbuje się tam wdrzeć, ale na podstawie dzisiejszej potyczki w lesie macie już pewne wyobrażenie o wrogu, który siedzi w cytadeli. Idziemy tam dziś w nocy.

Komisarz rozejrzał się wokół nie zwracając uwagi na hałas haubic.

- Majorze Rawne.

Rawne postąpił niechętnie krok do przodu, jakby nie miał ochoty stanąć przy komisarzu. Nikt nie wiedział, co takiego wydarzyło się, kiedy obaj pozostali w opuszczonej świątyni na Blackshardzie, ale niemal każdy widział Gaunta wlokącego się pomimo ran w kierunku linii frontu z nieprzytomnym majorem na plecach. Sądzono powszechnie, że takie wydarzenie winno scementować więzi między oficerami, a nie jeszcze bardziej pogłębiać ich animozję.

Rawne postukał w panel sterujący mapnika i wyświetlił na ekranie urządzenia wybrany fragment mapy.

- Podejście jest proste. Rzeka Bokore płynie dnem depresji. Jest szeroka, o bardzo leniwym nurcie, zwłaszcza o tej porze roku. Większa część koryta jest zapchana sitowiem i inną wodną roślinnością. Idąc rzeką możemy się dostać niepostrzeżenie prosto pod nos nieprzyjaciela.

- Sprawdziliście już przedpole? - zapytał Gaunt.

- Moja drużyna wróciła pół godziny temu - odpowiedział Rawne - Błękitnokrwisci próbowali już kilkakrotnie tej sztuczki, ale oni są ciężko opancerzeni, a rzeczny muł zbyt grząski. My jesteśmy lekką piechotą... i jesteśmy dobrzy.

Gaunt pokiwał głową.

- Corbec?

Wielki Tanithijczyk posadził swoje cygaro i przewrócił w zamyśleniu oczami budząc rozbawienie Mila.

- Pójdziemy pod osłoną nocy, najlepiej za pół godziny. Trzydziestu ludzi na boki w charakterze ubezpieczenia na brzegach - pułkownik stuknął palcem w ekran mapnika - Naszym celem głównym jest stara brama wodna, rzecz jasna ciężko broniona. Druga grupa pod komendą sierżanta Cluggana spróbuje wdrzeć się do środka przy zachodnich ujściach miejskiej kanalizacji. Nie sądzę, by dla którejkolwiek z grup miał to być piknik.

- Nasze zadanie to otwarcie miasta - oświadczył Gaunt - Działamy w drużynach. Jeden żołnierz w każdej dziesiątce zabiera ze sobą tyle materiałów wybuchowych, ile tylko zdoła unieść. Dowódcy drużyn sami wyznaczają ludzi, którzy posiadają odpowiednie doświadczenie w robocie minerskiej. Będziemy ich ubezpieczać w czasie podkładania ładunków, które powinny zawalić odpowiednio duże sekcje miejskich murów. Robimy wszystko, co tylko otworzy drogę do środka.

- Rozmawiałem z dowódcą Błękitnokrwistych. Ma siedem tysięcy ludzi w oddziałach zmotoryzowanych, gotowych do ruszenia na pierwszy nasz sygnał. Będą przez cały czas nasłuchiwać na kanale osiemdziesiątym. Słowo kodowe wprowadzające ich do akcji to Grzmot.

W okopie zapadła cisza, o ile można tak określić milczenie w pobliżu strzelających ustawicznie baterii haubic.

- Zbierzcie ludzi i ruszamy - polecił Gaunt.

Pułkownik Ortiz stał niedaleko Basilisków rozmawiając z grupką swoich starszych oficerów, był wśród nich również Doranz. Wszyscy spojrzeli w kierunku wychodzących z okopu Tanithijczyków, wydających pośpieszne rozkazy swym podwładnym.

Ortiz pochwylił wzrokiem spojrzenie Gaunta. Nie chcąc nadaremnie przekrzykiwać huku

dział Ketzokańczyk zacisnął swą pięść i uderzył nią dwukrotnie w pierś na wysokości serca życząc komisarzowi szczęścia.

Gaunt podziękował skinieniem głowy.

- Niebezpieczni z nich ludzie - odezwał się Doranz - Prawie mi szkoda nieprzyjaciela.

Ortiz spojrzął z napomnieniem na swego oficera.

- Tylko żartowałem - dodał Doranz, ale Ortiz nie do końca mu uwierzył.

Północ zastała ich brnących po pas w cuchnących czarnych wodach Rzeki Bokore, atakowanych nieustannie przez chmary dokuczliwych muszek. Po trzech godzinach przemykania się korytem rzeki dotarli w końcu pod pionowe mury Voltis, oświetlone na blankach blaskiem wielkich świeczników i przenośnych lamp. Daleko z tyłu Basiliski ciskały w nocne przestworza ognistą śmierć, która rozpaliała seriami pomarańczowych rozbłysków linię horyzontu gdzieś na zachodzie.

Gaunt włączył w lunecie tryb podczerwieni i zbadał swe otoczenie, skąpane w szmaragdowej zieleni. Wodna brama miała trzydzieści metrów szerokości i czterdzieści wysokości, stanowiła wylot miejskiej tamy będącej zbiornikiem końcowym sieci kanałów doprowadzających wody rzeki do znajdujących się za murami młynów. Gaunt domyślił się, że w Voltis zamknięto część śluz, ponieważ poprzez otwór bramy sączył się jedynie słaby strumień wody. Pomimo ciemności komisarz dostrzegł wyraźnie obłożone workami z piaskiem stanowiska wartownicze nad czeluścią bramy.

Dotknął czubkiem palca swój mikrokomunikator.

- Corbec?

Colm Corbec usłyszał wezwanie swego dowódcy i potwierdził odbiór rozkazu. Przebrnął poprzez sitowie do kępy gnijących zarośli, w której przycupnął Bragg.

- Jeśli jesteś gotowy... - zaczął pułkownik.

Bragg wyszczerzył w odpowiedzi zęby, połyskujące wyraźnie w świetle gwiazd. Zdjął pokrowiec z jednej z dwóch ciężkich broni targanych na plecach od skrzyżowania Pavis. Błyszcząca metalowa obudowa wyrzutni rakiet została dla niepoznaki wysmarowana błotem.

Tanithijski olbrzym był wyjątkowo kiepskim strzelcem, ale brama okazała się wielka, a w magazynku wyrzutni spoczywały cztery rakietowe pociski o termicznych głowicach.

Noc zapłonęła oślepiającym blaskiem. Trzy rakiety trafiły prosto w gardziel bramy. Siła eksplozji rozrzuciła kamienne szczątki, kawałki metalu, strzępy ludzkich ciał i kłęby wodnej pary w promieniu pięćdziesięciu jardów. Czwarta rakietka uderzyła w miejski mur wytapiając w nim wielki otwór i wywołując sporych rozmiarów skalną lawinę. Żar detonacji okazał się

tak silny, że przez dłuższą chwilę Gaunt widział w swej lunecie wyłącznie szmaragdową lunę. Kiedy płomienie przygasły, komisarz dostrzegł nadtopiony kształt wodnej bramy, buchającą kłębamii pary ranę w grubym bazaltowym murze. Słyszał przeraźliwe wrzaski bólu gdzieś w głębi bramy. Za murami miasta rozpętało się pandemonium syren alarmowych i dzwonów.

Duchy rzuciły się w kierunku bramy. Orcha prowadził pierwszą drużynę pnąc się pośpiesznie po chybottliwych szczątkach wylotu bramy. Sierżant i trzech jego ludzie nieśli miotacze ognia, omiatając strumieniami płomieni ciemność za wejściem do tunelu. Corbec biegł z drużynami uzbrojonymi w lasery tuż za ludźmi Orchy, rozsypując się w boczne korytarzyki i zbiorniki regulacyjne kanału, dobijając strzałami z bliska próbujących odpełznąć w mrok poparzonych heretyków.

Trzecią falą dowodził major Rawne, w jej przedzie sadił wielkimi susami Bragg. Olbrzym cisnął gdzieś niepotrzebną już wyrzutnię i chwycił oburącz za ciężki bolter, który nosił ze sobą od czasu akcji na Blackshardzie, dźwigając zerwaną z kołowej podstawy broń niczym ciężki karabin.

Gaunt biegł w tyle natarcia, z boltowym pistoletem w jednej dłoni i łańcuchowym mieczem w drugiej. Krzyknął coś niezrozumiale do swych ludzi, ciemnych sylwetek śmigających pod bramą, odbijających się w migotliwej, oświetlonej językami dogasających pożarów wodzie. Milo trzymał się u boku dowódcy próbując nie upuścić nieporęcznych dud.

- To dobry moment na granie, Milo - wydyszał Gaunt.

Chłopiec chwycił ustnik, dmuchnął w niego i z wnętrza instrumentu popłynęły dźwięki starego tanithijskiego marsza wojennego, Mrocznej Ścieżki Puszczy.

W górnej części kanału Orcha i ludzie z jego drużyny usłyszeli dobiegający gdzieś z dołu jękkliwy dźwięk dud. Wokół panowała niemal całkowita ciemność.

- Trzymać szyk - szepnął do mikrofonu Orcha.

- Aye - padła krótka odpowiedź.

- Po lewej! - wrzasnął znienacka Brith.

Ciężki karabin maszynowy zaterkotał z ogłuszającym hukiem. Orcha, Brith i dwaj inni gwardziści zmienili się w ułamku sekund w krwawe poszarpane szczątki. Szeregowcy Gades i Caffran padli na brzuchy za parapetem jakiegoś zbiornika.

- Jesteśmy pod ostrzałem! - krzyknął do komunikatora Caffran - W górnej części śluzi zrobili pole śmierci!

Corbec zmełł w ustach przekleństwo. Tego należało się spodziewać.

- Zostań na pozycji! - rozkazał młodemu Duchowi i szybko zebrał wokół siebie dwie drużyny Tanithijczyków biegających po kolana w czarnej wodzie wypełniającej dno kanału.



- Co za popieprzone miejsce do walki strzeleckiej! - lamentował Szalony Larkin przykładając do ramienia swój snajperski karabin.

- Zamknij się, Larks - warknął Corbec. Gdzieś z góry dobiegał ich ryk karabinu maszynowego, mieszający się z dźwiękiem trąbki i chrapliwym zawodzeniem ludzkich głosów. Pułkownik wiedział, że Larkin ma rację. Ciasny, pozbawiony zakrętów kamienny tunel był fatalnym miejscem na konfrontację ogniową. Groziła im masakra.

- Próbują nas tylko wystraszyć, zmiękczyć morale - powiedział cicho do otaczających go Duchów, kiedy skradali się w górę tunelu.

- I wiesz, co? To działa! - sarknął w odpowiedzi Varl.

Zgiełk trąby i niezrozumiałe mamrotanie przybrały na sile, za to terkot karabinu urwał się nieoczekiwanie.

- Przestali strzelać - odezwał się niepotrzebnie przez komunikator Caffran.

Corbec spojrział w rozszerzone łękiem oczy snajpera.

- Co o tym myślisz? Pułapka mająca zwabić nas bliżej?

Larkin pociągnął nosem jakby węszył.

- Czujesz ten zapach? To spalony ceramit. Idę w zakład, że zacięła im się broń.

Corbec nie odpowiedział. Wyjął z pokrowca bagnet, założył go na uchwyt pod lufą swego lasera i popędził w górę tunelu wrzeszcząc jak opętany. Tanithijskie drużyny zerwały się z podłogi kanału mknąc w ślad za swym dowódcą.

Caffran i Gades dołączyli do szaleńczej szarży krzycząc chrapliwie, z bronią opartą kolbami o biodra, rozchlapując pod butami wodę.

Corbec przeskoczył nad stertą worków z piaskiem i zadźgał bagnetem dwóch próbujących odblokować karabin heretyków. Larkin przypadł na jedno kolano, przyłożył oko do celownika optycznego snajperki i pociągnął czterokrotnie za spust zabijając na miejscu czwórkę nadbiegających gdzieś z góry obrońców.

Lawina laserowych wiązek i boltowych pocisków spadła z góry na Duchy powalając kilku z nich w brudną wodę. Szarżujący gwardziści zderzyli się z kultystami w wąskim korytarzu małej śluzy, pozwalającym iść obok siebie swobodnie zaledwie dwóm mężczyznom. Ludzkie ciała bryzgały krwią przestrzeliwane z przystawienia, bagnety i noże cięły ubrania i mięśnie. Corbec walczył w samym środku mrocznego piekła. Łańcuchowy miecz pozbawił go małego palca lewej dłoni i rozharatał ramię. Przebił napastnika bagnetem, ale stracił swój karabin, kiedy przewracający się trup pociągnął broń za sobą wyszarpując laser z rąk pułkownika. Duch wyszarpnął z pokrowców laserowy pistolet i srebrny tanithijski nóż. Wszędzie wokół ogarnięci dziką gorączką ludzie zabijali i byli zabijani, tłocząc się w

ciasnej przestrzeni przypominającej wypchany po brzegi wagonik miejskiej kolejki. Poziom wody na posadzce już uniósł się znacząco ku górze z powodu licznych ciał zaścielających dno śluzy.

Corbec strzelił między oczy biegnącemu na niego kultyście i jednym pociągnięciem noża rozciął czyjeś gardło.

- Za Tanith! Za Pierwszy, Jedyny i Ostatni! - wrzasnął.

Oddalony od miejsca konfrontacji o jakieś pięćdziesiąt kroków, Gaunt słyszał wyraźnie koszarne odgłosy morderczej walki w śluzie. Spoglądając pod nogi dostrzegł w świetle latarek, że płynąca w dół tunelu woda nabrała szkarłatnego koloru.

Dziesięć jardów dalej leżał szeregowiec Gades, jeden z żołnierzy należących do drużyny Orchy. Chłopak stracił obie nogi po cięciu łańcuchowego ostrza, a leniwy strumień wody poniósł go w dół tunelu.

- Medyk! Dorden! Do mnie! - krzyknął Gaunt chwytając za ubranie krztuszącego się wodą Tanithijczyka.

Gades podniósł głowę spoglądając szklistym wzrokiem na komisarza.

- Naprawdę ostro tam, sir - powiedział zaskakująco czystym i silnym głosem - Wszyscy upakowani jak ryby w puszcze. Duchy wysła wielu w zaświaty dzisiejszej nocy.

Zakaszła ponownie. Z jego ust popłynęła strużka krwi. Umarł.

Gaunt podniósł się z kolan. Milo zawahał się w biegu, spoglądając z przerażeniem na okaleczone ciało Gadesa.

- Graj! - krzyknął Gaunt i odwrócił się w stronę nadbiegających w górę kanału Tanithijczyków - Za mną! Za Imperatora i ku chwale Tanith!

Krzycząc i wyjąc potępieńczo, Duchy runęły w górę tunelu, trójkami, prosto w zadymioną gardziel piekła.

Nieco wyżej, w ciemnej strefie śmierci, Rawne poślizgnął się na kałuży krwi i omal nie upadł w wodę. Klęczący obok Larkin posyłał strzał za strzałem w ciemność skrywającą wyższy poziom tunelu.

Corbec wypadł znieacka spośród kłębow dymu, budząc przerażenie swą skąpaną w ludzkiej krwi potężną sylwetką.

- Uciekać! - syknął - Uciekać w dół tunelu! Nadaj to do wszystkich!

- Co się dzieje? - wydyszał Rawne.

- Co to za rumor? - zapytał zmieszany Larkin przykładając ucho do kamiennej podłogi - Cały tunel wibruje!

- Woda - wyjaśnił posepnie Corbec - Otworzyli miejskie śluzy! Chcą nas utopić!  
Kultyści byli wszędzie.

Grupa sierżanta Cluggana zdołała wejść do labiryntu miejskiej kanalizacji poprzez cuchnące fekaliami zachodnie ujścia, ale nieprzyjaciel natychmiast zaczął stawiać zaciekle opór. Była to ciężka walka, toczona krok po kroku, na odważne serca i ostre noże. Wąskie ciemne studzienki i kanały ściekowe rozświetlały wiązki laserowego światła, a karabinowe pociski rykoszetowały z gwizdem od ścian krzesząc snopy iskier.

- Co tu tak śmierdzi? - jęknął Forbin strzelając z lasera w głąb dusznego korytarzyka.

- A jak myślisz? Przecież to główny odpływ kanalizacyjny - warknął Brodd, jednooki gwardzista tuż po pięćdziesiątce - Pomyśl, że innym trafiła się czysta miła brama wodna.

- Stul gębę! - syknął Cluggan i posłał w głąb tunelu serię wiązek powalając z nóg trzech napastników - Zapomnijcie o smrodzie. Zawsze robiliśmy brudną robotę.

Z głębi tunelu odpowiedziała im zdwojona kanonada. Forbin stracił od postrzału ramię, a zaraz potem pół czaszki.

Cluggan, Brodd i pozostali towarzyszący im gwardziści nie przestawali strzelać. Sierżant przesunął wzrokiem po ciałach zabitych przez siebie heretyków. Byli to masywnie zbudowani, ale zdeformowani mężczyźni w satynowych i białych niegdyś szatach, które teraz przesiąkły zakrzepłą krwią ofiar. Przybyli z za tego świata, należąc do ogromnego kontyngentu Chaosu, który spadł na Voltemand niczym plaga szarańczy i zniszczył tutejszą populację. W ich policzkach i na czołach widniały wycięte runiczne insygnia Khorna. Mieli dobry sprzęt, karabiny laserowe i boltery, pancerze osobiste. Cluggan modlił się w myślach do słodkich, umarłych bogów Tanithu, by komisarzowi wiodło się lepiej.

Duchy uciekały spod spienionej bramy, brnąc poprzez wzburzone wody rzeki w kierunku relatywnie bezpiecznych brzegów. Nieprzyjacielscy strzelcy usadowieni wysoko na blankach zabijali Tanithijczyków całymi tuzinami, a martwe ciała gwardzistów dryfowały nieruchomo pośród setek miotających się rozpaczliwie żołnierzy, niesionych silnym nurtem w dół rzeki.

W komunikatorach panował chaos krzyżujących się pytań i desperackich próśb o rozkazy. Pomimo wysokiego poziomu dyscypliny wodna lawina złamała szyki ludzi Gaunta zmieniając ich w rozproszone gromady walczących o życie desperatów.

Przemoczony i wściekły, Gaunt kucnął w niewielkiej jamie na brzegu rzeki jakieś osiemdziesiąt jardów od wodnej bramy. Byli z nim Caffran, Varl, kapral o nazwisku Meryn oraz kilku innych gwardzistów.

Komisarz kłął ustawicznie pod nosem. Z kultystami mógł walczyć... z Pożeraczami Światów, demonami... z wszystkim. Mógł stawić czoła każdej zamieszkującej wszechświat bestii. Ale siedemdziesiąt tysięcy litrów wody wytryskującej z wylotu śluzy pod ogromnym ciśnieniem...

- Straciliśmy co najmniej czterdziestu ludzi - oświadczył Varl ciągnąc za kołnierz munduru wciąż leżącego częściowo w wodzie Caffrana. Młody szeregowiec krztusił się i wymiotował brudnym płynem.

- Zbierz potwierdzone informacje od dowódców drużyn! Nie interesują mnie domysły! - warknął Gaunt, po czym sprawdził swój własny komunikator. Urządzenie wciąż działało - Dowódcy drużyn! Zdyscyplinować transmisje radiowe! Zgłaszać status zespołów! Corbec! Rawne!

Zgiełk ludzkich głosów przestał się mieszać z trzaskiem radiowych szumów, z głośnika popłynęły bardziej składne komunikaty.

- Corbec?

- Jestem na zachód od pana, sir. Na brzegu. Mam ze sobą dziewięćdziesięciu chłopaków.

- Jak wygląda sytuacja?

- Taktyczna? Może pan zapomnieć o bramie, sir. Kiedy się zorientowali, że nie zatrzymają nas w bezpośredniej walce, wysadzili śluzę w mieście. Tunel będzie zatopiony przez kilka godzin. Zanim cała woda wycieknie, zdążą ufortyfikować jego wylot, może nawet rozstawią miny.

Gaunt zaklął ponownie, przeciągnął mokrą dłonią po twarzy. Byli tak blisko i wszystko stracili. Voltis wyslizgnęło im się z rąk.

- Sir? - zawołał Meryn. Kapral słuchał czegoś w swoim komunikatorze - Kanał osiemdziesiąty. Podano hasło.

- Co?! - Gaunt przyskoczył do niego, zmienił częstotliwość we własnym module łączności.

- Podano hasło dla Błękitnokrwistych. Grzmot - odparł zmieszany Meryn.

- Zlokalizuj źródło sygnału! - wrzasnął rozwścieczony komisarz - Jeśli ktoś zrobił sobie dowcip, nie...

Nie zdążył dokończyć groźby.

Eksplozja była tak głośna, że niemal sięgnęła górnej skali dźwięku słyszalnego przez człowieka. Fala uderzeniowa wzburzyła powierzchnię wody. Kilometr dalej ogromny fragment miejskich murów wybrzuszył się, a potem odpadł pozostawiając w bazaltowej fortyfikacji wielką wyrwę.

Komunikatory oszalały zgiełkiem szaleńczych okrzyków radości.

Gaunt gapił się z niedowierzaniem na wyłom. Ponad wrzaskami Duchów dobiegł go szczęśliwy głos Corbeca.

- To Cluggan, sir! Stary łobuz wlaźł z chłopakami do wielkiej cysterny sanitarnej w obrębie murów i zostawił w niej wszystkie materiały wybuchowe. Wysadził ten cholerny mur!

- Chyba ma pan rację, pułkowniku - powiedział powoli Gaunt.

- Wiem, że mam rację - wpadł mu w słowa Corbec - To Cluggan nadał hasło. Przegraliśmy bitwę o wodną bramę, ale on wygrał dla nas tę wojnę!

Komisarz usiadł bezwolnie na brzegu, pogrążając się po pierś w cuchnącej wodzie. Wszędzie wokół jego ludzie krzyczeli radośnie i gwizdali.

Poczuł ogarniającą całe ciało falę zmęczenia i roześmiał się ze szczęścia.

Generał Sturm zjadł śniadanie o dziewiątej. Adiutant podał mu tosty z ciemnego pieczywa, jajecznicę i kawę. Oficer czytał w trakcie posiłku właśnie otrzymane raporty, a stojący w kącie gabinetu radiokomunikator trzeszczał ciągiem potwierdzeń weryfikujących nadsyłane z orbity meldunki zwiadowcze.

- Dobre wieści - oświadczył Gilbear wchodząc do gabinetu z filiżanką kawy w jednej ręce i elektronicznym notesem w drugiej - Mówiąc szczerze, idealne. Pańska strategia całkowicie się powiodła. Banda Gaunta weszła do Voltis, zrobiła tam wyłom. Nasze oddziały uderzyły natychmiast po nich. Pułkownik Maglin twierdzi, że miasto zostanie oczyszczone z resztek nieprzyjaciela do zapadnięcia zmierzchu.

Sturm wytarł serwetką usta.

- Wysłać gratulacje i podziękowania dla Maglina oraz bandy Gaunta. Gdzie oni teraz są?

Gilbear zerknął na ekran notesu biorąc jednocześnie z talerza jeden z tostów.

- Wycofują się z powrotem na skrzyżowanie Pavis wzdłuż wschodniej ściany Doliny Bokore.

Sturm sięgnął po swoje srebrne świetlne pióro i zaczął pisać coś w notesie.

- Większa część naszej roboty tutaj została ukończona, w głównej mierze dzięki Gauntowi - wyjaśnił swemu adiutantowi generał - Teraz mu za to podziękujemy. Zakoduj te rozkazy i wyślij je do dowódcy ketzokańskich haubic na skrzyżowaniu Pavis, natychmiast.

Gilbear odebrał z rąk generała notes.

- Myślę... - zaczął.

Sturm spojrział na niego gniewnie.

- Niebezpieczni kultyści próbują zbiec z fortecy poprzez wschodnią część Doliny Bokore, wiesz przecież o tym. Czytałeś przed chwilą raport zgłaszający taką możliwość, prawda?

- Czytałem, sir - wyszczerzył zęby Gilbear.

Pułkownik Ortiz wyrwał słuchawkę z dłoni swego radiooperatora i zaczął do niej mówić podniesionym głosem.

- Tu Ortiz! Tak! Wiem, ale chcę natychmiast potwierdzić otrzymane przed chwilą rozkazy! Rozumiem, ale... Nie dbam o to! Nie, ja... Proszę mnie wysłuchać! Generale! Tak... rozumiem. Rozumiem, sir. Nie, sir. Nawet przez chwilę. Oczywiście, ku chwale Imperatora. Ortiz out.

Oparł się plecami o metalową burtę swego Basiliska.

- Przygotujcie baterie do otwarcia ognia - powiedział patrzącym na niego pytająco oficerom - Przygotujcie je, w imię Imperatora.

Haubice milczały od dziesięciu godzin. Ortiz modlił się w myślach, by już nigdy nie musiał słyszeć ich huku ponownie. Blade światło poranka rozjaśniło linię horyzontu. Daleko w głębi doliny oraz w obozie Błękitnokrwistych rozpoczynały się właśnie kolejne zwycięskie uroczystości.

Doranz doskoczył do dowódcy jednostki i pociągnął go za ramię.

- Niech pan spojrzy, sir! - wymamrotał - Niech pan spojrzy!

W górę Drogi Metis pięli się jacyś ludzie, ślaniający się na nogach, zmęczeni i brudni, wlokący za sobą ciała zabitych i rannych. Tworzyli budzącą żalność kolumnę znikającą pośród oparów porannych mgieł.

- Na Jego miłosierdzie... - jęknął Ortiz. Wszędzie wokół prerażeni kanonierzy zeskakiwali z Basilisków biegnąc w kierunku zakrwawionych przybyszy, odbierając od nich rannych, wspierając lub tylko gapiąc się w bezbrzeżnym niedowierzaniu.

Ortiz ruszył wolno przed siebie. Dostrzegł czarny uniform komisarza, podarty i poszarpany. Gaunt podtrzymywał na nogach młodego Ducha, którego głowa nikła pod przesiąkniętymi krwią bandażami.

Przystanął tuż przed Ortizem i pozwolił sanitariuszom odebrać rannego gwardzistę.

- Ja... - zaczął ketzokański pułkownik.

Gaunt znokautował go jednym ciosem pięści.

- Jest tutaj - oświadczył z niepewnym uśmiechem Gilbear. Sturm wstał z fotela i

poprawił swój mundur.

- Wpuścić go do środka - polecił.

Pułkownik-komisarz Ibram Gaunt wszedł do gabinetu i zatrzymał się w miejscu mierząc błyszczącymi niebezpiecznie oczyma Sturm i jego adiutanta.

- Gaunt! - odezwał się Sturm - Otworzyłeś drogę dla Królewskiego Volpone! Piękna akcja! Słyszałem, że Chanthar zastrzelił się osobiście z termicznego karabinu - generał urwał na chwilę i postukał palcami w grzbiet leżącego na biurku notesu - A potem ten nieszczęsny incydent z... jak on się nazywał?

- Ortega, sir - odpowiedział Gilbear.

- Ortiz - poprawił go Gaunt.

- Z tym Ketzokańczykiem. Uderzyłeś sojuszniczego oficera. To był akt nieuzasadnionej agresji, dobrze o tym wiesz. Takie zachowania nie będą w tej armii tolerowane, nic z tego, mój panie.

Gaunt odetchnął głęboko.

- Znając nasze pozycje i zgłoszoną wcześniej trasę odwrotu jednostka artylerii ostrzeliwała wschodnią część Doliny Bokore przez sześć godzin. Fenomen ten zwany jest czasami przyjacielskim ostrzałem, ale kiedy człowiek znajduje się w strefie ognia nie mając żadnej osłony poza małymi kamieniami, termin przyjacielski brzmi wyjątkowo perfidnie. Straciłem prawie trzystu ludzi, dalszych dwustu jest rannych. Wśród zabitych znalazł się sierżant Cluggan, człowiek, który prowadził drugą grupę szturmową i który otworzył dla was miasto.

- Przykro mi z tego powodu - oświadczył Sturm - ale musisz się nauczyć akceptować takie straty. To wojna - uderzył palcami w notes - A teraz wróćmy do sprawy tego incydentu. Dyscyplina, hierarchia i pozostałe kwestie regulaminowe. Mam związane ręce. Zostaniesz postawiony przed sądem wojennym.

Gaunt nawet nie mrugnął okiem.

- Jeśli chcesz mnie rozstrzelać, zrób to teraz. Uderzyłem Ortiza w porywie gniewu. Po dłuższym namyśle pojąłem, że on tylko wykonywał rozkazy. Zbrodnicze rozkazy nadesłane ze sztabu - Posłuchaj no tylko, ty... - Gilbear postąpił krok w kierunku komisarza.

- Mam ci zademonstrować to, co zrobiłem z Ortizem? - wycodził przez zęby Gaunt.

- Zamilczcie obaj! - warknął Sturm - Komisarzu Gaunt... komisarzu-pułkowniku... Traktuję bardzo poważnie swoje obowiązki, a jednym z nich jest dbanie o odpowiedni poziom dyscypliny w szeregach marszałka wojny Macarotha, poprzez niego zaś w całej armii naszego ukochanego Imperatora. Imperialna Gwardia oparta jest na ściśle określonych

zasadach szacunku, autorytetu, niekwestionowanej lojalności i bezwzględnego posłuszeństwa. Każde odstępstwo od tych zasad, nawet w przypadku oficera o tak wysokiej randze, będzie... co to za hałas, do diabła?!

Generał przyskoczył do okna i otworzył ze zdumienia usta. Jakiś Basilisk wjeżdżał właśnie na dziedziniec. Z jego przedniego pancerza zwisały szczątki zewnętrznej bramy rezydencji, a gdaczące ptactwo i przerażeni Błękitnokrwisci pospołu pierzchali na wszystkie strony przed ryczącym pojazdem. Haubica zahamowała przed wejściem do skrzydła posesji zajmowanego przez volpoński sztab, a jej kierowca nie odmówił sobie okazji do zdemolowania w trakcie tego manewru stylowej fontanny.

Dobrze zbudowany mężczyzna w mundurze Żmij z naszywkami pułkownika zeskoczył z Basiliska i pomaszerował szybkim krokiem w stronę drzwi wejściowych. Miał zaciętą i ponurą twarz, ozdobioną wielkim siniakiem pod lewym okiem. Drzwi trzasnęły z wielkim hukiem. Gdzieś na dole rozległy się podniesione głosy, pośpieszny tupot butów. Trzasnęły kolejne drzwi.

Kilka chwil później volpoński adiutant wpadł do gabinetu ściskając w rękach elektroniczny notes.

- Pułkownik Ortiz właśnie przywiózł raport z opisem incydentu. Bardzo nalegał, aby przeczytał go pan natychmiast, sir.

Gilbear wyrwał urządzenie z rąk adiutanta i przesunął wzrokiem po jego zawartości.

- Pułkownik Ortiz życzy sobie, by wszyscy przyjęli do wiadomości, że został zraniony uderzeniem oporopowrotnika swojego działła podczas prowadzenia nawały artyleryjskiej - Gilbear spojrzał na Sturm z nerwowym grymasem - To znaczy...

- Wiem, co to znaczy! - sarknął generał i spojrzał na Gaunta.

Komisarz odpowiedział mu nienawistnym wzrokiem.

- Sądzę, że powinien pan jedno wiedzieć - powiedział powoli dowódca Duchów - Czasami zdarza się, że w pozbawionych dokładnej kontroli strefach frontowych dochodzi do tajemniczych śmierci nawet wysoko postawionych oficerów, a przyczyny ich zgonów bardzo łatwo zamaskować w wojennym rozgardiaszu. Powinien pan dobrze to zapamiętać, generale.

Sturm stracił na moment mowę. Zanim zdążył wyjąkać formułę pozwalającą Gauntowi odejść, komisarza już w pokoju nie było.

- Och, na fetha, zagraj coś miłszego - burknął siedzący na swoim łóżku Corbec prostując i zginając palce zabandażowanej dłoni. Wciąż odnosił wrażenie, że jego odcięty palec znajduje



się na swym miejscu.

Leżący na pryczy poniżej Milo Brin ścisnął worek instrumentu wydzierając z jego wnętrza przeciągły żalospny jęk, który rozszedł się po rozległej ładowni starożytnego wojskowego liniowca. Głuchy pomruk podprzestrzennych silników wtopił się w dźwięki dud.

- A co z... Marszem Euana Farlowa? - zapytał chłopiec.

Corbec uśmiechnął się słysząc tę propozycję i wspominając noce, kiedy dźwięki wspomnianej piosenki towarzyszyły jego wizytom w knajpach Tanith Magna.

- Bardzo dobry pomysł - oświadczył.

Skoczna muzyka popłynęła przez ładownie, pomiędzy piętrowymi łózkami, stertami ekwipunku, poprzez grupki ludzi grających w karty, palących papierosy, rozmawiających półgłosem, śpiących lub samotnie wpatrujących się w fotografie kobiet i dzieci, które już nie żyły, próbujących ukryć spływające po policzkach łzy.

Pogwizdujący Corbec wyjrzał z pryczy słysząc zbliżające się kroki, po czym zeskoczył na podłogę widząc Gaunta. Komisarz miał na sobie ten sam strój, co w trakcie pierwszego spotkania pięćdziesiąt dni temu: podkoszulek, bryczesy i skórzane buty.

- Sir - chrząknął zmieszany wizytą Corbec.

Milo zafalował na chwilę, ale Gaunt uśmiechnął się i machnął mu dłonią nakazując grać dalej.

- Graj, chłopcze. Dobrze słyszeć te twoje piosenki - komisarz przysiadł na skraju łóżka Brina i spojrzał na Corbeca.

- Voltemand zapisano na konto Błękitnokrwistych - poinformował swego zastępcę - Ponieważ to oni oczyścili miasto. Sturm umieścił pochwały pod naszym adresem w raporcie końcowym, ale to nie da nam nowego świata.

- A niech ich feth zeżre - splunął Corbec.

- Będą inne bitwy. Nimi trzeba się pocieszać.

- Tak też robię, sir - uśmiechnął się Corbec.

Gaunt otworzył przyniesiony ze sobą plecak, wyjął z niego pół tuzina butelek sacry.

- W imię wszystkiego, co dobre i święte! - zachłysnął się Duch - Skąd...

- Jestem imperialnym komisarzem - odparł Gaunt - Mam pewne dojścia. Znajdą się tutaj jakieś szklanki?

Zadowolony Corbec wyjął komplet szklanek ze swojego plecaka.

- Zawołaj Bragga, wiem, że to lubi - polecił Gaunt - Varla i Meryna. Szalonego Larkina. Sutha. Młodego Caffrana... do diabła, czemu nie i majora Rawne? I jedna szklanka dla chłopca. Jest dość do podziału. Wystarczy dla wszystkich - komisarz pomachał zapraszająco

ręką w stronę trzech niespokojnych oficerów marynarki pchających przez ładownię jakiś wózek.

- Jaki toast wzniesiemy? - spytał Corbec.

- Za sierżanta Cluggana i jego chłopców. Za zwycięstwo. I za zwycięstwa, które dopiero nadejdą.

- I za zemstę - dodał cicho Milo odkładając swoje dudy na łóżko.

- Tak, za zemstę też - skinął głową komisarz.

- Wiecie, mam coś, co świetnie będzie pasować do tego szlachetnego trunku - oświadczył Corbec przeszukując kieszenie - Wyborne cygara...

Urwał w pół słowa. Wyjęte z kieszonki cygara nie przypominały już używki, były pomięte, zniszczone wilgocią.

Corbec przewrócił oczami i westchnął melancholijnie budząc powszechną wesołość zebranych wokół mężczyzn.

- Cóż - wzruszył ramionami - Z palenia nic chyba nie będzie.

# Monthax

Stado wielkich ptaków przeleciało ponad linią fortyfikacji kierując się na zachód, ich białe pióra majaczyły na tle zapadającego szybko zmroku. W podmokłych chaszczach dzienne insekty milkły ustępując pola owadom aktywnym nocą, ćmom i innym stworzeniom latającym wokół lamp, łopoczącym cichutko swymi miękkimi skrzydełkami. W powietrzu niosły się pokrzykiwania i gwizdy drapieźników przemierzających mokradła. Odległa artyleria nieprzyjaciela umilkła.

Gaunt powrócił do swojego punktu dowodzenia w chwili, gdy zapaliły się niewielkie, otoczone metalową siatką lampy, osłonięte od góry i boków w taki sposób, by oświetlały jedynie przestrzeń pod sobą. Nie było takiej potrzeby, by czynić z bazy celu treningowego dla artylerii wroga. Ćmy wielkości dziecięcych piątek uwijały się wokół lamp tłukąc w ich osłony z cichym stukotem.

Gaunt spojrział po raz ostatni na bazę, rozpoznając jej kontury wyłącznie po palących się tu i ówdzie lampach. Westchnął i wszedł do środka swojego habitatu.

Punkt dowodzenia był podłużny i niski, o dachu zbudowanym z grubych galwanizowanych płyt i ścianach z podwójnych paneli. Podłoga była wyłożona klepkami wyciosanymi ze świeżo ściętych miejscowych drzew i wciąż pachniała drażniącym nozdrza środkiem impregnującym. Osłony na oknach były do połowy podniesione, a chroniące je siateczki zapychała gruba warstwa próbujących dostać się do środka insektów.

Ekwipunek Gaunta i jego bagaż osobisty rozstawiono na drewnianych stojakach. Przez pierwsze dwa dni bagaże ustawiono wprost na podłodze i dopiero po tym czasie ktoś zorientował się, że oprócz podnoszącego się okresowo poziomu wód gruntowych bardzo niemiłe dla ubrań są również wpełzające nie wiadomo skąd małe gąsienice.

Komisarz założył swój płaszcz na druciany wieszak, który zaczepił następnie na metalowym pręcie biegnącym pod sufitem. Oddychając ciężko rozłożył składane krzeselko i usiadł na nim z ulgą. Na wprost siebie widział ustawiony na drewnianej podstawie terminal, radiokomunikator i ekran łączności wizualnej. Tech-kapłan spędził w pokoju godzinę śpiewając cierpliwie nad pobłogosławionymi machinami. Wszystkie tkwiły wciąż w otwartych częściowo metalowych skrzynkach chroniących je przed przypadkowym zalaniem, a grube kable zasilające wiły się ku górze aż pod sufit, gdzie biegnęły przytwierdzone solidnie

wtyczkami do niewielkiego otworu w ścianie, na zewnątrz zaś w kierunku odległego generatora prądu. Na panelach kontrolnych urządzeń migotały kolorowe diody. Komunikator syczał cicho monitorując pasma nieużywanych częstotliwości.

Gaunt pochylił się nad terminalem studiując najnowsze raporty nadesłane z wiszącej na orbicie floty i pozostałych jednostek Gwardii. Ciągi zakodowanych runicznych przekazów paliły się słabym światłem na powierzchni ekranu.

Milo wszedł bezszelestnie z przedpokoju i podał swemu przełożonemu metalowy kubek. Gaunt przyjął naczynie z autentyczną przyjemnością, dziękując za nie skinieniem głowy i ciesząc palce chłodnym dotykiem metalu.

- Tech-kapłani znów włączyli przed chwilą chłodziarki - oświadczył Milo - Na kilka minut. To tylko woda, ale przynajmniej jest zimna.

Gaunt kiwnął raz jeszcze głową i upił nieco płynu. Woda miała metaliczny ostry posmak, ale faktycznie była zimna.

Na zewnątrz rozległo się stuknięcie buta o jeden ze schodków, a zaraz potem ciche puknięcie w drzwi. Komisarz uśmiechnął się pod nosem. Uderzenie butem było zamierzone, wykonane w przemyślany sposób - miało uprzedzić o obecności człowieka, który nie powodował swą osobą żadnego dźwięku, jeśli sobie tego nie życzył.

- Wejdz, Mkoll - powiedział Gaunt.

Sierżant wszedł do środka, na jego twarzy malował się lekki grymas zdziwienia, że ktoś odkrył tak szybko jego tożsamość.

- Raporty patroli, sir - oświadczył stojąc w progu.

Gaunt poprosił go gestem ręki o zajęcie miejsca. Uniform i płaszcz sierżanta umazane były wilgotnym błotem. Cienka warstewka brudu pokrywała wszystko, nawet jego twarz - jedynie laser był niewiarygodnie wręcz czysty i lśniący.

- Słucham.

- Ich pozycje są wciąż bardzo daleko - oświadczył Mkoll - za linią ofensywną Alfa Róż. Wystawili kilka wysuniętych czujek.

- Jakież kłopoty?

Niski, ale dobrze zbudowany mężczyzna skrzywił się dając do zrozumienia, że nie warto się na ten temat wypowiadać.

- Nic, z czym byśmy sobie nie poradzili.

- Zawsze doceniałem twoją skromność - oświadczył Gaunt - ale tym razem poproszę o bardziej szczegółowe informacje.

Mkoll podrapał się po nosie.

- Zdjęliśmy sześciu ich zwiadowców na zachodnich bagnach. Żadnych strat po naszej stronie.

Gaunt skinął z aprobatą głową. Lubił Mkolla, najlepszego tanithijskiego zwiadowcę. Służąc w regimencie złożonym z doświadczonych tropicieli i infiltratorów, Mkoll znacząco się spośród nich wyróżniał. Pracując na Tanith w roli leśnika, posiadał umiejętności skrytego działania, które wielokrotnie przyniosły już wymierne korzyści Duchom. Był duchem pośród duchów, a przy tym wręcz ujmował swą skromnością. Nigdy się nie skarżył, a wiadomo było, że miałby więcej pretekstów do skarg i uzalania się niż inni Tanithijczycy. Gaunt wyciągnął w stronę sierżanta kubek.

- Dziękuję, sir, nie skorzystam - odparł Mkoll spoglądając na swoje brudne dłonie.

- To zimna woda - oświadczył komisarz.

- Domyślam się, sir. Mimo to, dziękuję.

Gaunt wzruszył ramionami i upił nieco płynu.

- A więc wciąż pozostają na dotychczasowych pozycjach?

- Tak. Zauważyliśmy... nie jestem pewien, co to takiego, najpewniej jakieś stare ruiny - Mkoll podszedł do dużej ściennej mapy i wskazał na niej jakiś punkt. - Gdzieś tutaj, tyle tylko mogę powiedzieć. Może to nic istotnego, ale chciałbym przyjrzeć się tamtej okolicy w trakcie porannego rozpoznania.

- Nieprzyjacielskie pozycje?

- Nie, sir. Coś... co jest tam od bardzo dawna.

- Masz rację, zasługuje na rzut okiem. Sprawdź to rano - zgodził się Gaunt.

- Czy to wszystko, sir?

- Tak. Możesz odejść, Mkoll.

- Nie potrafię się nadziwić talentowi tego człowieka - powiedział do Mila komisarz, kiedy sierżant wyszedł z habitatu - To najcichszy ze znanych mi kiedykolwiek ludzi.

- On tym właśnie jest, nieprawdaż?

- Czym?

- Ciszą.

### III - Dźwięk i furia.

Wszędzie wokół szumiały drzewa, jakby tym dźwiękiem cały świat chciał przytłoczyć zmysły nasłuchującego czujnie człowieka. Mkoll leżał na brzuchu pośród gęstych zarośli, próbując wychwycić niepokojące odgłosy w śpiewie lasu. Zarośla i drzewa rosły bujnie w tej części Ramilliesa 26843, krzewiąc się na żyznych wulkanicznych wzgórzach. Niektóre z krzaków sięgały trzykrotnego wzrostu człowieka, a na ich gałęziach białało mrowie wyglądających jak śnieg kwiatów. Ten widok przypominał Mkollowi drzewa nał w domu, gdy dom ten jeszcze istniał, miejsce, gdzie zimą polował pośród wiecznie zielonych iglaków. Mróz ścinał ich gałęzie inkrustując igły kryształkami lodu, dźwięczącymi pod wpływem dotknięć wiatru.

Otoczał go szum kołysanych wiatrem drzew i unoszący się w powietrzu drobny pył, przylegający szczelnie do skóry i drapiący nieprzyjemnie gardło. Słoneczne promienie były niezwykle jasne. Spadały z nieskazitelnie lazurowego nieba tworząc siateczkę świetlnych smug przecinających leśne poszycie - szachownicę światła i cieni pośród gęstych zarośli.

Przekradł się jakieś dwadzieścia metrów do przodu, znikając w mroku rzucanym przez wielki pień martwego drzewa. Nogawice munduru owinał wcześniej metalową siateczką chroniącą tkaninę przed podarciem ostrymi kolcami. Trzymany w rękach laser przyciskał do piersi chroniąc go przed pyłem, ale w regularnych odstępach czasu, nie dłuższych niż dziesięć minut, kontrolował wszystkie ruchome elementy broni i usuwał z niej warstwę pyłu, kawałków cierni i innych śmieci, które nieustannie zbierały się na obudowie karabinu.

Seria cichych trzasków osadziła go w miejscu, zastygł w bezruchu z bronią ścisną w suchych silnych palcach. Coś przemieszczało się przez krzaki po jego lewej stronie, następując od czasu do czasu na pojedyncze gałązki i ciernie.

Źródło owych dźwięków poruszało się niezwykle cicho i wprawnie, ale dla czujnych uszu Mkolla ostrożność taka nie stanowiła znaczenia, obiekt równie dobrze mógł maszerować bez dbania o dyskrecję.

Mkoll wyjął z pochwy swój nóż, długie srebrne ostrze pokryte warstewką popiołu. Wsunął się głębiej w cierniste chaszczki i przywarł plecami do grubego pnia. Dwa kroki, jeden. Skoczył do przodu, w ostatniej chwili zmieniając tor lotu ostrza. Szeregowiec Dewr krzyknął i runął na twarz, prosto pomiędzy suche gałązki, łamiąc je ciężarem swego ciała.

Sekundę później Mkoll siedział już na jego plecach przyciskając nóż do karku zwiadowcy.

- Na świętego fetha! Mogłeś mnie zabić - zadygotał Dewr.

- Mogłem - odparł beznamiętnym szeptem Mkoll. Puścił szeregowca i odtoczył się na bok pozwalając mu wstać - Mógł cię też zabić każdy inny w okolicy, tak hałasowałeś.

- Ja... - Dewr natychmiast zniżył głos - Jesteśmy sami?

Mkoll nie odpowiedział. Istniało ryzyko, że jakiś niepożądany świadek usłyszał okrzyk zaskoczenia Dewra - Niczego nie zauważyłem - burknął Dewr wyciągając spod skóry ciernie, które wbiły mu się w ciało podczas szamotaniny z sierżantem.

Mkoll rozglądał się wokół z podniesioną bronią.

- Czego się uczyłeś na treningu podstawowym? - syknął z wyrzutem - Ty chcesz należeć do zwiadowców?

Dewr nic nie odpowiedział. Wszyscy zwiadowcy znali doskonale wygórowane wymagania sierżanta i wiedzieli, że nikt jeszcze nie zdołał im sprostać. W głębi serca Dewr poczuł złość i rozczarowanie. Będąc myśliwym z południowych okolic Tanith Attica został wysoko oceniony podczas podstawowego treningu. To przecież dlatego przydzielono go do oddziału zwiadowców! A ten stary sukinsyn ustawicznie robił z niego głupka, niezdarnego głupka!

Ignorując mordercze spojrzenie szeregowca Mkoll machnął dłonią nakazując zejście w dół porośniętego kolczastymi krzewami zbocza.

Tanithjczycy przybyli na Ramilliesa dwa tygodnie temu, tuż po zakończeniu regularnych działań wojskowych. Zakonnicy Adeptus Astartes oczyścili i zabezpieczyli cztery twierdze nieprzyjaciela likwidując obecność Chaosu na powierzchni planety. Duchy rozbiły obóz na równinach opodal jednej z płonących fortec obserwując z oddalenia Kosmicznych Marines - potężne sylwetki krążące pośród dymów niczym mityczne olbrzymy, znoszące zwłoki heretyków na wielkie stosy pogrzebowe. Powietrze było gęste od swądu palonych ciał.

Niewielkie grupki nieprzyjaciela zbiegły w gęsto zalesiony obszar na północy. Zagrożenie z ich strony było zbyt niskie, by dumni Kosmiczni Marines tracili czas na eksterminację ostatnich gniazd oporu. Komisarz otrzymał zadanie wytropienia i zniszczenia tych heretyckich niedobitków. Duchy ruszyły w pasma niskich, gęsto porośniętych wzgórz, by odnaleźć enklawy wroga. Początkowo odniesiono kilka sukcesów: kryjówek kultystów, niektóre z nich nieźle ufortyfikowane i zaciekle bronione, zostały pomyślnie zlikwidowane. Później, po tygodniu, dotarli w wyższe partie gór, gdzie ciernista roślinność tworzyła prawdziwą opuszczone. Mkoll planował każdego dnia kolejne strefy patroli, wysyłając dwudziestkę zwiadowców coraz głębiej w gęsto zalesione bezdroża. Przeczesywali starannie

każdy przydzielony kwadrat sygnalizując głównym siłom Duchów ustawiczny brak kontaktu.

Być może czuli się znudzeni, popadli w rutynę. Major Rawne twierdził, że ostatni punkt oporu heretyków został zlikwidowany i dalsze poszukiwania nieprzyjaciela na pustkowiach wyżyn są już tylko marnotrawstwem czasu. Komisarz upierał się przy dokładnym wypełnieniu powierzonych mu obowiązków, ale i on nie wierzył w dalszy sens misji, okazując zwątpienie rozkazami podwojenia patrolowanego jednorazowo obszaru. Jeszcze kilka dni i kończymy robotę, powiedział Mkollowi.

Tego dnia, w wietrzny zimny poranek wypełniony szelestem iglastych gałązek, zwiadowcy weszli jeszcze głębiej w bezludne pasy wzgórz, rozpraszając się szeroko. Od dwóch patroli nie nawiązano kontaktu z żadną żywą istotą. Mkoll domyślał się, że mniej doświadczeni żołnierze jak Dewr ulegali bez większych oporów rutynie.

Sierżant dostrzegał jednak rzeczy, które budziły jego niepokój i determinację. Dowody, którymi podpierał się w rozmowach z Gauntem, kiedy prosił o dodatkowe dni na poszukiwania: wydeptane szlaki w poszyciu, połamane drzewa, pozornie chaotyczne tropy. Coś wciąż jeszcze tutaj było.

Gwardziści przecięli dno niewielkiej doliny i zaczęli wspinać się jej ocienionym zboczem, pomiędzy gęstymi ciernistymi krzewami. Co kilkanaście kroków Dewr łamał z trzaskiem jakiś kolec albo trącał butem kamyk, złościąc się w myślach i upominając samego siebie.

Bardzo chciał pokazać Mkollowi, że nie jest niezdara. I nie miał najmniejszego pojęcia, jakim cudem sierżant potrafi przemieszczać się poprzez gąszcz nie wydając żadnych odgłosów, jakby płynął w powietrzu.

Cierniste krzaki posykiwały charakterystycznie kołysane wiatrem.

Mkoll przystanął w miejscu, by wyjąć z kieszeni niewielką składaną mapę i zlokalizować swą pozycję w oparciu o kompas i położenie słońca na niebie. W ciągu kwadransa trasa patrolu miała przeciąć się z trasą drugiej pary zwiadowców, Rafela i Waeda, idącej w przeciwną do Mkola stronę.

Mkoll podniósł raptownie dłoń i Dewr znieruchomiał w pół kroku. Dwa wyciągnięte w górę palce sierżanta nakazywały ubezpieczenie, toteż Duch natychmiast wślizgnął się za przechylony pień drzewa ściskając w dłoniach laser. Na komorze broni była warstewka pyłu, starł ją pośpiesznie, przetarł też palcami oczy. Przyłożył kolbę broni do ramienia i zaczął omiatać lufą otoczenie zerkając jednocześnie w kierunku sierżanta.

Mkoll przyklęknął kilka metrów dalej odnajdując kolejny wydeptany w krzewach szlak. Trakt był szeroki na trzech mężczyzn, usłany wydartymi z korzeniami kępami chaszcy.



Mkoll dotknął czubkami palców jeden z wilgotnych krzewów. Największa łodyga miała grubość męskiego uda i była tak twarda, że sierżant z trudem by sobie z nią poradził nawet z siekierą w ręku. Tanithijczyk przyjrzał się uważnie ziemi. Ślady były głębokie i wielkie, przypominały odciski stóp jakiegoś olbrzyma. Wydeptany szlak wił się w obie strony i niknął w leśnej gęstwinie. Mkoll dźwignął trzy palce i machnął nimi krótko. Dewr podbiegł do towarzysza.

Młodszy mężczyzna zmierzył wzrokiem ślady i otworzył usta, by zadać jakieś pytanie, ale spojrzenie Mkolla natychmiast go uciszyło. Wokół słychać było tylko dźwięk kołysanych wiatrem gałązek. Dewr przyklęknął i spojrzał uważniej na trakt. Coś... ktoś... duży, poruszający się na oślep. Palce zwiadowcy dotknęły jakiegoś kształtu zarytego niemal całkowicie w miękką ziemię, wyciągnęły obiekt na powierzchnię. Był to kawałek szerniałego metalu, fragment pierścienia prawdopodobnie tak dużego jak zaciśnięta męska pięść. Dewr podał znalezisko Mkollowi. Sierżant obejrzał je z wyraźnym zainteresowaniem, po czym schował do kieszeni na udzie. Dewr dostrzegł skierowane pod swoim adresem skinięcie aprobaty i poczuł w tym krótkim momencie dumę, jakiej jeszcze nigdy wcześniej nie było mu dane zaznać.

Ruszyli w ślad za twórcą szlaku, odgadując kierunek jego marszruty na podstawie ułożenia wyrwanych roślin. Po sześćdziesięciu metrach ślady skręcały raptownie w górę wzniesienia, w głąb masywu. Mkoll przystanął ponownie, by wytrzeć zabrudzone elementy karabinu.

Przeraźliwy krzyk rozdarł powietrze niczym ostrze tanithijskiego noża. Obaj mężczyźni zamarli w bezruchu. Krzyk urwał się raptownie, ale wiedzieli już, że należał do istoty ludzkiej. Mkoll ruszył bezgłośnie w kierunku źródła nieoczekiwanego dźwięku, Dewr podążył za dowódcą próbując dotrzymać mu kroku i nie narobić jednocześnie hałasu. Zboczyli z traktu wchodząc w gęste poszycie lasu. Otaczająca ich roślinność uległa subtelnej zmianie. Na zboczu wysokiego wzniesienia rosły liczne kaktusy najeżone długimi igłami. Były ich setki: niektóre sięgały wysokością kolan człowieka, inne znacznie wykraczały poza wzrost zwykłego śmiertelnika tworząc istny las naturalnych ostrzy.

Rozległ się kolejny krzyk, tym razem słabszy, przywodzący na myśl człowieka budzącego się z sennego koszmaru i stwierdzającego, że to tylko zły sen. Zaraz potem zwiadowcy usłyszeli coś jeszcze: dziwaczny odgłos głośnego spluwania, do złudzenia przypominający dźwięk wypluwanej z ust pestki.

Pośród kaktusów znaleźli skurczone ciało Rafaela. Struga wsiąkającej w ziemię krwi znaczyła miejsce, w którym Duch upadł i skąd się próbował odczołgać. Ponad tuzin igieł

przeszywał jego zwłoki, niektóre z nich miały dobrą stopę długości. Jedna wbiła się prosto w oko żołnierza wnikając w mózg. Przerazony Dewr próbował coś powiedzieć, ale Mkoll błyskawicznie zasłonił mu usta dłonią. Sierżant wskazał młodszemu towarzyszowi najbliższą kępę kaktusów, której bulwiaste łodygi pozbawione były kolców. Zamiast igieł w skórze kaktusów widniały okrągłe otworki pokryte sączącym się leniwie sokiem.

- Pytam ponownie, szeregowy Rafel! Jaka jest twoja pozycja? - zatrzeszczał komunikator zabitego. Mkoll skoczył do przodu i obalił swym ciałem Dewra odtrącając go w stronę przeciwną do trupa. Trzy najbliższe rosnące kaktusy poruszyły się w tym samym momencie spazmatycznie i sypnęły igłami. Kolce pokryły ciało Rafaela niczym strzały.

Jedna igła przebiła łydkę Dewra. Duch zagryzł wargi powstrzymując jęk bólu. Zraniona noga natychmiast zaczęła drętwieć. Mkoll podczołgał się do towarzysza. Dewr wskazał dłonią ranę, ale sierżant zignorował jego obrażenia sięgając do swego komunikatora. Wyłączył urządzenie, po czym to samo zrobił z mikrofonem Dewra.

Dopiero wtedy pozwolił sobie na oględziny rany. Posługując się nożem odciął materiał ze spodni żołnierza na wysokości łydki luzując w ten sposób fragment kolczego nakolannika. Igła przeszła dokładnie przez środek jednego z oczek siateczki. Sierżant wetknął rękojeść noża w usta Dewra. Gwardzista zagryzł na trzonku zęby, a wtedy Mkoll pociągnął za kolec.

Z rany pociekła odrobina krwi. Niedobrze. Krew zmieszana była z żółtą wydzieliną, która sugerowała działanie trucizny. Na szczęście dla młodego Ducha naruszony został jedynie mięsień, gdyż siła trafienia mogła z łatwością strzaskać jego kość piszczelową.

Dewr gryzł trzonek noża przez dłuższą chwilę. Kiedy ból zelżał, mężczyzna otworzył usta i broń zsunęła się po jego policzku na ziemię. Mkoll podniósł się na nogi. Potrzebował zestawu medycznego Rafaela, by założyć Dewrowi opatrunek. Samemu Rafaelowi nie można już było pomóc. Sierżant odwrócił się w stronę trupa i jakiś cień trzasnął pod butem zwiadowcy - efekt chwili nieuwagi spowodowanej troską o towarzysza. Najbliższy kaktus wyczuł falę dźwiękową i wystrzelił igłę. Kolec trafił w kolbę karabinu Mkolla i przebił go na wylot, czubkiem opierając się o brzuch mężczyzny.

Zastygły w bezruchu sierżant wypuścił po chwili wstrzymywany oddech i wyjął igłę z kolby broni. Klękając przy ciele Rafaela Duch odszukał jego niewielki pakiet medyczny, przybity do brzucha martwego zwiadowcy jedną z morderczych igieł. Stawiając ostrożnie stopy powrócił do Dewra i obandażował ranę towarzysza.

Głowa Dewra zaczęła kołysać się lekko, świat poruszał się przed jego oczami. Było to dziwnie relaksujące wrażenie, poczucie umykających w głąb umysłu trosk i zmartwień. Zraniona noga drętwiała na odcinku pomiędzy łydką i udem, ale nie sprawiała już większego

bólu.

Mkoll dostrzegł zamglony mętny wyraz oczu Dewra i bezceremonialnie wepchnął w usta zwiadowcy kolejny kawałek bandaża. Znajdujący się w delirium człowiek nie ma pojęcia o hałasie jaki nieświadomie czyni.

Sierżant właśnie przymierzał się do zarzucenia rannego gwardzisty na ramię, kiedy do jego uszu dobiegł inny dźwięk. Z początku odległy, kojarzył się z darcim i łamaniem, towarzyszyły mu nieustające odgłosy kaktusowej kanonady. Coś się zbliżało, zaalarmowane przedśmiertnym krzykiem Rafela. Coś gigantycznego.

Kiedy źródło hałasu wpadło na przecinę, wszystkie okoliczne kaktusy sypnęły w jego stronę igłami. Kolce odbijały się od metalowych kończyn i korpusu. Mkoll przykrył swym ciałem Dewra, leżąc płasko tuż pod śmigającymi w powietrzu strzałkami.

Dreadnought Chaosu zatrzymał się w miejscu na swych hydraulicznych kończynach, siłowniki syczały cicho. W powietrzu unosił się gorący zapach spalenizny i elektromagnetyczne wyładowania, które sprawiały, że włoski na karku Mkolla uniosły się niemal natychmiast w górę. Machina miała cztery metry wysokości, była szersza od trzech stojących ramię w ramię mężczyzn, szerniała i osmalona jakby przeszła przez całe piekło i wróciła stamtąd z powrotem. Warstwa farby i wszelkie insygnia zostały zdarte z kadłuba, wypalone, w wielu miejscach do żywego metalu. Aura złowieszczej grozy wręcz biła od bojowego konstrukt. Już lojalistyczny odpowiednik tej maszyny budził ogromny lęk, ale konfrontacja z takim bluźnierstwem... Mkoll poczuł odruch wymiotny i zacisnął kurczowo zęby. Dewr leżał bezwładnie, nieprzytomny.

Dreadnought postąpił krok do przodu, niemal ostrożnie i delikatnie, chociaż stąpienie jego opancerzonej stopy wstrząsnęło ziemią i sprowokowało kolejną salwę kaktusów. Jego korpus obracał się w różnych kierunkach, jakby skanował otoczenie. Kolejny krok, ponowny stukot igieł.

Mkoll pojął, że dreadnought był ślepy. Rany członka Adeptus Astartes uwięzionego w sarkofagu maszyny były głębokie i z daleka widoczne. Jego sensory optyczne zostały oderwane, najpewniej wybuchem. Mkoll wiedział już, że półokrągły kawałek metalu znaleziony przez Dewra był w rzeczywistości elementem układu wzrokowego maszyny. Musiała włóczyć się po tych lasach od wielu dni, polując wyłącznie na podstawie słuchu.

Następny krok, następny syk i zgrzyt serwowatorów. Łoskot pancерnej stopy i stukot igieł o metal. Olbrzym był już zaledwie trzy metry od leżących nieruchomo Tanithijczyków.

Dewr ocknął się i podniósł głowę. Ujrzał dreadnoughta, a jego zasnutę mgiełką trucizny oczy przekazały do mózgu obraz jeszcze potworniejszego koszmaru od rzeczywistego

wyglądu maszyny. Szarpnął się konwulsyjnie i wrzasnął. Pomimo wciśniętego głęboko w usta knebla wrzask ten okazał się ostry i wysoki, przesycony skrajną grozą.

Mkoll pojął w ułamku sekundy, że nie może pozostać w miejscu. Skoczył w bok.

Dreadnought namierzył źródło wrzasku w czasie zbliżonym do końcówek nerwowych kaktusów. Zatrute igły pomknęły w kierunku ciała, które pół sekundy wcześniej dosłownie wyparowało trafione kulą energii wystrzeloną z masywnego plazmowego działka.

Igły łamały się z trzaskiem na metalowym kształcie dreadnoughta.

Mkoll poruszał się zgięty wpół, stąpając bezgłośnie pomiędzy kaktusami, starając się nie spuszczać z oczu maszyny. Jego serce waliło niczym kowalski młot i zżymał się w myślach za hałas, jaki w jego opinii czyniło.

Za jedną z bulwiastych roślin przykucnął na moment, by sprawdzić swój karabin. W osłonę spustu dostały się liczne śmieci. Pomyślał o ich wyciągnięciu, ale zaraz zaprzestał wszelkich prób oczyszczenia broni. Akcja taka wywołałaby niepożądane odgłosy, a w zamian nie dawała mu żadnej wymiernej korzyści. Co takiego mógł działać laserowy karabin przeciwko dreadnoughtowi?

Poruszył się ponownie, kopnął czubkiem buta niewielki kamień. Kilka igieł śmignęło w powietrzu. Dreadnought zaczął się przemieszczać w stronę miejsca upadku kamyka, ścigały go kolejne ociekające trucizną kolce.

Mkoll rozważał w myślach opcję ucieczki. Machina była ślepa, kaktusy też. Jeśli zdołałby poruszać się dostatecznie cicho, a taki właśnie miał dar, umknąłby z niebezpiecznej strefy i zaniósł alarmujące wieści Gauntowi. Lecz czy odnaleźliby ten bluźnierczy konstrukt ponownie? W tej bezludnej dzicy? Poszukiwania dreadnoughta mogły się ciągnąć tygodniami, próby jego eliminacji kosztowałyby wiele ludzkich żyć. Gdyby tylko mógł...

Nie. To szaleństwo, samobójstwo.

I wtedy usłyszał głos, jeszcze odległy. Waed nawoływał Rafela. Nadchodzący Duch był poza kaktusowym laskiem, przeszukiwał okolicę próbując rozwikłać zagadkę milczącego komunikatora Rafela. Lada chwila jego okrzyki miały uaktywnić pierwsze, rosnące na krawędzi lasku kaktusy.

Albo przyciągnąć do nowej ofiary dreadnoughta. Machina zawróciła już w miejscu i zaczęła oddalać się w stronę źródła dźwięków miażdżąc pod pancernymi kończynami kaktusowy miąższ.

Mkoll miał zaledwie kilka sekund do namysłu. Zdecydował, że nie pozwoli na utratę kolejnego człowieka ze swej zwiadowczej kadry, nie w taki sposób.

Zdjął z pasa granat, odbezpieczył go i cisnął na lewo między chaszczę. Głuchy grzmot

wstrząsnął powietrzem, siła detonacji wyrzuciła wysoko w górę kilka bulwiastych roślin. Kiedy tylko na ziemię spadły ostatnie wystrzelone w kierunku miejsca eksplozji igły, sierżant ruszył w tamtą stronę. Wślizgnął się za jeden z kaktusów, całkowicie już pozbawiony kolców. Teraz, kiedy roślina była bezbronna, stanowiła dla człowieka niewielką osłonę.

Dreadnought zawracał w jego stronę, zaalarmowany hukami granatu. Waed umilkł. Mkoll pogrzebał przy obudowie swojego lasera i położył broń na ziemi.

- Tutaj, skurwysynu! - powiedział ze złością.

Słowa zabrzmiały niewiarygodnie wręcz głośno. Ostateczna prowokacja, obelga, której cel nie mógł zignorować. Kaktusy znów sypnęły igłami, ale Mkoll był bezpieczny, po jego stronie żadna roślina swoich zabójczych kolców już nie miała.

Dreadnought wpadł z powrotem na przecinkę. Jego lewa stopa nadepnęła na jakiś metalowy przedmiot, który zaszczekał głośno. Konstruktor pochylał się, by podnieść obiekt z ziemi.

Był to laserowy karabin sierżanta.

Dreadnought ścisnął broń w swych hydraulicznych szponach i podniósł ją w górę swego nadwężonego sarkofagu, jakby zamierzał powąchać lub posmakować znalezisko.

Mkoll zaczął uciekać.

Według jego szacunków laser miał eksplodować pięć sekund po umyślnym przeładowaniu wewnętrznej baterii.

Rzucił się na brzuch, kiedy akumulator broni wybuchł. Setki kaktusów posłały w miejsce detonacji kolejny grad igieł. Potem zapadła cisza.

Mkoll powrócił w kaktusowy gąszcz wraz z Waedem. Nieruchomą bryłę dreadnoughta znaleźli na osmalonej przecince. Eksplozja baterii nawet go nie zraniła, ale uszkodziła pęknięty w tym miejscu sarkofag i oderwała jego spory fragment. Zatrute igły kaktusów dokończyły dzieła dziurawiąc organiczne szczątki podłączone do obwodów korpusu i zabijając pilota bluznierczej maszyny. Mkoll zauważył, że gnana szaleńczym amokiem bestia kierująca dreadnoughtem zrobiła jeszcze kilka aroganckich kroków, zanim jej organizm poddał się działaniu trucizny. Wtedy ogromny pojazd kroczący przewrócił się w końcu i znieruchomiał na ziemi.

Mężczyźni powrócili na wydeptany przez maszynę trakt.

- Jesteś cholernym bohaterem! - oświadczył po dłuższej chwili Waed.

- Doprawdy?

- To był pieprzony dreadnought, Mkoll! Zabiłeś dreadnoughta!

Sierżant odwrócił się i spojrzał ostro na swego towarzysza.

- Powiemy reszcie ludzi, że teren jest czysty. Nie chcę żadnej głupiej sławy, rozumiesz?

Waed skinął potakująco głową.

- Ale zabiłeś go... - wymamrotał z uporem.

- Nie, nie zabiłem. Ja tylko słuchałem, czekałem i byłem cicho... a kiedy uczyniłem pierwszy ruch, Ramillies dokończył dzieła.

# Monthax

Colm Corbec siedział na zewnątrz swojego habitatu. Będąc drugim po względem rangi oficerem w regimencie posiadał prawo do prywatnej kwatery, ale komisarz wiedział doskonale, że jego zastępca woli spać pod gołym niebem.

Podchodząc bliżej Gaunt spostrzegł, że tanithijski pułkownik struga swoim nożem prostokątny kawałek drewna. Zwolnił krok przyglądając się pracy mężczyzny. Jeślibym zginął, pomyślał, czy Corbec zdoła utrzymać w ryzach Duchy? Czy zdoła poprowadzić regiment w dalszych bojach?

Słyszając takie pytanie Colm bez wątpienia natychmiast by zaprzeczył, ale Gaunt pokładał w tym człowieku ogromne zaufanie. Nawet w obliczu faktu, że swego zastępcę wybrał powodowany impulsem chwili, a nie przemyślaną decyzją.

- Spokojna noc - mruknął Corbec, kiedy Gaunt przykucnął obok jego niewielkiego ogniska.

- Jak dotąd - odparł komisarz obserwując wielkie dłonie pułkownika operujące zręcznie ostrzem noża na powierzchni drewnianego klocka. Wiedział jak bardzo Corbec nie znosi swej rangi i ciężaru odpowiedzialności na swoich barkach i wiedział, że gorąco nienawidzi wysyłania podkomendnych na śmierć.

Lecz wyśmienicie się w tej roli sprawdzał.

I obejmował komendę zawsze wtedy, gdy było to niezbędne. Jak pewien czas temu na Caliguli...

## IV - Otchłań piekieł.

Będę chory. Już niedługo. Milo Brin był tego faktu całkowicie pewien. Jego żołądek kurczył się, gdy statek desantowy spadał z nieba, a każda kość i nerw drżały w odpowiedzi na wibracje sześćdziesięciotonowego pojazdu, trzęsącego się w powietrzu niczym dziecina zabawka. Licz w pamięci... myśl o czymś przyjemnym... odpręż się - krzyczała z desperacją część jego przestraszonego umysłu. To by nie wyglądało dobrze, gdyby maskotka regimentu, mały muzykant i cudowne dziecko zwymiotowało swoje racje żywnościowe na podłogę. I o czymkolwiek byś nie myślał, nie wspominaj tego, jak brejowate i śliskie byłyby te racje, odezwała się inna część umysłu. Podłoga? Jaka podłoga, zawyło coś w jego głowie. To tylko kwestia chwili, niekontrolowanego spadania w dół do momentu, gdy... Zamknij się, krzyknął bezgłośnie Milo walcząc ze swoją wyobraźnią.

Uspokoił się na chwilę. Oddychał powoli i głęboko, tak jak go nauczył Larkin podczas treningu strzeleckiego. Wtedy jakiś złośliwy głosik szepnął w jego głowie: nie bój się, że zarzygasz sobie ubranie, za moment i tak przestaniesz istnieć, niech tylko to metalowe pudło walnie z taką prędkością w ziemię...

Niczym pieprz sypiący się z korca, pomyślał oficer porządkowy Kreff patrząc przez pancerne okno na pokładzie fregaty eskortowej Navarre. Za jego plecami panował cichy, nieustający gwar. Operatorzy systemów i serwitorki przetwarzali i kontrolowali dane. Pracujące komputery buczały basowo. Powietrze było chłodne i rześkie dzięki wirującym bezgłośnie wentylatorom. Niskie beznamiętne głosy starszych stopniem oficerów potwierdzały co chwila odbiór rozkazów kapitana, ukrytego w swoim prywatnym strategium za mostkiem fregaty. Mostek fregaty był ulubionym miejscem pobytu Kreffa. Nieskazitelnie czysty, atmosferą nabożnego skupienia bardziej przypominał kaplicę niż serce okrętu mogącego pokonywać w przeciągu chwili parseki i równać z powierzchnią ziemi całe miasta.

Oficer powrócił do obserwacji widocznej w dole Caliguli, przywodzącej na myśl wielką pomarańczę o bladezielonych plamkach. Imperialne statki wisały w czerni kosmosu pomiędzy planetą, a fregatą. Niektóre były wielkie, szare, w kształcie długich na dwadzieścia kilometrów katedr, inne smukłe i wąskie niczym okręt Kreffa. Unosiły się w bezmiarze kosmicznej przestrzeni, a od ich kadłubów oddzielały się dziesiątki tysięcy małych czarnych



punkcików mknących w stronę powierzchni planety.

Kreff wiedział, że te punkty to statki desantowe, sześćdziesięcotonowe pojazdy wylądowane gotowymi do lądowania gwardzistami. Z tej odległości wyglądały jak malutkie ziarenka pieprzu wysypujące się z korca. Jakby imperialna flota przybyła tutaj, aby obsiać kontynenty Caliguli. Kreff zastanawiał się, który z punkcików niesie w swoim wnętrzu komisarza Gaunta. Pewne rzeczy w życiu oficera marynarki zmieniły się bezpowrotnie z chwilą przybycia na pokład komisarza. Ibrama Gaunta, osławionego i udekorowanego bohatera wojennego oraz jego naprędce skleconego regimentu zwanego Duchami, złożonego z niedobitków populacji zamieszkującej niegdyś zniszczony świat Tanith.

Kreff strzepnął nieistniejące drobinki kurzu z rękawów szmaragdowego uniformu floty Segmentum Pacificus i westchnął melancholijnie. Kiedy pierwszy raz usłyszał, że Navarre oddano do dyspozycji ludzi Gaunta, poczuł się tym faktem zbulwersowany. Jego niechęć z trudem kompensowała świadomość zdyscyplinowania gwardzistów i ich doświadczenia liniowego.

Potem przyszedł czas przełamywania lodów. Jako oficer porządkowy fregaty i oficjalny przedstawiciel kapitana w kontaktach zewnętrznych Kreff zmuszony był do znacznie częstszego przebywania w towarzystwie Duchów od innych oficerów marynarki. Zaczynał ich nawet rozumieć: o ile ktokolwiek mógł zrozumieć tych czarnowłosych wytatuowanych żołnierzy, ostatnich żyjących mieszkańców świata unicestwionego przez Chaos. Na początku odczuwał w ich obecności niemal fizyczny lęk, powodowany barbarzyńską aparycją i manierami Tanithijczyków. Kreff znał wojnę w aspekcie bezgłośnej, precyzyjnie zdefiniowanej sztuki o parametrach wyrażanych w tysiącach kilometrów i stopniach kursów. Dla Duchów wojna była rzeźnią: krwawą, okrutną i bezlitosną.

Był kilkakrotnie zapraszany do gwardyjskiej mesy. Potem przyszła pora na długą, ledwie pamiętaną noc spędzoną w towarzystwie Corbeca, tanithijskiego pułkownika, rosłego żołnierza o godnej szacunku osobowości. Takie przynajmniej Kreff odniósł wrażenie po kilku butelkach wódki i wielu godzinach przyjacielskiej rozmowy. Dyskutowali z ożywieniem o sztuce wojennej, porównując wzajemnie metody jej prowadzenia. Kreff atakował prawdziwą walkę, zaciekle brutalne, prymitywne taktyki gwardzistów, starając się dowieść wyższości sztuki toczenia wojen prezentowanej przez kosmiczną marynarkę. Corbec nie czuł się obrażony. Śmiał się tylko i powtarzał, że któregoś dnia i Kreff będzie miał okazję stoczyć prawdziwą walkę.

Wspomnienia te przywołały uśmiech na usta oficera, ale znikł on bez śladu na widok roju statków desantowych. Kreff wątpił, by kiedykolwiek ujrzał ponownie Gaunta czy Corbeca.

Daleko w dole, na tle tarczy planety, mógł dostrzec rozbłyśki baterii antyorbitalnych otwierających ogień do ziarenek pieprzu. To było pieskie życie, spadać tak bezradnie prosto w paszczę piekieł. Nic, tylko hałas, śmierć i zagłada.

Kreff westchnął ponownie i poczuł nagłą ulgę na myśl o bezpiecznym mostku fregaty. To jest jedyna słuszna metoda toczenia wojen, zdecydował przesuając wzrokiem po pomieszczeniu.

Milo otworzył oczy, ale gest ten nie poprawił mu nastroju. Statek nadal trząsał się smagany prądami powietrznymi. Chłopiec rozejrzał się po przedziale desantowym, gdzie dwudziestu pięciu innych gwardzistów siedziało unieruchomionych w fotelach, opiętych ciasno żółtymi pasami bezpieczeństwa. Ich ekwipunek szczekał metalicznie w plecakach upchniętych pod siedzenia. Powietrze w kabinie przesycone było zapachem smaru i kadzidła, a cały pojazd drżał tak silnie, że Milo nie potrafił odcyfrować podniosłych sloganów umieszczonych na ścianach przedziału. Chłopiec słyszał ogłuszający ryk wiatru ciętego rozpalonymi do białości zewnętrznymi blachami kadłuba. Los oszczędził mu w zamian huk baterii obrony przeciwlotniczej.

Zaczął szukać wzrokiem przyjaznej twarzy. Bragg siedział z zamkniętymi oczami, ściskając kurczowo pas. Szeregowiec Caffran, zaledwie trzy lata starszy od Mila, gapił się w sufit mamrocząc niezrozumiałą modlitwę. Milo dostrzegł wpatrzony w siebie zimne oczy majora Rawne. Oficer uśmiechnął się zdawkowo i skinął uspokajająco głową. Milo odetchnął głęboko. Gest pocieszenia ze strony majora Rawne przywodził na myśl kopniak w tyłek od samego diabła, witającego potępioną duszę u bram piekieł.

Zacisnął ponownie powieki.

W tyle wąskiego kokpitu przypięty do antyciążeniowego fotela komisarz wykręcił boleśnie szyję, aby pomiędzy pilotami i astropatą wyjrzeć za przednią szybę. Na powierzchni okna migotały linie gotyckich liter i diagramów, a cały prom skakał i dygotał w powietrzu, lecz mimo tych przeszkód zdołał dostrzec zbliżający się szybko cel: metropolię Nero, położoną w ciemnej kalderze o średnicy dziewięćdziesięciu kilometrów, przypominającą z tej odległości kawał błyszczącego węgla usadzony w cieście.

- Sześćdziesiąt sekund do lądowania - powiedział chłodno pierwszy pilot, jego głos został elektronicznie zniekształcony przez zawieszony przy ustach mikrofon.

Gaunt wyciągnął z kabury pistolet i odbezpieczył go. Zaczął odliczać w myślach czas.

Wysoko nad Nero statki desantowe spadały pionowo w dół, przebijając się przez warstwy

chmur. Baterie przeciwlotnicze punktowały niebo czarnymi obłoczkami wybuchów.

Chmury nagle zaczęły się zmieniać. Ciemnopurpurowe światło wypełniło przestworza nadając obłokom kolor zakrzepłej krwi. Potężne błyskawice przecinały niebo z donośnym trzaskiem.

Wiele mil wyżej oficer porządkowy Kreff zeszywniał i pochylił się przed oknem. Coś daleko w dole spowodowało odbarwienie warstw atmosfery.

- Co to... - otworzył usta.

- Anomalia pogodowa! - wrzasnął drugi pilot przeciągając palcami po szeregu mikroprzełączników - Gradobicie i wyładowania elektryczne!

Gaunt chciał wykrzyknąć jakieś pytanie, ale cały statek zakołysał się nagle uniemożliwiając wykrztuszenie słowa. Słyszając zdławiony jęk rzucił okiem na siedzącego obok astropatę. W tej samej sekundzie głowa psionika eksplodowała. Krew i kawałki mózgu obryzgały pilotów, Gaunta i wnętrze kabiny. Pierwszy pilot wykrzyknął jakieś niezrozumiałe pytanie.

Gaunt uświadomił sobie ze grozą, że prom wpadł w psioniczny sztorm.

Daleko w dole coś władającego przerażająco potężną mocą stworzyło kopułę mającą uniemożliwić lojalistom lądowanie i odrzucić ludzkich intruzów furią chaotycznego żywiołu. Prom dygotał teraz tak silnie jakby miał zaraz rozlecieć się na kawałki. Dziesiątki alarmowych runów rozbłysły na powierzchni paneli kontrolnych, migocząc przed oczami komisarza feerią światełek.

Coś gdzieś wybuchło. Wibracje i zgrzyt metalu nie ustawały, ale zdecydowanie zmieniły swe brzmienie. Milo zrozumiał nagle, że już nie spadają w dół do lądowania. Po prostu spadają! Przestał czuć się chory. Małutki głosik w jego umyśle, autor wersji z rozbiciem promu, powtarzał bezustannie: miałem rację, miałem rację.

Najpierw było uderzenie... tak silne, że chłopiec odniósł wrażenie mięśni zrywanych siłą ciężenia. Potem poślizg... zgrzyt dartego metalu, dzikie wstrząsy, przerażenie... W końcu przeraźliwy huk. A potem zapanowała całkowita i nieprzenikniona ciemność.

Setki imperialnych transportowców zdołały zejść poniżej poziomu chmur na chwilę przed eksplozją psionicznego tajfunu i uniknęły jego katastrofalnych skutków. Zwalniały teraz opadając na Nero niczym plaga szarańczy. Ich silniki ryczały, gdy pojazdy zatrzymywały się na płaskich dachach metropolii.. Wiązki laserowego światła i plazmy przecinały niebo w

tysiącach miejsc tworząc szaleńczą sieć błękitnych smug. Niektóre statki desantowe wpadały na nie ginąc pośród jaskrawych rozbłysków. Pociski przeciwlotnicze wybuchały tuż nad miastem tworząc kurtynę z obłoczków czarnego dymu. Bombowce Marauder śmigły w ciasnych formacjach tuż nad budynkami zrzucając ognistą śmierć na głowy obrońców.

Wysoko ponad metropolią purpurowe niebo kłębiło się z furią nienaturalnego żywiołu miotając oślepiające błyskawice. Pułkownik Colm Corbec z Pierwszego Regimentu Tanithu zbiegł po rampie transportowca. Za plecami słyszał tupot butów swojej drużyny. Wszędzie wokół gwardziści opuszczali statki tworząc ludzką falę liczącą blisko dziesięć tysięcy żołnierzy, wlewającą się szerokim strumieniem w zewnętrzne dzielnice metropolii.

Kilkoma skokami dotarli do pierwszej osłony, rzędu grubych metalowych rur kanalizacyjnych stojących na zardzewiałych wspornikach. Przyczaili się za nimi na moment. Corbec rozejrzał się na wszystkie strony i postukał palcem w komunikator.

- Corbec do drużyny. Potwierdzić odbiór.

W eterze rozbrzmiały niespokojne głosy gwardzistów. Szeregowiec Larkin przykucnął obok pułkownika ściskając nerwowo swój karabin. Patrzył na niebo z nieskrywanym strachem.

- Och, niedobrze - wymamrotał - Szaleństwa psioników, bardzo niedobrze. Myśleliśmy, że było ciężko pod bramą wodną Voltis albo na Blackshardzie, ale to był spacer po ogrodzie w porównaniu z tym...

- Larks! - syknął Corbec - Na fetha, zamknij się! Czyś ty nigdy nie słyszał o podkopywaniu morale?

- W porządku, pułkowniku! Mam wyłączony komunikator. Nikt mnie nie słyszał.

- Ja słyszałem - skrzywił się Corbec - To wystarczyło, żeby mnie przestraszyć.

Wszyscy przywarli do ziemi na dźwięk długiej serii z broni maszynowej. Pociski świsnęły nad ich głowami i kilkadziesiąt metrów dalej ktoś zaczął przeraźliwie krzyżeć. Słyszeli te przerażające wrzaski bólu mimo huk wystrzałów, głuchego ryku promów i trzasku przecinających nieboskłon błyskawic. Krzyk umilkł.

- Gdzie jest komisarz? - zawołał Corbec - Mówił, że będzie szedł w przedzie ataku!

- Nie przyjdzie, jeśli nie wylądował - powiedział Larkin patrząc w niebo - Byliśmy jednymi z ostatnich, którzy zdążyli zejść z pułapu tej burzy.

Kłęczący obok Larkina szeregowiec Raglon oderwał wzrok od zdjętego z pleców masywnego radionadajnika.

- Brak kontaktu ze statkiem komisarza, sir. Prześledziłem komunikaty wysyłane na orbitę i transmisje pomiędzy okrętami marynarki. Ten cholerny sztorm zniszczył masę promów. Na

górze ciągle jeszcze liczą miejsca, gdzie palą się wraki. To szczęśliwy traf, że zdążyliśmy wylądować, zanim to piekło rozpętało się na dobre.

Corbec zadrżał. Wcale nie czuł się szczęśliwy.

- Psionicy na orbicie próbują opanować ten żywioł, ale... - Raglon urwał w pół zdania.

- Ale co?

- Wygląda na to, że statek komisarza jest jednym z tych strąconych przez burzę.

Corbec zdławił w ustach przekleństwo. Poczł, że robi mu się zimno. Widział niepokój na twarzach przekazujących sobie złe nowiny gwardzistów. Podniósł laser i poprawił wetkniętą w ucho wtyczkę komunikatora. Musiał poderwać swoich ludzi z miejsca, zmusić ich do ruchu.

- Na co czekacie? - krzyknął - Formacja Diament! Podwójna, strzelać wedle uznania! Naprzód! Za Tanith!

Brin Milo ocknął się z bólem głowy. Wisiał do góry nogami, zamroczony i obolały. W ustach czuł metaliczny posmak krwi i pewien był, że po ściągnięciu bluzy ujrzy siniaki w miejscach, gdzie w ciało wrzynały mu się pasy bezpieczeństwa. Ale mimo to ponure prognozy nie sprawdziły się i wciąż jeszcze żył. Odzyskiwał powoli słuch. Do jego uszu docierał syk pary, kapanie wody, czyjeś ciche jęki.

Coś huknęło głośno i słoneczny blask oślepił chłopca. Czując ostry zapach kordytu zrozumiał, że ktoś odstrzelił za pomocą mikroładunków płyty zamykające wyjścia awaryjne. Do wnętrza promu docierało teraz światło: gęste, zielonkawe, mokre. Wielka twarz Bragga pojawiła się tuż przed jego oczami.

- Trzymaj się, Brinny - powiedział miękko olbrzym - Zaraz cię wyciągnę.

Szeregowiec wyciągnął w górę dłoń i pociągnął kilkakrotnie za dźwignię pod fotelem. Ucisk pasów znikł niespodziewanie. Milo zdążył tylko sapnąć, kiedy spadał z wysokości dwóch i pół metra na sufit przedziału desantowego.

- Przepraszam - Bragg pomógł mu podnieść się na nogi - Potłukłeś się, synku?

Milo pokręcił przecząco głową.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał.

Bragg umilkł jakby myślał nad czymś intensywnie.

- Po uszy w gównie - odparł po chwili namysłu.

Statek desantowy, teraz już jedynie sterta pogniecionego metalu, leżał na dachu z nosem wrytym głęboko w ziemię. Milo obejrzał dokładnie wrak. Dwa fakty wprawiły go w głębokie osłupienie. Pierwszy - że nadal żył. Drugi wiązał się z otoczeniem, które niezmiennie

przywodziło mu na myśl tropikalną dżunglę. Wielkie drzewa przypominające przerośnięte warzywa tworzyły wokół gęstą puszcę. Z ich gałęzi zwisały olbrzymie liany pełne storczyków, cierni i pęków liści w kształcie końskich ogonów. Pod koronami drzew panował zielony półmrok, bo górna część leśnego poszycia zasłaniała promieniom słonecznym dostęp do ziemi. Jedynie z miejsca, gdzie spadający prom wydarł wśród drzew wielką wyrwę do oczu ludzi docierał snop jasnego światła. Powietrze było wilgotne, duszne i przesycone ciężkim zapachem kwiatów. Krople wody kapały z liści na ziemię Bragg wyszedł z wraku i dołączył do chłopca. Tuzin innych Duchów kręcił się w pobliżu, potrząsając w zamroczeniu głowami i przypatrując się nieznanym roślinności. Wszyscy gwardziści nosili na sobie ślady lekkich potłuczeń i zadrapań - wszyscy z wyjątkiem szeregowca Obela, leżącego z zakrwawioną klatką piersiową na skleconych z kawałków metalu i drewna noszach. Kapral Meryn nadzorował akcję ratunkową. Wraz z Caffranem próbował odpalić pozostałe luki ewakuacyjne w poszukiwaniu reszty ocalałych z katastrofy towarzyszy.

Milo spostrzegł, że major Rawne przeżył wypadek. Stał w milczeniu na uboczu wraz ze szczupłym bladym Duchem o nazwisku Feygor, jego adiutantem.

- Nie wiedziałem, że na tym świecie są dżungle - powiedział Milo.

- Ja też - odparł Bragg chwytając plecaki wyrzucane przez Meryna z wnętrza wraku -  
Prawdę mówiąc nie wiem nawet jak ten świat się nazywa.

Milo podszedł do majora.

- Jesteśmy w leśnym interiorze - oświadczył Rawne - Powierzchnię Caliguli tworzy czysty żużel wulkaniczny, ale jest ona w wielu miejscach poznaczona głębokimi depresjami, starymi kraterami i miejscami upadku mniejszych meteorytów. Metropolie wzniesiono na dnach największych kotlin, w pozostałych zaś wykształcił się mikroklimat wystarczająco przyjazny dla rozwoju takich lasów jak ten. Myślę, że część tych depresji wykorzystywano do upraw rolnych... dopóki nie pojawił się wróg.

- Więc gdzie jesteśmy? - zapytał Feygor.

Rawne podrapał się po gardle w geście zamyślenia.

- Spadliśmy spory kawał drogi od celu. Myślę, że to jedna z leśnych kalder na północ od Nero. Jesteśmy po niewłaściwej stronie frontu.

Feygor zmełł w ustach przekleństwo.

- Major zapewne ma rację - powiedział czyjś głos. Gaunt wygramolił się z a wraku, posiniaczony, w podartym mundurze. Na jego ramieniu i boku krzepła krew. Meryn ruszył w kierunku dowódcy.

- To nie moja krew - Gaunt powstrzymał go ruchem dłoni - Drugi pilot żyje, trzeba go

wyciągnąć z kabiny.

- Niewiarygodne, że ktoś ocalał w kokpicie - sapnął Meryn.

Komisarz podszedł szybko do Mila, Rawne i pozostałych gwardzistów.

- Raport, majorze - zażądał.

- Jest nas dwunastu. Plus pan, chłopiec i drugi pilot. Wszyscy odnieśli jakieś obrażenia, szeregowiec Grogan złamał rękę, ale może chodzić. Obel ma przebitą klatkę piersiową. Wygląda to bardzo źle. Brennan jest w środku promu. Zgnieciony, stan krytyczny, ale jeszcze żyje. Reszta zmieniła się w miazgę.

Rawne spojrzał znacząco na wrak pojazdu.

- Zdjęli nas fartownym strzałem. Myślę, że rakietą...

- Psionicy! - warknął Gaunt - Rozpętali diabelski tajfun. Zmiotli nas z nieba!

Wszyscy żołnierze umilkli słysząc te złowieszcze słowa, pobledli przestraszeni. Niektórzy spojrzeli wstrząśnięci w niebo, inni gapili się pod nogi. Gaunt podszedł do sterty ekwipunku przetrząsanej przez Bragga i Caffrana. Wygrzebał z niej kompaktowy lokalizator, wsunął do slotu urządzenia wyjęty z kieszeni munduru dysk i podniósł je w górę. Lokalizator zaczął buczeć, pisnął kilkakrotnie i wyrzucił na niebieski ekranik ciąg gotyckich liter.

- Jesteśmy w leśnej kalderze K775, jakieś czterdzieści kilometrów na północ północny wschód od Nero. Pańskie podejrzenia okazały się trafne, majorze. Jesteśmy po niewłaściwej stronie frontu i w bardzo nieprzyjemnej krainie. Te lasy ciągną się dobre osiem kilometrów w każdym kierunku, natomiast ściany kaldery sięgają tysiąca metrów. Lepiej zbierajmy się do drogi.

- Do drogi? - Feygor zmarszczył czoło - Komisarzu... możemy uruchomić sygnał z boi ratunkowej i czekać...

- Nie możemy - przerwał mu Meryn wskazując palcem zmiażdżony i nadtopiony sygnalizator ratunkowy.

- Nawet, gdybyśmy mogli, co z tego, Feygor? - pokręcił głową Gaunt - Jakieś pięćdziesiąt kilometrów na południe od nas Gwardia montuje wielkie natarcie. Tysiące ludzi tam teraz umierają. Każdy statek, samolot i człowiek jest kierowany do szturm. Nikt nie będzie tracił czasu na szukanie za liniami wroga kilku zaginionych dusz. Oni już nas skreślili. Zresztą pamiętaj o psionicznym sztormie. Nie przedostaną się tutaj nawet wtedy, gdyby tego chcieli.

Rawne splunął pod nogi.

- Co robimy? - zapytał.

- Zobaczymy, jak daleko dojdziemy - Gaunt wyszczerzył zęby w pozbawionym wesołości uśmiechu - Lepiej już iść niż czekać tutaj beczynnie na śmierć.

W ciągu kwadransa rozdzielono ekwipunek i opatrzone rannych. Milo i drugi pilot dostali laserowe pistolety i kilka zapasowych baterii. Obel i Brennan leżeli nieprzytomni na prowizorycznie skleconych noszach. Rawne wskazał ich ruchem głowy, spoglądając posepnie na komisarza.

- Powinniśmy... okazać im litość.

- Zabieramy ich ze sobą - Gaunt zmrużył oczy.

- Z całym szacunkiem, sir, obaj zapewne umrą w ciągu godziny. Zabierając ich musimy poświęcić czterech zdatnych do walki ludzi, żeby ich nieśli.

- Zabieramy ich ze sobą - powtórzył komisarz.

- Jeśli położycie ich na jednej ramie, dam radę sam pociągnąć nosze - oświadczył z namysłem Bragg - Lepiej, jeśli zrobię to ja niż czterech innych chłopaków.

Meryn i Feygor wsunęli pod nosze metalowe pręty tworząc z nich konstrukcję w kształcie litery A. Bragg podniósł ją bez większego wysiłku i założył sobie prowizoryczny uchwyt na ramię. Caffran wyjętym z pochwy nożem przyciął kilka kabli i przewiązał tobogan w miejscach, gdzie pręty krzywiły się niebezpiecznie.

- Nie będę szybki, pamiętajcie o tym - zastrzegł się niepotrzebnie Bragg.

Gaunt wiedział, że na odpowiednio oczyszczonym szlaku olbrzym dotrzyma kroku reszcie plutonu. Komisarz spojrział ponownie na lokalizator.

- Interesujące - mruknął - Jakies cztery kilometry na wschód jest kilka zabudowań. Wygląda to na stary kompleks rolniczy. Może nam zapewnić osłonę. Zobaczymy - Gaunt podniósł laser jednego z zabitych w kraksie gwardzistów i wręczył swój łańcuchowy miecz majorowi.

- Proszę przodem, panie Rawne - powiedział.

Tanithijski oficer bez słowa zabrał broń i ruszył w głąb lasu, wycinając miarowymi wymachami rąk wiodącą poprzez gęste tropikalne zarośla ścieżkę.

Duchy wdarły się do metropolii poprzez wiodącą do Nero sześciopasmową autostradę. Rozbite pojazdy zaścielały wszystkie jezdnie, a rozlane paliwo płonęło tworząc ogniste ściany. Corbec przeprowadził swoich ludzi pod ciągle jeszcze działającymi sygnalizatorami drogowymi, wyświetlającymi na ciekłokrystalicznych ekranach zalecaną prędkość i drogowskazy. Strzelając w biegu Tanithijczycy uderzyli na pobliski robotniczy kompleks mieszkalny.

W zrujnowanych korytarzach, gdzie na podłogach leżały pogięte tabliczki wzywające podniośle do zwiększania norm wydajności i czczenia Imperatora, rozgorzała bezlitosna



walka wręcz. Po raz pierwszy gwardziści stanęli twarzą w twarz ze swym wrogiem. Rebelianci okazali się ludźmi skorumpowanymi Chaosem, ich fizjonomia uległa degeneracji i wypaczeniu. Wielu nosiło czarne, nadtopione kombinezony hutnicze pokryte bluznierczymi insygniami. Głowy chronili grubymi szarymi kapturami i wielkimi goglami. I byli dobrze uzbrojeni.

Trupy zaścieliły korytarze i pokoje kompleksu leżąc pośród rozbitego szkła i stopionego plastiku. Niektóre pomieszczenia trzeba było oczyszczać ładunkami wybuchowymi i w powietrzu unosił się dym przemieszany z płatkami sadzy.

Muchy. Wszędzie było pełno czarnych tłustych much.

Corbec przerzucał lufę lasera z prawej na lewą i z powrotem oddając pojedyncze strzały w kolejne drzwi korytarza, prosto w ciała skaczących mu naprzeciw kultystów. Tuż za dowódcą biegli ludzie z jego ubezpieczenia: Larkin, Suth, Varl, Mallor, Durcan i Ballad. Larkin strzelał okazyjnie, za każdym razem prezentując niewiarygodną precyzję, Corbec wiedział jednak doskonale jak źle wpływa na delikatną równowagę psychiczną snajpera szalejący w górze tajfun. Suth niósł karabin termiczny, wypalając wiązkami mikrofalowej energii punkty obrony buntowników.

Grad pocisków z bolterów i laserowych wiązek wypełnił zniecka korytarz. Ballad jęknął krótko przyjmując na siebie całą salwę. Poleciał z rozkrzyżowanymi rękami na ścianę i osunął się po niej rozmazując na okładzinie smugi krwi. Corbec posłał serię prosto w środek zadymionego przejścia.

Muchy brzęczały natrętnie.

Zgiełk komunikatów wypełniający słuchawki był niemal tak samo ogłuszający jak huk wystrzałów. Jednostki Gwardii rozchodziły się na boki poszerzając linię natarcia. Połączone siły 50 regimentu Volpone oraz 13 i 16 regimentów Raymianu uderzyły stalową pięścią w samo serce metropolii staczając bitwę ze zmotoryzowanymi jednostkami wroga na terenie gigantycznych suchych doków. Powtarzano też plotki, jakoby batalion Psów z Lakkarii i grupa Kosmicznych Marines z zakonu Kruczej Gwardii wdarli się na wyższe poziomy Nero, do samej wieży Administratum. Zwycięstwo wydawało się mimo wszystko niezwykle odległe, zwłaszcza w obliczu psionicznego sztormu odcinającego desant Gwardii od jakichkolwiek posiłków.

- Co z wsparciem lotniczym? - Corbec przekrzyczał szczęk laserów.

- Maraudery wypadły z akcji, sir - szeregowiec Raglon pokręcił przecząco głową - Dowództwo Floty odwołało je ze względu na burzę. Pojawiały się przekłamania pokładowych instrumentów.

Corbec rzucił okiem na purpurowe turbulencje kotłujące się w przestworzach. Do diabła z bombowcami, ten psioniczny koszmar miał dziwny wpływ na niego samego. Będąc tak blisko manifestacji czystego Chaosu pułkownik czuł otepienie zmysłów. Tracił równowagę, kręciło mu się w głowie, w piersiach pojawiło się uczucie tępego bólu. Lęk pokrył mu ciało gęsią skórka. Z całych sił starał się nie myśleć o tym, co mogło czyhać na niego za najbliższym rogiem korytarza.

Wiedział, że jego ludzie czują się podobnie. Kilku krwawiło z uszu i nosów, inni pochylali się wymiotując na podłogę. Mimo to szli ciągle do przodu, poprzez habitaty i wieże mieszkalne, walcząc za pomocą pistoletów i noży o każdy pokój i klatkę schodową. Aż dotarli do starych brudnych budynków stanowiących niegdyś siedlisko najniższych rangą robotników metropolii.

Komisarz byłby z nas dumny, pomyślał Corbec. Duchy dobrze wykonywały swoją robotę. Wypluł muchę, która wleciała mu do ust i zaczął uważniej śledzić radiowe komunikaty. Dowództwo Floty powtarzało bezustannie te same przesłanie: póki wrodzy psionicy nie zostaną zneutralizowani, w Nero nie wylądują żadne posiłki - ani jeden z pięciu milionów gwardzistów czekających w statkach desantowych na orbicie. Nie będzie też wsparcia bombowców. Los inwazji miał się rozstrzygnąć na ziemi.

Corbec wypluł następną muchę. Powietrze było wręcz gęste od owadów, kurzu i dymu. I przesycone dziwnym odorem. Colm Corbec odetchnął głęboko, ciężko. Potrafił odczytywać te znaki: byli blisko czegoś nienaturalnego, czegoś złego. Czegoś naznaczonego piętnem Chaosu.

- Bądźcie ostrożni - ostrzegł przez komunikator podwładnych - Wchodzimy do legowiska diabła!

Idąc przez chmary kłębiących się wściekle much gwardziści przeskoczyli zasypany gruzem i podartym papierem korytarz. Gdzieś opodal kończyła się dzika walka wręcz, do uszu żołnierzy dobiegały krzyki agonii i sporadyczne wystrzały z pistoletów. Coś wybuchło jakiś kilometr od budowli, ziemia zatrzęsała się w posadach, zakołysała. Corbec podszedł do wyjścia korytarza, spojrzął w otwarte drzwi i zamachał rękami nakazując ludziom cofnąć się w tył. W samą porę. W tej samej chwili, gdy skakali na boki kryjąc się pod ścianami, ciężki karabin maszynowy zaterkotał w ciemności hallu położonego za korytarzem. Pociski wbiły się w metalową futrynę drzwi i sufit korytarza, rozwalając schodki wiodące w dół hallu.

Corbec rzucił okiem na Larkina, siedzącego pod ścianą i mamroczącego niewzruszenie modlitwę pomimo stada napastujących go zaciekle much. Była to chyba przysięga lojalności wobec Imperatora, której wszyscy uczyli się kiedyś w szkołach na Tanith. W domu...

To też był kiedyś czyjś dom, pomyślał Corbec powracając do rzeczywistości. Stary odrapany hall w starym odrapanym habitacie, gdzie ciężko pracujący ludzie zbierali się po powrocie z fabryki, aby ugotować kolację dla swoich równie zapracowanych dzieci.

- Larks! - wskazał palcem wejście - Poproszę trochę szalonej magii z tym karabinem!

Larkin wytarł usta i pokręcił głową niczym lekkoatleta w trakcie rozgrzewki. Włączył założony na broń celownik termiczny, którego używał niegdyś do polowań na larisele. Położył się na brzuchu, podczołgał do progu i zajrzał przez lunetę do hallu. W ciemności dostrzegł jasny punkt.

Wielu mniej doświadczonych gwardzistów strzeliłoby w ten punkt biorąc go za sygnaturę ciepłą operatora broni. Larkin wiedział lepiej. Świecił się rozgrzany wylot lufy karabinu. To znaczyło, że strzelec znajduje się jakieś sześćdziesiąt centymetrów w tyle za lufą i po jej lewej stronie.

- Stawiam butelkę sacry, że to będzie strzał w głowę - szepnął Corbec widząc, jak Larkin przyciska kolbę do policzka.

- Zakład - skinął głową Varl.

Larkin pociągnął delikatnie za spust. Ruszyli ostrożnie po nadwerężonych schodkach wiodących do hallu, ale nikt nie otworzył do nich ognia. Ubezpieczając się wzajemnie przeszli przez salę, obok metalowego podwyższenia, na którym martwy żołnierz kultu przygniatał ciałem karabin maszynowy. Brakowało mu połowy czaszki. Corbec uśmiechnął się na ten widok, Varl westchnął z rezygnacją.

Za hallem była następna wielka aula. Wypełniał ją słodkawy smród spalonego mięsa, a much było więcej niż gdziekolwiek indziej. Larkin szedł wzdłuż jednej ze ścian, miażdżąc pod podeszwami szkło i śmieci. Na kompozytowej okładzinie, pod wymalowanymi ciemnym sprayem symbolami Chaosu, ktoś przybił do ściany gwoździami lalki i inne dziecięce zabawki. Coś pękło w sercu Larkina, gdy patrzył na ukrzyżowane lalki, porażony nagłym wspomnieniem utraconej rodziny, przyjaciół, dzieci. Utraconych na zawsze.

A potem uświadomił sobie, że nie wszystkie lalki były tak naprawdę lalkami. Upadł na kolana i zaczął wymiotować.

Po drugiej stronie pomieszczenia Corbec, Durcan i Suth przeszli do podłużnej komnaty będącej niegdyś miejscem formalnych spotkań robotników mieszkających w habitacie. W środku było ciemno. Kilka tysięcy oczu zamrugało i spojrzało na nich. Wszystkie należały... do tej samej istoty.

Coś niewiarygodnie wielkiego zaczęło poruszać się w ciemności zmierzając w ich kierunku. Z mroku wyłoniło się oślizgłe, białe niebieskie cielsko, zrąca ślina kapiała z

otwartego szeroko pyska. Jakieś wypustki zwisały z chorobliwie plamistej skóry, a muchy zdawały się tworzyć wokół stwora ruchomy czarny płaszcz.

Z nozdrzy Corbeca trysnęła strużka krwi. Cofnął się zdjęty grozą. Suth upuścił pod nogi termiczny karabin i zaczął się wymiotować opierając się o ścianę, niezdolny ustać prosto na nogach. Durcan zamarł w miejscu jakby jego kończyny zmieniły się w skałę. Zaczął krzyczeć, przeciągle i nieustannie, podnosząc jednocześnie swój laser. Lepkie grube macki wystrzeliły z półmroku komnaty i oplotły go ciasno, a potem zacisnęły się tak szybko i mocno, że Tanithijczyk eksplodował niczym zgnieciony pomidor.

Mallor i Varl stanęli w progu sali. Ich oczy rozszerzyły się z przerażenia na widok potwornej istoty, skamieniałego Corbeca, bezbronno Sutha i krwawej miazgi, która przed momentem była jeszcze szeregowcem Durcanem.

- Demon! Demon! - zawył do komunikatora Varl - DEMON!

Gaunt podniósł rękę obwieszając dziesięciominutowy postój. Gwardziści zdjęli plecaki i usiedli na przewróconych pniach drzew. Meryn przewiesił przez ramię pakiet medyczny i pomógł Braggowi opuścić nosze na ziemię.

- O, feth! - Milo pochwycił ciche przekleństwo kaprala. Stał przy Merynie w tej samej chwili co Gaunt. Kapral spojrzał na nich i wskazał palcem rany wciąż nieprzytomnych żołnierzy.

- To ta okolica - wyjaśnił - Upał, wilgoć... zarodniki w powietrzu... insekty. Rany ulegają wtórnej infekcji w tym samym tempie, w jakim je oczyszczam. Stan Obela pogarsza się. Są tu jakieś pleśniawki zatruwające krwioobieg. Robaki zresztą też - pokręcił głową i zaczął zmieniać opatrunki.

Milo cofnął się od noszy. Zapach roztaczany przez rannych nie należał do szczególnie przyjemnych.

Opodal stał drugi pilot promu. Zdjął swój lotniczy hełm i obracał go nerwowo w rękę, drugą dłonią ścisnął rękojeść pistoletu. Niespokojnych oczu nie odrywał nawet na moment od zielonego gąszczu. Milo zauważył, że pilot jest chłopcem niewiele starszym od niego samego. Nawet skóra na skroniach lotnika była jeszcze zaczerwieniona w miejscach, gdzie wszczepiono mu gniazda interfejsów neuralnych. Musi się czuć tak samo jak ja, pomyślał Milo. Zagubiony i przytłoczony sytuacją.

Postanowił podejść do pilota i zagadnąć go, ale w tej samej chwili gdzieś pomiędzy drzewami rozległ się odległy huk wystrzałów. Gwardziści runęli płasko na ziemię, trzasnęły przesuwane bezpieczniki, akumulatory laserów pisnęły krótko. Komisarz leżał obok Mila, do

ust przycisnął mikrofon.

- Rawne? Zgłoś się - szepnął do komunikatora. Major wraz z szeregowcami Feygorem, Caffranem i Kalenem wysunął się na czoło grupy sprawdzając drogę wiodącą do tajemniczej osady.

- Jesteśmy pod ostrzałem! - Rawne odezwał się na głównym kanale - Jesteśmy przygwożdżeni do ziemi. Cholera! Na Złoty Tron! To... - połączenie zostało zerwane.

- Psiakrew! - Gaunt zerwał się na nogi - Meryn, Bragg, pilnujcie rannych! Ty, chłopcze z marynarki, zostań z nimi! Reszta za mną, rozproszona formacja!

Duchy skoczyły w tropikalny gąszcz. Milo biegł pomiędzy żołnierzami ściskając kurczowo swój pistolet. Pomimo dławiącego gardło strachu czuł dziwną dumę. Komisarz potrzebował każdego człowieka. Zabrał Brina, bo ufał, że chłopiec mu się przyda.

Corbec był już pewien, że jego życie dobiegło końca i wtedy Larkin zaczął strzelać. Widok dziecięcych ciał ukrzyżowanych na ścianie komnaty doprowadził go do szaleństwa. Zdrowy rozsądek snajpera został wyłączony przez organizm w geście ochrony przed potwornością ujrzanego widoku, przeistaczając drobnego gwardzistę w rozszalałą biologiczną maszynę. Wpadł do sali, nacisnął spust i nie zdejmował z niego palca.

- Larkin! Larkin! - wrzasnął Corbec.

Nieludzki krzyk małego Tanithijczyka przeszedł w niemalże zwierzęce zawodzenie. Jego laser umilkł wyładowany do końca i tylko iglica szczękała metalicznie w rytm naciskającego spust palca. Macki bestii cofały się w mrok, dymiąc i skręcając się w paroksyzmach bólu. Mieli chwilę na odskok w bezpieczne miejsce.

Corbec pędził swych ludzi korytarzami habitatu w stronę wyjścia prowadzącego na autostradę. Biegł na końcu grupy, wlokąc za sobą Larkina.

- Och, feth! Och, feth! Och, feth! - powtarzał wciąż snajper.

- Zamknij się, Larks! - wrzasnął pułkownik - Raglon, łącz z Dowództwem Floty! Powiedz im, cośmy tu znaleźli!

Leżąc pod osłoną paprotników szeregowiec Caffran przyłożył laser do ramienia i puścił serię wiązek prosto w leśne poszycie. W odpowiedzi tuż nad jego głową gwizdnęły pociski z bolterów, łamiące gałęzie i zmieniające pnie drzew w mokrą miazgę. Na wszystkie strony poleciały drzazgi i liście.

- Majorze Rawne! - zawołał Caffran - Komunikatory siadły!

- Wiem! - odkrzyknął Rawne padając nosem w ściółkę tuż za najbliższym drzewem,

metalowy odłamek świsnął mu nad uchem. Odrzucił miecz Gaunta i zaczął strzelać z własnego lasera.

Feygor i Kaleb leżeli obok siebie, prowadząc ogień na oślep. Cztery lasery pluły wiązkami światła w tropikalną gęstwinę, rozświetlając półmrok dżungli seriami jaskrawych rozbłysków.

Rawne wyczuł za swymi plecami jakiś ruch. Poderwał się na kolana i odwrócił gotów do strzału, ale natychmiast opuścił lufę. Zdusił w ustach przekleństwo widząc wyłaniającego się z zarośli Gaunta. Reszta Tanithijczyków skradała się za komisarzem w luźnej tyralierze.

- Raport! - wydyszał Gaunt.

- Weszliśmy prosto pod ogień ciężkich bolterów. Pozycje wroga z przodu, ale ich nie widać. Wygląda to na zasadzkę, nie mam jednak pojęcia, skąd wiedzieli, że nadchodzimy.

- Komunikator?

- Martwy... wysiadły wszystkie, nie wiadomo czemu.

- Byłoby dobrze wiedzieć, do kogo strzelamy - oświadczył komisarz i pokiwał palcem w stronę szeregowca Brostina, niosącego wyciągnięty z wraku promu miotacz płomieni.

- Na pozycje - rozkazał podwładnym Gaunt wskazując miejsca, skąd mogli efektywnie prowadzić ogień po oczyszczeniu przedpola - Brostin?

Szeregowiec uruchomił miotacz i strumień płynnego ognia zaczął pożerać dżunglę. Trzymając naciśnięty spust Brostin przesunął lufę broni na boki niczym horyzontalną fontannę płomieni. Drzewa, paprotniki i cierniowce znikły pośród ognia, czerniejąc i rozsypując się w popiół. W przeciągu dwudziestu sekund ściana dżungli znikła ukazując gwardzistom wykarczowaną i zniwelowaną przecinkę wiodącą do odległych o jakieś sześćdziesiąt metrów zabudowań.

Umilkły ostrzeliwujące ich boltery i zapadła głucha cisza.

- Lorneta - zażądał Gaunt i przyłożył podany mu przez Mila instrument do oczu.

- Co my tu mamy... - wymruczał, kiedy lorneta automatycznie dostroiła kontrast podglądu - Imperialna instalacja. Trzy opancerzone, modułowe habitaty, dwa większe wzmocnione bunkry... wszystkie insygnia i znaki zamalowane farbą. Widać obrotową antenę radionadajnika, być może to właśnie on zagłusza nasze komunikatory... są stanowiska obrony... serwitorki sprzężeni z obrotowymi wieżyczkami, automatycznie ładowane ciężkie boltery. Musiał pan wpaść na jakiś czujnik zbliżeniowy, majorze. Chyba są tylko dwie wieżyczki.

- Co to za miejsce? - zapytał Caffran.

- Bilet do domu... szansa, na którą nie liczyłem. Jeśli wydostaniemy się stąd żywi - Gaunt

umilkł na chwilę.

- Co taki posterunek robi w środku tej dżungli? - wtrącił Milo.

Gaunt spojrział na niego z ukosa.

- Sam chciałbym to wiedzieć.

Wieści nie były pomyślne. Jednostki Gwardii utknęły w miejscu, broniąc zajętych pozycji przed kontratakami nieprzyjaciela. Nie było nikogo, kto mógłby przyjść Duchom z pomocą.

- Jak możemy walczyć z czymś takim? - jęknął Suth.

Corbec pokręcił głową. Wycofał całą swoją grupę na autostradę, obserwując zza pociętych barier kompleks mieszkalny w dole. Kompleks skrywający najbardziej odrażającą istotę, jaką pułkownik kiedykolwiek widział.

- Ale to musi umrzeć - wysyczał Larkin - Nie zauważyliście? To wywołało burzę. Dopóki nie umrze, będziemy tu uwięzieni!

- Skąd możesz to wiedzieć, Larks? - zaproponował Varl.

Pułkownik nie był pewien. Instykt Larkina wielokrotnie już uratował życie innym.

- Imperatorze, miej nas w opiece - mruknął z desperacją - Myślał intensywnie. Musiał być jakiś sposób na wyjście z pułapki... co zrobiłby Gaunt? Bez wątpienia coś zaskakującego. Myśl trzeźwo, złam zasady, wyrzuć wojskowe podręczniki za okno i użyj tych zasobów, które posiadasz.

- Raglon! Do mnie! - zawołał do radiooperatora - Połącz mnie z Navarre.

Oficer porządkowy Kreff chrząknął, odetchnął głęboko i wszedł do strategium, opancerzonego sanktuarium dowódcy fregaty tuż za mostkiem. Kapitan Wysmark siedział w półmroku, ze skupieniem studiując diagramy i runiczne komunikaty wyświetlane na ścianach i suficie jego kabiny. Przesunął się lekko na obrotowym fotelu widząc wchodzącego podwładnego.

- Kreff?

- Mam, hmm, to nietypowe, sir, ale...

- Wykrztuś pan to z siebie.

- Rozmawiałem właśnie z pułkownikiem Colmem Corbecem, aktualnym dowódcą Tanithijczyków. Jego jednostka szturmuje zachodnie dzielnice Nero. Pułkownik prosi, abyśmy... aktywowali główne baterie i ostrzelali cel, który nam wskaże.

Wysmark parsknął i pochylił się w fotelu. Blask padający z ekranów monitorów rzucał na jego twarz migotliwą poświatę.

- Czy ten idiota orientuje się w podstawowych taktykach marynarki? - sapnął - Z broni orbitalnych wolno korzystać wyłącznie przed zrzutem desantu. Kiedy Gwardia jest na dole, za wsparcie odpowiada lotnictwo stratosferyczne.

Kreff skinął potakująco głową.

- Bombowce zostały odwołane ze względu na psioniczny sztorm, sir. Pułkownik zna nasze procedury i wie, że bombardowanie z orbity dalekie jest od finezji. Niemniej twierdzi, że to przypadek krytyczny i że może nam przesłać precyzyjne koordynaty celu.

Wysmark zamyślał się na chwilę.

- Pańska opinia, Kreff? Spędził pan więcej czasu z tymi ludźmi niż my pozostali wszyscy razem wzięci. Czy ten pułkownik jest szalony? Czy powinienem wysłuchać jego prośby?

- Tak... i tak, sir - Kreff uśmiechnął się nieznacznie.

Wysmark pohaustał się w fotelu, podrapał po brodzie.

- Proszę pokazać mi te koordynaty - zdecydował w końcu.

Oficer podał mu elektroniczny notes. Kapitan włączył swój komunikator.

- Sekcja radiowa, otworzyć połączenie z Dowództwem Floty. Chcę, aby monitorowali następne rozkazy. Sekcja bojowa, uruchomić główne baterie... Przesyłam lokalizację celu ataku. Do wszystkich stacji, mówi kapitan. Przygotować się do salwy z głównych baterii.

Jakie to wszystko proste, eleganckie i cywilizowane, pomyślał Kreff. Tak właśnie powinno prowadzić się wojny.

Z nieba spadł snop światła i fala uderzeniowa cisnęła ludźmi o powierzchnię autostrady. Po niebie przetoczył się ogłuszający huk detonacji. Corbec wstał krztusząc się dymem, pomógł podnieść się Raglonowi.

- Prosto w środek tarczy - uśmiechnął się do oszołomionych podwładnych.

Gwardziści podeszli do balustrady i spojrzeli w dół. W miejscu, gdzie przed chwilą wznosił się robotniczy habitat, teraz ział czernią gigantyczny krater.

- Na święty Tron Ziemi - wyszeptał Varl.

- Przyjaciele w wysokich sferach - pouczył go Corbec pokazując palcem niebo. Popatrzył przez barierkę na setki gwardzistów kryjących się w półmroku zakamarków metropolii. Już czuli zachodzące w powietrzu zmiany. Nadal wszędzie unosił się gęsty dym i zapach kordytu, ale charakterystyczny odór Chaosu znikł. Purpurowe chmury ponownie przybrały swe pierwotne barwy.

- Ruszamy! - powiedział do mikrofonu pułkownik.

Oficer komunikacyjny zasalutował podchodząc do Kreffa.



- Sygnał z powierzchni planety, sir.

Kreff skinął oczekująco głową.

- Standardowy komunikator Gwardii, bieżąca data i czas. Treść przekazu brzmi następująco: Upiorne pozdrowienia dla Navarre. Kreff, ty sukinsynu, wiemy, że to twoja robota. Koniec przekazu. Przepraszam za wulgaryzmy, sir.

Oficer komunikacyjny podniósł wzrok znad raportu.

- Proszę mi oddać ten komunikat - powiedział Kreff z trudem powstrzymując szeroki uśmiech.

Gaunt przemykał się ostrożnie w kierunku zabudowań, z odbezpieczonym pistoletem w rękę. Feygor i Caffran stąpali cicho tuż za nim. Rozległ się ledwie słyszalny pomruk siłowników i jeden z serwitorów obrócił lufę w stronę napastników, wykrywając ich obecność dzięki niewidocznym czujnikom. Gaunt uśmiercił zlobotomizowanego operatora broni trzema szybkimi strzałami. Skoczył do przodu, otworzył uderzeniem barku drzwi wiodące do najbliższego bunkra. Wpadł prosto w zimne niebieskie światło pławiące w swym blasku wnętrze budowli, przecesał wzrokiem otoczenie szukając nieprzyjaciela.

W środku panował bezruch. I cisza. Gaunt ruszył w kierunku niewielkiej salki, wabiącej go fluorescencyjną poświatą. Minał biurko, na którego blacie leżały zasuszone liście i zapisane drobnym drukiem kartki papieru. Rzucił tylko okiem na jeden z liści i już wiedział, że powinien wszystkie natychmiast spalić.

Rawne i Feygor szli tuż za komisarzem.

- Co to za miejsce? - zapytał major.

- Zobaczmy... - odparł Gaunt.

Weszli do małej szklarni. Powietrze wewnątrz pomieszczenia skraplało się pod sufitem z nadmiaru wilgoci. W przezroczystych hydroponicznych zbiornikach komisarz ujrzał dziwaczne rośliny, na widok których poczuł się chory. Napęczniałe, poruszające się o ciężale rośliny, pulsujące odrażającym życiem.

- Co to za miejsce? - powtórzył przestraszony Feygor.

- Miejsce, w którym prawdopodobnie rozpoczął się upadek Caliguli - wyjaśnił Gaunt - Jeden z tutejszych industrialistów rozpoczął hodowlę czegoś, czego natury nie pojmował. Dążenie do zwiększenia plonów było priorytetem w polityce planetarnej tego świata. Biedny głupiec nie miał zapewne pojęcia, co takiego rośnie w tych zbiornikach.

A przynajmniej mam nadzieję, że tego nie wiedział, pomyślał komisarz. Bo jeśli zrobił to z premedytacją, w zaplanowany sposób... Gaunt wyrzucił koszmarną hipotezę z myśli.

- Spalcie to. Spalcie to wszystko - polecił.

- Nie wszystko - powiedział szeregowiec Kalen stając w progu - Przeszukałem okolicę. Ktokolwiek był właścicielem tego miejsca, schował sobie przezornie mały prom w hangarze za bunkrem.

Gaunt uśmiechnął się kącikami ust. Imperator jednak nad nimi czuwał.

- Więc nie zginął? - zapytał Corbec siedząc na swojej koi w ładowni transportowca. Bragg pokręcił głową przecząco pociągając jednocześnie łyk sacry.

- Nie wiem, czy coś jest w stanie wykończyć starego Gaunta. Powiedział, że wszystkich nas stamtąd wyciągnie i zrobił to. Uratował nawet Obela i Brennana.

- Nie - odparł Corbec - Miałem na myśli Rawne'a.

Obaj spojrzeli poprzez ładownię w kierunku majora, który prowadził przyciszoną konwersację z Feygorem.

- Ach, on. Nie, tu szczęścia nam zabrakło - mruknął Bragg i oddał butelkę pułkownikowi

- No, ale słyszałem, że wy też mieliście niezłą zabawę?

# Monthax

Wysunięty posterunek, wtopiony w gąszcz podmokłych tropikalnych zarośli. Muszki i komary uwijały się wokół niczym miniaturowe chmurki. Wielkie płazy rechotały zagrzebane w błocie.

Saperzy wykopali okopy łącznikowe wiodące do każdego z sześciu wysuniętych punktów obserwacyjnych, umożliwiających tanithijskim snajperom dobry wgląd w przedpole fortyfikacji. Okopy były długie, zygzakowate, wzmocnione kompozytowymi płytami i workami z piaskiem.

Gaunt szedł dnem okopu, pochylając nisko głowę. Wymienił pozdrowienia z obsadą ciężkiego boltera, ustawionego w połowie drogi do stanowiska strzeleckiego. Gruba warstwa zalegającego na dnie okopu błota cuchnęła obrzydliwie. Wzdłuż jednej ze ścian biegł kabel telefoniczny, przymocowany do niej na długich metalowych zaczepach. Gaunt wiedział, że kabel łączy się w punkcie obserwacyjnym z przenośnym radionadajnikiem. W przypadku nieoczekiwanego ataku komisarz mógł liczyć na wieści od swych najczujniejszych obserwatorów, a stary dobry kabel telefoniczny najlepiej się w takich sytuacjach sprawdzał.

Larkin trwał na posterunku. Siedział w jamie punktu obserwacyjnego na stercie worków, polerując pieczołowicie swój karabin. Komisarz wszedł do zagłębienia dostrzegając spłoszone spojrzenie Ducha.

- Czasami sprawiasz wrażenie, jakbyś się mnie bał - powiedział cicho Gaunt.

- Ależ nie, sir. Nie pana.

- Mnie też nie podoba się taka myśl. Liczę na ludzi podobnych do ciebie, Larkin. Ludzi wybitnie uzdolnionych.

- Jest pan bardzo uprzejmy, komisarzu.

Broń małego snajpera lśniła czystością, ale jej właściciel nie przerywał pracy.

- Trzymaj się - dodał Gaunt.

Ale jak długo jeszcze wytrzymasz, dodał z troską w myślach.

## V - Anioł z Bucephalonu.

Larkin myślał o śmierci. Uważał, że w zasadzie już dawno by o nią błagał los, gdyby tylko nie budziła w nim tak ogromnego lęku. Nigdy nie rozmawiał na ten temat, ale spędził wiele bezsennych nocy na rozmyślaniach, czego tak naprawdę bardziej się boi: momentu samej śmierci czy też faktu, iż stanowi ona przejście w inny stan istnienia bez prawa powrotu. I nieraz omal nie został przez los wysłuchany. Tak wiele było już chwil, kiedy tkwił w zimnym uścisku śmierci, w uchwycie jej lodowatych szponów. Wiele razy omal nie uzyskał odpowiedzi na swoje powtarzane wciąż w myślach pytanie.

Być może przyszedł czas, by spojrzeć prawdzie w oczy. Tu i teraz. Jeśli nawet anioł znał odpowiedź na pytanie Larkina, nic nie odrzekł. Jego dumna twarz pochylona była ku posadzce, oczy zamknięte niczym we śnie, dłonie splecione w geście modlitwy na piersi.

Na zewnątrz, w dole, szalała trawiąca Bucephalon wojna. Resztki kolorowych szybek w rozbitym witrażu dźwięczały cichutko wprawiane w drżenie eksplozjami, w ich szkle odbijały się świetlne refleksy pocisków smugowych i przecinających przestworza rakiet.

Larkin usiadł na podłodze opierając się plecami o zimny marmurowy filar, potarł brudną dłonią zaciśniętą szczękę. Jego oddech uspokajał się powoli, tętno spadało, ostry atak torsji skręcający ciało Ducha jeszcze pięć minut temu prawie zniknął, sprawiając wrażenie przelotnego cyklonu.

Chociaż wciąż istniało ryzyko, że znajduje się w oku tego cyklonu. Ziemia wyraźnie zadygotała, wyczuł ruch marmurowej kolumny, o którą się opierał. Puls Tanithjczyka podskoczył na moment. Zmusił się do powolnego głębokiego oddychania przez usta, w sposób stosowany przed oddaniem strzału.

- Miałeś mi powiedzieć jak tutaj trafiłeś.

Larkin zerknął z ukosa na anioła. Z głową wciąż pochyloną ku posadzce, anioł odpowiedział mu spojrzeniem, uśmiechając się posepnie. Larkin oblizał spierzchnięte wargi i machnął w nieokreślony sposób jedną z brudnych dłoni.

- Wojna. Walka. Przeznaczenie.

- Mam na myśli dokładniejszą odpowiedź - naciskał anioł.

- Rozkazy. Wola Imperatora.

Anioł wzruszył nieznacznie ramionami.

- Jesteś bardzo pasywny w dyspacie. Ukrywasz siebie i prawdę za pustymi słowami.

Larkin zamrugał. Przez ułamek chwili przed jego oczami pojawiły się jaskrawe rozbłyски światła mieszające się z czerwonałą czernią. Krótki moment dezorientacji. Znał doskonale te objawy, pamiętał je od najmłodszych lat dzieciństwa. Zaburzenia wzroku, zawroty głowy, metaliczny posmak w ustach. Potem utrata wzroku, zakłócenia percepcji. Jeśli miał szczęście, atak kończył się gwałtowną erupcją silnej migreny, która na kilka godzin zwałała go z nóg. W przypadku pecha tracił przytomność targany konwulsyjnymi spazmami, by obudzić się kilka godzin później z mnóstwem siniaków i zaschniętą krwią na zadrapaniach skóry. Czuł się wtedy wyniszczony od środka, wyczerpany, pusty.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał anioł.

Larkin postukał wskazującym palcem w czoło.

- Jestem... nienormalny. Nigdy nie byłem. Moja matka też na to chorowała, ale nawet w połowie nie tak silnie jak ja. Ataki pojawiają się od czasu do czasu.

- W chwilach takich jak ta? W wyniku napięcia, w sytuacjach zagrożenia?

- Takie chwile jak ta faktycznie nie pomagają. Ale istnieje wiele innych katalizatorów. Wiesz, co to jest ploin?

- Nie.

- Owoc. Miękki, słodki, o zielonej skórce. Pełno czarnych nasionek w różowym miąższu. Drzewka rosły w ogrodzie mojego wuja na Tanith. Smakołyki, ale już ich sam zapach wywoływał u mnie atak.

- Nie ma na to lekarstwa?

- Miałem tabletki, ale zapomniałem je wziąć - wyjął z kieszonki małe drewniane pudełeczko, otworzył je i pokazał puste wnętrze - A raczej zapomniałem uzupełnić zapas, kiedy się skończyły.

- Jak cię nazywają inni?

- Szalony Larkin.

- To okrutne.

- Ale prawdziwe. Nie jestem zdrowy na umyśle. Jestem szaleńcem.

- Dlaczego uważasz, że jesteś obłąkany?

- Chociażby dlatego, że mówię właśnie do kamiennej rzeźby. Prawda?

Anioł roześmiał się i wygładził palcami dłoni fałdy swych białych szat opadających na zgięte w klęczkach nogi. Emanowała od niego słaba czysta poświata. Larkin zamrugał i jaskrawe rozbłyски ponownie zapłonęły przed jego oczami.

Na zewnątrz kaplicy kanonada wstrząsała wieczornym powietrzem, kule eksplozji

rozświetlały półmrok. Larkin podniósł się z podłogi i podszedł do najbliższego z okien. Wyrzał za kolorowe szybki spoglądając na widoczne w dole miasto. Gęsto zabudowana, otoczona wysokim na osiemdziesiąt metrów murem miejskim stołeczna metropolia Bucephalonu przytulała się do pobliskiego górskiego masywu. Kłęby gęstego dymu zasnuły przestworza, wiązki laserowego światła tworzyły na niebie migotliwą szachownicę. Dwa kilometry dalej mały snajper dostrzegł parę gigantycznych ramp szturmowych, wzniesionych przez saperów Imperialnej Gwardii tuż pod wałami stolicy. Wielkie przyzmy ubitej ziemi i kompozytowych płyt pięły się w kierunku blanków tworząc kilometrowej długości podesty, a były dostatecznie szerokie, by mogły po nich wjechać na szczyt muru pojazdy pancerne. Na obu rampach pojawiały się rozbłyśki eksplozji znaczące miejsca zacieklej walki.

Nieco bliżej wieży malutkie sylwetki ludzi sprawiały wrażenie wielkiego mrowiska. Tysiące stłoczonych w okopach postaci wyskakiwały spod osłony prac poprzez zrytą kraterami strefę niczyją w stronę miejskich fortyfikacji.

Punkt zajmowany przez Larkina gwarantował doskonałą widoczność. Zrujnowana wieżyca była częścią kompleksu strażniczego strzegącego dojścia do murów stolicy miejskiego akweduktu. Gigantyczna struktura wciąż stała niewzruszenie, chociaż obrońcy od samego początku okupacji próbowali zniszczyć ją za pomocą ładunków wybuchowych. Chociaż sam akwedukt był silnie strzeżony, komisarz Gaunt uważał, że właśnie tędy do środka miasta zdoła się dostać bez trudu doświadczony zespół infiltracyjny. Nie po raz pierwszy w życiu Gaunt popełnił błąd w ocenie.

Komisarz wspominał, że przed rewoltą stolicą rządziły trzydzieści dwa arystokratyczne rody, potomkowie kupieckich rodzin będących założycielami kolonii. Ich wspaniałe sztandary, bogato zdobione heraldycznymi insygniami trzydziestu dwóch królewskich domów, wciąż powiewały na grubych drewnianych drzewcach wzniesionych ponad blankami. Udekorowane szczątkami ukrzyżowanych przedstawicieli rządzących rodzin.

Egzekucja była pierwszym poleceniem wydanym przez Nokada. Nokad Światły, Nokad Śmiejący Się, charyzmatyczny przywódca kultu, który od środka przeżarł Bucephalon zdobył na własność jeden z najświetniejszych Światów Sabbat. W płomiennym przemówieniu wygłoszonym na samym początku krucjaty marszałek wojny Slaydo osobiście podkreślił wartość Bucephalonu i konieczność jego jak najszybszego odzyskania.

Pociski gwizdnęły tuż przy oknie i Larkin odskoczył natychmiast za ścianę. Drobinę szkła rozprysły się po posadzce. Iskry w jego oczach przybrały na sile, w ustach czuł coraz wyraźniejszy posmak żółci. Pojawiło się też dziwne dzwonięcie w uchu, które martwiło go najbardziej. Taki objaw miał okazję zaobserwować dopiero raz czy dwa, a wieścił on jedną z

najgorszych odmian ataku. Widział coraz gorzej, wszystkie przedmioty w kaplicy nabierały podłużnych kształtów, niczym lustrzane odbicia widywane podczas karnawału w Attice. Chwilami obraz rozmywał mu się całkowicie w oczach.

Zadygotał spazmatycznie.

Anioł podpalał knoty w wielkim żelaznym świeczniku, jego ruchy były powolne i pełne gracji.

- Dlaczego nie wierzysz w anioły? - zapytał.

- Ależ wierzę - westchnął Larkin - A raczej wierzyłem w nie wcześniej. Mój przyjaciel, sierżant Cluggan, był domorosłym historykiem militarnym. Mówił, że w czasie Bitwy o Sarolo anioły pojawiły się nad linią frontu tuż przed nadejściem świtu i powiodły imperialne wojska do zwycięstwa.

- Myślisz, że były omamami? Masową halucynacją rzesz zmęczonych i lękających się o swe życie żołnierzy?

- Kim ja jestem, żeby się na takie tematy wypowiadać - odparł Larkin, kiedy anioł zapalił ostatnią świecę - Jestem wariatem. Wizje i omamy prześladują mnie każdego dnia, większość z nich jest tworzona przez uszkodzony mózg. Nie mnie decydować, co w tym świecie jest realne, a co nie.

- Twoja opinia jest nie mniej znacząca od głosów innych. Czy tamci ludzie widzieli anioły?

- Ja...

- Powiedz, co myślisz.

- Myślę, że widzieli.

- I czym te anioły były w twojej opinii?

- Fizyczną manifestacją woli Imperatora, zesłaną dla podniesienia ducha jego sług.

- Czy w to właśnie wierzysz?

- W to chciałbym wierzyć.

- A jaką masz alternatywę?

- Ha! Zbiorowe szaleństwo! Sztuczki psioników! Kłamstwa wymyślone przez żołnierzy już po bitwie. Czy choćby grupowe halucynacje.

- A jeśli któraś z tych alternatyw okazałaby się prawdą, czy tamto zwycięstwo utraciłoby coś ze swej wagi? Cokolwiek tam ujrzeli lub sądzili, że widzą, poprowadziło ich do tryumfu. Jeśli anioł nie jest tak naprawdę aniołem, ale podnosi siłę ducha człowieka, czy powinien być traktowany jako coś pośledniejszego?

Larkin potrząsnął głową i uśmiechnął się słabo.

- Po co ja cię w ogóle słucham? Halucynacja opowiada mi o innych halucynacjach.

Anioł ujął w swe dłonie ręce snajpera. Larkin wzdrygnął się pod wpływem tego dotyku, ale natychmiast znieruchomiał, bowiem w delikatnym uścisku palców anioła krył się niezwykle spokoj. Ciepło rozlewało się po jego dłoniach, ramionach, sercu. Westchnął ponownie, tym razem głębiej, zajrzał w okrytą cieniem twarz anioła.

- Czy jestem prawdziwy, Hlaine Larkinie?

- Gotów jestem przyznać, że tak... ale to by znaczyło, że faktycznie oszalałem.

Roześmiali się wspólnie, ze splecionymi dłońmi. Brudne palce mężczyzny nikły w śnieżnobiałych dłoniach anioła. Jego zdyszany chrapliwy śmiech zmieszał się z melodyjnym dźwiękiem ust istoty.

- Dlaczego porzuciłeś swoich towarzyszy? - spytał anioł.

Zadrżał i wyrwał swe dłonie z ciepłego uścisku, próbując odsunąć się jak najdalej od rozmówcy.

- Nie mów tak!

- Larkinie... dlaczego to zrobiłeś?

- Nie pytaj mnie o to! Nie pytaj!

- Zatem nie zaprzeczasz?

Oparł się plecami o jeden z potrzaskanych filarów i spojrzał na anioła rozszerzonymi dziko oczami. Jego wzrok płał figle, jakieś rozmazane obrazy tańczyły w rozgorączkowanym umyśle. Anioł wydawał się w pierwszej chwili odległy, lecz zaraz potem urósł i zaczął nad Duchem górować. Larkin poczuł jak kurczy mu się żołądek.

- Zaprzeczyć? Ja... ja ich nie porzuciłem... ja...

Anioł wyprostował się i odwrócił plecami do Tanithijczyka. Larkin dostrzegł teraz wyraźnie srebrnozłote włosy opadające kaskadami pomiędzy śnieżnobiałe skrzydła przybysza. Anioł stał przez dłuższą chwilę z pochyloną głową, zanim odezwał się ponownie.

- Komisarz Gaunt wysłał swój oddział specjalny na akwedukt, z misją specjalną polegającą na skrytym wejściu do miasta. Głównym celem był sam Nokad. Dlaczego?

- Zniszcz głowę, a ciało umrze! Gaunt mówił, że i cały rok nam nie wystarczy, by zdobyć to miejsce, jeśli charyzma Nokada stałaby dalej po stronie obrońców! Cała cholerna stolica stała się jego Doktrynopolis, siedliskiem kultu sączącego się powoli do innych miast tego świata i poza nim!

- Co zrobiliście?

- Weszliśmy do kanałów akweduktu. Rawne i jego kompania mieli ściągnąć na siebie ogień i złamać pozycję wroga. Kompania Corbeca zamierzała prześlizgnąć się bokiem i wejść



do miasta mniejszymi kanałami.

- Nie utonąłeś?

- Kanały są wyschnięte od sześciu miesięcy. Wróg zaminował je i obstawił czujnikami, ale my mamy dobrych szperaczy.

- Byłeś z kompanią Corbeca?

- Tak. Nie chciałem tam iść... feth! Niedobrze mi było na samą myśl o takim samobójczym rajdzie jak ten, ale jestem snajperem Corbeca... i jego przyjacielem. Nalegał na to.

- Dlaczego?

- Bo jestem snajperem i jego przyjacielem.

- Dlaczego?

- Nie wiem!

- Może dlatego, że jesteś najlepszym strzelcem w całym regimencie? Jeśli ktokolwiek mógłby tego dokonać, może byłbyś to ty? A może twój przyjaciel Corbec tak naprawdę nie chciał cię zabierać na tę misję? Może bał się, że pęknie w krytycznym momencie i nie wytrzymasz napięcia?

- Nie wiem!

- Pomyśl o tym! A może pomimo swych obiekcji postanowił cię jednak zabrać, ponieważ prócz kruchego umysłu posiadasz największy talent snajperski w regimencie? Może na to właśnie liczył? I może naciskał na ciebie, chociaż wiedział o twoich słabościach?

- Zamknij się!

- Czy zawiodłeś jego zaufanie?

Larkin wrzasnął rozpaczliwie i przycisnął twarz do kamiennej posadzki. Jego niewielkie ciało zaczęło dygotać targane drgawkami prowokowanymi przez rozregulowany układ nerwowy. W jego oczach wykwitwały różnobarwne tęcze.

- Co takiego zrobiłeś? Ta walka w kanałach, na bliskim dystansie. Lopra zabity, bez głowy, Castin rozczłonkowany, Hech, Grosd, inni, krzyki, odór spalonej krwi. Corbec wzywający posiłki, snopy światła krzyżujące się w ciemnościach. I co wtedy zrobiłeś?

- Nic!

- Doprawdy? Uciekłeś. Uciekłeś stamtąd. Czołgałeś się, a potem biegłeś i biegłeś przed siebie, dopóki nie trafiłeś do tego miejsca, pozbawiony tchu i skąpany w pocie, brudny od własnych wymiotów.

- Nie - wycharczał Larkin przyciskając czoło do podłogi. Nic już nie widział, odnosił wrażenie zawieszenia w bezgranicznej pustce. Docierał do niego tylko głos anioła.

- Porzuciłeś ich. Zostałeś dezserterem.

Larkin podniósł głowę. Anioł stał przy relikwiarzu, podnosząc drewniane wieczko. Wyjął coś ze środka i włożył na swą głowę, przykrywając złotosrebrne włosy. Była to czapka. Czapka komisarza. Czapka Gaunta.

Anioł sięgnął ponownie do skrzynki i wyjął z niej coś innego, przedmiot owinięty w jasny materiał. Piękne dłonie odkryły zawartość zawiniątka. Boltowy pistolet. Ruchami wręcz nie przystojącymi ujmującej fizjonomii anioł włożył do broni zakrzywiony magazynek, wprowadził pierwszy pocisk do lufy i odciągnął bezpiecznik. Potem odwrócił się w stronę Ducha.

Jego twarz, widniejąca pod daszkiem czapki, była szczupła i podłużna. Larkin nie zwrócił wcześniej uwagi na rysy zjawy, sprawiające wrażenie wyciętych z kamienia, ostre i zacięte, do złudzenia przypominające Ibrama Gaunta. Anioł podniósł trzymającą pistolet dłoń i wymierzył jego lufę w Larkina. Wielkie białe skrzydła rozpostarły się z łopotem tworząc dwa łuki stworzone ze śnieżnych piór.

- Wiesz, co robimy z dezserterami, Larkinie? - zapytał posepnie anioł.

- Tak.

- Stworzono nas, byśmy podnosili morale i krzepili ducha, rozpalali dumę i poczucie misji w sercach żołnierzy. Lecz gdy wiara upada, przychodzi nam wymierzać karę.

- Mmówisz jjak Gaunt...

- Ibram Gaunt i ja mamy ze sobą wiele wspólnego. Podobny cel, podobne metody. Inspiracja i wymierzanie kary.

Duch odniósł wrażenie, że cały świat na zewnątrz zatrzymał się nagle, że wojna dobiegła nieoczekiwanie końca.

- Czy jesteś dezserterem?

Spojrzał na anioła, na lufę broni, na śnieżnobiałe skrzydła. Z wolna podniósł się na klęczki, potem na nogi.

- Nie.

- Udowodnij to.

Każdy mięsień w jego ciele płonął kojącym ciepłem, każdy nerw pracował bez zarzutu. Myśli płynęły rzutkim czystym potokiem. Podszedł pewnym krokiem do leżącego na posadzce plecaka.

- Udowodnij to, Larkinie! Imperator potrzebuje cię w tej właśnie chwili! Weź się w garść!

Spojrzał przez ramię na anioła. Lufa broni wciąż mierzyła w jego kierunku.

- Skąd wiesz, jak się nazywam?

- Powiedziałeś mi.

- Moje imię. Hlaine. Nigdy go nie używam. Skąd wiedziałeś?

- Ja wiem wszystko.

Duch roześmiał się szorstko, chrapliwie, otworzył plecak.

- Feth z tobą! Nie jestem dezerterem!

- Udowodnij mi to.

- Widzisz? - Larkin zdjął z pokrowca na wierzchu plecaka swój snajperski karabin.

Podniósł broń do góry i zaszczekał jego mechanizmem spustowym.

- To broń.

- Laser. Koń pociągowy Gwardii. Solidny, wytrzymały, niezawodny. Możesz nim rzucać, ciskać o ziemię, tłuc niczym pałką, trzymać pod wodą, a on wciąż będzie działał.

Anioł postąpił krok do przodu spoglądając na karabin w rękach Larkina.

- To nie jest zwykły laser. Nie standardowy model MGalaxy. Gdzie jest zintegrowany celownik optyczny, gdzie regulator potencjału kinetycznego wiązki? Ta lufa: jest zbyt długa, zbyt cienka. I tłumik płomieni wylotowych?

Larkin wyszczerzył posepnie zęby i sięgnął do wnętrza swojego plecaka.

- To wersja snajperska. Ta sama konstrukcja, ale nieco zubożona. Część modernizacji sam wykonałem. Zintegrowany celownik wymontowałem, bo używam tego - pokazał aniołowi jakiś pękaty walec, po czym założył go na uchwyt w górnej części obudowy karabinu. Kiedy ochronne pokrywki po obu stronach walca zostały zdjęte, z widocznych w podstawach walca soczewek zaczęło sączyć się czerwone światło.

- Celownik na podczerwień. Mój prywatny. Używałem go w domu do polowań na larisele.

- Larisele?

- Małe gryzonie z puszystymi futerkami. Nieźle na nich zarabiałem przed zaciągiem.

Duch przesunął dłońmi po obudowie karabinu i poklepał jego lufę.

- Wzmocniona lufa typu XC 52/3. Dłuższa od standardowej, o mniejszym przekroju. Wystarcza na jakieś dwadzieścia strzałów - kopnął lekko plecak, który zaszczekał w odpowiedzi metalicznie - Zawsze noszę ze sobą dwie albo trzy zapasowe. Można je wymienić w sześćdziesiąt sekund, jeśli się tylko wie jak to zrobić.

- Dlaczego używasz wzmocnionej lufy?

- Ze względu na zwiększony zasięg broni, lepszą celność oraz to... - wyjął z plecaka podrasowany akumulator i wsunął do slotu zasilającego - Przeladowane baterie, wypchane energią ponad limit. Wystarczają na kilka strzałów, ale mają ogromną siłę rażenia.

Wymarzona amunicja dla snajpera. To dlatego nie mam regulatora potencjału wiązki. Jeden strzał z takiej baterii wystarcza.

- Kolba jest wykonana z drewna.
- Tak, tanithijskiego drewna. Lubię to, co znam.
- A ten duży tłumik płomieni wylotowych?
- Jestem snajperem, aniele. Nie chcę, by mnie zauważano.
- Jesteś snajperem, Hlaine Larkinie? Myślałem, że jesteś dezserterem.

Duch odwrócił się plecami do rozmówcy, w każdej chwili oczekując strzału w potylicę. Jego umysł pracował na zwiększonych obrotach, a myśli były klarowniejsze niż kiedykolwiek.

- Myśl sobie, co chcesz. Powiem ci, co ja wiem.

Podszedł do łukowatego wejścia kaplicy i przyklęknął za przewróconym filarem, opierając o kamienny blok swoją broń. Miał z tego miejsca doskonałe pole widzenia na zrujnowaną bryłę akweduktu.

Pokręcił głową rozluźniając mięśnie, wykonał kilka wymachów ramionami, potem rzucił okiem przez celownik.

- Głównym zadaniem mojej kompanii była eliminacja Nokada. Posiada ogromną charyzmę. Dowodzi osobiście, a to znaczy, że niemal zawsze stoi w pierwszej linii. Ten akwedukt jest postrzegany przez obie strony za najsłabszy punkt w fortyfikacjach Bucephalonu. Zaatakowaliśmy w tym miejscu. Silnie. Nokad równie silnie będzie go bronił. Będzie też chciał podnieść morale swych popleczników, tak więc zjawi się tutaj we własnej osobie.

- A jeśli nie przyjdzie? - spytał anioł.

- Wtedy zostanie po mnie drewniana tabliczka na wojskowym cmentarzu. - Larkin nie patrzył już dłużej na rozmówcę, nie troskał się jego przerażającą aurą dostojeństwa. Anioł mógł przystawić mu pistolet do potylicy, nie dbał o to wcale.

- Wierzysz swojej lunecie? - wyszeptała istota.

- Własnoręcznie ją skalibrowałem. I tak, ufam jej. To śmieszne, ale cokolwiek dzieje się wokół, jakie by nie ogarnęło mnie szaleństwo... - Larkin zerknął przez ramię na anioła - przez lunetę zawsze dostrzegam prawdę. Ona pokazuje mi prawdziwy świat, czysty od tych przeklętych omamów zsyłanych przez chory umysł.

Zapadła długa chwila ciszy.

- Może i na ciebie powinienem spojrzeć przez lunetę? - zastanowił się głośno Tanithijczyk.

- Nie masz przypadkiem misji do wykonania, Hlaine? - odparł anioł.

- Tak, moja misja - snajper spojrział w celownik i zacisnął powieki.

- Twoje oczy są zamknięte. Co robisz?

- Cicho. Jeśli chcesz oddać strzał, musisz kontrolować swój oddech. Co więcej, twoja broń musi stanowić naturalne przedłużenie ciała - otworzył ponownie oczy i zaczął poruszać opartym o grzbiet kamiennego bloku karabinem.

- Co się stało?

- Muszę na czymś oprzeć lufę, nie może się ślizgać po kamieniu. Potrzebuję jakiejś szmaty - zaczął ściągać jedną ręką swój płaszcz próbując odedrzeć z niego fragment materiału. Z tyłu rozległ się odgłos darcia. Piękna dłoń wychynęła nad ramieniem mężczyzny podając mu długi pas białej szaty, lekki i mile ciepły w dotyku.

- Użyj tego, Hlaine.

Larkin uśmiechnął się nieznacznie. Owinął miękki materiał wokół lufy lasera, po czym oparł go ponownie o przewrócony filar. Broń spoczywała teraz w idealny sposób na twardym podłożu.

- Dziękuję - powiedział.

- Co teraz będziesz robił?

Larkin przeciągnął się lekko.

- Potrzebuję stabilnej pozycji strzeleckiej. Jeśli broń przesunie się chociaż o milimetr, strzał może potwornie spudłować. Muszę mieć solidny chwyt na broni, ale nie przesadny. Celowanie musi się odbyć w naturalny sposób. Jeśli będę cały czas koncentrował uwagę na celowaniu, chybię. Widzisz, na czym polega sztuczka?

Zamknął oczy.

- Celujesz i zamykasz oczy. Otwierasz je ponownie. Istnieje ryzyko, że w międzyczasie lufa się przesunie. Poprawiasz pozycję i zamykasz oczy.

- Ile razy musisz to powtarzać?

- Ile potrzeba - Larkin zamknął oczy, otworzył, zmienił lekko ułożenie ciała, zamknął oczy ponownie.

- Kiedy w końcu otworzysz oczy po raz ostatni, karabin będzie wycelowany perfekcyjnie.

- Bardzo wolno oddychasz - wyszeptał mu do ucha anioł - Dlaczego?

Larkin uśmiechnął się kącikami ust, nie chcąc zaprzepaścić idealnie dopracowanej pozycji.

- Kiedy już jesteś ustawiony, oddychasz w powolnym regularnym rytmie. Jesteś rozluźniony i zrelaksowany. Gdy przychodzi czas na strzał, bierzesz parę głębokich

oddechów, wstrzymujesz powietrze i pociągasz za spust. Potem ponownie głęboki oddech.

- Jak długo to potrwa?
- Dopóki nie pojawi się cel.

Nokad Roześmiany śpiewał do swych braci, gdy razem zmierzali w stronę dolnej części akweduktu. Gromada zauszników podążała za swym przywódcą, odziana w postrzępione szaty zdarte z wcześniejszych ofiar. Wszyscy potrząsali bronią w rytm pieśni, przestępując nad zakrwawionymi ciałami głupców, którzy poważyli się zaatakować jedyny słaby punkt Bucephalonu.

Nokad Roześmiany mierzył ponad dwa metry, jego ciało było muskularne i harmonijnie zbudowane. Pierścienie zwisały z jego klatki piersiowej i ramion, kolczyki, łańcuszki i cienkie kolce pokrywały opaloną skórę lśniąc równie jasno jak jego perfekcyjnie białe zęby.

- Zróbcie z nich trofea - wyszczerzył zęby Nokad mijając trupy imperialnych gwardzistów, słabych żalonych istot w ciemnych mundurach i anonimowych płaszczach. Gdzieś z przodu wciąż toczyła się walka, powietrzem wstrząsał trzask laserów.

Corbec tkwił w labiryncie kanałów odpływowych wraz z trójką pozostałych przy życiu żołnierzy. Rawne krzyczał coś na głównym kanale łączności.

- Niedobrze! Zablokowali przejście! Musimy się wycofać!
- Feth z tobą, Rawne! To jedyna droga! Musimy uderzyć, dawaj swoich ludzi do przodu!
- To samobójstwo, Corbec, ty stary ośle! Wszyscy zaraz będziemy trupami!
- Odmawia pan wykonania rozkazu, majorze? Czy to próba dezercji? Za coś takiego drogo się płaci.
- Pieprz się, wariacie! Całkiem ci odbiło!

Nokad biegł do przodu. Jego ludzie go kochali, śpiewali razem chwaląc męstwo tych, którzy odparli najeźdźców.

Przy wejściu do kanałów Nokad przystanął na moment, wznosił wysoko ręce i wykrzyczał słowa zachęty dla swych towarzyszy, wzbijające się ponad skowyt włączonego łańcuchowego miecza.

Rozległ się trzask, błysła wiązka jaskrawego światła. Głowa Nokada znikła zastąpiona gęstą ciemnoczerwoną mgielką.

Larkin upadł w progu kaplicy i zaczął wic się konwulsyjnie, targany epileptycznym

atakiem.

- Larks? Larks? - powtarzał miękko Corbec.

Mały snajper leżał zwinięty w kłębek w kałuży własnych wymiocin, na progu zdewastowanej kaplicy. Kiedy odzyskiwał świadomość, miał dziwne wrażenie lekkości w głowie, czystości umysłu wypalonego nadnaturalnym światłem. - Colm...

- Ty sukinsynu! - krzyknął radośnie Corbec pomagając przyjacielowi stanąć na chwiejnych wciąż nogach. Karabin Larkina leżał na posadzce, jego lufa była zgięta, poczerniała, przepalona.

- Dorwałeś go! Dorwałeś, stary zbójcu! Wysmażyłeś go!

- Ja?

- Posłuchaj tylko! - Corbec pociągnął Larkina w stronę wyjścia. Z zewnątrz dobiegały coraz głośniejsze wiwaty - Poddają się! Zdobyliśmy Bucephalon! Nokad został usmażony!

- Cholera... - osłabiony Larkin osunął się ponownie na kolana.

- A byłem pewien, że uciekłeś! Naprawdę! Myślałem, że zdezerterowałeś!

- Ja? - Duch podniósł z trudem głowę.

- Nigdy nie powinienem był w ciebie zwątpić - oświadczył Corbec wspierając niewielkiego mężczyznę na swym ramieniu.

- A gdzie jest anioł? - spytał cicho Larkin.

- Anioł? Nie ma tu żadnych aniołów oprócz tamtego - pułkownik wskazał palcem uszkodzoną kamienną statuetkę przedstawiającą pięknego skrzydlatego anioła klęczącego w modlitwie. Jego perfekcyjne dłonie były splecione na piersi, głowa pochylona ku ziemi. Inskrypcja na cokole statuy mówiła, że posąg ten jest symbolem Bogalimperatora, personifikacją Złotego Tronu, która przybyła do założycieli ludzkiej kolonii na Bucephalonie w pierwszych dniach jej istnienia, by czuwać nad osadnikami.

Stara legenda. Bryła kamienia.

- Ale... - zaczął Larkin, kiedy Corbec włókł do w stronę wyjścia.

- Żadnych ale! - roześmiał się pułkownik.

Snajper również wybuchnął śmiechem, histerycznym i konwulsyjnym, wstrząsającym na wskroś całym jego ciałem.

Corbec wyprowadził małego Tanithijczyka z kaplicy. Ostatnią rzeczą jaką Larkin ujrzał w tamtym pamiętnym miejscu był jego porzucony karabin, z osmalonym białym pasem delikatnego materiału wciąż owiniętym wokół lufy.

# Monthax

Nagła kanonada ciężkiej artylerii, odległa, niecierpliwa, wstrząsnęła nocnymi przestworzami nad Monthaxem, podświetliła je od dołu rozbłyskami jaskrawego światła. Stłumione echo wybuchów przetoczyło się nad bagnami niczym powarkiwanie odległych psów. Gdzieś daleko toczyła się brutalna nocna konfrontacja.

Obudzony dźwiękami wystrzałów Gaunt zwlekł się z łóżka i wyszedł z habitatu na nocny obchód. Kanonada dobiegała ze wschodu, toteż wysłał w tamtym kierunku najbliższego sierżanta, by ten sprawdził zewnętrzną linię wartowniczą. Huk ciężkich dział do złudzenia przypominał łopot szmaty targanej gorącym wilgotnym wiatrem.

Przeszedł nad płytkim potokiem idąc po prowizorycznym drewnianym mostku, po czym zagłębił się w linię drzew. W tym samym momencie z nieba zaczął padać zimny, orzeźwiający deszcz. Komisarz poczuł ogromną ulgę, ale burza szybko stawała się uciążliwa: gęste krople wody zalewały mu twarz i oczy.

Dotarł do pasa ubitej ziemi prowadzącego w stronę jednej z głównych wież obserwacyjnych, podszedł do budowli i zaczął wspinać się po jej drabinie. Wieże te, rozstawione w stumetrowych odstępach wzdłuż linii umocnień, liczyły dziesięć metrów wysokości. Wzniesiono je z obrobionych pni połączonych ze sobą poprzecznymi belkami, a na szczycie każdej znajdowało się obłożone workami z piaskiem i metalowymi płytami stanowisko broni ciężkiej. Szeregowiec Bragg siedział przy dwóch sprzężonych ze sobą ciężkich bolterach, taśmy amunicyjne leżały na podłodze wokół jego wielkich stóp. Górujący nad platformą daszek chronił go od deszczu.

- Sir! - zaszalutował mężczyzna, jego wielka twarz pojaśniała od szerokiego uśmiechu. Grzał na niewielkim przenośnym kocherze kawę, metalowe naczynia wydawały się dziwnie malutkie na tle jego niedźwiedzych rąk. Próbował też ukryć butelkę sacry stojącą obok kochera, ale ostry zapach likieru przesycił wnętrze stanowiska strzeleckiego.

Gaunt podziękował skinieniem głowy za salut.

- Jeden kubek dla mnie - powiedział - Czegóż mocniejszego.

Bragg odprężył się wyraźnie. Wlał sporą porcję alkoholu do drugiego metalowego kubka i przytrzymał go na chwilę nad wrzącym garnkiem. Gaunt jak zwykle poczuł niemałą fascynację obserwując połączenie brutalnej siły fizycznej i delikatności olbrzyma. Dłonie



Bragga były ogromne, wystarczające do zmiżdżenia ludzkiej czaszki, ale gwardzista poruszał nimi z niezwykłą ostrożnością, jakby obawiał się swojej własnej siły - lub opinii, jaką na jego temat mogliby sobie wyrobić inni.

Odbierając z rąk Ducha podgrzany likier komisarz usiadł na skrzynce z amunicją i wyciągnął dłoń w kierunku wschodniej części dżungli. Z platformy obserwacyjnej rozpościerał się znacznie lepszy widok niż z powierzchni ziemi. Flary i pociski smugowe rozpałały nocne niebo, a kiedy rdzawe opary zelżały nieco, mężczyźni dostrzegli łunę pożarów trawiących tropikalny las.

- Ktoś ma tam niezłą zabawę - mruknął Gaunt.

Bragg pokiwał głową upijając nieco sacry z kubka.

- Cztery, może pięć nieprzyjacielskich pozycji. Oddziały wsparcia piechoty. Musieli się okopać, bo ostrzał jest statyczny. Najwyraźniej znaleźli jakiś cel.

- Jeśli zbliżą się w tę stronę, będziemy musieli coś z tym zrobić.

- Niech tylko przyjdą - Bragg poklepał kolby bolterów.

Gaunt wyszczerzył zęby. Bragg był dobrym technikiem uzbrojenia, ale jego umiejętności strzeleckie pozostawiały wiele do życzenia. Niemniej jednak, z bronią o takim kalibrze i szybkostrzelności powinien był coś ustrzelić.

- Aha, póki pamiętam - podniósł głowę komisarz - zachodnie wały znów się osypują. Powiedziałem majorowi Rawne, że pomożesz jutro przy przebudowie. Będą potrzebowali silnej ręki.

Bragg skinął głową bez słowa. Jego siła fizyczna była powszechnie znana wśród Duchów, podobnie jak prostolinijność i bezinteresowna chęć pomocy innym. Czasami przypominał Gauntowi prymitywną broń, chociażby maczugę: morderczą w przypadku należytego użycia, ale trudną w operowaniu.

Bragg odpędził dłonią próbującą usiąść mu na twarzy ćmę.

- Wyjątkowo sympatyczne miejsce na obóz - zauważył ironicznie.

- Monthax nie ma zbyt wielu... atrakcji - przyznał Gaunt studiując wciąż wzrokiem postać wielkiego mężczyzny. Bragg był dziwnym człowiekiem, komisarz już dawno to zauważył. Nigdy wcześniej nie miał okazji spotkać się z istotą tak silną, a zarazem tak skrepowaną swym fizycznym potencjałem. Niektórzy postrzegali to zachowanie za przejaw głupoty i sądzili, że Bragg jest ograniczony umysłowo. Lecz on wcale nie był głupi. Na swój własny, cichy sposób był za to jednym z najniebezpieczniejszych Duchów. Dezorientowani jego fizyczną posturą, ludzie często lekceważyli ukryty za mięśniami umysł.

A umysł, Gaunt doskonale to wiedział, był najważniejszym elementem.

## VI - Ukryta siła.

Caligula, krótko po lądowaniu imperialnego korpusu.

Noce jaskrawe niczym środek dnia, rozjaśniane łunami płonących metropolii. Mroczne dnie, pozbawione słonecznego światła ze względu na wszechobecne kłęby petrochemicznego dymu. Sadza sypała się z nieba niczym czarne tłuste płatki śniegu, pokrywając wszędzie brudną suchą ziemię. Nawet tutaj, na bezludnych pustkowiach.

Głębokie rozpadliny wyrzeźbione wiatrami w jasnych skałach. Chmury drobnego fosforyzującego pyłu miotane podmuchami piaskowych burz. Rozległe, wyschnięte baseny twardej nieurodzajnej ziemi. Rozległe połacie stopionego do konsystencji szkła piasku. I wszechobecna aura śmierci, równie namacalna jak wyprażone słońcem ludzkie kości poniewierające się całymi latami na bezdrożach.

Osiemnaście wielkich ciągników siodłowych, trzydziestokołowych mechanicznych potworów, wyrzucało z tłumików błękitne kłęby spalin tocząc się wolno po czerwonej skale. Jednostki napędowe podpięte do każdej naczepy towarowej były przeszklonymi kabinami zamontowanymi na potężnych sekcjach kołowych, najeżonymi mnóstwem reflektorów, anten, osłon przeciwsłonecznych i owiewek. Wokół masywnych pojazdów śmigwały mniejsze maszyny eskorty: ciężkie motocykle i opancerzone wozy terenowe.

Palapr Tuvant, kierowca ciągnika, urodzony Caligula, przesunął lekko w bok półokrągłą kierownicę prowadzącego konwój pojazdu i zerknął na swego zmiennika. Tlewn Milloom wyglądał z kabiny kierowców spozierając jednocześnie na trzymany w ręce chronometr.

Obaj mężczyźni ociekali potem, męcząc się niemiłosiernie w żarze buchającym z umieszczonej pod ich siedzeniami sekcji napędowej ciągnika. Milloom opuścił pancerne szyby kabiny i odsunął na bok owiewki łudząc się nadzieją, iż do środka pojazdu wpadnie chociaż odrobina świeżego powietrza. Temperatura na pustkowiach przekraczała czterdzieści stopni i upał wdzierał się do wozu nie dając chwili wytchnienia. Czasami spod kratownicy silnika pryskały ciężkie krople gorącego oleju rozbryzgując się na przedniej szybie kabiny.

Milloom rozsiadł się wygodniej na swoim skórzanym fotelu i zerknął w stronę wjazdu na dachu kabiny.

- Wciąż tam siedzi?

Tuvant skinął wykonując kolejny zwrot. Obaj kierowcy już dawno przyzwyczaili się do

wstrząsów toczącego się pojazdu.

- Pewnie wystawia głowę z wieżyczki niczym pies, ciesząc się pędem powietrza na twarzy.

- Kec, ależ to głupek, co? - zaśmiał się cicho Milloom - Nie wygląda na posiadacza nawet małego mózgu.

- Typowa Gwardia, mnóstwo mięśni, zero mózgu - przyznał Tuvant - Ciekawe, gdzie oni byli, kiedy metropolie padały? Ha? Możesz mi to wytłumaczyć?

- W tranzycie na liniowcu marynarki - odpowiedział głośno szeregowiec Bragg schodząc po drabince z wjazdu wiodącego do wieżyczki. Stał w tyle kabiny trzymając się metalowych uchwytów pod sufitem, bo ciągnik ustawicznie podskakiwał na kamienistej powierzchni.

- Pułkownik-komisarz Gaunt powiedział, że przylecieliśmy tutaj tak szybko, jak to tylko było możliwe - oświadczył posyłając kierowcom uśmiech wielkiego dziecka.

- Jestem pewien, że tak powiedział - burknął Tuvant.

Bragg podszedł do foteli kierowców trzymając się wiszących pod sufitem kabiny uchwytów.

- Mamy dobry czas, prawda? - zapytał.

- Wyśmienity czas - stwierdził Milloom odsuwając się nieco od potężnego Ducha - Calphernia się ucieszy z naszego przyjazdu.

- Pewnie - uśmiechnął się Bragg wyciągając swe masywne ciało na siedzeniu za kierowcami - To dobrze. Kiedy pułkownik-komisarz mówił mi o szczegółach tej wyprawy, obiecałem mu, że dojadę na czas. Tak będzie, sir, powiedziałem mu. I będziemy, prawda?

- Tak, będziemy dokładnie na czas - skrzywił się Tuvant.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Pułkownik-komisarz będzie bardzo zadowolony.

Milloom wymruczał pod nosem kilka niecenzuralnych słów pod adresem wszechwładnego i wszytkowiedzącego pułkownika-komisarza.

- Co takiego powiedziałaś? - zapytał ostrym tonem Bragg.

Milloom chrząknął i spojrzał kątem oka na Tuvanta. Obaj kierowcy przebywali w towarzystwie wielkiego gwardzisty od trzech godzin i do tej pory postrzegali go za wielkiego, ospałego półgłówka. Jego fizyczne rozmiary robiły na nich wrażenie, ale wcale nie przeszkadzały w ustawicznym naśmiewaniu się za jego plecami. Teraz jednak Milloom zeszywniał czując że być może przebrał miarkę. Poczł dreszcz strachu na myśl o tym, że olbrzym może wpaść w gniew i użyć bezmyślnej siły w celu rozładowania swej frustracji.

- Nic... nie powiedziałem nic takiego.

- Powiedziałaś. Powiedziałaś coś na temat pułkownika-komisarza. Coś bardzo

brzydkiego.

Milloom spojrział z wystudiowanym spokojem na wielkiego Ducha.

- Nie miałem na myśli nic złego. To był tylko żart.

- Bardzo nieładny. Obelga.

- Być może, ale to tylko żart - Milloom spiął się jeszcze bardziej oczekując najgorszego, lewą dłoń opuścił niepostrzeżenie na ciężki klucz francuski spoczywający pod siedzeniem.

- W porządku - westchnął Bragg i wyjrzał za okno - Każdy ma prawo do wyrażenia własnej opinii. Tak nam mówił pułkownik-komisarz.

Milloom rozluźnił się i wymienił porozumiewawcze spojrzenie z drugim kierowcą. Co za dureń, zgodzili się obaj bez słów.

- Zatem - odezwał się Tuvant obserwując Bragg'a w tylnym lusterku. - Robicie zawsze wszystko, co wam rozkaże pułkownik-komisarz?

- Oczywiście - odparł z ożywieniem olbrzym. - Jest pułkownikiem. I komisarzem. A my jego ludźmi. Imperialna Gwardia. Tanithijski Pierwszy i Jedyny. Jesteśmy lojalni wobec Imperatora i robimy zawsze to, co nam rozkaże.

- A jeśli każe wam skoczyć do przepaści? - zaśmiał się Milloom łapiąc w lot intencje Tuvanta.

- Wtedy skoczmy. Czy to było podchwytliwe pytanie?

Konwój przemierzał ociężale pustkowia. Opuścił o świcie utwardzoną drogę wiodącą do częściowo spalonej metropolii Aurelian, zdobytej przez drugi front Gwardii założony po zdobyciu Nero. Lojaliści odnieśli wielkie zwycięstwo, ale małe zgrupowania wrogich żołnierzy wciąż jeszcze toczyły walki podjazdowe nękając linie zaopatrzeniowe Gwardii.

Podczas gdy imperialna armia tropiła i eliminowała niedobitki heretyków, na Caliguli rozpoczął się pośpieszny proces odbudowy wojennych zniszczeń. Surowce odzyskane z licznych magazynów Aurelianu zostały rozdzielone pomiędzy wymagające natychmiastowego wsparcia miasta. Jako pierwszą ekspedycję humanitarną wysłano konwój mający dowieźć pomoc do Calpherni, co oznaczało konieczność pokonania dwustu kilometrów odludnych pustkowi zwanych „strefą śmierci”.

Sześć konwojów wyjechało z Aurelianu tego poranka. Cztery zmierzały do Nero, jeden do Tiberiusu, jeden zaś do Calpherni. Duchy Gaunta otrzymały rozkaz ubezpieczania transportów. Wszyscy wiedzieli, że właśnie wyprawa do Calpherni jest najbardziej niebezpieczna, gdyż jej trasa przejazdu biegła przez terytorium znajdujące się pod kontrolą byłych robotników miejskich zbiegłych na pustkowia w trakcie wojny. Żaden pojazd nie

zdołał się tamtędy przemknąć od sześciu tygodni, a pogłoski mówiły o tysiącach ciężko uzbrojonych bandytów. Niektórzy twierdzili nawet, że grasanci mieli powiązania z Czterema Potęgami.

Każdy, w tym również sam Bragg, był szczerze zdumiony słysząc wybór Gaunta decydujący o komendzie nad konwojem. Komisarz zignorował wszystkie głosy protestu i zabrał oszołomionego Bragga do swojej kwatery na szczegółową odprawę.

Caober, Rawne, Larkin i pozostali Tanithijczycy uznali, iż zaskakująca decyzja Gaunta była w rzeczywistości aktem pogodzenia się z nieuchronną katastrofą. Konwój nie miał szans na dotarcie do Calpherni. Jego los był przesądzony, a Gaunt nie chciał tracić w bezsensowny sposób któregoś z cennych oficerów.

- I tak nasz troszczący się o wszystkich pułkownik pokazał swoje prawdziwe oblicze - wysyczał major Rawne bawiąc się rękojeścią swego srebrnego sztyletu. Inni spoglądali po sobie nerwowo, nieszczęśliwi z usłyszanych wieści, ale nie ważący się kwestionować decyzji przełożonego.

Bragg zdawał się nie dostrzegać rozpaczy swych towarzyszy, całkowicie pogrążony w pełnym dumy transie. Nawet nie wiedział, że inne Duchy mają go już za martwego. Rawne demonstracyjnie napluł pod nogi na jego widok.

Kiedy tylko gwardziści odeszli, Corbec natychmiast przyparł Gaunta do muru żądając uzasadnienia dla decyzji poświęcającej życie Bragga.

- Sir, ze mną albo Haskerem albo Lerodem konwój wciąż ma szansę na przedarcie się. Nie spisuj go na straty, nie rzucaj Bragga na pewną śmierć tylko dlatego...

- Wiem, co robię - odpowiedział krótko Gaunt, po czym wezwał do sali odpraw niebywale dumnego z siebie olbrzyma i siedemnastu innych Tanithijczyków, głęboko przekonanych o przydziale do misji, z której żaden z nich nie miał już nigdy wrócić żywy.

Konwój przetoczył się po skalistym wzniesieniu i zaczął mlec pod kołami czerwoną popękaną ziemię. Lejący się z nieba żar powodował załamania powietrza tworząc wrażenie drgającego horyzontu. Jednostka eskorty numer jeden sunęła z rykiem silnika na czele ekspedycji. Był to motocykl o gąsienicowym napędzie prowadzony przez kaprała Meryna. Szeregowiec Caffran siedział z tyłu trzymając kolbę podwójnie sprzężonych karabinów maszynowych tkwiących na obrotowym zaczepie. Obaj mężczyźni owinęli końce swych płaszczy kamuflujących wokół ust i policzków, a na oczy założyli wielkie gogle.

Meryn zatrzymał motocykl na niewielkim grzbiecie skalnym kilometr przed konwojem i odsunął płaszcz, by wypłuć z ust pełną piasku flegmę.

- Też to czujesz? - zawołał do Caffrana. - Te oczy obserwujące nas z wszystkich stron?

- To twoja wybujała wyobraźnia - odparł Caffran sprawdzając jednocześnie mechanizm spustowy karabinów. Czuł dziwne pulsowanie w głowie, którego nie tłumaczył w żaden sposób upiorny słoneczny żar. Widział wyraz twarzy pułkownika Corbeca, kiedy Gaunt mianował Bragga dowódcą konwoju. Wszyscy byli już martwi, ich los został przesądzony. Setka spalonych i ukrzyżowanych ciał znalezionych na poboczu traktu dobrą godzinę temu nie miała nic wspólnego z wybujałą wyobraźnią. Caffran poczuł na kręgosłupie lodowaty dreszcz.

Inne jednostki eskorty toczyły się przez wyschnięte pustkowie ciągnąc za sobą długie tumany kurzu. Szeregowiec Kelve jechał na jednym motorze z Merrtem, jednym ze strzelców wyborowych Larkina. Merrt zawiązał swój snajperski karabin w zatłuszczone szmaty i wsunął go pod tylne siedzenie na wypadek, gdyby w bębnach karabinu maszynowego miało zabraknąć pocisków. Kelve wjechał na niewielką piaszczystą wydnię i zatrzymał na chwilę motocykl.

Po ich lewej krążyli Ochrin i jego strzelec Hellat. Po prawej, pięćset metrów dalej, Mkendrick i strzelec Beris. Seria sygnałów wydanych rękami i wszystkie trzy motory pomknęły przed siebie w dół piaszczystego basenu, podążając wzdłuż śladów pozostawionych przez Meryna i Caffrana.

Wielkie ciągniki siodłowe z głuchym rykiem parły w ślad za przednią strażą. Na flankach konwoju krążyły trzy dalsze ciężkie motocykle: Fulke z Logrisem, Mktea z Laymonem i Tanhak z Grummedem. Za ciągnikami jechały dwa półgąsienicowe transportery Gwardii. Jeden prowadził Wheln, z Abatem i Brostinem przy broni pokładowej, drugi kierowany był przez Mkteega, Rahan i Nehn siedzieli na stanowisku obrotowej wyrzutni rakiet.

Bragg wspiał się do umieszczonej na dachu kabiny ciągnika wieżyczki, jednym uchem śledząc poszeptywania caligulańskich kierowców. Gorąco i kurz natychmiast zaatakowały jego wielką twarz, w nozdrzach pojawiło się mnóstwo pyłu. Splunął siarczyście próbując oczyścić gardło. Owinął sobie kołnierz płaszcza wokół ust i nosa, nałożył gogle i rozsmarował po twarzy pastę ochronną. Krem ten, wyciśnięty z małego metalowego pojemniczka, śmierdział okropnie, ale pułkownik-komisarz kategorycznie nakazał jego stosowanie. Bragg sprawdził wtyczkę komunikatora i włączył mikrofon.

- Bragg do wszystkich Duchów, pamiętajcie o używaniu pasty przeciwsłonecznej. Tak kazał pułkownik-komisarz. Potwierdzić.

W słuchawce rozległy się głośnie protesty.

- Bez dyskusji - oświadczył Bragg - Użyjcie jej, ludzie. Tutaj łatwo o poparzenia, powiedział pułkownik-komisarz, a nasza delikatna skóra długo tego nie wytrzyma.

Ochrin zatrzymał motocykl, wyjął z kieszeni pojemnik i rozproszoną mazistą substancję po czole i policzkach. Potem podał tubę siedzącemu w tyle Hellatowi.

Gdzieś daleko rozległ się miękki, pusty trzask.

Hellat odebrał z ręki towarzysza częściowo wyciśniętą tubkę i dopiero wtedy zorientował się, że Ochrin nie ma już twarzy. Ciało kierowcy spadło z fotela maszyny.

Hellat wrzasnął, chwycił za kolbę broni i przeciągnął długą serią po odległych wydmach. - Ochrin nie żyje! Jesteśmy pod ogniem! - wykrzyczał do mikrofonu.

Sekundę później raketowy pocisk wyrzucił motocykl wysoko w górę i rozerwał ciała obu Tanithijczyków na okrwawione strzępy niewiele większe od zaciśniętej ludzkiej pięści.

W komunikatorach wybuchła paniczna wrzawa. Mamrocząc pod nosem słowa modlitwy błagalnej zapamiętanej w szkółce Eklezjarchii na Tanith, Mkteeg zatrzymał swoją półgąsienicówkę za jedną z niewysokich wydm, a obsługa wyrzutni zaczęła posyłać raketę za raketą w górujące ponad basenem skalne klify.

Meryn zawrócił natychmiast pędząc w stronę reszty eskorty, za jego motorem ciągnęła się wielka wstęga kurzu. Caffran słał serię za serią w miejsce ostrzelane przez Hellata. Płonące szczątki motocykla dymiły na piasku.

Reszta konwoju zwolniła na dźwięk pierwszych wystrzałów. Ogień nieprzyjaciela sypał się z klifów biegnących wzdłuż prawej strony basenu, początkowo chaotyczny i nieskoordynowany, nasilający się jednak z każdą sekundą.

Mkendrick rzucił swój motocykl w ciasny skręt i wykrzyczał do mikrofonu tanithijskie zawołanie bitewne. Pokładowy cekaem milczał. Kierowca spojrzął przez ramię w stronę strzelca. Beris pólleżał na siedzeniu, w jego torsie widniała wielka wypalona na wylot dziura. Mkendrick zatrzymał maszynę, ściągnął ciało martwego towarzysza z fotela i zaczął strzelać z pozycji stacjonarnej krzycząc coś zapamiętałe.

Gdy ciężki motor zataczał szeroki łuk zmierzając do miejsca zasadzki, Merrt wiedział już, że znajduje się w świetnej pozycji do prowadzenia ognia. Strzelał krótkimi seriami stębnując wydmy pociskami ciężkiego kalibru. Krzyknął do kierowcy, by ten przyspieszył. Kelve otworzył usta, by odpowiedzieć, ale w tej samej chwili seria z ciężkiej broni maszynowej trafiła motocykl niszcząc metalową ramę i przewracając jadącą szybko maszynę.

Merrt podniósł się z piasku i potoczył wokół wzrokiem. Kelve leżał pod wrakiem motocykla wyjąc przeraźliwie z bólu. Kolumna układu kierowniczego przebiła mu brzuch i przygoździła do ziemi pod trzema tonami dymiącego żelastwa.

Merrt skoczył w kierunku towarzysza próbując podnieść wrak pojazdu, odsunąć go w bok. Kelve błagał snajpera ledwie zrozumiałym głosem, po jego policzkach ciekły łzy bólu.

Kiedy zdesperowany Duch zrozumiał, jak ciężki jest przewrócony motocykl i jak poważne obrażenia odniósł Kelve, wysłuchał prośby rannego. Wyjął z kabury pistolet i strzelił konającemu gwardziście w środek czoła. Ciało Kelve szarpnęło się spazmatycznie i zastygło w bezruchu.

Merrt padł płasko na brzuch słysząc gwizdzące nad głową pociski. Znalazł swój wyrzucony na piasek karabin snajperski, ale nie tracił czasu na dokładną kontrolę broni. Rozwinął chroniące ją szmaty i założył nowiutką baterię. W okularze lunety dostrzegł napastników - malutkie odległe sylwetki ludzi krzątające się wokół pomalowanej na kolor khaki przenośnej wyrzutni rakiet.

Pociągnął za spust, ale chybił. Skorygował ustawienia lornety zgodnie z zaleceniami Larkina, odetchnął głęboko i strzelił ponownie. Bandyta zginął na miejscu. Jego towarzysze wpadli w panikę szukając wzrokiem ukrytego zabójcę. Szybko naciskając spust zastrzelił dalszych trzech.

Trzy perfekcyjne, czyste strzały. Mistrz Larkin byłby zadowolony.

Siedzący w wieżyczce na dachu kabiny ciągnika Bragg wykrzyczał do komunikatora rozkaz przyjęcia przez konwój szyku obronnego w postaci koła. W słuchawce natychmiast rozległy się głosy kwestionujących decyzję dowódcy kierowców. Bragg uciszył ich i zaczął strzelać z cekaemu w stronę widniejących po prawej burcie wzniesień.

Ciężarówki zaczęły opornie realizować polecenie Bragga tworząc ruchomy krąg, po zewnątrz którego śmigwały wozy eskorty. Ciągniki dwa i cztery dymiły z przestrzelin, szóstka eksplodowała po bezpośrednim trafieniu rakieta w sekcję trakcyjną. Monstrualny pojazd wyleciał w powietrze siejąc na wszystkie strony metalowymi szczątkami. Kawalki blach prysły z wnętrza ognistej kuli spadając niczym deszcz na okoliczne wydmy.

Przekazując broń w ręce szeregowca Cavo Bragg zeskoczył do wnętrza kabiny kierowców. Tuvant i Milloom kryli się pod zamkniętymi oknami, przerażeni mimo chroniących pomieszczenie osłon z pancernego szkła.

- To szaleństwo, ty głupku! - zawył Tuvant - Otoczą nas i wymordują!

- Nie sądzę, żeby byli dostatecznie silni... - zaczął Bragg.

- Ty durniu! - naskoczył na niego Tuvant - Na Imperatora, tutaj są tysiące bandytów, wystarczająca liczba, żeby nas wszystkich zabić po kilka razy! Musimy się ruszać! Pozostanie w miejscu to pewna śmierć!

Bragg ruszył szybko w kierunku kierowców, a błysk w jego oczach wcale nie przypadł Tuvantowi do gustu. Jednym ruchem potężnej pięści Duch wyciągnął kierowcę z kryjówki



trzymając go za gardło.

- Ja tutaj dowodzę - warknął gniewnie - Tak powiedział pułkownik-komisarz. Jeśli uznam, że będziemy walczyć o drogę do Calpherni mikron po mikronie, zrobimy to. I wszyscy będziemy walczyć. Czy to jasne?

- Tttak... - wycharczał duszący się Tuvant.

- To mógłbyś się okazać użyteczny.

- Niby jak? - zapytał jadowitym tonem Milloom.

Bragg puścił Tuvanta i nie zwracając uwagi na wymiotującego żółcią kierowcę odwrócił się w stronę drugiego Caliguli. Milloom dzierżył w rękach swój francuski klucz.

- Nie próbuj mnie przestraszyć, Duchu!

- Jesteś naprawdę bardzo głupi - mruknął Bragg i odwrócił głowę patrząc za okno. Milloom runął do przodu biorąc zamach mający zmiażdżyć czaszkę Tanithijczyka ciężarem pięciu kilogramów zimnego metalu. Bragg uchylił się z niezwykłą zwinnością i pochwycił narzędzie w prawą dłoń.

Milloom sapnął zaskoczony czując jak Duch wyrywa mu broń z ręki. Bragg cisnął klucz pod tylną ścianę kabiny.

- Nie powinieneś był mnie atakować. Wy pieprzeni symulanci zaczynacie mnie naprawdę denerwować. Gdzie na fetha bylibyście teraz, gdybyśmy nie przylecieli wyciągnąć wasze dupy z kłopotów?

- Bezpieczni w Aurelianie, na pewno! - wrzasnął Milloom - Na pewno nie na tych cholernych pustkowiach, otoczeni przez terrorystów!

Bragg wzruszył ramionami.

- Być może. Bezpieczni razem z resztą tchórzy. Czy jesteś tchórzem, kierowco Milloom?

- Pierdol się!

- Tylko pytałem. Pułkownik-komisarz kazał mi uważać na tchórzy. Powiedział, że bym ich rozstrzeliwał na miejscu, bo są zdradzieckimi psami, które nie zasługują na łaskę Złotego Tronu. Ale ja bym ich nie zastrzelił, nie ja.

Zapadła chwila napiętej ciszy. Bragg uśmiechnął się szeroko.

- Ja bym ich po prostu walnął. Ten sam efekt. Czy chcesz, że bym cię walnął, kierowco Milloom?

- Nnie.

- Więc nie zaczepiaj mnie więcej. Wciąż możesz nam pomóc, nawet jeśli nie odróżniasz końca lufy od własnego tyłka. Zasuważ do radia i recytuj kościelną Przysięgę Posłuszeństwa. Znasz ją?

- Oczywiście, że znam! Co potem?!

- Potem ją powtórzysz, głośno i wyraźnie. Będziesz powtarzał w kółko, a jak się zmęczysz, dla odmiany zaśpiewasz jeden z codziennych psalmów na cześć Imperatora. Może Imperialną Litanię Wyzwolenia na dobry początek. Wypełnij ten cholerny komunikator wzniosłymi słowami. Dasz sobie radę?

Milloom pokiwał tylko energicznie głową i rzucił się w stronę radia.

- Dobry człowieczek - oświadczył Bragg.

Milloom zaczął śpiewać do mikrofonu wersy, których nauczył się w dzieciństwie.

Na zewnątrz wiązki laserów i karabinowe kule gwizdały gęsto w powietrzu. Żołnierze eskorty byli w coraz większych kłopotach. Meryn śmigał motocyklem w ciasnych wirażach próbując ustawić Caffranowi czystą linię strzału do zbliżających się powoli bandytów.

Fulke, Mktea i Tanhak powtarzali manewry Meryna. Logris zastrzelił czterech buntowników, Laymon zdołał zdjąć jednego, zanim zabłąkana wiązka lasera nie ścięła mu połowy czaszki trafiając prosto w rozchylone usta. Tanhak i Grummed zdobyli sześć, może siedem czystych strzałów do chwili, w której trafiła ich rakietą krótkiego zasięgu kończąc życie i tryumfalny nastrój obu Duchów. Metalowe szczątki i kawałki ludzkich ciał poleciały na wszystkie strony pośród jeziorów płonącego paliwa.

- Bragg, Bragg! Musimy się wycofać! - krzyknął do mikrofonu Wheln.

Martwy Abat zwisał ze swojego siedzenia, Brostin siał na wszystkie strony strugami ognia z ciężkiego miotacza płomieni.

Niewzruszony Bragg rozwijał pokrowiec chroniący jego osobistą broń słuchając jednocześnie jednym uchem recytacji Millooma. Olbrzym przerwał na chwilę zajęcie i poprawił palcem wtyczkę komunikatora.

- Nie, Wheln. Nie będzie odwrotu! Żadnego odwrotu!

Przełykając ślinę Tuvant podniósł się z podłogi, zdecydowany raz jeszcze porozmawiać z upartym szaleńcem, umilkł jednak widząc wyjętą z pokrowca broń. Były to dwa ciężkie karabiny maszynowe, ustawiane zazwyczaj na trójnogu lub innej podpórce. Bragg przymocował je do siebie za pomocą szerokiej taśmy izolacyjnej tak, aby móc strzelać z obu jednocześnie. Długie pasy amunicji wisały z zamków broni biegnąc do dużej skrzynki ustawionej na podłodze kabiny.

Bragg wypchnął jedno z małych bocznych okienek i wystawił lufy karabinów na zewnątrz. Spojrzał kątem oka na Tuvanta.

- Chciałeś coś?

- Nie - odparł szybko kierowca i padł na brzuch słysząc jak kilka pocisków przebija

futrynę okna tuż pod sufitem kabiny.

- Sam sobie z nimi poradzę, ale byłoby miło, gdyby ktoś podawał mi taśmy z amunicją.

Tuvant zamrugał nerwowo, podczołgał się do skrzynki z pociskami i rozplątał taśmy podtrzymując je w taki sposób, aby nie zahaczały o siebie w drodze do zamka karabinów.

- Dzięki - uśmiechnął się Bragg i nacisnął wielkim palcem oba spusty.

Karabiny zaczęły terkotać ogłuszająco. Milloom przerwał recytację i zasłonił uszy z grymasem bólu na twarzy. Tuvant trząśł się cały, ale nie przestawał pilnować przesuwających się szybko w górę taśm amunicyjnych. Metalowe łuski sypały się na wszystkie strony z dźwięcznym stukotem.

Pierwsza seria Bragga poszła wysoko ponad wierzchołkami czerwonych klifów. Uśmiechnął się bez śladu wesołości i poprawił ustawienie luf.

- Powtórz - wymamrotał pod nosem olbrzym.

- Co takiego? - jęknął Tuvant. - Nic.

Bragg zaczął strzelać ponownie, huk podwójnie sprężonych cekaemów wprawiał w drganiaabinę ciągnika. Teraz ciężkie pociski zaczęły szatkować odległe wydmy. Strugi świetlnych pocisków dosięgły czegoś, bo w powietrze wystrzelił zniecka słupek ognia i kłęby czarnego dymu. Bragg pakował w ten rejon serię za serią przez dobrą minutę.

Wysoko na wydmach, w znacznym oddaleniu od krążącego w kółko konwoju, Merrt czuł się pośpiesznie po rozpalonym piasku. W słuchawce słyszał drżący, ale zawzięty męski głos recytujący imperialny psalm, a słowa modlitwy przynosiły snajperowi dziwnie kojący nerwy spokój. Zamrugał oczami łzawiącymi od malutkich drobinek pyłu. W chwili upadku z motocykla zgubił gdzieś swoje gogle, ale nawet ich nie szukał. Mistrz Larkin zawsze powtarzał, że nic nie może się znajdować pomiędzy okularem lunety i nagim okiem strzelca. Prawdziwy świat ujrzysz tylko wtedy, gdy gołym okiem spojrzysz w lornetę, powtarzał na treningu niski mistrz strzelców wyborowych. Merrt uśmiechnął się kącikami ust wspominając futerał przy pasie Larkina, w którym mały Duch nosił swoją lunetę i przez którą popatrywał często na otaczających go ludzi. Wiem wtedy, czy nie kłamię, mawiał.

Luneta Merrta nie kłamała. Widział wyraźnie ponad trzydziestu bandytów skradających się w dół wydmy pod osłoną tumanów kurzu i kłębow dymu. Biegli ostrożnie, z pochylonymi głowami, wykorzystując każdą osłonę terenu. Merrt wziął na muszkę najbliższego. Wypuścił z ust powietrze i nacisnął delikatnie spust. Laserowa wiązka trafiła w okrągły hełm zgiętego wpół bandyty, przeszła czaszkę, kark i tors idealnie wzdłuż kręgosłupa. Trup zastygł w bezruchu na piasku.

Snajper przesunął lufę broni i strzelił prosto w twarz innego grasanta, rozglądającego się

wokół w poszukiwaniu celu. Lekki skręt ciała w lewo i w celowniku pojawił się kolejny napastnik, czołgający się w poszukiwaniu kryjówki. Głęboki oddech. Nacisk na spust. Lekki odrzut broni. Bandyta przewrócił się na bok i znieruchomiał.

Merrt skorygował ustawienia lunety i zaczął przymierzać się do likwidacji małej grupy buntowników, kiedy ich pozycja znikła nagle wśród kuli płomieni. Wybuch rakiety, domyślił się snajper.

Rahan i Nehn posyłał rakiety tuż nad ziemią, często wręcz muskając nimi piaszczyste grzbiety wydym. Mkteeg zatrzymał transporter za jednym z łagodniejszych wzniesień. Wiedząc, że strzelcom zaczynają się kończyć rakiety kierowca ustawił bieg w pozycji jałowej pracy i rzucił się do schowka pod wieżyczką, gdzie leżał zapasowy karabin maszynowy.

Wyjął broń ze skrzynki i oparł o pancerną burtę pojazdu w tej samej chwili, gdy Rahan posłał wysoko w powietrze pięć rakiet, jedną po drugiej. Pomknęły w górę niczym ogniste strzały, załamały tor lotu i spadły ku ziemi tuż za pasem wydym.

Mktea strzelał z obrotowego cekaemu Laymona dopóki rozpalona broń nie zacięła się z suchym trzaskiem. Jej lufa była rozżarzona do czerwoności. Klnąc Duch sięgnął po swój karabin i skoczył na piasek, by odczołgać się od pojazdu. Kilka sekund później pociski napastników dosięgły baku motocykla wysadzając go w powietrze. Leżący płasko na brzuchu Mktea poczuł ostry ból w nodze. Przekręcił głowę i spojrzał na swe ciało. Spodnie dymiły się, a w jednej z łydek tkwił solidny kawałek oderwanej części motocykla. Zdusił uderzeniami dłoni pelgające na ubraniu płomyki i sięgnął po sterzący z rany fragment odłamka. Był to metalowy uchwyt karabinu maszynowego. Mktea pociągnął go gwałtownie i natychmiast puścił. Ból wydawał się nie do zniesienia. Żołnierz zrozumiał, że nie zdoła wyjąć z ciała szrapnela bez pomocy lekarza. Połknął całą garść tabletek przeciwbólowych, odczekał chwilę, aż zaczną działać, po czym przeczłogał się w bardziej osłonięte miejsce i otworzył ogień ze swojego lasera.

Wheln strzelał szaleńczo z wieżyczki transportera ponaglając ustawicznie siedzącego na drugim stanowisku Brostina, który cisnął pod nogi swój miotacz płomieni i sięgnął po laserowy karabin. Bandyty nadbiegali w ich kierunku po łagodnie opadającym wzniesieniu.

Mkendrick rozumiał, że kończy się amunicja dopiero w chwili, gdy jego cekaem zaszczekał bezradnie. Bandyty byli tuż przy nim, pędząc prosto na motocykl. Duch wyszarpnął z kabury laserowy pistolet, przestrzelił głowę najbliższemu buntownikowi, drugiego postrzelił w brzuch, trzeciemu rozwalił wiązką światła prawe kolano. Jakaś kula trafiła go w lewe ramię i rzuciła gwardzistą o piasek.

Powietrzem wstrząsnął ryk silnika.

Motor Meryna wystrzelił w górę zza pobliskiej wydmy, spadł na piasek ze stłumionym hukiem i jękiem metalu. Meryn zasłonił pojazdem rannego Mkendrika, Caffran rozstrzelał z podwójnie sprzężonych cekaemów tych bandytów, którzy nie zdążyli pierzchnąć.

- Wskakuj! - wrzasnął kierowca próbując przekrzywić warkot silnika.

Mkendrick rzucił się na wolne siedzenie obok fotela Caffrana. Meryn dodał gazu i ryczący przeraźliwie motocykl popędził w kierunku następnej grupy napastników.

Strzelający z tylnego fotela motocykla Logris, jeden z członków elitarniej jednostki zwiadowczej sierżanta Mkolla, dostrzegł dziwny manewr swego kierowcy. Fulke krzychał coś bełkotliwie napierając na kierownicę, motocykl zaczął skręcać w bok oddalając się od miejsca zasadzki.

- Zawracaj! Mamy robotę do skończenia! - krzyknął Logris. Fulke odpowiedział przekleństwem i dodał gazu umykając prosto pod osłonę krążącego w kółko konwoju. Logris przechylił się ponad skrzynkami z amunicją zalegającymi u podstawy jego stanowiska strzeleckiego, zawisł nad Fulke i trzasnął głową kierowcy w opancerzony panel kontrolny motocykla. Oszołomiony Duch osunął się bezwładnie na fotel, motocykl stanął w miejscu.

Logris napluł na plecy Fulke.

- Tchórz! - wyszczał i odwrócił się w fotelu. Jacyś bandyci biegli w stronę motocykla pędząc susami po płaskiej równinie. Odbezpieczył laser i wymierzył w ich kierunku.

- No, chodźcie - powiedział, chociaż nie mogli go usłyszeć.

Bragg cofnął się od okna zdejmując palec ze spustów.

- Co się dzieje? - wysapał Tuvant.

- Wyjdźcie stąd - powiedział Bragg - Ty i Milloom, wyjdźcie z kabiny i włączcie na pakę.

- Dlaczego?

- Schemat strzelecki...

- Co?

Bragg odwrócił się w stronę kierowcy z głośnym przekleństwem.

- Schemat strzelecki! Schemat strzelecki! Koncentrują swój ogień na ciągnikach, ładunek jest im potrzebny. Jeśli chcecie być bezpieczni, przejdźcie do sekcji, którą boją się uszkodzić!

Tuvant i Milloom rzucili się do tylnych drzwi kabiny, wiodących do komory załadunkowej naczepy. Bragg wytarł wierzchem dłoni czoło. Rękę miał mokrą od potu i pobrudzoną płatkami sadzy. Włączył główny kanał radiowy i kazał załogom pozostałym ciągników zrobić to samo. Bandyci chcieli ładunku, zatem w przyczepach ludzie mogli znaleźć trochę więcej bezpieczeństwa.

Pociągnął za sobą karabiny maszynowe i skrzynki z amunicją wdrapując się z wysiłkiem na dach przyczepy.

- Zginiemy tutaj - jęknął Tuvant patrząc na setki bandytów schodzące z klifów i maszerujące ostrożnie w stronę coraz rzadziej odpowiadającego ogniem konwoju.

- Nie, nie zginiemy - odparł Bragg.

- Jesteś szalony - napluł na dach Tuvant - Otoczyli nas! Są ich tysiące! Wykończą nas jednego po drugim, bez problemu!

Bragg westchnął i przymknął oczy.

Bombowce wystrzeliły spoza pasma wzgórz, mknąc tuż nad wierzchołkami skał. Spod ich skrzydeł spadały kasetowe zasobniki.

- Była tu masa bandytów... ukrywających się na pustkowiach, praktycznie nieosiągalnych dla regularnej armii - uśmiechnął się Bragg powtarzając usłyszane od komisarza słowa - Nieosiągalnych do chwili, w której pojawił się czynnik zdolny zjednoczyć ich siły i wywabić z kryjówek. Coś takiego jak... ten konwój.

Tuvant wytrzeszczył oczy patrząc z niedowierzaniem na Ducha.

- Byliśmy przynętą?

- Tak!

- A niech cię kurwa szlag trafi!

- Przykro mi. To był pomysł komisarza-pułkownika.

Tuvant usiadł bez słowa na dachu ładowni.

Bragg przykucnął obok kierowcy. Wszędzie wokół skaliste wzgórza płonęły skąpane w morzu napalmu. Maraudery wzniosły się wyżej, włączyły dopalacze wykonując zwrot wysoko ponad pustkowiec, po czym runęły ponownie w dół wykonując drugie podejście do bombardowania.

- Tuvant?

Kierowca spojrzał na olbrzyma.

- Byliśmy przynętą, ale wciąż mamy zadanie do wykonania. Trzeba ruszać w dalszą drogę. Calphernia na nas czeka, przecież mówiłem. Tak właśnie pułkownik-komisarz...

Tuvant poczerwieniał gwałtownie.

- Jeszcze raz usłyszę ten przeklęty tytuł i mnie krew zaleje!

- Nazywa się Gaunt. To dobry człowiek. Generał Thoth kazał mu zabezpieczyć konwoje z pomocą humanitarną. Gaunt wiedział, że nie zdoła tego zrobić, dopóki klany bandytów ganiały po całej okolicy. Więc zastawił na nie pułapkę. Wielki tłusty konwój wiozący zaopatrzenie dla Calpherni.

- Po prostu pięknie.

- Ściągnęliśmy ich w jedno miejsce, żeby chłopcy z lotnictwa marynarki mogli wykończyć to towarzystwo jednym uderzeniem. Ciesz się, człowieku. Odnieśliśmy tutaj wielkie zwycięstwo.

Tuvant spojrział z ukosa na gwardzistę, jego twarz przybrała dla odmiany kolor chorobliwej błości.

- Twój pułkownik-komisarz zrobił ze mnie przynętę. Wiedziałeś o tym.

Bragg usiadł wygodnie na dachu i wciągnął w nozdrza powietrze gęste od ostrego zapachu napalmu.

- Tak, wiedziałem. Bandyci nie działali na oślep. Robotnicy z Aureliana od chwili załadunku konwoju informowali ich na bieżąco o sytuacji. Jak ci się wydaje, dlaczego to właśnie mnie pułkownik-komisarz mianował dowódcą ekspedycji?

Tuvant zamrugał nie wiedząc, co odrzec.

Bragg stuknął wielkimi dłońmi w potężną pierś.

- Jestem duży... muszę być zatem głupi. Zanik mózgu. Taki, jak wy to mówicie... kec, który poprowadzi konwój prosto w zasadzkę, a potem zamiast uciekać przyjmie najgłupszą pozycję defensywną. Idealny kandydat na idiotę mającego sprezentować ładunek bandytom.

- Ty też byłeś częścią przynęty?

- Tą słodką częścią, której nie mogli się oprzeć. Robotnicy miejscy wprost musieli to przekazać swym towarzyszom z pustkowi. Konwój jedzie, chłopcy, a dowodzi nim skończony głupek. Prawda, Milloom?

Milloom spojrział gniewnie ze swojego miejsca na dachu.

- Odwał się!

Bragg pokręcił wielką głową i wyjął z kieszeni elektroniczny notes.

- Mój przyjaciel szeregowiec Raglon, monitorował twoje transmisje radiowe. Mam je tutaj wszystkie. Skład konwoju, siła eskorty, czas przejazdu. Pułkownik-komisarz wszystko mi wytłumaczył.

- Milloom? - wykrztusił pytanie Tuvant.

W ręce zrywającego się na nogi Millooma błysnął mały automatyczny pistolet.

- Pieprzę cię, gwardyjski śmieciu!

Bragg też skoczył na równe nogi zasłaniając swym ciałem Tuvanta. Zamachnął się pięścią na uzbrojonego kierowcę.

Pistolet huknął, pocisk świsnął w powietrzu, poleciał gdzieś w dal. Ze zmiażdżoną koszmarnie twarzą Tlewn Milloom runął poprzez barierkę na krawędzi dachu ładowni. Nie

żył już w chwili, gdy jego ciało uderzyło w gorący piasek dwadzieścia metrów niżej.

Bragg odwrócił się do Tuvanta i pomógł mu wstać. Na masywnych palcach olbrzyma krzepła ludzka krew. Niebieskie niebo ponad głowami mężczyzn pokryło się gęstą kurtyną czarnego dymu.

- Był zdrajcą. I tchórzem - wyjaśnił Duch.

- Pułkownik-komisarz ci to powiedział, co?

- Nie, sam to sobie wydedukowałem. Zbierz się, czas nagli. Musimy jechać do Calpherni.



# Monthax

Rdzawy świt rozświetlił linię horyzontu. Widok ten przypomniał komisarzowi wielkie okna Schola Progenium na Ignacjusie Cardinal, gdzie wychowywał się przez długie lata po śmierci ojca. Przydymione przestworza mieniły się barwami czerwieni i ochry przechodząc w lekki fiolet i purpurę w wyższych partiach niebios, gdzie wciąż jeszcze migotały światła odległych gwiazd. Brakowało tylko witrażu ukazującego postać jakiegoś bohatera Imperium, jakiegoś świętego zastygłego w zwycięskiej pozie na spiętrzonych zwłokach pokonanych nieprzyjaciół.

Przez ułamek chwili komisarz odnosił wrażenie, że do jego uszu dociera melodyjny śpiew szkolnego chóru rozpoczynającego poranne nabożeństwo. Potrząsnął głową zwiedziony wciąż silnymi wspomnieniami. Pośród cieni zalegających w błotnistych okopach unosił się twardy, bardziej brutalny od psalmów gwardyjski hymn. Duchy rozpałały ogień przygotowując poranny posiłek. Miło kręcił się wokół nich akompaniując żołnierzom na swych dudach.

Była to zwyczajowa celebracja nowego dnia, podziękowanie dla Imperatora za bezpiecznie spędzoną noc. Rozciągająca się za linią umocnień gęsta dżungla zaczynała parować w promieniach coraz wyżej położonego słońca. Mleczne opary spowiły pnie odległych drzew. Jakże pośród tego półmroku, gęstej roślinności, błota i chmar komarów czyhały niebezpieczeństwa?

Znajdujący się opodal mężczyzna nie śpiewał. Major Rawne siedział na zrolowanym kocu przy ognisku trzaskającym przed jego namiotem. Golił się wykorzystując miskę gorącej wody, kawałek rozbitego lustra i ostrze tanithijskiego noża. Gaunt słyszał odgłos drapania towarzyszący czynności usuwania gęstego zarostu na policzkach i brodzie majora.

Komisarz przystanął zahipnotyzowany metodycznymi ruchami Rawne, sposobem, w jaki major naciągał palcami wolnej dłoni swą skórę, kiedy spoglądał w lusterko, przeciągał ostrzem po zaroście, splukiwał je w misce gorącej wody.

Nóż przeciwko nożowi, pomyślał Gaunt. Zawsze kojarzył szczupłą twarz majora z cienkim ostrzem, podłużnym i przyjemnym dla oka, ale niebezpiecznym. Nóż... lub wąż.

Obydwa określenia nie mijały się z prawdą. Gaunt podziwiał militarny talent majora, nawet jego bezwzględność, nie było jednak w tych emocjach miejsca na przyjaźń. Komisarz zastanawiał się czasami jak wiele ludzkich gardeł przeciął nóż ślizgający się teraz delikatnie

po jego podbródku. Widok golącego się w milczeniu mężczyzny mówił wiele o jego charakterze, ucieleśnił całkowitą kontrolę jaką ten człowiek sprawował nad swoim ciałem. Precyzja, perfekcja, nieznaczna różnica pomiędzy niewinnym ruchem golidła, a cięciem poprzez tchawicę.

Trzymany przez majora nóż przyciągał wzrok Gaunta. Ten szczególny nóż...

Rawne przekręcił głowę i pochwycił spojrzenie komisarza. Nie okazując żadnego zainteresowania kontynuował golenie, lecz Gaunt zdawał sobie doskonale sprawę z trawiącej serce majora żądzы wbicia noża prosto w serce komisarza.

Albo przemienienia się w węża i ukąszenia go.

Komisarz odwrócił się i odszedł w głąb obozu. Musiał pamiętać, by nigdy nie odwracać się do majora plecami. Nigdy, przenigdy. Sprawa była jasna i przejrzysta. Ibram Gaunt mógł mieć miliard nieprzyjaciół w otaczającej go galaktyce, ale jego najbardziej nieprzejednany wróg znajdował się przy jego boku, cierpliwie wyczekując chwili, w której mógłby rozprawić się ze znenawidzonym towarzyszem broni.

## VII - Wieczny lód.

Jest taka dolina na Typhonie VIII, gdzie zamrożone krzyki rozbrzmiewają ustawicznie w dzień i w nocy, przez całą wieczność. Dolina ta jest w rzeczywistości pęknięciem w skorupie lodowca o głębokości sięgającej dziewięciu kilometrów. Kiedy słoneczne promienie sięgają lodu na wierzchołkach olśniewająco białych klifów, nie sposób skupić na nich wzroku.

Poniżej lód przybiera barwy intensywnie niebieskie, później karmazynowe. Zamrożone biliony lat temu algi zabarwiły bloki lodu swymi płynami organicznymi. W dolinie tej krzyczy wiatr, rozdzierany poszarpanymi krawędziami stromych urwisk otaczających nieckę. Typhoon VIII to lodowy księżyc, skuty warstwą zmrożonej wody grubą na dobre sto kilometrów. Pod powłoką tą kotłują się w rytm rdzenia globu wielkie oceany hydrokarbonu.

Ogłuszony przeraźliwym skowytom wiatru Rawne potknął się i zjechał na brzuchu po fragmencie szkarłatnego lodu pokrywającego dno doliny. Podmuchy lodowatego powietrza szarpały mężczyznę próbując zderzyć z niego płaszcz maskujący. Pomimo zimowego okrycia, grubych rękawic i kilku warstw bielizny major czuł się potwornie wyziębiony i ospały. Uczucie to - a raczej brak zdolności odczuwania zimna - pojawiło się godzinę temu i nie budziło już zadowolenia oficera. Nie podnosił się przez chwilę z ziemi próbując doprowadzić do porządku swój karabin. Kryształki lodu sterczały na metalowej obudowie lasera, major z trudem utrzymywał go w rękach.

Padły kolejne strzały. Rawne przyzwyczał się już do charakterystycznego dźwięku wydawanego przez trafiające w warstwę grubego lodu pociski: miękkie puknięcie i syk pary. W pobliżu leżącego majora widniało w lodowych blokach wiele czarnych, idealnie okrągłych otworów. Mężczyzna wślizgnął się do głębszej rozpadliny i przywarł ciasno do jej dna.

Następne pociski gwizdnęły złowieszczo, jeden z nich przebił się przez lód tuż nad głową gwardzisty.

Zapadła cisza, a raczej jej mierny odpowiednik w wypełnionej potępińczym wyciem wichru dolinie. Major przewrócił się na plecy i podniósł głowę spoglądając w stronę, z której przyszedł. W tej części doliny nie było widać nikogo i niczego prócz skurczonego czarnego kształtu jakieś sto metrów dalej - kształtu, który jeszcze niedawno był szeregowcem Nylatem.

Martwi. Wszyscy pozostali gwardziści byli już martwi, pozostał tylko on sam.

Uniósł się wyżej, by zyskać szersze pole widzenia. Okular celownika optycznego pokrył

się cienką warstwą lodu w chwili, gdy żołnierz przyłożył go do oka. Lód powstał ze zamrożonej wydzieliny chroniącej gałkę oczną majora. Rawne zdusił przekleństwo i opuścił broń. Dzień wcześniej szeregowiec Malhoon przymroził sobie oko do celownika podczas zasadzki ogniowej na lodowych pustkowiach. Major wciąż słyszał dzikie wrzaski żołnierza, kiedy jego towarzysze uwalniali nieszczęśnika od własnej broni.

Posłał za siebie trzy krótkie serie wystrzelone na ślepo, głęboko w czerń doliny. Kilkanaście karabinów odpowiedziało natychmiast ogniem i kryjówkę majora pokryła miniaturowa nawałnica drobinek lodu roztrzaskanych pociskami prześladowców.

Jaskinie: nisko sklepione otwory w bocznej ścianie doliny powstałe wskutek powolnych, ale ustawicznych ruchów tektonicznych księżyca. Dyszący resztką sił i krwawiący ze zranionej szrapnelem nogi Rawne wpadł do pierwszej z nich i runął na twarz leżąc na posadzce lodowca przez dłuższą chwilę. Później podniósł się na nogi. W jaskini wydawał się panować niewiarygodny wręcz upał. Rawne domyślił się, że przyczyną tego wrażenia było nagłe wyrwanie się z objęć mrozącego krew wichru. Chociaż w jaskini było zaledwie kilka stopni powyżej zera, sprawiała wrażenie tropików. Gwardzista zdjął płaszcz i rękawice, po chwili namysłu rozpiął też kurtkę. Zadrzał, wyziębiony i pocący się zarazem obficie. Krople potu ciekły mu po skórze, a gorąca wilgoć wsiąkała w grube warstwy ubrań.

Obejrzał swoją nogę. Na wysokości uda w kombinezonie widniała poszarpana dziura, która przywodziła na myśl trafienie z karabinu termicznego. Dopiero po chwili major pojął, że krew nie zakrzepła na ranie, tylko zamarzła. Oderwał od skóry kawał czarnej skorupy i sycząc z bólu przyjrzał się wilgotnej dziurze w ciele.

Nie pierwszy raz w dziejach swej wojskowej kariery i na pewno nie ostatni major przeklął z pasją imię Ibrama Gaunta.

Poszukał swego pakietu medycznego i otworzył go wyjmując klamry skórne, które próbował założyć na ranę zgodnie z instrukcjami medyka Dordena. Zawartość pudełka rozsypała się po dnie jaskini. Klamry niemal skamieniały pod wpływem niskiej temperatury, a zziębnięte palce oficera nie potrafiły sobie z nimi poradzić.

Wyjęcie igły ze sterylnej pokrowca wydawało się trwać całe wieki. Upuścił pod nogi cztery albo pięć sztuk, zanim w końcu pochwycił jedną dostatecznie mocno. Wsadził ją między zęby i zaczął szukać końca nici chirurgicznej.

Kiedy nić znalazła się między sztywnymi palcami mężczyzny, zaczął walczyć z przewleczeniem jej przez oczko igły. Major miał nieodparte wrażenie, że prędzej trafiłby do odległej o tysiąc metrów tarczy strzelając ze źle skalibrowanego karabinu. Po dwudziestej

nieudanej próbie wsadził igłę z powrotem do ust i zaczął wiązać supełek na nici.

Coś trafiło go w plecy rzucając twarzą prosto w skruszony lód.

Leżał na brzuchu, obolały i oszołomiony, powoli zdając sobie sprawę z dobiegającego zza pleców pochrząkiwania i węszenia. Potwornie bolał go język, a usta pełne były krwi sączącej się z kącików wąskimi strużkami. Jakiś wielki kształt poruszał się w półmroku za majorem.

Odwrócił ostrożnie głowę i rzucił okiem za siebie.

Ork miał prawie trzy metry wysokości i niemal tyle samo w obwodzie klatki piersiowej. Niewiarygodnie wielkie węzły mięśni poruszały się pod grubą futrzaną narzutą. Dwukrotnie większa od ludzkiej głowa była podłużna, zeszepecona wysuniętą do przodu dolną szczęką, poczerniałe zęby sterczały zza szerokich warg. Major nie widział oczu stwora, czuł jedynie jego nieświeży oddech i smród kapiącej z paszczy śliny.

Udając martwego obserwował zmrużonymi oczami jak ork przetrząsa jego pakiet medyczny grzebiąc w środku torby łapskami zdolnymi skrócić ludzki kark niczym zapałkę. Obcy wyjął z pakietu rolkę bandażu, ugryzł ją, przeżuł i wypluł pod nogi.

Jest głodny, pomyślał Rawne i natychmiast poczuł ciarki biegnące w dół kręgosłupa.

Ork odwrócił się raptownie, doskoczył do nieruchomego człowieka i podniósł go w powietrze chwytając jedną łapą za kołnierz. Major dyndał nad ziemią niczym szmaciana lalka. Stwór przesuwiał drugą łapą po jego ciele szukając racji żywnościowych i amunicji.

Krew ciekła z ust żołnierza, kapiała na jego pierś. Wciąż udawał trupa, jednakże jego ręka pełzła powoli w stronę ukrytego w pochwie noża. Wielki ork szarpał nim i potrząsał mamrocząc coś tuż nad uchem człowieka, parząc go gorącym oddechem.

Rawne wymacał nóż i wyciągnął go z pochwy. Musiał przy tym zeszywnieć nieznacznie, bo ork przestał się ruszać i warknął coś w swoim prymitywnym języku. Major poderwał dłoń próbując wyprowadzić pchnięcie, ale obcy natychmiast pochwycił jego rękę w żelazny uścisk i uderzył nią w ścianę jaskini. Po dwóch takich ciosach mięśnie majora poddały się i nóż upadł pod jego nogi.

Ork zaryczał przeraźliwie ogłuszając tym dźwiękiem gwardzistę. Trzymając od tyłu człowieka obcy chwycił go za ramiona i zaczął rozdzierać tors ofiary w pół. Rawne krzyczał z bólu czując jak jego kości wysuwają się powoli ze stawów. Ork dysponował zbyt dużą siłą. Major był martwy, od strasznej śmierci dzieliły go zaledwie sekundy.

Sięgnął do ust, wyszarpnął tkwiącą w języku zadrę. Była to chirurgiczna nić. Z rany bryznęła struga krwi. Krztusząc się i parszcząc major dźgnął igłą za siebie, tuż obok głowy.

Ork zawył ponownie i upuścił człowieka. Rawne upadł na zgięte nogi, wciąż spluwając

krwią. Obcy miotał się z furią po jaskini zaciskając palce na jednym z oczu. Spod łap ciekła krew i śluz. Dźwięk zwierzęcej wściekłości niemal powalił żołnierza na ziemię.

Rawne rzucił się w stronę broni, ale ork machnął łapą i zdzielił gwardzistę na odlew posyłając go wprost na ścianę jaskini. Człowiek uderzył w blok lodu ramionami, głośno trzasnął pękający obojczyk.

Ork ruszył na leżącą ofiarę, z przebitego igłą i zmrużonego ślepiego kapłała wciągnął krew. Rawne odtoczył się w bok. Jego laser leżał po drugiej stronie jaskini, ale nóż wciąż znajdował się w zasięgu ręki.

Nóż. Ile walk wygrał dzięki tej broni? Jak wiele gardeł nią poderznął, serc przebił, rozpruł brzuchów?

Chwytał za rękojeść i stanął lekko pochylony, na ugiętych nogach, przyjmując bojową postawę nożownika.

Ork stał opodal, plecami do wejścia, w zakrwawionej łapie ścisnął olbrzymi pistolet boltowy. Powiedział coś powoli, gardłowym, wściekłym tonem. Rawne nie zrozumiał jego słów, ale pojął doskonale ich znaczenie.

Oślepił go rozbłysk płomienia wylotowego i ogłuszył huk wystrzału zwielokrotniony w ciasnym wnętrzu jaskini. Zawsze ciekawiło go, co czuje człowiek w chwili śmierci, kiedy umiera... nic nie poczuł, kompletnie nic.

W ułamku sekundy pochwycił wzrokiem wybuchającą klatkę piersiową orka. Obcy runął z łomotem na dno jaskini, niemalże rozerwany w pół. Wyciekające z potwornej rany płyny organiczne gęstniały szybko i zaczynały zamarzać.

W wejściu do jaskini stała wysoka postać zasłaniająca światło słoneczne.

- Majorze Rawne?

Pułkownik-komisarz Ibram Gaunt schował pistolet do kabury i wszedł do pieczary.

Komisarz najwyraźniej nie czuł się wiele lepiej od majora. Banda orków podjęła próbę wykorzystania chaosu panującego na rozciągniętej nadmiernie linii frontu Krucjaty i najechała Typhoon planując ustanowienie w tym miejscu bazy wypadowej pozwalającej łupić planety położone w głębi Światów Sabbat. Skierowane do rozprawy z tym zagrożeniem Duchy rozproszyły się po dolinach i lodowych płaskowyżach księżycy prowadząc uciążliwą wojnę podjazdową. Kiedy pluton majora został złapany w pułapkę na wschodnim krańcu wyjącej doliny, Gaunt wpadł w podobną zasadzkę na zachodzie. Ścigający wycofujących się gwardzistów obcy okazali się niezwykle wymagającymi adwersarzami.

Komisarz i major kucali wspólnie na środku lodowej jaskini. Rawne nie okazał w żadnej sposób wdzięczności za ocalenie życia, bo wolałby raczej zginąć z rąk orka niż zaciągnąć

dług u znienawidzonego obcoświatowca.

- Co z twoim językiem? - zapytał Gaunt rozpalając ognisko za pomocą łatwopalnych bloczków plastiku.

- A co?

- Niewiele mówisz.

Rawne splunął na ziemię.

- Jest w porządku. Czysta rana zadana ostrym instrumentem - w rzeczywistości opuchnięty język przysparzał mężczyźnie ogromnego bólu, ale zawzięty major nie zamierzał cieszyć komisarza oznakami cierpienia. Byстрыm oczom dowódcy nie uszła jednak rana w udzie oficera.

- Pokaż mi to - powiedział Gaunt.

Rawne pokręcił przecząco głową.

- To rozkaz - westchnął komisarz.

Przysunął się bliżej otwierając swój własny pakiet medyczny. Jego klamry skórne też zamrzły, ale ogrzał je przesuwając tuż nad ogniskiem, dzięki czemu zdołał ściągnąć krawędzie rozciętej skóry majora. Spryskał ranę środkiem antyseptycznym z buteleczki jednorazowego użytku. Rawne poczuł jak boląca dotąd noga drętwieje litościwie.

Gaunt przewlókł przez oczko igły nić chirurgiczną i podał majorowi jego nóż.

- Wsadź rękojeść w zęby.

Rawne nawet nie jęknął, kiedy dowódca zszywał rozdartą tkankę mięśniową. Gdy skończył, odgryzł resztkę nici, zawiązał supeł i obandażował udo. Major wypluł nóż z ust. Gaunt spakował torbę z przyborami medycznymi i ustawił nad ogniskiem niewielki kociołek wypełniony sproszkowanym lodem.

- Widzę, że Typhoon zrównał nas ze sobą, majorze - powiedział po dłuższej chwili milczenia.

- Niby jak?

- Wysoko urodzony komisarz, starannie wykształcony i obyty ze światem oraz tanithijski gangster wyposażony w swój arsenał sztuczek i podstępów. Ten księżyc uczynił nas sobie równymi. Obaj walczymy z tym samym zagrożeniem i mamy identyczne szanse na wyjście z opresji z życiem.

Rawne nic nie odrzekł, bo jego język był zbyt nabrzmiały. Spróbował tylko napluć nieudolnie na ziemię. Gaunt uśmiechnął się obserwując wrzącą w kociołku wodę.

- A może i nie. Jeśli wciąż masz ochotę mnie opluwać, nie jesteśmy sobie równi. Ja mogłem zniżyć się do twego poziomu, by ci pomóc... feth, żeby uratować ci życie! Ale w

dniu, kiedy obaj stalibyśmy się tacy sami, zabiłbym się osobiście.

- Czy to obietnica?

Komisarz roześmiał się. Wrzucił do kociołka kostki żywnościowe i zamieszał wodę przybierającą szybko formę gęstej zupy. Wciąż jeszcze się śmiał, gdy przelewał zawartość kociołka do dwóch metalowych kubków.

Wicher przybrał na sile po zapadnięciu zmierzchu. Wył na zewnątrz jaskini niczym potępiona dusza. Mężczyźni siedzieli razem przy ognisku wpatrując się w płomień. Pozostały już tylko cztery bloczki plastiku, dlatego Gaunt pozwolił ognisku nieco przygasnąć.

- Chcesz wiedzieć, jakie jeszcze są między nami różnice, majorze?

Rawne próbował wykrztusić zaprzeczenie, ale nie dał rady. Zamiast tego znów napluł pod buty komisarza. Gaunt uśmiechnął się wskazując zamarzającą flegmę.

- Ten świat może i jest wielką kulą skryzalizowanej wilgoci, ale mnie nie ujrzysz marnującego ją w tak bezmyślny sposób. Wiatr pozbawi cię jej w kilka godzin. Oszczędzaj płyny organiczne. Nie pluj na mnie, a może wyjdiesz stąd z życiem.

Komisarz odpiął od pasa manierkę i podał ją majorowi. Rawne po chwili namysłu napił się do syta.

- Jeszcze jedno. Jest tu ciepło. Ciepłej niż na zewnątrz, ale wciąż zaledwie kilka stopni powyżej zera. Zdażyłeś się już do połowy rozebrać, a mimo to masz dreszcze.

Gaunt wciąż miał na sobie pełny uniform i ciasno ściągnięty płaszcz. Rawne pojął w mig swą głupotę i zaczął zapinać kurtkę szukając jednocześnie własnego płaszcza.

- Dlaczego? - zapytał zduszonym, chrapliwym głosem.

- Dlaczego? Bo wiem... walczyliśmy już w takich strefach klimatycznych wcześniej.

- Nie o to mi chodzi... dlaczego starasz się utrzymać mnie przy życiu?

Gaunt milczał przez dłuższą chwilę.

- Dobrze pytanie... - odparł w końcu - Wiem dobrze, jak bardzo chciałbyś zobaczyć mnie martwego. Ale ja jestem komisarzem Imperialnej Gwardii, przedstawicielem Imperatora i opiekunem jego ludzkich legionów. Nie pozwolę ci umrzeć. To mój obowiązek. Dlatego uratowałem cię tu i teraz, dlatego też uratowałem resztę Duchów przed zagładą na Tanith.

Zapadła chwila ciszy przerywanej jedynie trzaskiem płomieni.

- Wiesz dobrze, że nigdy tego nie zaakceptuję - odpowiedział zimnym głosem Rawne - Zostawiłeś Tanith na śmierć. Nie pozwoliłeś nam zostać i walczyć za nie. Nigdy ci tego nie wybaczę.

- Wiem - skinął głową komisarz - Nie chciałem, by to się tak skończyło.



Rawne opatulił się szczelniej płaszczem i ułożył do snu. Czuł w swym sercu tylko jedną rzecz. Nienawiść.

Świt nadszedł niezauważony i wątle światło poranka sączyło się do jaskini przez otwór wejściowy.

Gaunt spał przykryty płaszczem, z jego ust buchały obłoczki pary. Rawne podniósł się powoli i przeciągnął walcząc z drętwotą mięśni i bolesnym uczuciem przenikliwego zimna. Ogień już dawno zgasł.

Obszedł wkoło jaskinię, popatrzył na Gaunta. Czuł igielki bólu drażące tkankę w zranionej nodze, potłuczonych ramionach, w ustach. Ból szybko przywrócił mu trzeźwość umysłu. Podniósł swój tanithijski nóż, oczyścił klingę z warstewki lodu i przyłożył ją do gardła śpiącego komisarza.

Nikt się nie dowie. Nikt nie znajdzie ciała, a jeśli nawet... Gaunt poruszył się przez sen. Wykrztusił dwa razy nazwę Tanith, a jego gałki oczne poruszyły się pod powiekami. Potem zaczął mamrotać zdławione słowa.

- Nie damy im zginąć! Nie wszystkim! Na Imperatora, Sym! - głos mężczyzny przeszedł w niezrozumiały pomruk. Rawne zacisnął palce na rękojeści noża. Wahał się.

Gaunt znów coś zamruczał, niskim, monotonnym tonem.

- Nie, nie, nie, nie... płonie... płonie... nie chciałem... nie chciałem...

- Czego nie chciałeś? - syknął Rawne i podniósł rękę mierząc czubkiem noża w gardło ofiary.

- Tanith... na Imperatora...

Major zerwał się z klęczek, zmienił chwyt palców na rękojeści noża. Zamiast przeciągnąć nim po tchawicy komisarza cisnął ostrzem w stronę otworu wejściowego jaskini, prosto w gardło skradającego się powoli orka.

Gdy obcy runął z charkotem na posadzkę groty, Rawne usłyszał chrapliwe krzyki na zewnątrz. Kopnął dowódcę w żebra, chwycił swój laser i zaczął strzelać szaleńczo.

- Mają nas, Gaunt! - wrzasnął - Mają nas!

Przez osiem szalonych minut ich karabiny nie milkły. Wyrwany z głębokiego snu komisarz natychmiast otrzeźwiał. Sześć orków wcisnęło się do jaskini, ale pozbawione osłony mogły jedynie umierać z rykiem bólu. Dwójka imperialnych żołnierzy miała przewagę wysokości i strzelała z pozycji leżącej. Wielkie cielska padały na śliskie dno jaskini i zsuwały się po pochyłości w stronę wejścia, dymiąc na karmazynowym lodzie.

Rawne zastrzelił ostatniego obcego. Gaunt wysunął się na zewnątrz kryjówki i zaczął przepatrywać okolicę przez optyczny celownik broni.

- Nie możemy tutaj zostać - oświadczył - Kanonada na pewno zwróciła ich uwagę.

- Mamy tu osłonę - zaprotestował major.

Gaunt kopnął bryłę lodu leżącą w wejściu do jaskini.

- Mamy tu grobowiec. Część z nich zmusi nas do wycofania się w głąb pieczary, a reszta zawali wejście i pogrzebie nas żywcem. Musimy stąd ruszać. I to szybko.

Porzucili posłania i część cięższego ekwipunku. Gaunt pakował w pierwszej kolejności amunicję i jedzenie, Rawne pakiety wybuchowe. Minutę później biegli już po lodowej skorupie tworzącej dno doliny, a zimny wiatr szarpał ich płaszczami.

Dwanaście kilometrów dalej promienie wschodzącego słońca rozpałały blaskiem ścianę doliny, ale w miejscu, gdzie biegli obaj żołnierze wciąż panował głęboki półmrok. Lodowe bryły w kolorze szkarłatu sprawiały wrażenie bloków wykutych z marmuru... albo zamrożonego mięsa w chłodni rzeźnika. Gdzieś w oddali rozległy się wystrzały. Gwardziści biegli wytrwale, pochyleni do przodu i zgięci w pół, skaczący od osłony do osłony.

Jakieś tysiąc metrów od jaskini zatrzymali się na chwilę, by złapać oddech i wytrzeć zalewający oczy pot. Przysiedli za stertą brył lodu, które spadły w to miejsce z górnych części klifu.

Rawne wyczyścił ostrze noża z orczej krwi i odciął kawałek materiału ze swego płaszcza. Zgubił gdzieś jedną rękawicę i smagana wiatrem dłoń zeszywniała mu już niemal całkowicie. Owinął ją ciasno materiałem tworząc prowizoryczne okrycie.

Gaunt dotknął ramienia majora i pokazał palcem w głąb doliny, w stronę, z której uciekali. Światła, duże silne lampy, poruszały się w oddali rzucając snopy blasku na dno lodowej depresji. Pojazdy. Wiatr wył zbyt głośno, by można było usłyszeć warkot pracujących silników.

- Chodźmy - powiedział komisarz.

Z dołka wyciętego pośpiesznie w lodzie obserwowali uważnie przejeżdżające pięćset metrów dalej pojazdy. Były to cztery duże orcze wozy, pomalowane na czarno i buchające kłębamii spalin. Z przodu miały bardzo grube opony z dowieszonymi łańcuchami, z tyłu płozy lub gąsienice. Na każdym wozie oprócz kierowcy jechało przynajmniej dwóch innych obcych, pilnujących ciężkich karabinów maszynowych na obrotowych zaczepach. Półciężarówki przemknęły obok kryjówki ludzi hałasując głośno, dostatecznie blisko, by gwardziści dostrzegli nabazgrane na ich burtach znaki plemienne i poczuli ostry zapach

paliwa.

Kiedy wozy znikły w mroku, Gaunt spróbował się podnieść z lodu, ale Rawne pociągnął go z powrotem w dół.

- Wiedzą jak szybko może się poruszać pieszy - powiedział major i chwilę później w przeraźliwe skowyczenie wiatru wdarł się ponownie dźwięk orczych silników. Pojazdy wracały, tym razem wolniej, ich załogi szukały uparcie przeoczonych ofiar. Jeden skręcił na zachód, dwa pojechały w głąb doliny. Czwarty zawrócił szerokim łukiem i zaczął sunąć prosto na ludzi, przepatrując mroczne zakamarki wzdłuż podnóża lodowego klifu.

Mężczyźni zostali złapani w pułapkę. Próba ucieczki równała się z wystawieniem pleców na kule obcych natychmiast po opuszczeniu kryjówki. Przywarli jeszcze mocniej do lodu.

Wóz zwolnił i jeden z orków zeskoczył z paki. Idąc obok pojazdu strzelał w mijane otwory wejściowe do kompleksu połączonych ze sobą jaskiń i rozpadlin. Jego towarzysz stał za zamontowaną na uchwycie ciężką bronią omiatając okolicę jej lufą. Pojazd był coraz bliżej... Gaunt odwrócił się w stronę majora i wskazał jego laserowy karabin.

- Lepszy zasięg, lepszy celownik. Zdejmij strzelca na pace.

- Nie kierowcę?

- Jeśli strzelec zginie, kierowca może tylko jechać. Jeśli on umrze, strzelec wciąż może użyć broni. Rozwal strzelca... a kiedy go załatwisz, zajmiesz się piechurem.

Rawne przytaknął i chuchnął kilka razy na swój celownik, by rozmrozić warstewkę lodu pokrywającą okular. Ostrożnie i cichutko wymienił baterię na pełną, ale pomimo zawodzenia wiatru szcęk wkładanego akumulatora jawił mu się hukiem wystrzału. Kątem oka widział jak Gaunt robi to samo ze swoim boltowym pistoletem.

Półciężarówka skręciła prosto na kryjówkę ludzi, snopy światła rzucane przez przednie reflektory rozświetliły powierzchnię szkarłatnego lodu, przez co jeszcze bardziej przypominała ona zamrożone mięso. Rawne przyłożył oko do celownika. Nie był tak wybornym strzelcem jak Larkin czy Elgith, ale też nie należał do najgorszych. Odczekał jeszcze chwilę, by zyskać pewność, iż nie spudłuje. Skupił się wyłącznie na celu - mrocznej sylwetce na pace wozu, górującej ponad światłami. Coraz bliższej... Rawne nacisnął spust.

Laserowa wiązka trafiła w ciemny kształt za kabiną kierowcy. Półmrok rozświetliły dwa jaskrawe błyski, rozległa się seria donośnych wybuchów. Pojazd skręcił gwałtownie w bok, zakołysał się na gaśnicach, stanął. Rawne zrozumiał, że słyszy wystrzały z broni kulowej.

Postrzelił operatora broni ciężkiej, ale jego wiązka zdołała jeszcze przepalić zamek obrotowego karabinu detonując zawartość pasa amunicyjnego. Dymiące ciało strzelca runęło na podłogę wozu, a w powietrzu zaczęły śmigać odpalone samoczynnie pociski ciężkiego

kalibru przywodząc tym widokiem na myśl świąteczne fajerwerki. Kierowca pojazdu też nie żył, metalowy szrapnel strzaskał mu potylicę.

Obaj mężczyźni zaczęli biec w kierunku pojazdu. Idący pieszo ork ruszył w ich stronę strzelając z biodra. Boltowe pociski gwizdnęły obok gwardzistów i zaryły się w lód. Rawne krzyknął coś niezrozumiale i puścił serię z lasera. Dwie wiązki sięgnęły orka i powaliły go w śnieg, obcy zaczął rzucać się konwulsyjnie i dygotać.

Gaunt dopadł burty półciężarówki i zmarszczył machinalnie nos czując odór spalonego mięsa. Karabin maszynowy i trup strzelca wciąż się paliły, ale płomienie nie przeskoczyły na resztę wozu. Komisarz kucnął, gdy kolejny pocisk wyrwał się z taśmy amunicyjnej i gwizdnął w powietrzu. Potem zapadła cisza.

Wskoczył na pakę pojazdu i strzelił z przyłożenia w plecy kierowcy, chociaż pewien był, że ork nie żyje. Zbyt wiele słyszał już opowieści o niezwykłej zdolności tych obcych do regenerowania śmiertelnych obrażeń, by teraz ryzykować. Wyrzucił osmalone zwłoki strzelca na zewnątrz i zaczął mocować się z samą bronią. Na zaczepie wisiała dźwignia pozwalająca zdjąć karabin i bębny amunicyjne ze stojaka. Gaunt przywarł do wajchy, ale nie potrafił jej pociągnąć, dłonie ślizgały się po ubrudzonym od oleju metalu. Tej dźwigni nie zaprojektowano z myślą o człowieku. Naparł całym ciężarem ciała na pręt, klnąc i sapiąc z wysiłku, przekonany o tym, że lada moment kolejny pocisk wybuchnie mu prosto w twarz.

Zamek puścił. Z szarpnięciem, które niemal naderwało mu mięśnie ramion, komisarz zerwał karabin z uchwytu i wywalił go za burtę. Kiedy sterta dymiącego żelastwa uderzyła w lód, w bębnie wybuchły trzy kolejne pociski, sypiąc na wszystkie strony odłamkami metalu i kawałkami szkarłatnego lodu.

Rękawice Gaunta zapaliły się od rozpalonej do czerwoności lufy broni, toteż zdarł je pośpiesznie z rąk i cisnął za burtę. Przeskoczył do kabiny kierowcy i zaczął szarpać trupa siedzącego za kierownicą próbując wywlec go z fotela. Blisko osiemset kilogramów martwego cielska stawiało zaciekły opór.

Komisarz wyrzwał z kabiny szukając wzrokiem majora. Rawne dobijał właśnie nożem konającego opodal orka. Gaunt przekrzyczał zawrodozenie wiatru wzywając towarzysza do siebie.

Wspólnymi siłami wyrzucili na zewnątrz pojazdu zabitego kierowcę. Zamarzający już trup grzmotnął o lód niczym wielki wór kamieni. Gaunt zajął miejsce w dziwnie przestronnym dla zwykłego człowieka kokpicie, cuchnącym świeżą krwią i zastygłym potem. Obejrzał kierownicę, znalazł umieszczone przy podłodze pedały. Pierwsza próba uruchomienia silnika szarpnęła wozem, który skoczył do przodu przewracając stojącego na

pace majora. Gaunt szybko pojął zasady sterowania wozem, stanowiącym bardziej prymitywną wersję samochodu terenowego, którym komisarz jeździł wraz z ojcem wiele lat temu. W kabinie znajdował się pedał gazu oraz ręczny hamulec, chociaż mechanizm jego działania ograniczał się do opuszczenia spod podłogi masywnego metalowego pręta mającego za zadanie wryć się w lód i zatrzymać pędzący wóz. Używać można go było wyłącznie po zdjęciu nogi z gazu, bo jednoczesne dociskanie pedału do podłogi i zaciągnięcie hamulca groziło rozerwaniem całego podwozia pojazdu i wybebeszeniem silnika. Po lewej stronie kierownicy widniały trzy przekładnie biegów. Na desce rozdzielczej znajdowały się zegary opisane orczymi hieroglifami, których komisarz nie rozumiał, ale w mig domyślił się ich znaczenia obserwując ruchy strzałek.

- Trzymaj się, majorze! - zawołał i ruszył w kierunku odległego krańca doliny. Rawne starał się złapać odpowiedni uchwyt na pace, pęd lodowatego powietrza smagał jego twarz i kark.

Gaunt wkładał całą swą siłę w prowadzenie wozu. Potężna maszyna podskakiwała na każdej nierówności terenu, ale oficer szybko nauczył się oceniać rodzaj terenu przed sobą i wiedział już, które zwały lodu lepiej ominąć, a które staranować bez ryzyka wpadnięcia w poślizg. Kierownica nie miała żadnego wspomagania, dlatego musiał z nią walczyć szaleńczo, bo wciąż wrywała mu się z rąk. Zrozumiał, że nie ma najmniejszych szans rozwinąć takiej prędkości jak znacznie od niego mocniejsze orki, bo pojazd wymagał do prowadzenia nakładu sił dalece przewyższającego możliwości ludzkiego śmiertelnika.

Półciężarówka skakała, trzęsła się i ślizgała, spod kół i gąsienic tryskały grudy rozbitego lodu. Po ostatnim wyjątkowo brutalnym upadku z niewielkiego wzniesienia silnik pojazdu zgasł raptownie. Pod kierownicą znajdował się włącznik, ale jego desperackie naciskanie nic nie dawało.

Rozglądając się po kabinie Gaunt dostrzegł rezerwowy starter nożny tuż obok dźwigni hamulca. Zaczął kopać go wściekle.

- Gaunt!

Spojrzał za siebie. Rawne stał wyprostowany na pace wskazując coś w oddali za pojazdem. Kilometr dalej trzy ciemne kształty sunęły po lodzie wyrzucając z rur wydechowych kłęby spalin. Jadące nimi orki, silniejsze od ludzi i bardziej doświadczone w prowadzeniu śnieżnych pojazdów, szybko skracaly dystans dzielący je od uciekinierów.

Komisarz zaczął kopać starter ze zdwojoną zaciekłością i w końcu silnik zaskoczył ponownie przy wtórze jęku naciskanej bezlitośnie dźwigni gazu.

Wóz zabuksował kołami w miejscu, potem odzyskał przyczepność i skoczył do przodu.

Komisarz pędził z największą prędkością, na jaką mógł sobie pozwolić. Jedną zbyt późno dostrzeżoną szczeliną, jedno gotowe spowolnić ich wzniesienie i orki dopną swego. Albo też obaj zginą przygniecieni ciężarem koziółkującego pojazdu.

Wydostali się z pogrążonej w wiecznym półmroku doliny i wjechali na bezkresną równinę skąpaną w słonecznych promieniach. Obaj mężczyźni oślepli na moment i po omacku zsunęli na oczy gogle przeciwsłoneczne.

Przed półciągarówką rozciągało się lodowe morze. Biały, szkarłatny, purpurowy i zielony lód tworzył barwną mozaikę na lekko pomarszczonej, zastygłej w uścisku zimna powierzchni akwenu. Tysiące kilometrów odkrytej przestrzeni biegły aż do horyzontu, gdzie gładka tafla lodu zdawała stykać się z czernią kosmosu. Słoneczny blask skrzył się miriadami rozbłysków.

Morze zamarzło najwidoczniej w trakcie przyływu, bo lód pofałdowany był na kształt niewielkich fal i wóz poruszał się nieustannie w górę i w dół. Silnik ryczał donośnie po każdym skoku w powietrze, miażdżony gąsienicami lód pryskał na wszystkie strony. Gaunt ledwie panował nad rozpedzoną maszyną. Rawne zamierzał ostrzelać ścigających pojazd orków, ale z powodu szaleńczej jazdy po muldach nawet nie mógł o tym marzyć, sam bowiem musiał się z całej siły trzymać uchwytów na pace, by nie wypaść z wozu. Leżąc płasko na podłodze platformy po raz pierwszy dostrzegł dziury w metalowej płycie. Były to otwory po szrapnelach rozrzuconych eksplozją pokładowego karabinu maszynowego. Z dziur buchał zapach paliwa. Major doczołgał się powoli do tylnej burty półciągarówki i wyjrzał na zewnątrz. W ślad za pojazdem po lodzie ciągnęła się brązowa smuga.

- Tracimy paliwo! - krzyknął - Bak jest przebity!

Gaunt zaklął. Teraz już wiedział, dlaczego strzałka jednego z zegarów tak szybko opadała ku zeru.

Orczy pościg zbliżał się coraz bardziej, wokół pojazdu zaczęły świstać pociski z ciężkich bolterów. Szrapnele dziurawiły powierzchnię lodu znacząc ją małymi fontannami kryształków.

Gaunt uświadomił sobie, że jego nagie dłonie zaczynają przymarzać do metalowej kierownicy. Ból wycisnął mu z oczu łzy zmieniające się w bryłki lodu natychmiast po wycieknięciu poza ochronne gogle.

Dwa pociski ciężkiego kalibru wystrzelone z orczej półciągarówki przeleciały nad wozem Gaunta i spadły daleko po lewej. W miejscu ich upadku w powietrze trysnęły strumienie wrzącej cieczy. Komisarz spostrzegł, że rozciągająca się wokół lodowa skorupa przybrała niebieskawy odcień, a jej spękana powierzchnia przywodziła na myśl świeżo zamrożone

rozbite szkło.

Wóz podskoczył na kolejnej nierówności terenu i silnik umilkł z jęklwym charkotem. Półciężarówka wpadła w poślizg, spod jej kadłuba sypnęły się bryły lodu wyrwane desperacko szarpanym hamulcem ręcznym. Gaunt kopnął ponownie w nożny starter. Silnik zaskoczył na chwilę, ale zaraz zgasł. Strzałka paliwomierza zatrzymała się na zerze.

Pojazdy orków były sto metrów za uciekinierami. Obcy krzyczeli coś tryumfalnie. Po raz pierwszy Rawne zauważył, że nie słyszy już dzikiego wycia wichru szalejącego w lodowej dolinie.

Gaunt wygramolił się z kabiny kierowcy.

- Ładunki wybuchowe!

- Co?

Gaunt wskazał dłonią miejsca, gdzie inne chybione strzały orków przebiły warstwę lodu uwalniając kłęby gorącej pary.

- Lód jest tutaj cienki, jechaliśmy po wątlej skorupie. Pod nogami mamy żywy ocean.

Kolejny boltowy pocisk wpadł prosto do opuszczonej przez Gaunta kabiny i eksplodował z głośnym hukiem.

- Teraz!

Rawne pojął desperacki plan komisarza i ukryte za nim szaleństwo, ale orki były już zaledwie pięćdziesiąt kroków od ludzi. Desperacja ogarnęła również majora.

Duch miał dwanaście pakietów wybuchowych w swym plecaku. Wyjął je wszystkie, rozdzielił po równo między siebie i komisarza. Uderzeniem buta strzaskał pokrywę jednego z reflektorów półciężarówki i przytknął lont pakietu do gorącej żarówki, by go podpalić. Dzierżąc po trzy miny w każdej ręce mężczyźni cisnęli nimi przed siebie z całej siły, rozrzucając szeroko gotowe do użycia ładunki.

Dwanaście donośnych eksplozji, każda z nich wystarczająca do zniszczenia czołgu. Lodowa skorupa przestała istnieć uwalniając skryte pod jej powierzchnią morze parującego hydrokarbonu.

Jeden orczy wóz przewrócił się i zaczął koziołkować po pękającym lodzie miażdżąc swą załogę pod ciężarem wraku. Drugi ominął łukiem jedną z eksplozji, ale wskutek tego manewru pomknął prosto na krawędź płyty lodu wystrzeliwując z rozpędu w kotłujący się poniżej ukrop. Trzecia półciężarówka zahamowała tuż przed jedną z wyrw pośród dzikich wrzasków przerażonych pasażerów. Kilka sekund później lód zarwał się pod ciężarem wozu i maszyna runęła w dół wprost w żarłoczne płomienie.

Lód kruszył się i pękał, wielkie bryły spadały prosto w płomienie parując z sykiem po

tysiącach lat trwania w skryzalizowanej postaci. Gaunt i Rawne skakali na pace swojego wozu krzycząc radośnie dopóki nie ujrzeni szczelin w lodowej skorupie biegnących ku nim z zastraszającym pędem.

Ognisty ocean kotłował się topiąc lód pod pojazdem. Gaunt przeskoczył na pobliską lodową górę, kołyszącą się na wrzącej powierzchni cieczy. Wyciągnął dłoń i Rawne pochwycił ją przeskakując w chwili, gdy wóz zapadł się pod jego nogami.

- Nie możemy tu zostać - powiedział komisarz. Góra topiła się niczym kostka lodu wrzucona do kubka gorącej wody. Zaczęli skakać z jednej bryły na drugą z nadzieją, że zdołają w ten sposób przedostać się na bardziej stabilną część skorupy pokrywającej równinę. W powietrzu kłębiły się wyziewy gazu i gorącego powietrza.

Na czwartej górze Rawne poślizgnął się i Gaunt przytrzymał go zaledwie centymetry od wrzącego piekła. Zmienił szyk i major ruszył przodem. Usłyszał za sobą zdławiony krzyk, spojrzał przez ramię. Gaunt zsuwał się na brzuchu w dół lodowego zbocza, desperacko uderzając rozwartymi palcami w powierzchnię góry.

Mógł pozwolić mu umrzeć. Nikt by się nie dowiedział. Nikt nie odnalazłby ciała. A jeśli nawet... zresztą komisarz był już zbyt daleko, by major mógł mu pomóc.

Wyszarpnął z pochwy nóż i cisnął nim. Ostrze wbiło się po rękojeść w lód tuż nad głową dowódcy tworząc idealny uchwyt dla jego ręki. Gaunt podciągnął się na nożu, potem zaś oparł na nim but chwytając za podaną mu dłoń majora. Razem przeskoczyli na sąsiednią lodową górę, znacznie większą i solidniejszą od poprzedniej. Wylądowali na jej wierzchu dysząc ze zmęczenia. Bryła lodu za ich plecami rozpadła się po ognistych falach oceanu zabierając ze sobą srebrny nóż majora.

Siedzieli razem na wierzchołku lodowej góry przez następne sześć godzin. Wszędzie wokół ocean zamarzał ponownie, a jego gniewny syk cichł coraz bardziej. Nowa lodowa skorupa miała zaledwie kilkanaście centymetrów grubości - pokrywała morderczą ciecz, ale wciąż nie wytrzymałaby ciężaru ludzkiego ciała. Ustawiony za plecami Gaunta lokalizator popiskiwał rytmicznie wysyłając w eter sygnał naprowadzający.

- Jestem twoim dłużnikiem - odezwał się w końcu komisarz.

- Nie chcę tego długu - pokręcił głową Rawne.

- Wyciągnąłeś mnie. Uratowałeś. Jestem twoim dłużnikiem. I mówiąc szczerze, jestem zaskoczony. Wiem jak chętnie obejrzałbyś moją śmierć, a tutaj los dał ci okazję do pozbycia się mnie bez brudzenia sobie krwią rąk.

Rawne odwrócił głowę, by spojrzeć na Gaunta, jego twarz była ledwie widoczna w



księżycowym świetle. Policzki i podbródek jeszcze bardziej niż kiedykolwiek skojarzyły się komisarzowi z kształtem noża.

- Pewnego dnia cię zabiję, Gaunt - odparł major - Jestem to winien Tanith. I sobie też. Ale nie jestem mordercą i wiem, co to honor. Uratowałeś mnie przed tym zielonoskórym w jaskini, a ja spłaciłem ten dług.

- Zrobiłbym to dla każdego innego człowieka pod moimi rozkazami.

- Wiem. Możesz mnie uważać za malkontenta, ale wciąż jestem lojalny wobec Imperatora i Gwardii. Na zawsze. Byłem twoim dłużnikiem i chociaż strasznie mnie to mierziło, spłaciłem zobowiązanie. Teraz jesteśmy kwita.

- Kwita - wymruczał Gaunt.

- Przyjdzie ten dzień, Ibramie Gauncie - uśmiechnął się Rawne - Ale na uczciwych warunkach. Zabiję cię i będę się tym sycił. Lecz to jeszcze nie dziś.

- Dzięki za szczerość, Rawne - komisarz wyciągnął z pochwy tanithijski nóż, wręczony mu przez Corbeca krótko po objęciu komendy nad regimentem.

Major zeszywniał widząc ostrze w dłoni oficera, lecz komisarz wyciągnął do niego dłoń podając nóż rękojęścią w stronę rozmówcy.

- Zgubiłeś własny. Wiem, że Tanithijczycy czują się nadzy nie mając przy pasie takiego ostrza.

Rawne przyjął nóż, obracał go przez kilka sekund zdrętwiałymi palcami, a potem wsunął do pustej pochwy przy pasie.

- Wykorzystaj go dobrze - powiedział Gaunt i odwrócił się plecami do majora.

- Wykorzystam... pewnego dnia - obiecał major Elim Rawne.

# Monthax

Lazaret był położony spory odcinek drogi od głównych fortyfikacji Duchów. Podobnie jak mieszkalny habitat Gaunta, budynek szpitala wznosił się na metalowych podporach. Wysokie ściany zostały pomalowane ciemnozieloną farbą, a dach majaczył czernią smoły. Szare pancerne płyty chroniły drzwi wejściowe i okna, a pęki kabli i rur wychodziły z otworów przy podłodze biegnąc w głąb obozu do odległych generatorów prądu. Emblematy Imperium i korpusu medycznego zostały naniesione na boczne ściany budowli, by żołnierze nieprzyjaciela zdołali je dostrzec dopiero w chwili szarży po sąsiednim trakcie. Gaunt wspinał się po metalowej drabinie przytwierdzonej do podpór budynku tuż przy windzie dla noszowych i wszedł do środka lazaretu odsuwając dłońmi grube zasłony wiszące w progu.

Wewnątrz budowli spotkała go miła niespodzianka. Było to chłodne orzeźwiające miejsce, prawdopodobnie najchłodniejsze na całym Monthaxie. Zapach mydła unosił się nad świeżo wymytej podłogi i mat antypoślizgowych, mieszał się z wonią medykamentów, alkoholu używanego do odkażania ran i kadzidła palącego się w miseczce ustawionej przed małą kapliczką na zachodnim krańcu lazaretu. Czterdzieści pustych łóżek zostało przygotowanych na przyjęcie pacjentów. Słabe elektryczne światło sączyło się z przytwierdzonych do sufitu żarówek.

Gaunt przeszedł przez salę i przekroczył próg położonych po drugiej stronie pomieszczenia drzwi. Korytarz prowadził do magazynu, latryn, sali operacyjnej i prywatnego gabinetu głównego oficera medycznego. Dordena nie było w biurze, ale Gaunt dostrzegł ślady jego niedawnej obecności: precyzyjnie ułożone sterty dokumentów i biurowe akcesoria na stoliku, skrzyneczki z lekarstwami na półkach.

Medyk znajdował się w sali operacyjnej, czyścił tam chirurgiczne narzędzia z nierdzewnej stali i blat metalowego stołu zabiegowego. Część instrumentów lśniła już czystością odstawiona do rogu sali.

- Komisarz Gaunt! - Dorden podniósł głowę, na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia - Jak mogę pomóc?

- Dzięki, to rutynowy obchód. Coś do zgłoszenia, jakieś problemy?

Dorden wyprostował się, wytarł mokre dłonie w kawałek materiału i wrzucił wilgotną szmatkę do miski z wodą.

- Nie mam żadnych uwag, sir. Przyszedł pan obejrzeć lazaret?

- To z pewnością dość prowizoryczna imitacja szpitali, w których miałeś okazję pracować wcześniej.

Dorden uśmiechnął się nieznacznie. Był niskim, starszym mężczyzną o szarej krótko przyciętej brodzie oraz uczciwych oczach, które widziały zbyt wiele bólu i cierpienia.

- Jest jeszcze pusty.

- Przyznam, że zaskoczył mnie ten widok w pierwszej chwili. Przyzwyczaiałem się już do zapchanego rannymi pomieszczenia, strzeż nas przed tym, Imperatorze.

- Już niedługo - odparł pośpiesznie Dorden - Też mnie irytuje ten widok, przyznam szczerze. Te wszystkie puste łóżka. Dziękuję Złotemu Tronowi, że dręczy mnie nuda, ale nie potrafię sobie z nią poradzić. Wymyłem wszystkie podłogi i instrumenty lekarskie już chyba z tuzin razy.

- Jeśli okaże się, że to najcięższa robota, jaką ci przyszło wykonać na Monthaxie, wszyscy będziemy szczęśliwi.

- Oby tak się stało. Może filiżankę kawy? Właśnie miałem nastawiać wodę.

- Może później, kiedy będę wracał z powrotem. Chciałem zajrzeć do magazynów.

- Zatem do zobaczenia, sir.

Gaunt uklonił się lekko i wyszedł. Wątpił szczerze, by miał później czas spotkać się z Dordenem, nie wierzył też, by ten niewielki chłodny raj długo jeszcze pozostawał w stanie ciszy i spokoju.

Dorden obserwował wychodzącego komisarza, potem przesunął wzrokiem po wyszorowanym pomieszczeniu i stojących pod ścianami łóżkach. Podobnie jak Gaunt nie miał żadnych złudzeń. Wiedział, że już niebawem to miejsce przemieni się w prawdziwe piekło.

Przymknął oczy i przez chwilę jego wyobraźnia podsunęła mu obraz podłogi pokrytej zakrzepłą krwią, brudnych od błota prześcieradeł, zawodzących i krzyczących przeraźliwie ludzkich twarzy. I nieruchomych, bezwładnych ciał.

Wydawało mu się, że przez ułamek chwili czuje odór krwi i spalonego mięsa, ale to był tylko zapach kadzidła. Tylko zapach kadzidła.

## VIII - Przysięga Krwi.

Martwi ludzie leżący nieruchomo na drodze i błotnistych nacedońskich polach zdawali się nosić czarne kolczugi, które wbrew pozorom pancierzami nie były. Mięsożerne muchy roiły się na trupach okrywając je szczelnie migotliwą drgającą powłoką, poruszającą się niczym żywy twór pośród metalicznego bzyczenia.

- Medyk!

Tolin Dorden oderwał wzrok od much obsiadających zwłoki. Mgliste wieczorne niebo rozciągało się ospale ponad podmokłymi polami. Nieliczne zabudowania gospodarcze nosiły na sobie ślady wojennych zniszczeń, otaczały je ziemne nasypy i zwoje drutu kolczastego. Gdziekolwiek zryta mokra ziemia świadczyła o przejeździe wozu pancernego. Snująca się nad powierzchnią pól mgła miała charakterystyczny zapach kordytu.

- Medyk! - ponowne wezwanie. Stanowcze i twarde, dobiegło z głębi drogi. Ostrożnie stąpając po śliskim błocie Dorden zszedł z pola i zaczął wspinać się po poboczu na szosę, usiłując nie patrzeć za siebie, na stumetrowy odcinek drogi usiany ciałami zabitych.

Mężczyzna pośpieszył w stronę budynków. Feth, jakże miał dosyć tej nieustannej wojny. Czuł się bezgranicznie zmęczony i wypalony. Mając sześćdziesiąt lat o dobre dwie dekady przewyższał wiekiem najstarsze Duchy w regimencie. Poczucie psychicznego wyczerpania rosło w lekarzu od dawna, potęgowane ciąglą konfrontacją ze śmiercią, walką, koniecznością ustawicznego składania w całość pokiereszowanych młodych ciał. Oraz świadomością, że tak wielu Tanithijczyków postrzega go za rodzzonego ojca po utracie własnych rodzin.

Wszedł pomiędzy niskie czerwone domy ziejące wybitymi oknami i dziurami w ścianach. Przed inwazją była tutaj osada rolnicza, wzniesiona na bazie budowli mieszkalnej otoczonej barakami, magazynami i zbożowymi silosami. Porzucone narzędzia i maszyny rdzewiały w kałużach mętnej wody. Szeroki nasyp umocniony pancernymi płytami i drutem kolczastym obiegał całą osadę pozostawiając otwartą przestrzeń na jej północnym krańcu, w miejscu przeciwnym do linii frontu. Duchy czekały na dziedzińcu z bronią przewieszoną przez ramiona. Szeregowiec Brostin pokiwał dłonią w kierunku lekarza.

Dorden minął obłożone workami z piaskiem stanowisko broni maszynowej, na którym nie było śladu po karabinie i wszedł do budynku mieszkalnego przez drzwi wyrwane z zawiasów laserową serią. Najpierw dostrzegł chmary much krążących w pokojach, potem

poczuł znajomy odór śmierci, przemieszany z innymi zapachami: środków dezynfekujących, krwi i moczu.

Stawiał ostrożnie kroki na pokrytej rozbitym szkłem podłodze, omijając wilgotne plamy po rozlanym paliwie, migoczącym tęczo w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Corbec wychynął cicho z jakiegoś kąta, kiwając zmęczonym ruchem głową.

- Doktorze - chrząknął oficer.

- Pułkownika.

- Szpital polowy... - oświadczył Corbec wskazując dłonią pomieszczenie.

Dorden potwierdził jego słowa skinieniem.

- Ktokolwiek przeżył?

- Po to właśnie zostałeś wezwany.

Pułkownik poprowadził starego Ducha zrujnowanym korytarzykiem do piwnicy. Szpitalny odór zdawał się przesycać podziemia budowli. Około sześćdziesięciu ludzi leżało na drewnianych paletach służących za prowizoryczne łóżka polowe, ledwie widocznych w rachitycznym świetle zmierzchu wpadającym przez malutkie okienka tuż przy suficie. Dorden przeszedł wzdłuż pomieszczenia i powrócił do schodów.

- Dlaczego ich tu pozostawiono? - zapytał.

Corbec wzruszył bezradnie ramionami.

- A jak sądzisz? Wszystkie jednostki są w pełnym odwrocie. Ci tutaj stanowili zbyt duże obciążenie. Możesz ich podzielić na śmiertelnie rannych i mających szansę przeżycia?

Dorden zmełł w ustach przekleństwo.

- Co to za ludzie?

- Błękitnokrwieści. Pięćdziesiąty Volpone. Pamiętasz tych skurwieli z Voltemandu? Garnizon wycofał się stąd dzisiaj o świcie, zgodnie z wytycznymi sztabu.

- Porzucili swoich rannych?

- Na to wygląda, doktorze.

- Jaki rodzaj istot porzuca bez skrpułów chorych i słabych skazując ich na powolną śmierć?

Dorden splunął na podłogę i pochylił się nad najbliższym rannym, aby zmienić mu zabrudzony i nieświeży opatrunek.

- Rodzaj ludzki? - zasugerował pułkownik.

- To nie jest zabawne, Corbec. To nawet nie jest ironiczne. Większość tych ludzi powróci bez komplikacji do zdrowia, jeśli zapewni im się odpowiednią opiekę medyczną. Nie zostawimy ich w taki sposób.

Corbec westchnął ciężko, przeczesał palcami dłoni gęste czarne włosy.

- Nie możemy tutaj zostać, doktorze. Rozkazy komisarza...

Stary lekarz odwrócił się i spojrzał na swego przyjaciela złym, zaciętym wzrokiem.

- Nie zostawię ich - powtórzył.

Pułkownik otworzył usta, ale po chwili namysłu postanowił nie rozpoczynać słownej utarczki. Wzruszył ponownie ramionami.

- Zobacz, co jesteś w stanie dla nich zrobić - polecił i wyszedł z piwnicy.

Dorden kończył zakładać nowy opatrunek na ranę postrzelonego w nogę żołnierza, gdy do jego uszu dobiegł stłumiony dźwięk silnika i chrzęst gaśienic. Nie przerywał pracy zdecydowany dokończyć wpierw....

- Dziękuję, sir - wyszeptał młody gwardzista. Chłopak był tak osłabiony, że nie potrafił podnieść się ze swego łóżka.

- Jak się nazywasz? - zapytał Dorden.

- Culcis, sir. Szeregowiec, Błękitnokrwisty - lekarz był pewien, że żołnierz podkreśliłby dumnie swój przydział, gdyby tylko miał trochę więcej siły.

- Jestem Dorden. Lekarz. Tanithijczyk. Jeśli będziesz mnie potrzebował, Culcis, po prostu zawołaj.

Chłopiec skinął głową. Dorden wstał i wyszedł na dziedziniec osady, zmierzając w stronę stojącej pod murem Chimery. Corbec rozmawiał właśnie z wysoką postacią kucającą na dachu transportera.

Widząc lekarza postać zeskoczyła na błotnistą ziemię i ruszyła w jego kierunku - Gaunt, w swojej czarnej czapce z daszkiem i długim oficerskim płaszczu, o rysach twarzy ginących w wieczornym półmroku.

- Sir! - powiedział Dorden.

- Dorden! Corbec twierdzi, że nie chcesz opuścić farmy.

- Sześćdziesięciu ośmiu rannych, sir. Nie mogę ich opuścić, nie chcę.

Gaunt ujął Dordena pod ramię, poprowadził w kierunku niskiego muru otaczającego świński chlew.

- Musisz, Dorden. Wróg jest pół dnia drogi za nami. Generał Muller wydał rozkaz generalnego odwrotu. Nie możemy ich ze sobą zabrać, przykro mi.

Lekarz wyszarpnął ramię z uścisku oficera politycznego.

- Mnie również jest przykro - syknął.

Gaunt postąpił krok w jego stronę i przez moment Dorden zląkł się, iż dowódca użyje

pięści, aby przywrócić swój autorytet. Komisarz jedynie westchnął. Dorden poczuł wstyd wiedząc, że Gaunt brzydzi się przemocy fizycznej wobec podwładnych, budząc tym zachowaniem zdziwienie innych członków kadry oficerskiej Gwardii.

Komisarz spojrział ze smutkiem na starego lekarza.

- Corbec był pewien, że coś takiego powiesz. Posłuchaj, kontruderzenie na głównej linii frontu Nacedonu rozpocznie się jutro w nocy. Wtedy, i tylko wtedy, odbijemy ten rejon przejmując nad nim kontrolę.

- Niewielu z nich przetrwa dzień i noc bez opieki! A żaden, jeśli wpadną w ręce nieprzyjaciela!

Gaunt zdjął czapkę i przeczesał palcami krótko ścięte jasne włosy. Ostatnie promienie zachodzącego słońca obramowały profil jego szczupłej twarzy, ale nie rozproszyły mrocznej miny.

- Cieszysz się moim szacunkiem, medyku. Od zawsze, od samego początku na Polach Fundacji. Jedyny Duch, który odmówił noszenia broni, jedyny Duch trzymający nas wszystkich przy życiu. Regiment wiele ci zawdzięcza, wielu ludziom uratowałeś życie. Sam jestem ci za to wdzięczny. Budzi moją odrazę konieczność wydania ci rozkazu.

- Więc nie rób tego, komisarzu. Wiesz, że odmówię. Wpierw jestem lekarzem, potem Duchem. W ramach praktyki medycznej na Tanith służyłem przez trzydzieści lat pomocą chorym, niemowlętom i starcom w slumsach Dystryktu Beldane i County Pryze. Robiłem to, ponieważ złożyłem przysięgę lekarską w akademii medycznej w Tanith Magna. Ty najlepiej rozumiesz wagę przysięg, komisarzu. Uszanuj moją.

- Doskonale zdaję sobie sprawę z wagi lekarskiego przyrzeczenia.

- Do tej pory zawsze je honorowałeś. Nigdy nie prosiłeś o złamanie tajemnicy lekarskiej ani nie domagałeś się informacji o prywatnych problemach Duchów: alkoholu, narkotykach, depresji... Pozwól mi raz jeszcze zrobić to, do czego się zobowiązałem.

Komisarz założył czapkę z powrotem na głowę.

- Nie mogę pozostawić cię tutaj na śmierć.

- Ale tamtych ludzi tak?

- Oni nie są Duchami, lekarzu! - warknął Gaunt i umilkł.

- Lekarz niesie pomoc każdemu potrzebującemu. Ślubowałem na Polach Fundacji wierność Imperium, tobie i Gwardii, ale już wcześniej złożyłem Imperatorowi przysięgę ratowania każdego ludzkiego życia. Nie chcę jej łamać wbrew sobie samemu.

Gaunt przystąpił do łamania oporu medyka za pomocą logicznych argumentów.

- Nasza armia wycofuje się w kierunku delty Lohenichu. Uciekamy przed silnym

zgrupowaniem nieprzyjaciela deptającym nam po piętach. Wróg jest zaledwie pół dnia drogi za nami. Nie jesteś żołnierzem. Jak chcesz go powstrzymać przed zajęciem tego miejsca?

- Słowami, jeśli będzie trzeba. Z pomocą ochotników, jeżeli się tacy znajdą i uzyskają twoją zgodę. Przecież wystarczy tu wytrzymać do jutrzejszego wieczora, prawda? Do naszego kontruderzenia. A może to kłamstwo, militarna propaganda?

Gaunt nic nie mówił przez dłuższą chwilę wygladzając dłońmi swój wybrudzony płaszcz. Potem odwrócił się w kierunku medyka.

- Żadnych kłamstw. Odbijemy to miejsce i pójdziemy dalej. Popędzimy wroga tam, skąd nadszedł. Ale pozostawić cię tutaj nawet na jedną noc...

- Nie myśl o mnie, tylko o tych rannych Volpończykach.

Kamienna twarz komisarza nie zdradzała żadnego śladu współczucia.

- Oni bez namysłu zostawiliby nas na rzeź...

- Nie waż się powiedzieć ani słowa więcej! - wybuchnął Dorden. - Twoja nienawiść nie ma tutaj znaczenia. To są lojalni imperialni gwardziści, cenni żołnierze. Mogą walczyć w kolejnej kampanii i być może wpłynąć na jej wynik. Pozwól mi się o nich zatroszczyć i zostaw tu tyłu ludzi, ile możesz. Potem po nas wróc.

Gaunt wycedził przez zęby przekleństwo.

- Dam ci jedną drużynę, ani człowieka więcej. Dziesięciu ludzi, samych ochotników. Jeśli nie zgłosi się dziesięciu, trudno. Muller i tak będzie chciał urwać mi głowę za tę decyzję.

- Będę wdzięczny za każdą pomoc - odparł Dorden. - Dziękuję.

Komisarz odwrócił się i odszedł kilka kroków, ale zaraz zawrócił. Chwycił raptownie dłoń oficera medycznego i ścisnął ją mocno.

- Jesteś dzielnym człowiekiem. Nie pozwól im, by wzięli cię żywcem... i nie każ mi żałować mojej słabości.

Gaunt i towarzyszące mu Duchy przeszły przez osadę znikając po chwili bez śladu. Dorden pracował w piwnicy nie zwracając uwagi na płynący szybko czas i dopiero nocne ciemności zmusiły go do porzucenia na chwilę rannych. Rozstawił na skrzynkach pomiędzy łózkami pacjentów zapalone lampy i wyszedł na dwór. Na czarnym niebie błyszcząły nieznanne mu układy gwiazd.

Wpierw dostrzegł trzech Duchów: Lespa, Chaykera i Foskina - jego pomocników, polowych sanitariuszy i zdolnych uczniów. Sortowali na dziedzińcu pozostawione przez Gaunta środki opatrunkowe. Dorden żywił cichą nadzieję, że właśnie oni zgłoszą się jako ochotnicy do tej niebezpiecznej misji, ale widok wiernych współpracowników zdławił mu



gardło wzruszeniem. Podszedł do nich zamierzając zapytać o stan wyposażenia, nie zdołał jednak wykrztusić żadnego słowa poza podziękowaniami. Każdy uśmiechał się nieznacznie, odwzajemniał uścisk dłoni i bąkał coś nieporadnie o lekarskiej powinności. Dorden był z nich dumny.

Zaczął wydawać polecenia i omawiać problemy najciężej rannych pacjentów, kiedy na dziedziniec weszli pozostali ochotnicy. Mkoll, dowódca zwiadowców i najbliższy przyjaciel Dordena w regimencie, oraz szeregowcy Brostin, Claig, Caffran i Gutes. Skończyli właśnie obchód całej osady i szykowali się do przygotowania stanowisk dla nocnej warty.

Dorden przywitał Mkolla.

- Nie musiałeś tego robić.

- I zostawić cię samego? - zaśmiał się sierżant. - A potem bym czytał w raportach „Oficer medyczny Dorden zginął i gdzie był wtedy jego przyjaciel Mkoll?”. Komisarz prosił o ochotników, więc jesteśmy.

- Do końca życia wam tego nie zapomnę.

- Jesteśmy w stanie zabezpieczyć krytyczne punkty osady - zwiadowca pokazał dłonią podwójne ogrodzenie z drutu kolczastego - Pełna dziesiątka sobie z tym poradzi.

- Dziesiątka?

- Tylu pułkownik-komisarz pozwolił zostać. Nas pięciu, trzech twoich sanitariuszy i jeszcze dwóch Duchów. Wszyscy chcieli tu zostać, możesz to sobie wyobrazić? Każdy się zgłosił na ochotnika!

- Wszyscy? Założę się, że major Rawne nie.

- No, dobrze, nie każdy - skrzywił się Mkoll - Ale i tak omal nie doszło do bójki o miejsca. Gaunt zdecydował w końcu, że ten, kto zgłosił się pierwszy, zostaje. Lesp, Chayker, Foskin, ja, Brostin, Claig, Caffran i Gutes. Jest też Tremard, stoi na straży przy bramie. I...

- I?

Dorden odwrócił się raptownie wyczuwając za plecami czyjąś obecność. Spojrzał prosto w roześmianą brodatą twarz Colma Corbeca.

- I ja. Ty tutaj dowodzisz, doktorze. Jak to rozegramy?

Zapadła głęboka noc, powietrze nabrało świeżości. Gdzieś w oddali poszczekiwały padlinożerne zdziczałe psy. Trzy księżycy wspięły się na nieboskłon krążąc wokół siebie. Ciemność była czysta, chłodna i pełna aury śmierci. Daleko na południowym horyzoncie atramentowe chmury błyskały zdradzając nadchodzącą burzę. Potężna armia szła pod jej osłoną. Wróg fizyczny i nieprzyjazna natura w parze. Trupioblade błyskawice cięły niebo,

powietrze powoli znów zaczynało się robić ciężkie i duszne.

Wewnątrz pomieszczeń farmy jeden z Błękitnokrwistych zaczął rzucać się w spazmach i skonał. Dorden do końca walczył o jego życie, fartuch lekarza ociekał krwią pacjenta. Ani on ani Lesp nie mogli nic więcej uczynić dla tego człowieka.

Dorden cofnął się od stygnącego ciała i podał skrwawione instrumenty sanitariuszowi.

- Zanotuj czas i przyczynę zgonu oraz nazwisko, stopień i numer z identyfikatora - powiedział gniewnie. - Z pomocą Imperatora zdołamy te dane przekazać do sztabu Volpończyków, żeby odnotowali śmierć żołnierza.

- Błękitnokrwieści już dawno wciągnęli ich wszystkich na listę trupów - sarknął Lesp.

Sanitariusz był wysokim szczupłym mężczyzną z Tanith Longshore o zimnych niebieskich oczach i wydatnym jabłku Adama. W Utraconym Domu pracował jako rybak, członek wielopokoleniowej rodziny trudniącej się rybołówstwem morskim za zewnętrzną linią archipelagu. Słynął z wprawy w posługiwaniu się igłą i nicią do reperowania żagli oraz nożem do patroszenia ryb. Dorden postanowił wykorzystać te zdolności Lespa biorąc go na swego pomocnika w regimencie. Rybak z ochotą przyjął posadę sanitariusza i współpracownika oficera medycznego.

Dorden desperacko przyjmował każdą kompetentną pomoc. Większość wykształconych lekarzy wojskowych regimentu nie zdołała ująć z życiem z Pól Fundacji, zginęła w płomieniach Tanith. Tylko Dorden, Gherran i Mtane posiadali lekarskie dyplomy, wspierała ich dwudziestka przeszkolonych w dziedzinie pierwszej pomocy żołnierzy. Bez oddanych, nieustannie podnoszących swe kwalifikacje amatorów takich jak Lesp, Foskin i Chayker obecny poziom zdrowia regimentu już dawno przestałby istnieć.

Mtane i Gherran odeszli wraz z Gauntem, chociaż obaj chcieli zostać. Komisarz nigdy nie pozwoliłby na utratę trzech wyszkolonych lekarzy w jednej samobójczej misji.

Dorden wyszedł na zabłocony dziedziniec i niemal w tej samej chwili niebiosa otworzyły swe śluzy. Ulewny deszcz zrosił ziemię, ciężkie krople ściekały po ubraniu lekarza splukując zakrzepłą krew. Stał nieruchomo z zamkniętymi oczami czekając, aż ulewa nieco zelżeje.

- Nie powinieneś tak moknąć - z bliska dobiegł czyjś głos.

Corbec palił cygaro pod niewielkim zadaszeniem głównego budynku. Lekarz widział tylko ciemny zarys sylwetki mężczyzny i czerwony ognik tytoniowego żaru. Podeszedł do oficera. Corbec podsunął mu pudełko cygar.

- Niezłe. Spróbowałem ich na Voltemandzie i tak mi zasmakowały, że dokupiłem zapas na czarnym rynku. Weź jedno na teraz i jedno na potem.

Dorden wyjął z pudełka dwa cygara, jedno zatknął za ucho, drugie odpalił od Corbeca.

Zaciągali się z lubością dymem popatrując w nocną ciemność.

- Może być ciężko - powiedział cicho Corbec. Pułkownik patrzył w kierunku tnących przestworza błyskawic, ale Dorden zrozumiał jego słowa.

- Mimo to zostałeś.

Oficer wypuścił z ust chmurkę białego dymu.

- Jestem miłośnikiem dobrych uczynków.

- Albo skazanych na niepowodzenie spraw.

- O tym zdecyduje Imperator. Zresztą, czyż my wszyscy nie jesteśmy jednym wielkim niepowodzeniem? Pierwszy i Jedyny i Utracony?

Dorden uśmiechnął się lekko. Cygaro było diabelnie mocne, ale cieszył się jego smakiem. Nie palił od dwudziestu lat. Jego żona nigdy nie pochwałała tego nałogu, uważała, że daje nim zły przykład pacjentom. Potem przyszły na świat dzieci, Mikal i Clara, rzucił więc palenie...

Lekarz przestał rozmyślać o przeszłości. Wraz z Tanith odeszła jego żona, Clara i jej mąż, ich dziecko. Pozostał mu już tylko Mikal, szeregowiec Mikal Dorden, radiooperator w plutonie sierżanta Haskera.

- Myślałeś o domu - mruknął Corbec.

- Skąd wiesz? - zapytał zdziwiony Dorden.

- Znam to spojrzenie.

- Jest ciemno, pułkowniku.

- Zatem ten... rodzaj milczenia. Sposób, w jaki człowiek układa ramiona. Każdy z nas to przeżywa od czasu do czasu.

- Czyżby komisarz kazał ci tępić te wspomnienia wszędzie tam, gdzie je dojrzysz? Nie są chyba zbyt zbawienne dla samopoczucia ludzi.

- Nie dla mnie. Tanith ciągle żyje, jeśli wszyscy nosimy je tutaj - dotknął wyciągniętymi palcami czoła - Nigdy nie będziemy wiedzieli, gdzie właściwie idziemy, jeśli nie będziemy pamiętali, skąd pochodzimy.

- A dokąd twoim zdaniem zmierzamy?

Corbec wypluł niedopałek i patrzył, jak z sykiem gaśnie on w błocie.

- Jeżeli będziemy mieli pecha, do piekła. Jeśli nam się poszczęści, dostaniemy ten obiecany przez Gaunta świat na własność. Prezent Slaydo: pierwszy świat, który własnymi siłami podbijemy, będziemy mogli zamieszkać i urządzić na swój sposób.

Dorden patrzył na szalejącą wciąż ulewę.

- Nowe Tanith, co? Ten wymarzony świat, o którym ludzie mówią, gdy są pijani albo

umierają? Naprawdę w to wierzysz? Że sami zdołamy zdobyć jakiś glob, własnymi siłami i w pojedynkę? Są nas teraz niecałe dwa tysiące. W każdej kampanii towarzyszymy innym regimentom Gwardii i to one zgarniają wszystkie zaszczyty. Nie jestem pesymistą, pułkowniku, ale nie wierzę, że kiedykolwiek ktoś z nas zobaczy jeszcze Nowe Tanith... może w kieliszku albo w chwili śmierci.

Corbec uśmiechnął się szczerząc w półmroku białe zęby.

- Zatem i tak będziemy szczęśliwcami. Zobaczymy je w końcu, na ten lub inny sposób.

Gdzieś po lewej otworzyły się drzwi. Opatulony płaszczem Chayker wyszedł ze szpitala i pomaszerował w kierunku studni dźwigając oburącz metalowe wiadro. Po kilku chwilach brzękania i zgrzytu łańcuchów Duch wrócił z powrotem do budynku niosąc pełne naczynie. Dorden i Corbec czuli już wyraźnie zapach zupy gotowanej przez Foskina i Chaykera dla przymusowych mieszkańców osady.

- Coś tu bardzo ładnie pachnie - oświadczył pułkownik.

- Foskin znalazł trochę mąki w silosie, a ja warzywa, przyprawy i solone mięso. Najlepsze jedzenie, jakie w tej chwili jesteśmy zdolni przyrządzić. Ale pierwsze porcje są zarezerwowane dla tych pacjentów, którzy zdołają cokolwiek przełknąć.

- Oczywiście. Potrzebują tego bardziej od nas. Zabrałem ze sobą butelkę sacry i pudełko cygar, to mi w zupełności wystarczy.

- Przyjdź jak poczujesz prawdziwy głód - powiedział Dorden. - Dzięki za cygaro.

Stary lekarz wszedł z powrotem do budynku.

Obchód rannych zajął półtorej godziny. Lesp i jego koledzy pracowali bardzo dobrze i większość pacjentów zjadła kolację lub przynajmniej przyjęła nieco płynów. Tylko dwunastu wciąż nie odzyskało świadomości i Dorden pieczołowicie rozdzielił między nich resztki środków farmakologicznych. Culcis wraz z kilkoma towarzyszami doszedł już do siebie na tyle, by móc usiąść na łóżku. Młodzieniec nie skrywał swej wdzięczności. Pochodzący z arystokratycznych rodów Volpończycy zawsze żywili głęboką niechęć i pogardę dla niżej urodzonych Tanithijczyków, ale porzuceni przez własny regiment i uratowani przez barbarzyńskich sojuszników zdawali się zmieniać nieco swe uprzedzenia wobec Duchów. Dorden ucieszył się skrycie z tej przemiany.

Przemoknięty szeregowiec Caffran wrócił właśnie z nocnego obchodu osady, wziął miskę z zupą i usiadł na krawędzi łóżka Culcisa. Byli w tym samym wieku, uznał Dorden. W tym samym wieku co Mikal. Lekarz usłyszał jak żartują między sobą.

Lesp złapał Dordena za ramię. Jeden z przypadków krytycznych zaczął zdradzać objawy

zapaści. Z pomocą Chaykera przenieśli rannego do kuchni pełniącej rolę pomieszczenia zabiegowego. Volpończyk został ułożony na długim metalowym stole.

Kapral Błękitnokrwistych Regara stracił nogę poniżej kolana, w klatce piersiowej utkwiał mu szrapnel. Jego krew nie miała nawet śladowej ilości błękitu. Błat stołu szybko zaczął nią ociekać, skapywała na podłogę. Chayker poślizgnął się na krzepnącej cieczy i niemal upadł, dlatego Dorden kazał mu znaleźć jakąś miotłę i wytrzeć zakrwawioną posadzkę.

- Tutaj nie ma żadnych mioteł - wzruszył ramionami sanitariusz.
- To znajdź coś podobnego do miotły.

Dorden musiał odciąć ręczną piłą znaczną część zrujnowanej nogi kaprała, zanim założył klamry zaciskowe na końcówkę zerwanej aorty. Lesp zaczął zaszywać kikut kończyny trzymając igłę w swych długich zręcznych palcach. Chayker wrócił chwilę potem. Dorden zauważył, że sanitariusz wyciera krew z podłogi pasami podartego płaszcza kamuflującego nawiniętymi na koniec drewnianego kołka. Duch podarł swój bezcenny płaszczyk, żeby posprzątać salę operacyjną... uznanie Dordena dla jego pomocników niebotycznie wzrosło.

Wspólnie odnieśli jęczącego cicho Regarę na łóżko. Przy odrobinie szczęścia i zastrzyku przeciwgorączkowej mascetaminy kapral miał spore szanse wyzdrowieć. Stary lekarz pozostawił pacjenta, by obejrzeć przypadek, z którym nie potrafił sobie poradzić Foskin, potem zaś zajął się rannym gwardzistą wyrwanym z długotrwałej śpiączki po to tylko, by zaczął wymiotować krwią i żółcią.

Pomieszczenie pograżyło się w chorobliwym półśnie około północy. Dorden mył właśnie swe narzędzia chirurgiczne pod strumieniem ciepłej wody, gdy do sali wszedł ociekający deszczem Mkoll. Burza wciąż szalała na zewnątrz i szum spadających na dach budynku kropel nie ustawał. Co jakiś czas wypadała z framugi kolejna popękana szyba albo jakieś poluzowane dachówki zrywał z grzechotem silniejszy podmuch wiatru. Zmęczony lekarz dopiero teraz zwrócił uwagę na trwającą od zmierzchu nawałnicę.

Patrzył jak Mkoll siada i czyści swój karabin. To była zawsze pierwsza czynność sierżanta po powrocie z terenu, przedkładana ponad posiłek lub zmianę ubrania. Dorden podał Duchowi miskę zupy.

- Coś się dzieje?
- Mkoll pokręcił przecząco głową.
- Jeśli będziemy mieli szczęście, burza spowolni ich marsz.
- A jeśli nie?
- Przyjdą tuż po niej.

Mkoll przesunął spojrzeniem po wysokim dachu pomieszczenia.

- To musiało być dobre miejsce do pracy na roli. Dobra tu jest ziemia, żyzna. Warto dla niej pracować. Mieli tu sporo uprawnych pól.

- Rodzinny dom - westchnął Dorden. Zakłuło go wspomnienie innego domu i innej rodziny utraconej w wojennej zawierusze. Poczul się nagle bardzo stary, bardzo zmęczony.

Sierżant zjadł bez słowa zupę.

- Jest stara kaplica na tyłach domu. Zniszczona rzecz jasna, ale wciąż można w niej obejrzeć malowidła poświęcone Imperatorowi. Korzystali z niej Volpończycy. Ktokolwiek tu mieszkał, nie ociagał się w religijnych powinnościach - powiedział zwiadowca oddając miszkę.

- Do teraz.

Dorden umilkł. Chaos zajął ten świat, Nacedon, dwa miesiące temu w ramach kontrofensywy wymierzonej w krucjatę Macarotha. Nacedon nie był oblegany, nie padł ofiarą wewnętrznego spisku. Rolnicza planeta zamieszkała przez trzy miliony imperialnych osadników została zajęta i spustoszona w ciągu trzech dni desantu planetarnego.

Cóż to za rodzaj wszechświata, rozmyślał Dorden, w którym ludzie zginali karki trując się i mozolnie budując przez lata swe domy, zakładali rodziny i oddawali cześć boskiemu Imperatorowi po to tylko, by wszystko utracić w przeciągu godzin? Mój wszechświat, odpowiedział w myślach, ten sam, który zabrał mi Tanith.

Późny księżyc świecił na wypogodzonym znieczacka niebie niczym samotny strażnik. Deszcz przestał padać i srebrzyste obłoki przesuwały się leniwie w mrocznych przestworzach rozświetlonych słabym księżycowym blaskiem.

Niczym towarzysz niemego księżyca, samotny wartownik czuwał przy bramie osady. Szeregowiec Tremard odsiadywał drugą kolejkę warty ukryty w pierścieniu spiętrzonych worków z piaskiem. Obserwował odległą linię drzew: czarny postrzępiony kształt lasu, który zlewał się daleko z przodu z równie czarną powierzchnią błotnistych pól. Żołnierz był zmęczony i śpiący, a większość czasu poświęcał miotaniu przekleństw na Volpończyków, którzy odchodząc z osady nie zostawili na bramie karabinu maszynowego.

Mgła unosiła się nad polami rozsnuwając przy ziemi pajęczne nici oparów. Coś poruszało się w mroku.

Tremard zeszywniał i chwycił swą lornetę. Instrument zahuczał cicho dostrajając ostrość, pisnął czujnik sygnalizujący włączenie noktowizjera. Mgła - i inne rzeczy. Znow dostrzegł ruch. Blask księżycowego światła odbijał się w patrzących poządlowie na osadę głodnych oczach.

Tanithijczyk przyłożył dłoń do wiszącego przy ustach mikrofonu.

- Brama do Duchów! Pułkowniku, czy mnie pan słyszy? Do broni! Do broni! Ruch na południu!

Corbec podniósł się zniechęcony ze swej pryczy, niczym umarły wstający z grobu. Dorden podskoczył przestraszony tym nagłym ruchem. Pułkownik drzemał dotąd spokojnie na wolnym łóżku tuż obok medyka dzielącego na równe działki resztki środków znieczulających.

- Co się dzieje?

Corbec był już na nogach.

- Możesz zgadywać do trzech razy, doktorze.

Dorden też zerwał się ze swego miejsca. Przeciągnął wzrokiem po kruchych zabudowaniach, po rannych, półprzytomnych gwardzistach. Corbec sprawdził swój karabin, wywołał przez radio podwładnych. Lekarz pojął nagle bezmiar swej naiwności i głupoty. Wiedział doskonale, jak wygląda szturm sług Chaosu i czym się skończy. Zostaną zmiażdżeni niczym skorupka jajka. Jakież okazał się zaślepiony żądając pozostania w osadzie.

Teraz wszyscy zginą. - Błękitnokrwieści, Duchy... wartościowi, bezcenni wręcz gwardziści tacy jak Corbec czy Mkoll. Skazał ich na pewną śmierć powodowany dumą własną i ślełą wiarą w starą przysięgę. Przysięgę składaną w bezpieczniejszych czasach, w miłym zaciszu podmiejskiego szpitala, gdzie najgroźniejszym przypadkiem było obcięcie kończyny przez tartaczną piłę.

Bądź przeklęty, stary głupcze! Dumny, uparty ośle!

- Będziemy ich trzymać tak długo jak zdołamy. Chłopcy znają trochę sztuczek - pocieszył lekarza Corbec - Będę potrzebował Chaykera i Foskina, Lesp może zostać z tobą. Jeśli nie złamiemy pierwszego ich ataku, będziesz musiał przenieść jak najwięcej rannych do tylnych pomieszczeń. Wiem, że cały ten kompleks to ruina, ale będziesz miał wtedy kilka dodatkowych ścian pomiędzy tamtymi i sobą.

Dorden przełknął ślinę zastanawiając się, w jaki sposób we dwójkę z Lespem przeniosą na zaplecze budynku sześćdziesięciu siedmiu pacjentów. Usłyszał stłumiony trzask laserowych wystrzałów i pojął, że jego zadanie nawet w połowie nie będzie tak trudne jak misja Corbeca. Przytaknął milcząco głową i przywołał do siebie Lespa.

- Niech Imperator ci towarzyszy i cię strzeże, Colmie Corbecu - powiedział lekarz. - I cię, doktorze.

Tremard trzymał bramę. Mroczne kształty poruszały się na polach i w rowach

irygacyjnych zmierzając w stronę osady, rozświetlając nocne ciemności zielonymi krechami laserów i punktując je białymi ognikami boltowych pocisków. Zdradziecki blask księżyca ukazywał ich ruchy, gdzieś tam blade promienie zaśniły na chwilę na metalowej zbroi. Gwardzista wybierał starannie cele posyłając w głąb pól wiązki pomarańczowej energii.

Zgięta w pół postać dobiegła do stanowiska strzeleckiego i padła z hałasem za worki. Pułkownik Corbec wyszczerzył zęby do Tremarda, wykrzyczał kilka szokująco obscenicznych uwag pod adresem nieprzyjaciela i posłał serię z lasera w najbliższy kanał irygacyjny.

Rozstawieni wzdłuż umocnień Tanithijczycy otworzyli ogień. Osiem laserów przeciwko nadciągającej ciemności, osiem laserów wybierających uważnie ofiary, stawiających czoła setkom płomieni wylotowych błyskających na podmokłych polach.

- Gdzie jest Brostin?! - krzyknął do komunikatora Corbeca starając się pokonać głosem hałas kanonady. Nie zdejmował palca ze spustu.

Sekundę później przywarł do ziemi, gdy na bramę posypały się liczne pociski. Blisko stu żołnierzy Chaosu runęło w stronę wejścia do osady strzelając w biegu z bioder. Corbec i Tremard widzieli tylko morze płomieni wylotowych ich broni.

Pułkownik rozpląszczył się na ziemi. Nawet nie zaklął. Już po wojence. To koniec Colma Corbeca. Tremard próbował rzucić się w ślady dowódcy, ale nie zdążył. Siła trafienia odrzuciła go na stertę worków, krew bryzgała z kikuta lewego łokcia. Gwardzista upadł na plecy krzycząc z bólu i wijąc się na ziemi. Jego laser wciąż tkwił na parapecie z lewą dłonią zaciśniętą kurczowo na broni.

Corbec przemieścił się na czworaka w kierunku rannego i przycisnął go do ziemi, próbując uspokoić i założyć opaskę uciskową na ranę. Nie wykrwawi się, o ile pułkownik pożyje dostatecznie długo, by wykonać opatrunek.

Tremard krzyczał jakby go odzierano ze skóry, walczył nieprzytomnie z pułkownikiem opryskując go gorącą krwią. Corbec podniósł głowę i napotkał wzrok czarnych postaci w metalowych pancerzach osobistych i maskach przeciwgazowych, zagląających do wnętrza stanowiska strzeleckiego ponad workami z piaskiem. Czuł wyraźnie zwierzęcy odór napastników, a wyrzeźbione w ich napierśnikach emblematy Czterech Potęg parzyły oczy pułkownika i wywracały mu żołądek.

Rozległ się podwójny metaliczny trzask, a zaraz potem żarłoczny syk płomieni. Mrok rozpalił się czerwoną poświatą. Corbec schylił jeszcze niżej głowę. Szeregowiec Brostin stał nad nim trzymając oburącz swój miotacz ognia. Skąpał w płomieniach szczyt umocnień i przesunął strugę chemikaliów w głąb pól. Napastnicy stawali w ogniu niczym wyschnięte



łodygi trawy.

- Właśnie się zastanawiałem, gdzie jesteś - oświadczył Corbec i przycisnął do ust mikrofon - Medyk! Medyk!

Dorden i Lesp zdążyli przenieść do tylnych pomieszczeń połowę rannych, kiedy nadeszło wezwanie o pomoc. Niektóre pociski nieprzyjaciela przelatywały nad dziedzińcem, strącając na ziemię dachówki lub roztrzaskując je w drobny pył, dziurawiąc ściany budynku.

Dorden szamotał się z komunikatorem próbując jednocześnie utrzymać w równowadze dźwigane nosze, na których leżał pacjent.

- Tu Dorden! Co jest?

- Z Tremardem bardzo kiepsko! Zabierzcie go stąd! - reszta słów Corbeca utonęła w huku wystrzałów.

- Proszę położyć koniec noszy na podłodze. Pociągnę je - zażądał Lesp. Wiązka lasera wybiła dziurę w ścianie tuż przy głowie sanitariusza.

Dorden wykonał polecenie. Lesp powłókł nosze za sobą po podłodze, ich końce zgrzytały po posadzce z głośnym piskiem.

- Jak w magazynie ryb za starych czasów - wrzasnął sanitariusz przez ramię znikając w drugim pomieszczeniu.

Lekarz złapał swój pakiet medyczny.

- Corbec! Wychodzę na zewnątrz, ale musisz mi tu kogoś przysłać, żeby pomógł Lespowi przenieść rannych!

- Zapomnij o tym, doktorze! Wszyscy są na linii ognia, nie mogę odesłać ani jednego!

- Nie rób mi tego - lekarz przypadł do podłogi słysząc jak wali się część nadwierzęzonego budynku - Ci ludzie potrzebują pomocy! Lesp potrzebuje pomocy!

Ktoś chwycił oficera medycznego za ramię. Dorden obejrzał się do tyłu. Błękitnokrwisty Culcis. Towarzyszyło mu kilku lżej rannych Volpończyków.

- Nie mogę dźwigać noszy z tą nogą, doktorze, ale ciągle potrafię strzelać. Wezmę wolny laser, jeśli ktoś na zewnątrz zgodzi się zmienić na stanowisku.

Dorden uśmiechnął się widząc brawurę Volpończyka. Szczupła twarz Błękitnokrwistego była wykrzywiona w grymasie bólu i szara niczym papier. Lekarz przywołał pacjentów do drzwi budynku i wyjrzał na dwór.

- Caffran! - krzyknął do komunikatora - Wysyłam do ciebie Volpończyka. Daj mu swoją broń i biegnij do mnie!

Rozłączył się nie czekając na odpowiedź.

Wykorzystując miotłę Chaykera w charakterze kuli Culcis przekuśtykał przez dziedziniec i dotarł w wyrwy w murze, gdzie strzelał Caffran. Duch skinał głowę, wręczył Culcisowi karabin i popędził w kierunku lazaretu, gdzie czekał niecierpliwie Dorden. Volpończyk usiadł przy wyrwie i podjął ostrzał przedpoła.

- Pomóż Lespowi! Już! Już!

W ciągu trzech minut lekarz podmienił w ten sposób trzech dalszych volpońskich żołnierzy, cierpiących z powodu ran postrzałowych nie przeszkadzających im bynajmniej w używaniu broni. W zamian ściągnął do szpitala Claiga, Gutesa i Foskina.

Foskin przejął komendę nad lazaretem i zaczął wydawać pośpieszne polecenia piątce mozolących się z ciężej rannymi Duchów nadzorując przenosiny do tylnej części budynku.

Wstrząśnięty skalą wymiany ognia Dorden przebiegł przez dziedziniec i dotarł do bramy. Brostin i Corbec ostrzelali się tam zaciekle. Brostin korzystał z lasera Tremarda, trzymając swój miotacz ognia w rezerwie na wypadek kolejnego silnego szturm heretyków. Lekarz przypadł do Tremarda i zaczął poprawiać prowizoryczny opatrunek.

- Potrzebuję noszowego! - krzyknął do Corbeca.

- Pomóż mu! - parsknął pułkownik do Brostina. Kiedy dwójka Duchów pociągnęła Tremarda w kierunku lazaretu, Corbec w pojedynkę bronił bramy. Lekarz spojrział przez ramię na moment i ujrzał potężnego Tanithijczyka z włosami rozwianymi na wietrze, dzierżącego w jednej ręce miotacz płomieni, a w drugiej oparty o biodro laserowy karabin.

Nieprzyjaciel zaczął naciskać na umocnienia po zachodniej stronie stajni, grad pocisków sypał się na kompozytowe płyty odrywając ich kawałki. Mkoll bardziej wyczuł niż zauważył ten manewr przeciwnika i opuścił swą pozycję na wschodnim krańcu osady, by wesprzeć Chaykera i Volpończyka o nazwisku Vengo, zastępującego Gutesa. Żołnierze Chaosu przeciskali się pomiędzy rozciągniętymi na przedpołu zasiekami i trójka gwardzistów pojedynczymi strzałami uśmierciła kilkudziesięciu z nich. Wkrótce trupy spiętrzyły się w wyrwach między zasiekami zapychając je całkowicie.

Dobrze, że przyszli tu uzbrojeni w lasery i boltery, pomyślał Mkoll, damy sobie z nimi radę. Ale co zrobimy jak ściągną tu miotacze płomieni, karabiny termiczne, granaty lub... coś gorszego?

Kakofonia towarzysząca natarciu zdawała się rozsadzać bębunki ludzi, a jej echo przetaczało się po pobliskich polach niczym grzmot burzy. A może to wracała burza? Mkoll nie był pewien, wiedział tylko, że ziemia drży lekko pod jego stopami od tego hałasu.

Vengo, opasany bandażami w miejscu, gdzie postrzelono go w brzuch, tracił coraz szybciej siły, a obraz w jego oczach rozmywał się i falował ustawicznie. Majestat i furia tego

dzikiego szturm, desperacja i upór tłumiły dotąd tępy ból emanujący z rany, ale okaleczone ciało dawało znać o sobie. Klęczący w błocie żołnierz próbował zmienić pozycję na wygodniejszą, sięgając jednocześnie po zapasową baterię do lasera. Nowy akumulator wyslizgnął się z mokrych, zgrabiących z zimna rąk gwardzisty i upadł pod jego nogi. Schylił się po zgubę.

Żołnierz Chaosu, leżący dotąd w rowie biegnącym tuż pod linią umocnień i uważany za śmiertelnie postrzelonego, poczołgał się do przodu i przechylił ponad parapetem stanowiska strzeleckiego tuż na patrzącym pod nogi Volpończykiem. W klatce piersiowej heretyka ziała potworna rana, kropelki krwi kapały z połamanych żeber. Zerwana maska przeciwigazowa odkryła zeszpecone ostrymi kłami usta i chorobliwie szarą twarz. Napastnik zamachnął się trzymaną w jednej ręce zardzewiałą wojskową saperką. Chayker dostrzegł ten ruch w ułamku sekundy przed opadnięciem łopaty, chociaż oślepiła go upiorna poświata błyskawicy przecinającej właśnie nieboskłon. Wyrwał laser ze szczeliny, przez którą prowadził ogień i zastrzelił heretyka spychając jego trupa w dół rowu. Podnosząc się wraz z odszukaną w błocie baterią, ogłuszony kanonadą i nieludzko zmęczony Vengo nigdy nie dowiedział się, jak blisko był wtedy śmierci.

Boltowe pociski wbiły się w ścianę stajni opodal Mkolla, a wyrwane ich detonacjami drzazgi pokaleczyły policzek i kark sierżanta. Zwiadowca krzyknął krótko i przypadł na moment do ziemi wyciągając drzazgi spod skóry. Kolejne mroczne kształty zamajaczyły na dnie pełnego błota rowu. Vengo wykrzyczał ostrzeżenie. Nawet śmiertelne strzały nie były w stanie powstrzymać niektórych z tych heretyków. Ciężko ranni, ale wciąż dyszący żądzą mordu pelzli teraz w górę zbrocza prosto na parapety strzeleckie.

- Głowy w dół! - wrzasnął Mkoll do mikrofonu ostrzegając Chaykera i Vengo. Zdjął z pasa trzy ładunki wybuchowe, uzbroił je i cisnął ponad parapetem na dno rowu pomiędzy uparcie czepiających się życia wrogów.

Potrójna eksplozja ochlapała parapety płynnym błotem i dymiącymi ludzkimi szczątkami.

- Pilnujcie rowu! - rozkazał Mkoll - Oni nie umierają tak łatwo!

Vengo wyrzwał do martwej strefy ognia i pochylił lufę lasera widząc dwa rzekome trupy pełznące powoli w jego stronę. Zastrzelił obu heretyków, ale następni kłębili się już przy zasiekach próbując przepchnąć się po trupach wiszących na drutach towarzyszy, nie bacząc na morderczy ostrzał gwardzistów.

Ilu ich tam jeszcze jest? Chayker nie potrafił ukryć zdumienia. Siła natarcia zdawała się wzrastać z każdą chwilą.

Na wschodnim krańcu stajni Culcis pilnował umocnień wraz z dwójką innych

Błękitnokrwistych, Drado i Speersem. Brostin zdążył już wrócić z lazaretu i zajął pozycję przy Culcisie, próbując odblokować znaleziony w jednym z pomieszczeń budynku zacięty volpoński karabin maszynowy. W bębnie broni pozostało jeszcze jakieś sześćdziesiąt pocisków i Duch miał zamiar je zużyć przed sięgnięciem po swój pistolet. Zarekwirowanego przez Corbeca miotacza ognia nie zdążył odebrać. Z tego, co działo się pod bramą widział jedynie błyski płomieni i ciskane w eter barwne wyzwiszka pułkownika.

Brostin obejrzał raz jeszcze naprawioną broń. Nie była zbyt szybkostrzelna i najwyraźniej regularnie się zacięła, ale czuł się usatysfakcjonowany jej kalibrem. Pierwszą serią skosił pół tuzina sylwetek mających za zwojami drutu kolczastego. Na wschodnim krańcu osady linia lasu znajdowała się znacznie bliżej umocnień i wróg praktycznie bez ostrzeżenia zdołał przedostać się przez założone na przedpolu zasieki wpadając do rowu.

Brostin odczuwał coraz większy podziw dla umiejętności Błękitnokrwistego Culcisa. Rozmyślnie łamiąc polecenie Corbeca młody gwardzista ustawił potencjometr lasera na maksymalną moc wystrzeliwując jaskrawe wiązki energii. Każda z nich okazywała się śmiertelna. Ma prawie takie oko jak Szalony Larkin, pomyślał przysadzisty krępy Duch i był to prawdziwy komplement.

Drado i Speers robili wszystko, by zatrzymać napastników, ale Drado miał z celnym strzelaniem kłopoty. Został wcześniej zraniony w głowę i medycy zabandażowali mu prawe oko. Brak możliwości korzystania z celownika optycznego krytycznie ograniczał efektywność żołnierza. Brostin schylił się i poczołgał w stronę Volpończyka.

- Strzelaj na lewo! - wrzasnął ponad hukiem wystrzałów i grzmotem powracającej burzy - Masz zbyt duży rozrzut!

Drado odwrócił w kierunku Ducha swą dumną postawną twarz skrytą do połowy pod bandażami.

- Żaden plebejski parweniusz nie będzie mówił Błękitnokrwistemu, jak ma walczyć!

Brostin uderzył go pięścią w głowę i wcisnął twarz aroganckiego gwardzisty w błoto.

- Nie podskakuj! - pogroził ubłoconemu Volpończykowi nadal zaciśniętą pięścią - Stąd nie ma dla nas odwrotu. Zostaliśmy w tej osadzie tylko ze względu na was! Walcz jak Duch albo wynoś się i pozwól komuś innemu wykonać tę robotę!

Drago przetarł rękawem oczy i napluł na Brostina.

- Zapłacisz za to...

Otwierając ogień z karabinu maszynowego tanithijski szeregowiec zaśmiał się szaleńczo.

- Zapłacić? Oczywiście, że zapłacę! Ale nie tobie! Jeśli stąd wyjdziemy żywi, możesz się na mnie postawić i jeszcze ściągnąć sobie do pomocy kilku szlachetnie urodzonych

kamratów! Mam to w dupie! Po takiej nocy jak ta, spędzonej na ratowaniu arystokratycznej skóry twoich pobratymców, nic już nie jest w stanie mnie przestraszyć!

Drado nic nie odrzekł. Przycisnął kolbę karabinu do ramienia i zaczął strzelać ponownie, tym razem odkładając poprawkę na lewo. Zaczął trafiać pierwsze ofiary.

- Teraz znacznie lepiej, dupku - wymruczał Brostin.

W lazarecie Dorden pośpiesznie kontrolował stan pacjentów. Z pomocą Lespa, Gutesa, Foskina, Caffrana i Claiga zdołał przenieść rannych w bezpieczniejsze miejsce i złożyć ich na pryzkach ustawionych wzdłuż długiego wąskiego korytarza. Ściany niskiego pomieszczenia wykonano z ciężkich kamiennych bloków dając najlepszą osłonę w całym budynku. Tutaj ranni mogli przeżyć atak - lub umrzeć pogrzebani żywcem.

Pracując w parze z Foskinem Dorden opatrzył ponownie Tremarda i ustabilizował go, potem odesłał wszystkie Duchy z wyjątkiem Lespa na stanowiska obronne. Kolejny pogrążony dotąd w śpiączce Volpończyk odzyskał przytomność z powodu ustawicznych przenosin i wpadł w niekontrolowane konwulsje.

Caffran, Foskin, Gutes i Claig wybiegli z pomieszczenia szpitalnego zabierając pośpiesznie ustawione na stojaku w jednym z kątów volpońskie karabiny.

Rzucający się w drgawkach Volpończyk skonał. Chociaż nie miał na ciele żadnych obrażeń prócz kilku siniaków, Dorden wiedział, że fala uderzeniowa artyleryjskiego wybuchu uszkodziła śmiertelnie organy wewnętrzne żołnierza. Lesp pomógł lekarzowi zdjąć zwłoki z pryczy i przenieść je do pokoiku służącego za tymczasową kostnicę.

Szybko wrócili z powrotem. Korytarz był zatłoczony i duszny, jego mrok z trudem rozjaśniały chemiczne lampy rozstawione przez gwardzistów w kilku punktach podłogi. Ranni jęczeli i wzdychali, niektórzy spali snem tak kamiennym, że sprawiali wrażenie martwych. Podłoga dygotała lekko, a z przeciekającego dachu co chwila lały się strugi brudnej wody.

- Wszyscy tutaj zginiemy, nieprawdaż? - zapytał spokojnie Lesp.

Dorden milczał przez chwilę zaskoczony pytaniem. Nie miał pojęcia, co w takiej sytuacji powiedziałyby Gaunt. Co takiego zrobiłby w tej chwili oficer polityczny, by podnieść morale ludzi stojących twarzą w twarz ze śmiercią? Nie wiedział. Dotąd nie miało to znaczenia. Nie potrafił złożyć podniosłej frazy mówiącej „o wyższym dobru Gwardii” lub „powinności wobec Imperatora”. Zamiast tego odwołał się naprędce do prywatnego motywu.

- Ja nie zamierzam tu ginąć - odpowiedział. - Kiedy umrę, moja żona, córka i wnuczka umrą również, razem z moimi wspomnieniami. Dla nich właśnie nie zamierzam tutaj umierać,

Lesp.

Sanitariusz przytaknął głową, jego wydatne jabłko Adama poruszyło się gwałtownie. Pomyślał o swoich wspomnieniach: matce, ojcu, braciach, załodze swojego rybackiego trawlera.

- Zatem ja też - odrzekł po chwili.

Dorden ruszył w stronę schodków na końcu korytarzyka.

- Dokąd pan idzie?

- Poradzisz tu sobie sam. Zobaczą, czy na górze nie potrzebują mojej pomocy.

Lesp wyjął z kabury pistolet, podał go lekarzowi. Dorden pokręcił głową.

- Nie mógłbym tego zrobić, nawet teraz - powiedział.

Na górze panowała cisza i wydawało się, że zarówno burza jak i natarcie ucichły na moment. Dorden przemierzył szybkim krokiem salę jadalną budynku poprawiając wtyczkę komunikatora, ale urządzenie milczało uparcie. Pod sufitem kołysały się leniwie lampy, w powietrzu wibrował pył. Pozbawione leżących na nich dotąd rannych koce wyglądały teraz niczym żalosne legowiska nędzarzy. Dorden omijał starannie kałuże krwi i kawałki rozciętych ubrań.

Wszedł do kuchni przesuwając wzrokiem po stole, na którym amputował nogę kaprała Regary. Po raz pierwszy dostrzegł metalowy kominek, taki sam, przed jakim siadywał w dawnych czasach na Tanith. On i jego żona, w czasie długiej zimowej nocy, z książką i kieliszkiem czegoś mocniejszego na rozgrzanie.

Na zawieszanej na ścianie półeczce stały w rzędzie małe przedmioty, które w pierwszej chwili lekarz wziął za fiołki talku. Podeszedł bliżej, wziął jeden z przedmiotów do ręki. Ząb. Mały, okrągły świński ząb. Mieszkańcy tej osady hodowali świnie troszcząc się o nie tak dalece, że dbali nawet o trofea świadczące o wysokim poziomie hodowli. Na świńskich zębach widniały wygrawerowane delikatną ręką imiona... Imperator, Sir, Jego Dostojność... i daty.

Ten dowód ludzkiej pieczołowitości i dumy wzruszył nagle starego lekarza. To wcale nie dziecinna reakcja, wymruczał próbując usprawiedliwić się przed samym sobą. Czemu świnie? Kto osiadł tutaj, by trudzić się w znoju i dbać o rodzinę?

Jakiś dźwięk w sali jadalnej wyrwał mężczyznę z zamyślenia. Przeszedł do drugiego pomieszczenia i natrafił na grupę wchodzących do środka gwardzistów. Duchy i Volpończycy, wszyscy z wyjątkiem Corbeca. Chwiali się na nogach ze zmęczenia, byli ogłuszeni wybuchami i nieładnie brudni.

Dorden odnalazł idącego na końcu grupy Mkolla.

- Wycofali się - oświadczył sierżant. - Żywej duszy na przedpolu. To może oznaczać tylko jedno...

- Jestem lekarzem, nie żołnierzem. Co to oznacza?

Mkoll syknął z bólu, gdy Dorden wyciągał mu spod skóry kilka drzazg.

- Że szturm zawiódł. Wycofali się, by ściągnąć na pozycje ciężką artylerię. Dorden pokiwał głową.

- Zejdźcie do piwnic, wszyscy. Foskin, Lesp pomoże ci znaleźć coś do ugotowania. Przygotujcie jedzenie. Artyleria czy nie, chcę, by wszyscy coś zjedli.

Mężczyźni zeszli powoli do podziemi. Lekarz pozostał sam w sali jadalnej. Corbec wszedł do środka po chwili, pokryty zakrzepłą krwią, błotem i sadzą. Rzucił pusty miotacz ognia Brostina na jedno z posłań, obok cisnął rozładowany laser Tremarda.

- Zegar już tyka, doktorze - powiedział - Utrzymaliśmy ich... na fetha, aleśmy ich przytrzymali! Ale teraz nas rozniosą. Widziałem przez lornetkę ruch na polach. Wielkie działa już są wtaczane na pozycje. Jeszcze jakaś godzina i zrównają osadę z ziemią.

- Colm... dziękuję ci za wszystko, co razem z chłopakami zrobiłeś tej nocy. Mam nadzieję, że było warto.

- Zawsze jest warto, doktorze.

- Co zrobimy teraz? Zejdziemy do naszego grobowca w piwnicy?

Corbec wzruszył ramionami.

- Piwnica nas nie uratuje. Nie wiem jak ty, ale ja zamierzam zrobić jedyną rzecz, jaka mi na myśl przychodzi w tej sytuacji.

- Co?

- Pomodlić się. Mkoll mówił, że za budynkiem jest stara kaplica. Teraz pozostały nam już tylko modlitwy.

Razem precyzyjnie się pomysłami między stertami gruzu i połamanymi deskami, wchodząc do niewielkiego pomieszczenia na zapleczu budynku mieszkalnego. Dach pokoju zapadł się i gwiazdy migotały niemo ponad głowami mężczyzn.

Corbec przyniósł ze sobą lampę. Przesuwał ją tuż przy tylnej ścianie kaplicy szukając malowideł, o których wspominał Mkoll. Obraz przedstawiał boskiego Imperatora karzącego heretyków. Władcy ludzkości towarzyszyły mniejsze sylwetki mężczyzny, kobiety i trójki dzieci, kłaniających się pokornie swemu boskiemu panu.

- Tutaj jest jakaś inskrypcja - powiedział Dorden i zaczął ścierać brud ze ściany za

pomocą znalezionej w kącie szmaty.

- Świnia! Co to ma znaczyć?

Corbec podniósł wyżej lampę i odczytał napis.

- Cóż za ironia losu, doktorze. Jesteśmy na świecie zasiedlonym przez gwardzistów. Takie Nowe Tanith. Właściciel tej osady, Farens Cloker, był żołnierzem regimentu Świńskich Czaszek. Jego jednostka uczestniczyła w pierwszym etapie inwazji na Sabbat, jakieś sto dziewięćdziesiąt lat temu. Świńskie Czaszki zdobyły ten świat i w nagrodę otrzymały prawo do osiedlenia się na nim. Cloker był kapralem Gwardii. Przyjął demobilizację z ochotą, osiadł w tym miejscu, założył rodzinę i hodował świnie na pamiątkę maskotki regimentu. Jego potomkowie podtrzymywali ten zwyczaj...

Głos Corbeca zadrżał lekko, w jego tonie pojawił się dziwny żal.

- Feth! Dostać się tutaj, wygrać świat, rozpocząć nowe życie... ale i tak przeszłość cię dopada w chwili, gdy się tego nie spodziewasz.

- Nie zawsze. Jak wiele mamy zdobytych światów, gdzie żołnierze Gwardii dożywają swych lat w spokoju i radości?

- Nie wiem. To jest zbyt przerażające. Trudnisz się przez całe życie, krwią oplądasz ten świat, który ci dają w nagrodę i wtedy spotyka cię coś takiego.

Corbec i Dorden przysiedli na stercie drewnianych belek.

- Pytałeś mnie, czemu z tobą zostałem, doktorze. Powiem ci teraz, ponieważ jesteśmy skazani na śmierć i nic nas już nie uratuje - pułkownik splótł palce dłoni.

- Zatem?

- Byłeś przez dwadzieścia lat doktorem w Pryze County.

- Dwadzieścia siedem. I w Beldane.

Corbec skinął potakująco głową.

- Pochodzę z Pryze. Moja rodzina należała do robotników tartacznych. Byłem nieślubnym dzieckiem, dlatego przyjąłem nazwisko ojca, gdy je poznałem. Moja matka... to był trudny poród.

Dorden zeszywniał domyślając się czegoś podświadomie.

- Umarłaby w połogu, gdyby pewien młody lekarz nie przybył w środku nocy z pomocą. Landa Meroc. Pamiętasz ją?

- Zmarłaby wtedy, gdyby...

- Dziękuję ci za to, doktorze Dorden.

Lekarz spojrział zdumiony na Corbeca.

- Odbierałem twój poród?! Na fetha! Czyżbym naprawdę był już taki stary?!



Obaj mężczyźni wybuchli szaleńczym serdecznym śmiechem, dopóki z oczu nie popłynęły im łzy. I wtedy ciszę nocy bezpowrotnie rozdarł huk ciężkiej artylerii.

Imperialna Gwardia zmiotła bombardowaniem artyleryjskim wysunięte pozycje nieprzyjaciela. Gaunt wjechał do osady w pierwszym transporterze, mknącym z metalicznym łoskotem poprzez mgły bladego przedświt. Lojaliści dopadli zaskoczonych żołnierzy Chaosu w chwili, gdy ci kończyli ustawiać na pozycjach swoje ciężkie działa.

Przybyłe do osady Duchy nie potrafiły rozpoznać opuszczonej zaledwie dzień wcześniej farmy. Błoto, połamane i spalone fragmenty umocnień oraz zmasakrowane trupy wały się wszędzie wokół. Komisarz wykrzyczał krótki rozkaz i transporter zahamował na dziedzińcu osady.

Wartę przy bramie trzymał szeregowiec Lesp. Oddał przechodzącemu dowódcy regimentu salut. Corbec i Dorden czekali w drzwiach głównego budynku.

- Konwój medyczny jest w drodze - oświadczył Gaunt. - Zabierzemy stąd rannych Volpończyków.

- Naszych rannych też? - zapytał Dorden myśląc o Tremardzie i okaleczonej twarzy Mkolla.

- Wszystkich. Jak widzę, mieliście tutaj swoje pięć minut chwały.

- Nic, o czym warto by wspominać, sir - machnął ręką Corbec.

Gaunt skinął lekko głową i wszedł do zrujnowanego budynku.

Corbec odwrócił się do Dordena i pokazał mu ściskany dotąd w dłoni świński ząb.

- Nie zapomnę - oświadczył - Może temu gwardziście na Nacedonie się nie udało, ale na ten ząb przysięgam, że nam się powiedzie. Zdobędziemy własny świat, większy i piękniejszy, niż możesz sobie wyobrazić, doktorze.

W dłoni Dordena spoczywał inny ząb, z wygrawerowanym imieniem Imperator.

- Wierzę, że tego dokonasz, Colm. Zrób to. To polecenie lekarza.

# Monthax

Obrót, celowanie, pchnięcie, powrót... Obrót, celowanie, pchnięcie, powrót.

W cieniu tropikalnych drzew porastających skraj tanithijskich umocnień szeregowiec Caffran ćwiczył technikę walki na bagnety. Rozebrany do pasa i ociekający potem, manipulował swym laserem w rytm mamrotanej cicho mantry, opuszczając broń horyzontalnie, przesuwając się do przodu i dźgając pień pobliskiego drzewa. Po każdym pchnięciu wyszarpywał z trudem tkwiący głęboko w drewnie bagnet i powtarzał ćwiczenie. Drzewo nosiło na sobie ślady ostrza, z rozcięć w korze sączyły się gęste soki.

- Dobra robota - oświadczył zza jego pleców Gaunt. Caffran odwrócił się w miejscu świadom nagle faktu, że od dłuższego czasu był obserwowany. Otarł pot z czoła i podniósł dłoń do salutu.

- Spocznij - powiedział Gaunt - Robię zwykły obchód linii. Wszystko u ciebie w porządku? A co z resztą plutonu?

Caffran poczuł suchość w gardle, pojawiającą się zawsze wtedy, kiedy Gaunt zwracał się bezpośrednio do niego. Pomimo spędzonych wspólnie miesięcy wciąż miał mieszane uczucia wobec człowieka, który uratował im życie, ale i skazał na zagładę Tanith.

- Wszyscy czekamy na rozkazy - odparł po chwili. - Można dostać szau. To czekanie...

- Najgorsza część naszej roboty, wiem o tym. - Gaunt usiadł na pobliskim przewróconym pniaku. - Dopóki nie zacznie się zabijanie, bo wtedy człowiek nagle pojmuję, że wyczekiwanie wcale nie było takie złe.

Caffran dostrzegł iskiereki wesołości w oczach komisarza i sam nie zdołał powstrzymać się przed uśmiechem.

Gaunt ukrył starannie zadowolenie z rozbawienia młodego żołnierza. Doskonale zdawał sobie sprawę z napięcia, jakie jego obecność budziła w Caffranie. Jeden z najmłodszych Duchów rokował nadzieje na dobrego gwardzistę, ale jednocześnie przebywał niebezpiecznie blisko grona malkontentów majora Rawne.

- Ćwicz dalej - zasugerował komisarz.

Próbując skoncentrować myśli na zadaniu zdenerwowany Caffran odwrócił się w stronę drzewa i powtórzył procedurę pchnięcia. Obrót, celowanie, pchnięcie, powrót... stracił kilka sekund na wyszarpięcie bagnetu z wilgotnej drzewnej miazgi.

- Przekręć ostrze - poradził Gaunt - Wysunie się łatwiej, jeśli wcześniej odrobinę je przekręcisz w bok.

Caffran poruszył bagnetem w zalecony sposób. Komisarz miał rację. Gaunt podniósł się na nogi ruszając w dalszy obchód.

- Już niedługo, Caffran - powiedział przez ramię odchodząc w głąb bazy.

Caffran westchnął ciężko. Już niedługo. A potem zacznie się szaleństwo i piekło. Obrót, celowanie, pchnięcie, powrót... Obrót, celowanie, pchnięcie, powrót...

## IX - Prosty plan.

Pośród ryku silników imperialne statki desantowe spadały na oceaniczny świat Sapencia. Niczym wielkie stada czarnych tłustych żuków unoszących się nad brzegami wodnego zbiornika, transportowce zmierzały w kierunku powierzchni Zatoki Belano. Uderzając w wodę wzbijały ogromne fontanny tworząc chmurę pary szeroką na trzy kilometry i na dwieście metrów wysoką. Wielka fala pomknęła w stronę przybrzeżnych skał prosto na wysunięte posterunki obrońców.

Masa wody ukryta pod kurtyną zwiewnej mgiełki uderzyła w zachodni brzeg wyspy Oskray dwadzieścia sekund po tym jak pole widzenia obrońców zostało zredukowane do zera przez kłęby morskiej pary. Skały, metal i ludzka tkanka zostały zmiecione w ułamku chwili, wyrzucone wysoko w powietrze, a następnie porwane przez cofające się wody zatoki. Ściana piany osłoniła na chwilę przygotowujące się do lądowania statki Gwardii.

Stanowiska ciężkiej broni na szczytach klifów Oskray zaczęły słać ogniste strumienie metalu w ławicę morskiej pary wciąż zasnuwającą zatokę oraz wysoko w niebo, gdzie drugi rzut transportowców właśnie rozpoczynał sekwencję desantu morskiego. Wiązki baterii przeciwlotniczych, błękitne i migotliwe, przemykały pomiędzy czarnymi metalowymi żukami. Niektóre statki zmieniały się w kule ognia po zetknięciu z wiązkami, inne spadały w dół ciągnąc za sobą gęste warkocze dymu.

Dwadzieścia kilometrów kwadratowych wyspy Oskray tylko częściowo składało się ze skał. W rzeczywistości był to archipelag małych wysepek połączonych ze sobą kompozytowymi platformami wzniesionymi na szczytach podmorskich wzniesień. Za wysokimi na sto metrów kamiennymi wałami strzegącymi wysp przed oceanem pracowały nieustannie wielkie pompy i wieże wiertnicze, a w niebo strzelały buchające płomieniami kominy. Był to główny cel inwazji - kompleks rafineryjny Oskray Jeden.

Czerwone lampy zaczęły pulsować wściekle, a wewnątrz przedziału desantowego wypełnił ryk klaksonów sygnalizujących otwieranie rampy wyładunkowej statku Lambda. Przez rosnącą szybko szczelinę w przedniej ścianie ładowni wpadało blade światło dzienne. Spięty i zdenerwowany Caffran wiedział, że czeka go desant morski, a kierunek uderzenia wie dzie w głąb plaży. Taki był plan. Przez chwilę bał się, że statek jest zanurzony zbyt mocno i przez otwarty właz runie do środka ściana morskiej wody. Zakrztusił się śliną i przełknął ją

pośpiesznie, ale nie dostrzegł śladu kipieli.

Krzyki ludzi i tupot butów na metalowej podłodze wydawał się ogłuszający. Ściskający w rękę laser, potrącany w tłumie pięćdziesięciu innych gwardzistów, Caffran rzucił się prosto w otwór rampy desantowej. Na sekundę panujący wewnątrz statku hałas ucichł przytłumiony hukami silników innych lądujących wokół jednostek. Caffran nie widział nic prócz pleców biegnącego przed nim Ducha oraz kłębow wodnej pary i dymu. Czuł zapach morskiej bryzy, ozonu, gorącego oleju i spalenizny.

Zaraz potem wpadł w nicość. Znalazł się pod wodą, w zimnym mroku oceanu, otoczony ciemnymi kształtami szarpiących się desperacko ludzkich ciał otoczonych przypominającymi klejnoty bańkami powietrza.

Statek transportowy otworzył rampę zbyt wcześnie i wszyscy pędzące po niej na oślep żołnierze wpadali do morza jakieś trzydzieści metrów od linii brzegowej wyspy.

Caffran nie potrafił pływać. Urodził się i wychował w puszczy tysiąc kilometrów od najbliższego dużego zbiornika wody. Nigdy wcześniej nie widział morza, chociaż słyszał na jego temat opowieści innych, zwłaszcza sanitariusza Lespa, byłego rybaka. A teraz znalazł się w obliczu najmniej spodziewanej odmiany śmierci: utonięcia.

Mężczyzna przypomniał sobie, że wciąż jeszcze nie wypuścił z płuc głębokiego haustu powietrza wciągniętego na myśl o zalaniu wnętrza statku wodą i omal się nie roześmiał z historyczną ulgą. Zaciśnął mocniej usta i zaczął machać rękami wznosząc się w górę, czując jak zgromadzone w płucach powietrze zaczyna palić go żywym ogniem. Instynktowny odruch miał mu uratować życie, ponieważ inni gwardziści skaczący z rampy w większości przypadków nie nabrali w tym momencie powietrza w płuca.

Tonące czarne kształty miały się wszędzie wokół, dostrzegał kombinezony Duchów, ich blade, wykrzywione w grymasach przerażenia twarze. Jakieś ciało opadało w dół tuż obok niego, palce martwego żołnierza przypominały rozcapierzone szpony, z otwartych ust uciekały ostatnie bańki powietrza. Caffran machnął rozpaczliwie nogami prąc w górę.

Coś uderzyło go silnie w kark i z zaskoczenia wypuścił powietrze pogrążając głowę w słupie srebrnych bąbelków. Tanithijczycy wciąż wyskakiwali z rampy statku transportowego spadając do wody na głowy próbujących się ratować towarzyszy, jeden z nich kopnął Caffrana przypadkiem swym ciężkim butem. Ogarnięty zwierzęcą paniką gwardzista machał desperacko rękami młóćąc wodę tuż za Caffranem. Młody Duch odbił się od niego pracując jeszcze mocniej kończynami i walcząc z potrzebą zaczerpnięcia oddechu. W górze dostrzegł sylwetki ludzi wpadające do wody pośród rozbryzgów morskiej piany. Ich widok podpowiedział mu, że powierzchnia jest odległa o zaledwie kilka metrów.

Gwardzista, który kopnął go w kark w trakcie swego upadku zderzył się z innym tonącym Duchem, splątał się z nim paskiem swego karabinu. Jeden z mężczyzn nacisnął konwulsyjnie spust lasera, woda wokół ludzkich ciał zagotowała się od smug pomarańczowego światła. Caffran słyszał niewyraźny syk laserowych wystrzałów, zniekształcony przez zalane wodą bębrenki uszu. Jedna z wiązek przeszła dryfujące opodal martwe ciało, inna przebiła nogę jakiegoś walczącego o dotarcie do powierzchni pływaka. W wodzie pojawiła się chmura krwi. Caffran pochwycił w uszy odległe głosy swych przodków, niezrozumiałe z powodu wody i ciśnienia.

Wystrzelił ponad powierzchnię morza dysząc rozpaczliwie, plując słoną wodą. Z jego nosa ciekła strużka krwi. Tocząc wokół wzrokiem dostrzegł inne Duchy, płynące w kierunku niedalekiego brzegu lub miotające się panicznie w miejscu w nadziei na ratunek. Niektórzy Tanithijczycy unosili się nieruchomo na falach, bezwładni, martwi. Dźwięki zaatakowały zniecka zmysły żołnierza, ryk trwającego cały czas desantu nie był już miłosiernie filtrowany przez warstwę wody. Nad powierzchnią morza niosły się ludzkie krzyki, szczęk laserów, huk silników promów. Caffran czuł zapach świeżej krwi, morskiej wody i gryzącego dymu, ale cieszył się z nich niczym dziecko, bo wiedział już, że nadal oddycha. Gdzieś za jego plecami z wody wystrzeliły gejzery i obłoczki pary znaczące miejsca, gdzie pod powierzchnią morza jacyś spanikowani nieszczęśnicy pociągali nieświadomie za spusty swoich karabinów.

Zaczął machać ramionami płynąc w stronę brzegu, wypluwając z ust resztki słonej cieczy, walcząc z falami. Zastłona z dymu i mgły ograniczała widoczność do zaledwie dziesięciu metrów. Na ułamek sekundy usłyszał ponownie głosy przodków, ale chwilę potem zorientował się, że to nie jest żadna wizja. Dźwięki dobiegały z tkwiącej w uchu wtyczki mikrokomunikatora. Staccato radiowych transmisji pod wodą przypominało odległe szepty, teraz jednak rozbrzmiewało porażającym bębrenki hałasem.

Poczuł pod nogami piasek i zaczął biec przez coraz płytszą wodę, przewracając się przy tym dwukrotnie i krztusząc. Boltowe pociski i laserowe wiązki cięły powietrze wszędzie wokół, jedna z nich dosięgła Ducha brodzącego obok Caffrana. Gwardzista upadł twarzą w wodę, jego ciało tańczyło na falach poruszając się w rytm przyboju.

Caffran przypadł na jedno kolano, kiedy inna wiązka laserowego światła musnęła jego lewe ramię. Przeciągnął kolanami po kamienistym podłożu rozdzierając spodnie do połowy nogawki. Poczuł, że jego karabin staje się coraz cięższy i wysuwa mu się z rąk. Laserowy promień przepalił przewieszony przez lewy bark pasek broni.

Czyjeś ręce pociągnęły go do przodu w tej samej chwili, gdy zaciskał uchwyt na

karabinie.

- Caffran!

Trzymał go Domor, drużynowy szperacz. Mężczyzna był objuczony ciężkim plecakiem i przytroczonymi do niego detektorami. Domor stracił swe oczy - a przy okazji niemal i życie - sześć miesięcy temu, w trakcie finałowej akcji na Menazoidzie Epsilon. Byli tam razem ramię w ramię, podobnie jak teraz. Metalowe implanty optyczne Domora zawarczały obracając przesłone obiektywów. Cybernetyczne wszczepy szperacza przypominały przyciętą lornetę wbudowaną prowizorycznie w ludzką tkankę wokół oczodołów.

- Damy radę dotrzeć do plaży! - krzyknął Domor pomagając młodemu towarzyszowi utrzymać się na nogach. Pobiegli razem do przodu rozbryzgując wodę, dołączyli do nich inni - nieregularna tyraliera Duchów brnąca przed siebie, chowająca się za tkwiącymi w falach zaporami ze spawanych kątowników, walcząca ze zwojami zardzewiałego drutu kolczastego. Lawina ognia i stali spadała z zadymionego nieba wprost na głowy ludzi, wielu z nich upadało w wodę, w milczeniu lub z przeraźliwym krzykiem.

Wybiegli w końcu na plażę, drobiny piasku i kamyków tryskały w górę wzbijane podeszwami ich butów. Dwadzieścia metrów dalej runęli na brzuchy za starym, porośniętym mchem murkiem. Wiązki laserów uderzały z charakterystycznym traskiem w osłonę.

- Jaki jest plan? Co robimy? - wrzasnął Caffran.

- Nic. Fatalna widoczność. Ciężki ostrzał nieprzyjaciela stamtąd. - Domor wskazał palcem gdzieś w górę, prosto w kurtynę mgieł, gdzie tylko jego cybernetyczne implanty potrafiły coś dojrzeć.

Dwaj żołnierze przypadli do ziemi tuż obok Duchów, zaraz potem dołączył do nich trzeci. Szeregowiec Mkendrik z miotaczem płomieni, szeregowiec Chilam syczący niczym rozdrażniony kot i ściskający palcami jednej dłoni resztki swego odstrzelonego ucha. I sierżant Varl.

Varl był popularnym oficerem wśród Duchów: młodym, awansowanym w trybie promocji polowej, bystrym i upartym gwardzistą nie posiadającym ani śladu dystyngowanej aury otaczającej większość oficerów. Stracił na Fortis Binary swoje ramię, a jego bluza opinała ciasno grubą cybernetyczną protezę zastępującą dawną kończynę. Caffran dostrzegł grymas bólu na twarzy sierżanta. Varl zaklął i zaczął szarpać palcami drugiej dłoni za obudowę protezy.

Morska woda dostała się do wnętrza wszczepu uszkadzając elektroniczne obwody protezy. Metalowa ręka wisiała bezwładnie zablokowana, ale jej przekaźniki neuralne wciąż działały wysyłając do mózgu sierżanta sygnały alarmowe w postaci bolesnych wstrząsów.

Domor miał więcej szczęścia, jego implanty optyczne wydawały się dostatecznie głęboko wszczępione w czaszkę, by ulec podobnym uszkodzeniom... a przynajmniej taką miał nadzieję. Caffran zastanawiał się, ile czasu potrzebuje przesycona solą woda, by spowodowana przez nią korozja delikatnych mechanizmów oślepiła szperacza.

Z pomocą Mkendrika Caffran zdjął bluzę sierżanta i odkręcił śrubki zabezpieczające pokrywę panelu kontrolnego protezy. Manipulując czubkiem swojego noża Mkendrik podważył umieszczone w środku płaskie baterie i przeciął biegnące pod nimi kabelki. Varl westchnął z ulgą. Caffran przywiązał martwą metalową rękę za pomocą paska do torsu sierżanta. Był to desperacki zabieg. Bez stałego zasilania nie tylko przekaźniki neuralne, ale i naturalne funkcje były całkowicie odcinane od organicznych pozostałości przebudowanej ręki. Sierżant potrzebował medycznej opieki albo w przeciągu godziny, góra dwóch jego kończyna miała zacząć obumierać.

W tej jednak chwili Varl czuł wyłącznie ulgę. Przesunął się bliżej murku za pomocą zdrowej ręki, po czym rozejrzał się po linii brzegowej. Wzdłuż plaży, w krzyżowym ogniu obrońców, nadciągali kolejni Tanithijczycy. Większość z nich ginęła, tylko nieliczni szczęśliwcy padali płasko za osłonami terenu.

- Gdzie do cholery są pancerniacy?! - zawył sierżant. - To oni mieli poprowadzić ten szturm i zdobyć przyczółek!

Kręcąc wokół głową Caffran dostrzegł wielkie bryły Basilisków tkwiące w wodzie sto metrów dalej. Przypominały wyrzucone na brzeg wieloryby, z ich rur wydechowych strzelały kłęby dymu i pary powstałej wskutek zalania wodą silników.

- Promy zrzuciły nas zbyt daleko od brzegu - wyjaśnił Varlowi.

Sierżant spojrział w kierunku wskazanym przez Ducha.

- Zatopili całą przednią linię cholernego desantu!

- Nic nie widzieli, ta mgła... - zaczął Caffran.

- Do diabła z nimi, zawalili swoją robotę! - splunął na piasek Varl.

Jakiś zbłąkany boltowy pocisk zrykoszetował o murek i trafił prosto w środek twarzy Chilama. Głowa gwardzisty eksplodowała, jego ciało runęło na ziemię z rozkrzyżowanymi rękami.

- Musimy się stąd ruszyć! Musimy iść do przodu! - krzyknął Varl. Chaotyczny gwar w komunikatorach nie słabł nawet na chwilę.

- Nie ma gdzie pójść - odparł cicho Domor.

Wiatr rozpędził w końcu wielkie obłoki pary i gwardziści ujrzeli to, co wcześniej zobaczył szperacz. Gigantyczny biały mur obronny obiegający Oskray górował ponad ich



głowami, sięgając niemalże tysiąca metrów wysokości. Poza kilkoma nieznacznymi szramami wydawał się nietknięty. Według pierwotnego planu Basiliski miały po wjechaniu na plażę rozbić spory fragment fortyfikacji i umożliwić piechocie wdarcie się przez wyłom na teren wyspy.

Mur wciąż stał niewzruszenie, śnieżnobiały, lodowaty, zwiastun poważnych kłopotów.

Varl zaklął plugawo.

Caffran pierwszy usłyszał odległy przenikliwy skowyt silników. Spojrzał przez ramię w stronę morza, a potem chwycił za ubrania Domora i Varla i powalił ich na piasek. Mkendrik natychmiast poszedł w ślady towarzyszy.

Statek desantowy, ogarnięty płomieniami od kokpitu po stateczniki ogonowe, nurkował pod ostrym kątem rozsypując w powietrzu płonące paliwo i szczątki sekcji napędowej. Sześćset ton umierającego metalu spadało na plażę przysłaniając słoneczne promienie. Luki desantowe pojazdu były zamknięte.

Ludzie pieką się tam żywcem, pomyślał Caffran, co to za regiment? Prom znalazł się tuż nad jego głową i chaotyczne myśli Ducha zgasły niczym zdmuchnięty płomień świecy.

Mkendrik potrząsał nim uparcie. Caffran zamrugał oczami i rozejrzał się wokół.

- Jak długo byłem nieprzytomny?

- Niecałą minutę - odpowiedział Mkendrik.

Caffran podniósł się z trudem z piasku. Miał wrażenie, że od utraty świadomości minęły całe godziny, że to nawarstwiające się zmęczenie i ból wzięły w końcu górę nad wyczerpanym organizmem i zmusiły go do snu.

- Co się stało? - syknął. - Byłem pewien, że zginiemy, nie Mkendrik wskazał na coś palcem. W pierwszej chwili Caffran dojrzał niewiele. Kłęby białej pary zmieszały się z czarnym gęstym dymem, a piaszczysty brzeg pokrywały małe metalowe odłamki wciąż jeszcze żarzące się ciemnoczerwonym blaskiem. Dopiero po chwili szeregowiec zrozumiał, co się stało. Spadający statek desantowy przemknął nad ich głowami i runął na górną część plaży, po czym uderzył z rozpędu w umocnienia wyspy. Mur pękł pod wpływem tego zderzenia, na długości sześciuset metrów jego biała powierzchnia szerniała i nadtopiła się od żaru detonacji. Osmalona pionowa szczelina znaczyła miejsce wiodące do wnętrza kompleksu. Ludzie konający na pokładzie promu otworzyli swym towarzyszom drogę płacąc za to własnym życiem.

Caffran pobierał szybko rzeczy, które wysypały się z jego otwartego plecaka, podniósł upuszczony laser. Mkendrik wymieniał baterie w swoim karabinie. Varl i Domor sprawdzali

ekwipunek, podobnie jak niewielkie grupki Duchów ukryte na brzegu rafinerii. Wszyscy przygotowywali się do uderzenia na pęknięcie w wałach.

Nieprzyjaciel wciąż ostrzeliwał plażę, ale po uszkodzeniu tak znaczącej części muru ogień zaporowy wyraźnie zelżał. Załogi nadpływających statków desantowych natychmiast to wykorzystały kierując się w ślepy punkt wrogich baterii. Caffran usłyszał za plecami łoskot gąsienic i spojrzął przez ramię w stronę linii wody. Cztery samobieżne haubice, tym razem dowieszone na właściwy dystans, wtaczały się na plażę. Ich masywne sekcje napędowe z trudem przesuwały się po stertach mokrych kamieni, wtaczały ciężkie pojazdy na murek falochronu. Caffran rozpoznał insygnia na kadłubach Basilisków. Ketzokanie, Siedemnasty Regiment Pancerny zwany Żmijami - jednostka, która zmasakrowała Duchy na Voltemandzie.

W towarzystwie Domora, Varla, Mkendrika i kilku innych Duchów Caffran pobiegł ostrożnie ku wyłomowi w murze, przeskakując kamienne bryły i nadtopione fragmenty rozbitego promu. Gdzieś z góry sypały się laserowe wiązki, po lewej zastukał karabin maszynowy, jego pociski odbijały się od kamienistego podłoża.

Wchodząc w szczelinę Caffran pogrążył się w półmroku. Sto metrów z przodu, na samym końcu zwązającego się stopniowo pęknięcia, dostrzegał światło dzienne. Poczul zniecka dumę na myśl o tym, że to Duchy miały być pierwszymi gwardzistami stawiającymi stopy na terytorium nieprzyjaciela.

Był już blisko przejścia na drugą stronę muru, przemykając się wraz z pozostałymi Tanithijczykami w mroku wyłomu, starając się omijać metalowe szczątki kadłuba statku desantowego. W otworze wylotowym pęknięcia dostrzegał las stali i żelaza. Rafineria.

Gaunt okazał się niezwykle precyzyjny w trakcie odprawy. Marynarka kosmiczna mogła rzecz jasna unicestwić całą Wyspę Oskray bombardowaniem z orbity, ale jej instalacje były zbyt cenne, a to pociągało za sobą konieczność przeprowadzenia standardowego desantu. Obrońcy kompleksu określali samych siebie mianem Kith, tworząc jakąś metropolitalną odmianę kultu Khorna... Caffran nie słuchał zbyt uważnie dotyczącej ich części odprawy, po części dlatego, że wyjaśnienia komisarza niewiele mu mówiły, po części zaś z powodu niesmaku, jaki budziły w nim raporty na temat Kithów. Nie chciał słuchać detali obrazujących bluźnierczą naturę przeciwnika. Kithowie - wystarczała mu sama ich nazwa - ludzie renegaci, których należało jak najszybciej eksterminować. Przywódcą heretyków był potwór o imieniu Sholen Skara. Część armady Chaosu zatrzymanej na Balhaucie wycofała się właśnie na Sapiencię, a jej przywódcy nawiązali kontakt z kultami Czterech Potęg ukrytymi w miastach planety doprowadzając do obalenia imperialnych władz i przejęcia kontroli nad bogatymi w

petrolium instalacjami przetwórczymi.

Pułkownik-komisarz Gaunt przemawiał długo i z pasją na temat Kithów. Caffran wiedział, że jego dowódca miał udział w wielkim zwycięstwie na Balhaucie, jeszcze jako zwykły oficer polityczny służący z Ósmym Regimentem Hyrkanu. Gaunt nienawidził z całego serca Chaosu, szczególnie zaś tych jego czcicieli, którzy zdołali uniknąć zagłady na Balhaucie z powodu błędnych kalkulacji taktycznych marszałka Macarotha. Gaunt mówił też o Sholenie Skarze, renegecie z obozów śmierci na Balhaucie, jakby wręcz znał go osobiście. To z jego właśnie powodu pułkownik-komisarz zgłosił na ochotnika swój regiment do lądowania na Oskray. Przed rozpoczęciem desantu zakomunikował to otwarcie wszystkim Duchom.

To dlatego, pomyślał Caffran, przyszło nam tutaj tonąć i umierać na drucie kolczastym.

Caffran często rozmyślał na temat Gaunta. Ibram Gaunt. Wymieniał to nazwisko w myślach wielokrotnie, nigdy nie ważąc się wypowiedzieć go na głos. Pułkownik. Komisarz. Dziwny człowiek i dziwne też były żywione względem niego uczucia Caffrana. Młody Duch uważał go za najlepszego, najbardziej opiekuńczego i charyzmatycznego przywódcę, jakiego potrafił sobie wyobrazić. Wiele razy na własne oczy widział jak bardzo Gaunt troszczy się o swoich ludzi, poznał też dostatecznie wielu oficerów liniowych i politycznych w innych regimentach, by zdać sobie sprawę z faktu chociażby jak bardzo rzadki jest styl dowodzenia Gaunta. Wiele Duchów, wśród nich chociażby kochany przez wszystkich pułkownik Colm Corbec, uważało Gaunta za wybawiciela, przyjaciela i brata, i sam Caffran nie potrafił zaprzeczyć, że poszedłby za komisarzem na koniec świata, gdyby otrzymał taki rozkaz.

Lecz znał zarazem dobrze Feygora, Rawne i innych malkontentów z tanithijskiego regimentu i w rzadkich chwilach rozżalenia podzielał ich niechęć do dowódcy. Pomimo całej przelanej na Duchy miłości Gaunt wciąż pozostawał człowiekiem, który porzucił Tanith na śmierć. Od czasu do czasu Caffran próbował przekonać samego siebie, że w postępowaniu komisarza nie było zła, ale głęboki uraz skrywany w głębi serca powstrzymywał go od uznania całkowitej lojalności wobec Gaunta. Pułkownik-komisarz był bezwzględny, miał trzeźwo kalkulujący umysł. Nigdy nie zawahałby się przed posłaniem swych ludzi na śmierć, gdyż w pierwszej kolejności służył Imperatorowi i władzom Terry, a dopiero potem Tanithjczykom.

Caffran postrzegał Brina Milo, adiutanta dowódcy, za symbol utraconego domu. Milo był od niego tylko rok czy dwa młodszy, ale dzieliła ich ogromna przepaść. Caffran nigdy nie odzywał się do chłopca. Gaunt w swym niezwykłym miłosierdziu uratował Brina z płomieni Tanith Magna. Uratował go - lecz nikogo więcej.

Caffran wspominał w takich gorzkich chwilach Larię i swą ogromną do niej miłość. Teraz wiedział jedynie, że Laria nie żyje. Nie miał pojęcia jak umarła i szczerze był losowi za tę niewiedzę wdzięczny. Lecz Laria wciąż go nawiedzała w myślach, stanowiąc ucieleśnienie wszystkiego, co utracił na Tanith. Domu, rodziny, przyjaciół. To dzięki Larii Caffran miał pozostać jednym z niezdecydowanych do końca Duchów, gotowych pójść za Gauntem do piekła, ale nie zamierzających mu nigdy wybaczyć tego, co im uczynił.

Tutaj, w pęknięciu muru obronnego Oskray, łatwo było Gaunta nienawidzić. Odór śmierci i spalenizny unosił się w powietrzu. Caffran skulił się za kamiennym blokiem leżącym tuż przy przejściu na drugą stronę muru. Varl, Mkendrik i szeregowiec Vulliam przykucnęli tuż obok niego.

Z tyłu, z przeciwnego wylotu szczeliny, dobiegały ludzkie krzyki i szcęk gąsienic. Caffran spojrzał pytająco na sierżanta.

- Cholerne haubice - odparł Varl - Ketzokanie chcieliby pchać się przodem, ale nie potrafią precyzyjnie przycisnąć tłustych zadków przez pęknięcie.

- Więc wciąż jesteśmy na prowadzeniu - uśmiechnął się Caffran - Pieprzyć pancerniaków!

- Pieprzyć ich wszystkich - roześmiał się Varl. - Nie ulżyli nam na Voltemandzie, to teraz niech nam nie robią łaski.

Sierżant wydał rozkaz przejścia przez otwór wylotowy i pięćdziesięciu dziewięciu Tanithijczyków ruszyło truchtem przed siebie. Vulliam, biegnący dwa metry przed Caffranem, był jednym z pierwszych żołnierzy przeskakujących na drugą stronę muru. Seria z broni maszynowej rozerwała go na kilka części.

Sześciu dalszych Duchów zginęło próbując wydostać się ze szczeliny. Kithowie ubezpieczyli wyłom stanowiskami strzeleckimi tworząc z wylotu strefę śmierci. Caffran i jego towarzysze wycofali się w głąb pęknięcia. Otwór wylotowy został skąpany strumieniami laserowego ognia i pociskami karabinowymi.

Gwardziści zalegli na kamiennym rumowisku w głębi szczeliny, dysząc ciężko i obserwując grad pocisków uderzający w przejście.

- Jesteśmy tak samo zablokowani jak wcześniej - burknął Domor pocierając palcami przesłony swych implantów.

- Wszystko z tobą w porządku? - zapytał Mkendrik.

- Obraz trochę mi się rozmazuje. Woda dostała się do środka. Mam nadzieję... - szperacz nie dokończył zdania, ale Caffran znał przyczynę jego zatroskania. Morska woda zniszczyła obwody cybernetycznej ręki Varla, a teraz zaczynała powoli korodować optyczne wszczepy

Domora.

- Równie dobrze możemy się wycofać z powrotem na plażę - oświadczył szeregowiec Callun.

Varl pokręcił w zamyśleniu głową pocierając machinalnie przywiązaną do boku protezę. W palcach zdrowej dłoni ścisnął laserowy pistolet.

- A co z rakietami? Ładunkami wybuchowymi? - zastanawiał się na głos Mkendrik - Możemy ich wysadzić...

- A jak chcesz wycelować? - przerwał mu posepnie Varl. - Widzisz stąd kogokolwiek?

Mkendrik usiadł opierając się plecami o kamienny blok, nic nie odrzekł. Przejście na drugą stronę muru było wąskie, widać było za nim jedynie stalowe konstrukcje rafinerii. Nieprzyjacielscy strzelcy mogli czaić się wszędzie.

Zapadła ciężka cisza. Muchy latały chmarami obsiadając ciała zabitych, padlinożerne morskie ptaki próbowały zbliżyć się do nieoczekiwanej zdobyczy, by wbić w nią swe zakrzywione różowe dzioby. Łopot ich skrzydeł wypełniał ciasną przestrzeń wyrwy. Rozzłoszczony przenikliwymi krzykami szeregowiec Tokar przepędził stado strzałami z lasera.

W głębi szczeliny rozległy się ludzkie głosy, zachrzęściły deptane kawałki gruzu. Caffran obejrzał się za siebie i dostrzegł kilku ketzokańskich artylerzystów kręcących się wewnątrz pęknięcia. Przystawali przy każdej grupce Duchów, by zamienić z nimi kilka słów.

Jeden podbiegł do grupy Varla, zgięty wpół. Zasalutował sierżantowi i kucnął pośpiesznie.

- Kapral Fuega, Siedemnasty Ketzoku, Żmije.

- Varl, sierżant, Duch. Czego chcesz?

Fuega podrapał się niepewnie po ucho, zakłopotany obcesowym pytaniem Varla.

- Nasze haubice nie potrafią przejechać przez tak wąski wyłom, dlatego chcemy go poszerzyć ostrzałem. Mój przełożony prosi was o opuszczenie strefy rażenia.

- Szkoda, że nie poprosił nas o to na Voltemandzie - wycedził przez zęby Domor.

Fuega cofnął się o krok.

- Ten czarny dzień przynosi nam hańbę, Duchu. Zrobilibyśmy wszystko, z oddaniem życia włącznie, gdyby tylko można to było odwrócić.

- Oj, pewnie - sarknął cynicznie Varl i podniósł się z ziemi spoglądając na kaprala. - Jaki jest dalszy plan działania?

- Rozkaz generała Kline - chrząknął Fuega. - Wycofujecie się, my ostrzelujemy wyłom, a potem nacieramy wraz z ciężką piechotą.

- Ciężką piechotą?

- Volpończycy właśnie wylądowali na plaży. Mają ciężkie uzbrojenie i opancerzenie. Mamy im oczyścić drogę. - Fuega odwrócił się do Duchów plecami ruszając w powrotną drogę. - Piętnaście minut do otwarcia ognia.

Tanithjczycy spoglądali na siebie pełnym rozżalenia i złości wzrokiem. - I wszystkie te straty na nic? - zachnął się Domor.

Varl był wściekły.

- Pieprzeni Volpończycy i ci z Ketzoku też! Zdychaliśmy na drucie kolczastym, żeby zdobyć ten cholerny przyczółek, a oni teraz chcą przejść po nas i pomaszerować sobie za haubicami!

- Nie wiem, jak tam twoje zdanie, sierżancie, ale ja nie chciałbym tutaj siedzieć w chwili, gdy padną pierwsze pociski.

Varl splunął na ziemię, westchnął ciężko.

- Ja też. No, dobra. Sygnalizujcie odwrót plutonami.

Duchy podniosły się na nogi zbierając swój ekwipunek. Domor, spoglądający ku sklepieniu szczeliny, złapał Caffrana za ramię.

- Co?

- Tam w górze, widzisz?

Caffran spojrzał w kierunku wskazanym palcem szperacza. Ściany pęknięcia wznosiły się nad ich głowami, najeżone pogiętymi prętami zbrojenia i osypującymi się kawałkami kamieni. Pięćdziesiąt metrów wyżej, tuż pod złamaną obudową rury wodociągowej, Caffran dostrzegł w półmroku otwór wejściowy.

- Feth, ależ ty masz ostry wzrok.

- W murze biegają tunele komunikacyjne, na całej jego długości. Pęknięcie przecięło jeden z nich odsłaniając przejście.

Caffran zawołał Varla. Grupa Duchów zebrała się wokół sierżanta oglądając dziurę.

- Moglibyśmy wprowadzić tam drużynę rozpoznawczą i puścić ją tym tunelem tam, dokąd prowadzi.

- Do piekła? - zasugerował szeregowiec Flaven.

- Trochę do niej wysoko... - mruknął Varl.

- Ale ściana jest popękana i pełna uchwytności. Pierwszy człowiek w szyku mógłby pociągnąć ze sobą linę. Sierżancie, plan jest taki...

Varl przekręcił głowę i spojrzał na podekscytowanego Caffrana.

- Nigdy się tam nie dostanę, nie z wyłączoną protezą. Kto poprowadzi?

- Ja - oświadczył sierżant Gorley z piątego plutonu. Był to krępy mężczyzna o pękatej klatce piersiowej i nosie boksera. - Ściągnijcie rannych z powrotem na plażę. Wezmę jedną drużynę i zobaczę, co da się zrobić.

Varl skinął potakująco głową i zaczął zbierać rannych gwardzistów, zwołując do pomocy kilku sprawnych fizycznie żołnierzy. Gorley wyznaczył w tym czasie członków swego komanda: Caffrana, Domora, Mkendrika, Flavena, Tokara, Bude, Adare, Mkalluna i Cailla.

Mkendrik, wychowany w tanithijskich górach, ruszył po ścianie jako prowadzący, ostrożnie szukając oparcia na dłonie i stopy. Zostawił sierżantowi swój miotacz ognia i zbiorniki z paliwem, by później móc wciągnąć je do góry na linie.

Kiedy Mkendrik stanął w wylocie tunelu zabezpieczając zrzucone towarzyszom liny, czas dany Duchom na odwrót niemal dobiegł końca. Tylko dziesiątka gwardzistów pozostawała jeszcze w pęknięciu, pozostali żołnierze dawno już znikli. Lada moment stojące na plaży Basiliski miały wystrzelić pierwsze pociski.

Ludzie pięli się szybko w górę, kurczowo ściskając liny. Gorley został jeszcze na dole, przywiązał do jednego ze sznurów miotacz ognia i plecaki z resztą ciężkiego ekwipunku. Klęczący w zrujnowanym otworze wejściowym tunelu żołnierze wciągnęli je szybko do góry.

Gorley był w połowie drogi, kiedy haubice wystrzeliły pierwszą salwę. Dziesiątka Duchów przywarła do podłogi tunelu ściskając dłońmi uszy.

Jeden z artyleryjskich pocisków trafił w ścianę i sierżant po prostu zniknął unicestwiony eksplozją.

Pojmując, że Gorley już nigdy nie dotrze do szczytu wspinaczki Caffran polecił swym towarzyszom zebrać ekwipunek i pobiec w głąb tunelu. Już niedługo cały ten fragment wału miał lec w gruzach.

Duchy skradały się ostrożnie nieoświetlonym korytarzem. Chociaż generalnie tunel był nienaruszony, uderzenie zestrzelonego promu poczyniło w nim pewne szkody. Podłoga była popękana w wielu miejscach odsłaniając znajdującą się pod betonem skałę. Kable i rury zwisały z sufitu, gdzieś sypał się z góry pył. Niektóre głębsze pęknięcia spowodowały opadnięcie tunelu w poziomie tworząc zamiast prostego korytarza nieporęczne schodki wiodące to w górę, to w dół. Tanithijczycy parli przed siebie badając ciemność snopami zielonego światła swych latarek.

Za ich plecami kamienna struktura morskiego wału drżała coraz silniej. Ketzokańscy artylerzyści zdwoili swe wysiłki. Caffran szedł w przód drużyny, obejmując komendę po Gorley'u. Nikt nie kwestionował jego przewodnictwa - podejrzewał, że wotum zaufania

związane było z faktem, iż to właśnie on zaproponował tę akcję. Duchy zaczęły biec szybciej zagłębiając się coraz bardziej w sieć tuneli.

Po dłuższej chwili dotarli do pionowego szybu, którego środkiem biegła spiralna klatka schodowa z żelaza. Powietrze było duszne, przesycone zapachem wilgoci i soli. Niszczycielskie efekty zderzenia promu z murem były widoczne również tutaj: metalowe pręty utrzymujące schody w powietrzu były pogięte, w wielu miejscach całkowicie wypadły z otworów w ścianie szybu. Cała wążąca kilkaset ton konstrukcja trzeszczała złowieszczo pod wpływem wstrząsów odległych detonacji.

Pierwsze Duchy weszły na przecinający klatkę pomost, wiodący poprzez szyb na jego drugą stronę. Żelazna kładka trzaskała i zgrzytała przy każdym kroku, kołysząc się chwilami niebezpiecznie.

Caill i Flaven przebiegli po niej ostatni. Metalowa sztaba wielkości męskiego ramienia runęła gdzieś z góry mijając o włos głowę Cailla.

- Szybciej! - wrzasnął Caffran.

Z pełnym protestem zgrzytem klatka schodowa zapadła się znienacka, trąc wzajemnie o swe elementy i kamienne ściany głębokiego mrocznego szybu. Fragmenty schodów, poręczy, poziomych wsporników spadały jeden po drugim w przepaść krzesząc jaskrawe snopy iskier.

Opustoszały nagle szyb sprawiał wrażenie nieprzekraczalnej otchłani.

Domor spojrzał na tunel po drugiej stronie przepaści, odcięty teraz całkowicie od uwieczonych po tej stronie szybu żołnierzy.

- I nie ma już powrotu... - mruknął pod nosem.

- Dobrze, że się nie wybieramy w tamtym kierunku - skomentował Caffran i omiółtł ciemność tunelu snopem światła podwieszanej pod broń latarki.

Szerokie cysterny pojawiały się co jakiś czas po obu stronach korytarza. Betonowe posadzki pomalowano matową zieloną farbą, ściany pokrywała śnieżna biel. Ponieważ ściany biegły w górę pod lekkim ukosem, korytarz przypominał przekrojem trapez, skręcał też nieznacznie w lewo. Zakratowane lampy sufitowe sączyły blade światło jarzeniówek, przywodząc na myśl zastygłą w miejscu serię pocisków smugowych.

Duchy Caffrana podążały korytarzem skąpane w świetle lamp. Co sześćdziesiąt metrów od głównego tunelu odbijały w stronę wnętrza wyspy mniejsze kanały - głębokie tunele z cegieł i kompozytu biegnące ukośnie w dół. Mkendrik uznał, że to kanały odpływowe, ale jeśli miał rację, ich rozmiary bardzo Caffrana zaniepokoiły. Korytarzyki były dostatecznie duże, by wyprostowany człowiek mógł nimi swobodnie maszerować. Jeśli faktycznie od



czasu do czasu taki nadmiar wody zalewał wnętrza wałów...

Domor uważał, że boczne tunele pełniły rolę dróg ewakuacyjnych lub zaopatrzeniowych służących do transportów wózków amunicyjnych dla baterii znajdujących się na szczycie fortyfikacji. Nigdzie jednak nie widać było śladu wind wiodących na górny poziom muru, a Caffran wątpił szczerze, by ktokolwiek taszczył ciężkie artyleryjskie pociski na sam szczyt bez jakiegokolwiek mechanicznego wsparcia.

Nigdzie też nie natrafili na żaden ludzki ślad, na żadnego kithańskiego żołnierza, nawet na pojedyncze martwe ciało.

- Wszyscy siedzą pewnie na górze, na stanowiskach ogniowych - zasugerował Caill.

Caffran uznał tę hipotezę za najbardziej prawdopodobną.

- Chcieliśmy wejść do środka, ale myślę, że zrobimy dużo więcej. - Duchy znalazły się przy ostatnim z tajemniczych ukośnych korytarzyków. Caffran wskazał jego wylot kiwnięciem głowy. - Prowadzi do środka wyspy. Spróbujmy tędy.

- A co potem? - spytał Bude.

- Potem?

- Jaki masz plan, Caff?

Caffran umilkł na moment. Wszystkim, czego chciał, było dostanie się do środka. A teraz...

- Jesteśmy w środku - zaczął. - Nikt inny nie dotarł tak daleko.

Pozostali Tanithijczycy poparli go skinieniami.

- Ale co zrobimy potem? - odezwał się Flaven.

Caffran ponownie stracił wątek.

- Zobaczymy... jak daleko zdołamy wejść. W głąb.

Nikt nie zaoponował. W pochyłym tunelu znajdowały się wbudowane w ściany lampy, podłogę pokrywała warstwa metalowej siatki ułatwiającej poruszanie się.

Biegli w ciasnym szyku. Po pokonaniu pięciuset metrów Domor podał ten dystans pozostałym odczytując wynik ze swojego żyrokompasu. Dystans szybko zwiększył się do kilometra. Powietrze zrobiło się chłodniejsze. Tunel przestał opadać, biegł teraz idealnie poziomo. Ustawiczny grzmot artyleryjskiego ostrzału dobiegający z za muru stopniowo zanikał.

Usłyszeli niski pomruk zanim jeszcze dotarli do końca korytarzyka. Basowy ciągły dźwięk, który wprawiał powietrze w lekkie drżenie. Caffranowi przyszły natychmiast na myśl wielkie pszczoły kręcące się przy drzewach nał w tanithijskich puszczech, szukające gąsienic, w ciałach których mogłyby złożyć jaja.

Adare, maszerujący przodem grupy wraz z Mkallunem, przywołał pośpiesznie resztę towarzyszy. Pięćdziesiąt metrów dalej tunel przedzielony był wielką metalową płytą. Gruby żelazny wąż wielkości człowieka otaczały liczne dźwignie i hydrauliczne siłowniki. Drzwi pomalowano ciemnozieloną farbą i lakierem antykorozyjnym, kontrastowała z nimi stalowa barwa hydraulicznych podnośników pokrytych cienką warstwą smaru. Dźwięk dobiegał zza wjazdu.

Adare sprawdził dokładnie wszystkie zamki, ale żaden nie dawał się przesunąć. Najwyraźniej wąż został zaryglowany od drugiej strony. Caffran przepchnął się przez grupę Duchów podchodząc do metalowej bariery. Położył dłoń na powierzchni drzwi. Metal był wilgotny i ciepły, wibrował lekko w rytm drgań powietrza.

- Jak przez to przejdziemy? - mruknął pod nosem.

- A na pewno chcemy przechodzić? - spytał Bude.

Domor przykleknął na podłodze korytarza i zaczął odpinać paski swego plecaka. Caffran zauważył, że szperacz coraz częściej przeciera ukradkiem swoje optyczne implanty, jakby odczuwał irracjonalne swędzenie. Domor wypakował z plecaka skaner soniczny, rozwinął otulającą go warstwę miękkiego materiału i przeniósł urządzenie wraz z zasilaczem i słuchawkami pod zaryglowany wąż. Wsunął wtyczkę słuchawek w obudowę skanera, podpiął zasilanie i zaczął drobiazgowo badać powierzchnię drzwi. Kiedy przesuwiał skanerem po metalu wjazdu, urządzenie popiskiwało cicho w równym rytmie. Trzy czy cztery razy zatrzymał się na moment, cofnął skaner w tył, po czym oznakował ciemnozielony lakier grafitowym ołówkiem wyjętym z kieszonki na rękawie.

Opuszczając słuchawki na szyję Domor spojrzał w stronę Caffrana.

- Główne mechanizmy zamków znajdują się w obudowie wjazdu. Krzyżyki na drzwiach wskazują ich położenie.

Caffran skinął głową na Tokara. Gwardzista przystawił lufę lasera do drzwi i po kolei przestrzelił wszystkie krzyżyki nakreślone przez Domora, pozostawiając we wjeździe niewielkie okrągłe dziurki.

Dźwignie pozwoliły się bez trudu przesunąć, kiedy wstrzymujące je blokady uległy stopieniu. Adare i Flaven otworzyli ostrożnie wąż i cała grupa wkradła się czujnie w niebieskawą krainę kłębow dymu.

Caffran pojął od razu, że udało im się przejść na przeciwną stronę morskich wałów, głęboko w kompleks rafineryjny Oskray. Znaleźli się na metalowym pomoście przystawionym do ściany wału i biegnącym na wysokości, której Caffran nie potrafił oszacować, bo nie dostrzegał ziemi. Wszędzie wokół, w górze i w dole, unosiła się zasłona

dymu. Pomost miał pięć metrów szerokości, po obu jego stronach biegły niskie barierki. Ciągnął się jakieś czterdzieści metrów do przodu, gdzie pośród dymu majaczył szkielet wielkiej wieży.

Powietrze gęste było od zapachu kordytu i soli. Nagle zrobiło się też zimno.

Caffran rozejrzał się uważnie wokół. Za swoimi plecami dostrzegał jedynie wyjście z tunelu i fragment górującego ponad głowami Duchów morskiego wału, rozmyty kłębam dymu i wodnej pary. Pulsujący pomruk był teraz znacznie silniejszy. Caffran domyślił się, że jego źródłem są rafinerijne pompy i inne urządzenia destylujące promethium.

Domor stał tuż przy Caffranie, skanując kłęby dymu swymi optycznymi implantami. Obiektywy i przesłony wszczepów buczały cichutko zmieniając swe ustawienia, wielkie lśniące łyzy ściekały po policzkach szperacza. Słona woda czyniła w jego cybernetyce coraz poważniejsze szkody.

- Ten dym pochodzi z nieprzyjacielskich dział na blankach - oświadczył Domor. - Wiatry znad oceanu spychają go w głąb wyspy i zagęszczają w obrębie wewnętrznego basenu rafinerii.

Tym lepiej dla skradających się Duchów, pomyślał Caffran, tylko... gdzie? Jak dotąd wiodła ich przed siebie adrenalina. Jaki był dalszy plan?

Znajdowali się blisko wieży, metalowej odkrytej konstrukcji pomalowanej jaskrawoczerwoną farbą. Na jej rogach pobłyskiwały lampy ostrzegawcze. Inne pomosty rozchodziły się na wszystkie strony wieży, znikając w dymnej zasłonie. Caffran zaczął powoli zyskiwać orientację w terenie, dostrzegając ledwie widoczne zarysy całej płataniny pomostów biegnących nad, pod i po bokach mostku, na którym stali gwardziści.

Nieoczekiwanie posypały się na nich laserowe wiązki, przebijając lub nadtapiając metalowe płytki tworzące pomost. Bude zadygotał konwulsyjnie, kiedy cienki snop światła trafił go od góry w wierzch lewego ramienia i wyszedł z korpusu na wysokości prawego biodra. Caffran wiedział, że jego towarzysz zginął na miejscu, ale desperacko próbował go pochwycić. Bude przechylił się na moment przez barierkę, po czym przeleciał przez nią wciąż wyprostowany i runął bezgłośnie w półmrok przepaści.

Na biegnącym czterdzieści metrów wyżej i po lewej pomoście poruszały się ciemne ludzkie sylwetki, kolejne wiązki laserowej energii stukały w nadwerżoną konstrukcję. Duchy odpowiedziały ogniem tworząc w powietrzu świetlną szachownicę. Jakieś ciało spadło z góry, przeleciało obok Tanithijczyków. Mkendrik podniósł do góry swój ciężki miotacz ognia i posłał w stronę pozycji nieprzyjaciela strugi płynnego ognia. Wiszący w górze pomost zarwał się, w powietrzu przemknęły cztery ogarnięte płomieniami ludzkie komety, wrzeszczące

przeraźliwie i wymachujące rękami.

Caffran dobiegł do wieży, otworzył drzwiczki z metalowej siatki wprawione w konstrukcję budowli tuż obok otwartej klatki windy. Caill i Mkallun podłączyli do niego zaraz potem, reszta Duchów deptała im po piętach. Strome kręte schodki biegły w dół i górę wieży, tuż obok szybu windy.

Kolejne laserowe wiązki i karabinowe pociski zaczęły odbijać się ze szczękiem od ram wieży.

- Gdzie teraz? - wrzasnął Caill.

- Do góry! - zdecydował Caffran.

- To bez sensu! Będziemy uwięzieni jak szczury, bez drogi ucieczki!

- Nie - zaprzeczył Caffran myśląc desperacko nad dalszym planem akcji.

Próbował przypomnieć sobie więcej szczegółów z odprawy. Komisarz pokazywał im wtedy slajdy ze zwiadu powietrznego, koncentrując się na zdjęciach morskiego muru. Caffran usiłował przywołać z pamięci inne fotografie, szybko przewijane w rzutniku. Wieże, całe tuziny wież identycznych jak ta, na której właśnie stali, łączących się z innymi na różnych poziomach i pod różnym kątem, jedne wyżej, inne niżej, czasami nawet ponad poziomem samego morskiego wału. Jeśli pamięć go nie zawodziła, mogli przeskoczyć na inną wieżę korzystając z pomostów w jej górnych partiach.

- Zaufajcie mi - poprosił i zaczął wspinać się pośpiesznie schodkami, strzelając jednocześnie z przewieszzonego przez ramię lasera w stronę odległych, majaczących w chmurach dymu płomieni wylotowych.

Pięli się szybko w górę.

Caffran walczył z narastającą paniką. Pomysł wślizgnięcia się do miasta sprawiał wrażenie dobrego, ale teraz ośmiu ludzi znalazło się znienacka w samym sercu terytorium nieprzyjaciela, a on nie miał najmniejszego pojęcia, co należało dalej robić. Nie istniał żaden plan, nawet ten najbardziej szczątkowy. Bał się chwili, w której jeden z towarzyszy zapyta go, po co właściwie wspinają się do góry.

Trzy czy cztery piętra niżej drużyny Kithów pięły się śladami Duchów strzelając do nich cały czas w biegu. Wiązki laserów śmigły w powietrzu, punktowały żelazne ramy schodów. Mkallun stracił przednią część swej stopy i zachwiał się krzycząc z bólu, omal nie tracąc równowagi. Adare, znajdujący się zaledwie kilka kroków dalej za Mkallunem, pochwycił go kurczowo i przyciągnął cierpiącego potwornie mężczyznę do siebie. Pozostali gwardziści otworzyli ogień rozpoczynając widowiskową strzelaninę w pionie. Mkendrik, ostatni w szeregu Duch, odwrócił się i skapał niższe piętra płonącymi chemikaliami wystrzelonymi z

miotacza ognia, podpalając najbliższego z napastników.

Sześć pięter wyżej Tanithijczycy wpadli zniemacka na pomost biegnący w lewo, ponad zadymioną otchłanią, w stronę innej wieży. Ponieważ na drugiej budowli nie widać było śladów ludzkiej obecności, Caffran wskazał ją pośpiesznie swym towarzyszom, przepuszczając ich przodem i przystając, by pomóc Adare wlokącemu Mkalluna. Adare pochwycił Caffrana za ramię i pokazał mu palcem jadącą szybko w górę opuszczanej właśnie wieży klatkę windy. Była wypchana po brzegi heretyckimi żołnierzami, pokonującymi dzielący ich od intruzów dystans znacznie szybciej od Kithów biegnących schodami. Caffran ponaglił obu żołnierzy zmuszając ich do szybszego przejścia na drugą stronę pomostu, po czym zdjął z pasa parę pakietów wybuchowych. Ustawił zapalniki na kilkunastosekundowe opóźnienie i cisnął obydwie pakiety na podstawę szybu wieży.

Wybuch wstrząsnął konstrukcją zrywając jej wsporniki i główne podpory. Wieża przechyliła się z przeraźliwym zgrzytem dartego metalu i pękła, setki ton żelaza runęły z góry pod wpływem własnego ciężaru miażdżąc dolną część instalacji, opadając wręcz komicznie wolno. Upchana ludźmi po brzegi winda spadała dla odmiany niczym kamień. Zerwane kable zasilające sypały na wszystkie strony iskrami. Gdzieś w dole rozległy się dalsze wybuchy.

Osuwająca się wieża zerwała pomost, po którym przed momentem przebiegli gwardziści, pociągnęła za sobą metalowe wsporniki wbudowane w drugą wieżę. Cała konstrukcja zadygotała pod wpływem szarpnięcia, kolejne wstrząsy zwały się w jeden huk, kiedy inne zerwane pomosty na wyższych poziomach instalacji opadły uderzając o boki wieży.

W miejscu, gdzie wysadzona w powietrze budowla runęła na ziemię, wykwitły kule płomieni. Zgniecione ciężarem wieży zbiorniki paliwa i destylarnie eksplodowały jedna po drugiej. Po powierzchni ziemi rozlało się ogniste piekło.

- Coś ty zrobił?! - wrzasnął Flaven.

Caffran nie był pewien. Ogarnięty desperacją, nie miał czasu na przemyślenie konsekwencji swego działania. Na myśl przychodziło mu tylko jedno wyjaśnienie.

- Kupiłem nam trochę czasu - wydyszał.

Zbiegali schodkami w dół wieży, po części dlatego, że wszystkim opcja taka wydawała się najrozsądniejsza, po części zaś z powodu nagłego braku zaufania do stabilności mocno nadszarpniętej konstrukcji, tak brutalnie oderwanej od siostrzanej instalacji. Znaleźli się w strefie przesyconej ciemnymi gryzącymi kłębam dymu. W powietrzu wirowały płatki sadzy i popiołu, w nozdrza wdzierał się natrętnie swąd płonącego paliwa. Nawet z tej wysokości zdawali sobie sprawę z rozległych zniszczeń, jakie poczynił katastrofalny upadek wieży.

W dół, pomyślał Caffran. Wciąż jeszcze nie miał sensownego planu, ale przemieszczanie się ku powierzchni ziemi pozostawało w zgodzie z jego instynktem. Co takiego mogli tam zrobić? Chociażby wyeliminować sztab nieprzyjaciela.

Roześmiał się do siebie samego analizując w myślach ten pomysł. Twarde, godne podziwu słowa. Wpierw trzeba było tylko odnaleźć Sholena Skarę i jego zastępców ukrytych gdzieś w tym rozległym kompleksie. Ale mimo wszystko warto było spróbować.

Kilkaset metrów nad powierzchnią ziemi polecił swym ludziom przyjąć technikę infiltratorów. Poczernili skórę na twarzach sadzą zgarniętą z poręczy schodków i owinęli się szczelnie płaszczami wtapiając w półmrok panujący na dolnych piętrach wieży.

W dole, u podstawy wieży, w promieniu pięciuset metrów poniewierały się metalowe szczątki konstrukcji. Płomienie tańczyły na powierzchni rozlanych kałuż paliwa i oleju. Fragmenty upadającej budowli zgmiotły swoim ciężarem mniejsze budynki przetwórcze, magazyny, pojazdy. Osmalone trupy wały się pośród gruzu i metalowych wsporników, połamane niczym szmaciane lalki. Duchy prześlizgnęły się pod wciąż wiszącym w powietrzu zerwanym pomostem, kołyszącym się zgrzytliwie na wietrze. Klaksony alarmowe dudniły w kłębach dymu niczym szczekające psy.

Zbiegli ze schodków wieży zapuszczając się pomiędzy gruzowisko, zachowując cały czas bojowy szyk. Caffran i Tokar prowadzili grupę, Domor szedł na końcu wspierając na ramieniu Mkalluna, którego Caffran nie zamierzał zostawiać samego.

Rozlewiska smaru, zardzewiałe łańcuchy, zwoje drutu kolczastego i kawały żelaznych sztab piętrzyły się na rozległym placu między wieżami. Caffran ominął ostrożnie parę kithańskich żołnierzy, którzy pochwycili się wzajemnie spadając z wieży i zmienili w jedną bezkształtną masę po uderzeniu w ziemię.

Przywołując na swoje miejsce Mkendrika Caffran przystanął w miejscu czekając na Domora i Mkalluna. Potężna dawka środka znieczulającego przeniosła Mkalluna w świat narkotycznych majaków czyniąc go całkowicie bezwolnym i oderwanym od rzeczywistości. Domor ośleplł całkowicie. Uszkodzone obiektywy jego optycznych implantów zamknęły się ostatecznie, spod wszczepu ciekły gęste od smaru krople ludzkich łez. Widok cierpiącego przyjaciela przenikał na wskroś serce Caffrana. Przez moment wydawało mu się, że są znowu razem na Menazoidzie Epsilon, kiedy Domor stracił swoje oczy, a mimo to walczył dalej budząc podziw samego Gaunta.

- Zostaw nas - zaproponował szperacz.

Caffran potrząsnął przecząco głową, starł z czoła krople potu skapujące na jego niebieski tatuaż. Otworzył pakiet medyczny Mkalluna i wyjął z niego strzykawkę wypełnioną płynną

dawką adrenaliny. Wbił igłę w nagie przedramię szeregowca i wdusił kciukiem dźwignię. Mkallun ryknął niczym wyrwane ze snu zwierzę, gdy zaaplikowane w jego krwioobieg hormony przerwały działanie środka znieczulającego ból. Caffran spoliczkował go bez zastanowienia.

- Domor będzie twoimi nogami, ty jego oczami.

Mkallun zawarczał, splunął siarczyście na ziemię i pokiwał głową na znak potwierdzenia. Adrenalina uwolniła go od bólu i wzmocniła na pewien czas cały organizm.

- Dam radę, dam radę... - mruknął ściskając mocno ramię Domora.

Ruszyli w dalszą drogę. Za rumowiskiem ciągnęły się budowle kompleksu rafineryjnego: cysterny, silosy, stacje załadunkowe, wieże krakingowe pomalowane czerwoną farbą i oznaczone tablicami z emblematem Imperialnego Orła, niknącym pod bluźnierczymi runami heretyków.

Na jednym z placów gwardziści znaleźli blisko pięćdziesiąt stojących w rzędach samochodów ciężarowych, wypalonych, pogiętych, rozbitych. Przy pobliskiej rampie magazynowej piętrzyły się rozsypane kawałki rur, tworzące miniaturowe metalowe górki. Caffran natrafił na uszkodzony silos, w którego wnętrzu piętrzyły się sterty ludzkich zwłok: masowy grób tych robotników Oskray, którzy odmówili uznania sprawy Sholena Skary.

Tak przynajmniej zasugerował Flaven.

- Raczej nie - pokręcił głową Caffran i zająrzył do silosa zakrywając nos fragmentem płaszcza - Widać kithańskie insygnia i pancerze osobiste. Ci ludzie zginęli niedawno.

- Kiedy mieliby czas na zebranie z wałów zabitych i wrzucenie ich tutaj? - zdziwił się Flaven - Przecież cały czas trwa szturm!

Caffran zgadzał się z wątpliwościami Flavena, ale naoczne dowody miał tuż przed swoim nosem. Jaki cel... jaki ukryty motyw czyhał za tą przyzmą trupów?

Usłyszeli strzały, laserową salwę dobiegającą zza pobliskich budynków, pobiegli ostrożnie w tamtą stronę chowając się w cieniu. Szczęknęła kolejna salwa. Chyba... z setka laserów, pomyślał Caffran. Poleciał towarzyszom paść na ziemię i podczołgał się do przodu wraz z Adare.

Widok ujrzany za następnym bunkrem paliwowym wprowadził ich w bezbrzeżny szok.

Był to rozległy plac, liczący blisko kilometr kwadratowy i położony praktycznie w sercu kompleksu. Z naniesionych na betonowe płyty oznakowań gwardziści wywnioskowali, że dziedziniec pełnił rolę lądowiska dla ciężkich statków transportowych. Pośrodku dziedzińca tysiąc Kithów stało w równych szeregach, po stu żołnierzy w każdym rzędzie. Spoglądali beznamiętnie w kierunku sterty zakrwawionych ciał ładowanych przez gaśnicowe koparki

na paki podstawionych obok ciężarówek.

Caffran i Adare gapili się przed siebie z szeroko otwartymi ustami. Pierwszy szereg Kithów pomaszerował dwadzieścia kroków do przodu, po czym zwrócił się twarzami ku reszcie oddziału. Na komendę stojącego opodal oficera nowy pierwszy szereg jednostki podniósł do ramion karabiny i ściał jednoczesną salwą swoich towarzyszy. Setka ludzkich ciał runęła na beton. Kiedy koparki wrzucały trupy na ciężarówki, następny szereg pomaszerował dwadzieścia kroków przed siebie. Kolejna komenda, kolejna salwa.

Caffran nie wiedział, co przerażało go bardziej: rozmiary tego groteskowego plutonu egzekucyjnego czy niema akceptacja heretyków systematycznie odbierających sobie wzajemnie życie.

- Co oni kurwa robią? - wydyszał zszokowany Adare.

Caffran nie odzywał się przez dłuższą chwilę, powracając myślami do odprawy Gaunta i tych jej fragmentów, których dotąd wolał nie wspominać. Fragmentów związanych z Sholenem Skarą.

Teraz przypomniał sobie zniecka wszystko, strzępy informacji wypłynęły na wierzch z mrocznych zakątków umysłu. Ponownie usłyszał głos Gaunta, ujrzał komisarza oczami wyobraźni. Sala odpraw liniowca wojskowego Persistencee, Gaunt w swoim długim płaszczu wspinający się na mównicę ozdobioną wielkim emblematem dwugłowego orła na welwetowym tle. Gaunt zdejmujący wierzchnie okrycie i rzucający je na oparcie skórzanego fotela, ściągający z głowy czapkę i przeczesujący krótko przycięte jasne włosy.

Gaunt opowiadający o potwornych wynaturzeniach, których Caffran wolałby nie znać.

- Sholen Skara to bestia. Czciiciel śmierci. Wierzy, że szerzenie śmierci jest ostatecznym wyrazem potęgi Chaosu. Na Balhauście sprawował nadzór nad obozami eksterminacyjnymi.

W rytualny sposób zamordowano tam blisko miliard Balhautańczyków. Jego metody były bardzo efektywne i...

Nawet teraz Caffran nie potrafił się zmusić do odtworzenia w pamięci realistycznych opisów Gaunta, wyjaśniającego istotę Czterech Potęg czczonych przez Skarę i symbolikę popełnionych przez niego zbrodni. Teraz też zrozumiał w końcu, dlaczego Ibram Gaunt, wierny i lojalny żołnierz boskiego Imperatora, tak gorąco nienawidził ludzkich potworów pokroju Sholena Skary.

- Zabija ku chwale Chaosu. Każda śmierć przysłuży się jego sprawie. Możemy być pewni, że tutaj wymordował wszystkich wciąż lojalnych wobec Imperium mieszkańców. Jesteśmy także pewni tego, że w przypadku widocznej przegranej rozpocznie systematyczną eksterminację wszystkich żywych istot na wyspie, również własnych wojsk. Masowe



samobójstwo mające oddać hołd Chaosowi. Tak okaże swą wierność wynaturzeniu, które nosi miano Khorne.

Gaunt zakrztusił się wymawiając zakazane imię, wśród zgromadzonych w sali Duchów przebiegł niespokojny szmer.

- W ten sposób możemy zdobyć nad nim przewagę. Możemy pokonać go w konwencjonalny sposób albo też sprawić, że sam uzna się za pokonanego, a to oszczędzi nam konieczności własnoręcznego ich zabijania. Jeżeli uzna, że przegrał, zacznie rzeź popleczników w akcie ostatecznego oddania swemu bóstwu.

Caffran powrócił do rzeczywistości wyrwany z wspomnień głosem Adare.

- ...i jeszcze więcej! Patrz, Caff!

Kithańscy żołnierze całymi setkami wchodzili na dziedziniec zajmując pozycje w kolejnych szeregach opodal wymordowanych towarzyszy.

A właściwie nie zamordowanych, tylko skoszonych. Cała ta egzekucja przypominała Caffranowi poletka kukurydzy na Tanith padające pod kosami mechanicznych żniwiarek.

Pomimo chorobliwego skurczu żołądka, który tylko się pogłębiał przy każdej kolejnej salwie, Caffran zdołał uśmiechnąć się kącikami ust.

- Co? - spytał Adare.

- Nic - odparł młody Duch.

- No to co robimy? Jaki jest plan?

Caffran wyszczerzył zęby. Pojął, że jego plan właściwie został już zrealizowany. Wyszadzając w powietrze wieżę przekonał nieświadomie Sholena Skarę, że znaczące siły lojalistów są już na terenie rafinerii. Przywódca heretyków uznał, że jego sprawa została przegrana.

W efekcie tej akcji Skara polecił swym żołnierzom, by odebrali sobie życie, po stu za jednym razem. Stu zabitych co trzydzieści sekund.

Caffran oparł się plecami o ścianę budynku, odetchnął głęboko rozluźniając zmęczone mięśnie. Dopiero teraz dostrzegł oparzelinę w miejscu, gdzie skórę jego uda przecięła jakaś niezauważona wcześniej wiązka lasera.

- Ty się śmiejesz - syknął zdezorientowany Adare.

Caffran musiał przyznać mu rację.

- Oto nasz plan - odparł po chwili - Siedzimy tu i czekamy.

Popołudniowy szkwał dmuchający od strony oceanu oczyścił powietrze z gryzącego dymu, ale nawet wiatr i deszcz nie zdołały splukać do końca przenikającego cały kompleks

odoru śmierci. Eskadry imperialnych statków desantowych przecinały mroczne niebo lśniąco od strug padającej z niebios wody.

Gaunt znalazł Caffrana śpiącego wraz z setką innych Duchów pod jedną z wież rafineryjnych. Duch wyprężył się na baczność, kiedy zobaczył, kto taki go budzi.

- Chcę, żebyś poszedł ze mną - powiedział Gaunt.

Przeszli ulicami rozległego miasta-rafinerii, mijając drużyny gwardzistów z Tanithu, Volpone i Abberloy przeszukujących kompleks dom po domu. Okrzyki i gwizdki mieszały się z szmerem radiowych transmisji punktując kolejne etapy przejmowania przez lojalistów kontroli nad wyspą. Gromady jeńców spoglądały na ten rozgardiasz martwymi, wypranymi z wszelkich uczuć oczami.

- Nigdy cię nie podejrzewałem o talent taktyczny - odezwał się Gaunt.

Caffran wzruszył ramionami.

- Jakoś to wszystko samo wyszło, sir.

Komisarz uśmiechnął się do szeregowca.

- Nie powiem tego Corbecowi, niech dalej zachodzi w głowę, jak wpadłeś na ten pomysł.

Caffran roześmiał się krótko. Wszedł w ślad za Gauntem do budynku z grubych kamiennych bloków. Na ulicy przed wejściem piętrzyły się wyniesione ze środka pompy wodne, wyrzucone na zewnątrz w celu zrobienia miejsca. Pod sufitem magazynu płonęły zimnym blaskiem sodowe lampy.

Krąg imperialnych gwardzistów otaczał środek rozległej hali. Większość z nich stanowili Volpończycy, ale było też kilku tanithijskich oficerów, wśród nich major Rawne.

Pośrodku kręgu klęczał jakiś skuty człowiek. Był wysokim mężczyzną o gładko ogolonej czaszce i ciasno skrojonym czarnym ubraniu. Zrobiłby wrażenie swą posturą, gdyby pozwolono mu wstać z klęczek, pomyślał Caffran. W jego zapadniętych ciemnych oczach pojawił się błysk podekscytowania, kiedy Gaunt i towarzyszący mu gwardzista zaczęli przepychać się przez pierścień strażników.

- Malutki imperialny robaku... - zaczął miękko, odrażająco słodkim tonem jeniec.

Gaunt powalił go na podłogę ciosem pięści przerywając powitanie.

- Sholen Skara - przedstawił więźnia Caffranowi wskazując palcem wijącą się na posadzce postać o zakrwawionych rozbitych ustach.

Oczy Caffrana rozszerzyły się zauważalnie.

Gaunt wyjął z kabury swój boltowy pistolet, odbezpieczył go, wprowadził do lufy pocisk i podał broń Duchowi.

- Uważam, że przysługuje ci to prawo. Nie będzie tutaj żadnego sądu, nie ma takiej

potrzeby. Myślę, że to właśnie ty powinieneś wykonać ten obowiązek.

Caffran odebrał z rąk komisarza pistolet i spojrzał w dół na Skarę. Zbrodniarz zdołał podnieść się z powrotem na kolana i szczyrzył poplamione krwią zęby do swojego kata.

- Sir... - zaczął szeregowiec.

- Umrze tu i teraz. Taka jest wola Imperatora - oświadczył twardo Gaunt. - To obowiązek, który ja sam wykonałbym z ogromną przyjemnością. Lecz to tobie należy się ta misja, ty doprowadziłeś do zwycięstwa.

- To... zaszczyt dla mnie, sir.

- Zrób to... zrób to, chłopczyku... na co czekasz? - zapytał niecierpliwym tonem Skara. Caffran próbował nie spoglądać w jego rozgorączkowane oczy.

Wymierzył pistolet w głowę jeńca.

- On chce śmierci, sir.

- Oczywiście, że jej chce! To najłagodniejsza kara, jaką możemy mu wymierzyć! - sarknął Gaunt.

Caffran opuścił broń i spojrzał na Gaunta, świadom doskonale faktu, że wszyscy zgromadzeni w hali ludzie wlepili w niego pełen niezrozumienia wzrok.

- Nie, sir, on pragnie śmierci. Tak jak nam pan mówił w trakcie odprawy. Śmierć byłaby dla niego ostatecznym zwycięstwem. Pożąda jej. Wygraliśmy bitwę o Sapiencję. Nie zaprzepaszczę tego zwycięstwa dając wrogowi upragniony przez niego dar. - Caffran oddał komisarzowi broń podając ją kolbą do przodu.

- Caffran?

- Chce pan go naprawdę ukarać, komisarzu? Wystarczy pozwolić mu żyć.

Gaunt zamyślił się na moment, na jego twarzy pojawił się powoli uśmiech.

- Zabierzcie go stąd - polecił wartownikom, ci zaś natychmiast pochwycili skutego heretyka.

- Muszę cię któregoś dnia awansować - oświadczył komisarz prowadząc Ducha w stronę wyjścia z magazynu.

Za ich plecami Sholen Skara krzyczał przeraźliwie, płakał i błagał o śmierć. I dane mu było żyć, by czynił ten żaloszny lament dalej.

# Monthax

Brin Milo, młodziutki adiutant Gaunta, przyniósł komisarzowi kubek świeżo zaparzonej kawy i stertę raportów, o które tanithijski dowódca nie zdążył jeszcze poprosić, chociaż nosił się z takim zamiarem. Gaunt siedział właśnie na przenośnym krześle ustawionym na skraju podwyższenia za swym habitatem, lustrując wzrokiem zarysy gwardyjskich fortyfikacji i toń szmaragdowych rozlewisk Monthaxu. Milo wręczył przełożonemu raporty, po czym zmieszał się nieoczekiwanie, świadomy nagle tego, co uczynił.

Gaunt przejrzał zawartość elektronicznych notesów przesuując kursorami topograficzne mapy.

- Dane zwiadowcze Mkolla o zachodnich mokradłach... i orbitalne zdjęcia Monthaxu. Dziękuję.

Chłopiec próbował ukryć swój błąd.

- Pomyślałem, że będzie pan chciał je przejrzeć - zaczął wyjaśniać. - Kiedy pan dzisiaj zaatakuje...

- A kto powiedział, że wydam dzisiaj rozkaz ataku?

Milo umilkł na chwilę, potem wzruszył ramionami.

- Tak sądziłem. Po wczorajszej nocnej akcji, tak blisko naszych linii...

Gaunt wstał z krzesła i spojrzał z góry prosto w oczy chłopca.

- Koniec z twoimi osądami. Wiesz dobrze, jakie na nas mogą ściągnąć kłopoty. Na ciebie. Na mnie. Na Duchy.

Milo westchnął i stanął przy metalowej barierce obiegającej podwyższenie. Poranny blask słońca iskrzył się na mokrej powierzchni bagien, nikł pośród gęstej zieleni dżungli czyniąc z niej nieprzekraczalną dla wzroku barierę. Kilka kilometrów dalej toczyła się po bezdrożu kolumna pojazdów opancerzonych, wiatr niósł dźwięk ich silników. Z oddali dobiegał ledwie słyszalny łomot artyleryjskiej kanonady.

- Czy naprawdę jakaś zbrodnia - odezwał się po dłuższej chwili Milo - kryje się w umiejętności przewidywania? Sir, czyż prawdziwy adiutant nie powinien tak właśnie pełnić swych obowiązków? Odczytywać bez słowa potrzeby przełożonego i natychmiast je realizować? Być jego prawą ręką?

- Nie ma w tym żadnej zbrodni, Brin - odparł Gaunt siadając z powrotem na krześle. -

Takie są cechy dobrego adiutanta, a ty sam świetnie się w tej roli sprawdzasz. Lecz... czasami jesteś wręcz zbyt doskonały w swej dalekowzroczności. Bywa tak, że budzi to mój lęk, a przecież ja doskonale ciebie znam. Inni mogą to inaczej interpretować. Wiesz dobrze jak.

- Nie...

- Wiesz, co stało się tydzień temu na orbicie. Omal nie doszło do tragedii.

- To była zmowa. Zostałem wrobiony.

Gaunt otarł z czoła warstewkę potu.

- Wrobiono cię, to prawda, ale widziałeś na własne oczy, jak było to łatwe do zrobienia. Jesteś łakomym kąskiem dla doświadczonego manipulatora. A jeśli cała ta sprawa wyjdzie na jaw ponownie, nie wiem, czy zdołam cię znów ochronić.

- Mam prośbę, sir. Strzeże mnie pan... od czasu Tanith.

- Jestem ci to winien. Gdyby nie twa pomoc, umarłbym z twoim światem.

- A więc wie pan, że potrafię sobie radzić w sytuacjach polowych. Proszę o wydanie służbowej broni. Chcę walczyć razem z innymi Duchami w czasie następnej akcji. Nie dbam o to, do której drużyny mnie pan przydzieli.

- Widziałeś sporo w swym życiu, Brin - odparł Gaunt kręcąc głową - ale to nie czyni z ciebie żołnierza. Jesteś zbyt młody.

- Od trzech dni mam osiemnaście lat - powiedział twardo chłopiec.

Gaunt zeszytywniał. Nie miał pojęcia o urodzinach swego adiutanta. Odpędził machnięciem ręki natrętą muchę.

- Faktycznie, z takim argumentem ciężko mi polemizować - przyznał.

Zmienił pozycję na krześle.

- A może dobijemy targu?

- Jakiego targu? - Milo spojrział na komisarza roziskrzonymi oczami, na jego twarzy pojawił się niepewny uśmiech.

- Dostaniesz stopień szeregowca, broń i przydział do drużyny Corbeca. W zamian przestaniesz przewidywać przyszłość. Całkowicie.

- Całkowicie?

- Nie mówię, że masz przestać robić swoje. Po prostu nie pokazuj tego przed innymi, by cię źle nie ocenili. I co myślisz o tej propozycji?

- Podoba mi się. Dziękuję.

Gaunt uśmiechnął się zdawkowo.

- Dobrze, a teraz poszukaj Corbeca i Mkolla. Chciałbym z nimi porozmawiać na temat pewnych szczegółów...

Milo zeszywniał. Komisarz spojrział za plecy i dostrzegł dwóch stojących przy podwyższeniu mężczyzn: pułkownika i sierżanta zwiadowców.

- Milo wspominał, że mogliśmy tu zajrzeć w wolnej chwili. Będzie teraz dobra ku temu sposobność? - spytał Corbec.

Gaunt odwrócił się w stronę Brina, ale chłopiec zdążył już pierchnąć.

## X - Polowanie na czarownice.

Varl zdjął swój płaszcz z ustawionego na podłodze kadzidła gestem wytrawnego sztukmistrza. W ładowni zapadła pełna wyczekiwania i ekscytacji cisza.

Gra była prosta i niezmiernie wciągająca, a Varl i chłopiec tworzyli w niej świetny zespół. Przynieśli ze sobą pudełko pełne tłustych wołków zbożowych złapanych w okrętowych magazynach oraz stare zardzewiałe kadzidło ukradzione z kaplicy Eklezjarchii - kulę skorodowanego metalu o półsferycznych powierzchniach naznaczonych małymi otworkami, przez które ulatniał się swego czasu korzenny dym.

- Gra jest prosta - rozpoczął Varl pokazując wszystkim zebranym pudełko o szklanych ściankach, w którym miały się schwyte owady. Metalowe serwomechanizmy sztucznej ręki sierżanta pracowały z cichutkim pomrukiem.

- Jest to gra losowa, oparta na zgadywaniu. Żadnych sztuczek, żadnych nieuczciwych chwytów.

Varl posiadał osobowość showmana budząc tym samym ogromną sympatię Brina. W opinii chłopca sierżant należał do wewnętrznego kręgu Duchów, grupy przyjaciół Larkina i Corbeca znajdujących się jeszcze z czasów wspólnej służby w oddziałach milicji w Magna Tanith. Ostry język Varla oraz jego tendencja do otwartego wyrażania swych myśli nie rokowała mu większych szans na awans, ale stracił w heroicznej akcji ramię na Fortis Binary, a potem wyróżnił się podczas legendarnej misji na Menazoidzie Epsilon, gdzie otrzymał w nagrodę stopień sierżanta. Wielu uważało, że był to najwyższy czas na promocję Varla. Nie stosujący bezwzględnych, opartych na całkowitym posłuszeństwie metod dowodzenia majora Rawne czy Feygora i nie sięgający zmysłem taktycznym poziomu Mkolla czy samego komisarza, Varl podobnie jak powszechnie uwielbiany pułkownik Corbec wnosił żywe uczucia w strukturę dowódczą regimentu. Ludzie go lubili: żartował równie często jak Corbec, a przy tym dowcipy te były bardziej dosadne, jego sztuczna ręka naocznie udowodniła wszystkim, że sierżantowi nieobca jest wojna w najgorszej swej odmianie, potrafił też w razie potrzeby inspirować swych podwładnych przemowami, które nie miały w sobie śladu patosu ani kultury osobistej, ale wywierały na gwardzistach pożądane wrażenie.

Teraz, w jednej z wielu ładowni pasażerskich liniowca, otoczony gromadą mających czas wolny gwardzistów, sierżant użył swego charyzmatycznego języka w znacznie ważniejszym

celu. Zarzucał przynętę.

- To świetna zabawa, moi przyjaciele, moi drodzy towarzysze broni, niech pochwalony będzie Złoty Tron. Naprawdę świetna zabawa.

Sierżant mówił głośno i powoli, chcąc, by mimo śpiewnego tanithijskiego akcentu zrozumieli go wszyscy obecni w pomieszczeniu żołnierze. Trzy inne regimenty dzieliły pokłady frachtowca razem z Duchami: wielcy jasnowłosi troglodcy z 50 Królewskiego Regimentu Volpone zwący się Błękitnokrwistymi, ciemnoskórzy krępi gwardziści z 5 Regimentu Slammabaddenu oraz wysocy, szczupli i długowłosi Rończycy służący w 2 Regimentzie Deepersów. Różne światy i różne akcenty w jednym powszechnie stosowanym języku, toteż Varl dokładał starań, aby wysławiać się elegancko i zrozumiale.

Podał kadzidło Brinowi, a chłopiec otworzył je pośpiesznie.

- Jak widzicie, jest to metalowa kula z otworami. Wołek zbożowy wędruje do środka - wrzucił do naczynia wyjętego z pudełka owada - a mój młody przyjaciel go tam zamyka. Jak pewnie zauważyliście, przy każdym otworu został umieszczony numer. Trzydzieści trzy dziury, każda ze swoim numerem. Żadnych sztuczek, żadnych chwytów... możecie teraz obejrzeć kulę.

Sierżant zabrał zardzewiałe kadzidło z rąk Mila i postawił je na podłodze tak, by wszyscy mogli mu się przyjrzeć. Mała podstawka przylutowana do kuli chroniła ją przed toceniem się.

- Stoi sobie w miejscu, prawda? Wołek będzie szukał drogi do światła. Prędzej czy później wyskoczy przez jedną z dziur. Na tym właśnie polega gra. Obstawiamy numery otworów.

- I tracimy nasz żołąd - mruknął jeden ze stojących w pobliżu Deepersów mówiąc z gardłowym roańskim akcentem.

- Wszyscy stawiamy zakłady, przyjacielu - odpowiedział Varl. - Ty, ja, każdy inny chętny. Jeśli wybierzesz poprawny numer albo będziesz najbliższym, zgarniasz pulę. Żadnych sztuczek, żadnych chwytów.

Jakby w odpowiedzi na słowa sierżanta wołek wypadł z jednej z dziur i rzucił się na podłogę, gdzie zmiażdżył go butem jakiś Błękitnokrwisty.

- Nic nie szkodzi - zawołał Varl. - Dużo więcej siedzi ich tam, skąd pochodził... jeśli byliście kiedyś w okrętowej spizarni, wiecie dobrze, o czym mówię.

Wokół rozległy się ciche śmiechy i pomruki poparcia. Milo uśmiechnął się również. Uwielbiał sposób, w jaki Varl zyskiwał sympatię tłumu.

- A co, jeśli ci nie ufamy, Duchu? - zapytał potężny Volpończyk, który uśmiercił butem



wołka. Miał na sobie szarozłote spodnie i czarne oficerki, ale na tors wciągnął tylko podkoszulek. Zdawał się składać z pasm mięśni, a wzrostem przerastał Varla o dwie głowy. Aura arogancji i dumy zdawała się rozsadzać ciało Błękitnokrwistego.

Milo zeszywniał. Wiedział, że ukryta niechęć dzieliła Duchy i Volpończyków od czasu Voltemandu. Chociaż nigdy nie wystosowano w tej sprawie oficjalnego oświadczenia, pogłoski mówiły, że to właśnie sztab Błękitnokrwistych odpowiadał za omyłkowe ostrzelanie z ciężkiej artylerii brzegów rzeki Voltis i śmierć setek Tanithijczyków. Wysoko urodzeni Błękitnokrwieści pogardzali otwarcie pozbawionymi arystokratycznych korzeni Duchami, swą niechęć okazywali jednakże w równym stopniu i innym regimentom Gwardii. Szlachetnie urodzony olbrzym o zapadniętych oczach i byczym karku miał w tłumie przynajmniej sześciu towarzyszy, a każdy z nich dorównywał mu rozmiarami. Czym oni ich karmią na tym Volpone, pomyślał spłoszony Milo.

Nie zdradzając nawet śladu obawy Varl podszedł do Volpończyka i podał mu swoją mechaniczną dłoń.

- Ceglan Varl, sierżant, tanithijski Pierwszy i Jedyńy. Podziwiam ludzi, którzy w otwarty sposób potrafią wyrażać swe wątpliwości... sierżancie?

- Major Gizhaum Danver De Banzi Haight Gilbear, Pięćdziesiąty Królewski Volpone - olbrzym zignorował wyciągniętą do siebie dłoń.

- Drogi majorze, nie masz zapewne powodów, by ufać tak nisko urodzonemu towarzyszowi broni, ale przecież to tylko gra. Żadnych sztuczek, żadnych chwytów. Wszyscy stawiamy, wszyscy się bawimy, szybciej minie nam ta podróż.

Major Gilbear nie wyglądał na przekonanego.

- Coś tu kręcisz. Nie jestem zainteresowany grą, jeśli ty będziesz stawiał zakłady - Volpończyk spojrzał na Milo. - Niech twój chłoptaş to zrobi.

- Nie, to niemożliwe - podniósł nieco głos Varl. - To jeszcze dzieciak... nie zna się wcale na szlachetnej sztuce hazardu. Z pewnością nie chciałbyś zagrać z takim amatorem jak on, majorze.

- Milcz - uciął słowa sierżanta Gilbear. W tłumie rozległy się pomruki aprobaty dla żądań Volpończyka i nie tylko Błękitnokrwieści wyrażali w ten sposób swe poparcie. Inna część gwardzistów najwyraźniej się znudziła i zamierzała odejść.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze - oświadczył rozdzierającym serce głosem Varl. - Chłopiec zagra za mnie.

- Nie chcę, sir! - pisnął Milo. Miał cichą nadzieję, że jego przestkach nie wyglądał zbyt teatralnie.

- Zagrasz, chłopcze - Varl ojcowskim gestem położył sztuczną dłoń na ramieniu młodzieńca. - Bądź dobry i spraw, aby ten miły gentleman mógł czerpać prawdziwą przyjemność z naszej prostej gry - przysuwając twarz do chłopca sierżant mrugnął porozumiewawczo. Miło z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Ddobrze - odparł lekko drżącym głosem.

- Chłopiec zagra za mnie! - oświadczył Varl odwracając się do tłumu i podnosząc teatralnie obie ręce. Odpowiedział mu głośny aplauz widzów.

Tłum zgęstniał. W rękach żołnierzy pojawiły się papierowe kartki i zwitki banknotów. Gilbear zdecydował się w końcu zagrać, podobnie jak dwaj roańscy Deepersi i trzej Slammabaddeni. Pośród tłumu zaczęto szybko urządzać kolejne zakłady, obstawiając rychłego zwycięzcę. Varl otworzył kadzidło i chwycił pudełko z owadami.

Gilbear wyjął pudełko z dłoni sierżanta i wysypał wołki na podłogę ładowni miażdżąc je wszystkie pod podeszwą buta. Rzucił puste pudełko jednemu z Błękitnokrwistych.

- Raballe! Idź do silosa po świeże robaki!

- Tak jest, sir!

- Co to ma znaczyć? - jęknął Varl padając na kolana i oglądając zdeptane ciała swych podopiecznych. Miło mógłby przysiąc, że w oczach sierżanta zalśniły prawdziwe łzy. - Czyżby nie wierzył pan nawet moim owadom, majorze?

- Nie wierzę niczemu, co mogę zmiażdżyć butem - odparł Gilbear i zrobił ruch, jakby chciał nadepnąć samego sierżanta. Widzowie szybko zmienili część zakładów - niektórzy powodowani sympatią do Ducha i jego brutalnie zamordowanych pupilów, inni pewni zdemaskowania jakiegoś podstępu i umocnienia pozycji majora.

- Mogłeś je nafaszerować narkotykami albo przekarmić. Wyglądały jakoś dziwnie. Mogłeś stawiać pieniądze na dolne otwory i czekać, aż te ciężkie bydlaki będą wyłazić spodem dzięki sile grawitacji - Gilbear uśmiechnął się zadowolony z własnej przemyślności, część widzów poparła go okrzykami.

Miło pojął, że przyjazny nastrój tłumu może się w każdej chwili zmienić na gorszy.

- Coś panu powiem - oświadczył Varl podnosząc się z podłogi. Wysłany do magazynu Błękitnokrwisty zdążył już wrócić niosąc pudełko pełne ożywionych wołków zbożowych i wielki kawał solonego mięsa zwędzonego z okrętowych zapasów.

- Użyjemy pańskich owadów i może pan sobie w dowolny sposób ustawić kadzidło - sierżant podał Volpończykowi metalową kulę. - Szczęśliwy?

Gilbear skinął głową.

Gracze zapisali swe numery na kartce papieru. Varl poruszył zdrową ręką w geście, który

sugerował nagły atak bólu starej wojennej rany. Kolejny sygnał, kolejny wabik.

- Ja też chcę w to zagrać - Caffran przepchnął się chwiejnie przez tłum. Czuć od niego było silny odór alkoholu. Wielu żołnierzy na jego widok wymieniło porozumiewawcze spojrzenia.

- Caffy, nie... nie możesz grać... - wymamrotał Varl.

Caffran wyciągał już z kieszeni mnóstwo monet, banknoty, papierosy.

- Dawaj mi papierek, chcę też obstawić - oświadczył bełkotliwie.

- Niech sobie ten Duch też zagra - powiedział ze złośliwym uśmiechem major Gilbear widząc protesty sierżanta.

Wszystko wskazywało na to, że tanithijski showman stracił kontrolę nad swoją prostą grą i jeśli kryła się w niej rzeczywiście oszukańcza sztuczka, teraz nie miał już szansy ją wykorzystać.

Pierwszy wólek trafił do kadzidla. Gilbear zamknął pojemnik i postawił na małej skrzynce. Gracze odsłonili swe kartki z wytypowanymi numerami. Wygrał Slammabadden, pomylił się jedynie o trzy numery. Milo spudłował haniebnie i wyglądał, jakby się zaraz miał rozpłakać. Caffran kłął wściekle widząc stracone pieniądze. Wyciągnął z kieszeni jeszcze więcej gotówki.

Drugą kolejkę wygrał Deeper, tym razem bliski trafienia o pięć numerów. Milo błagał Varla, by ten pozwolił mu zakończyć udział w grze, sierżant kręcił jednak tylko głową widząc złowieszcze spojrzenie Gilbeara.

Volpoński major zgarnął kolejną pulę myląc się zaledwie o dwa numery. Przyciągnął ku sobie z zadowoleniem stertę monet. Jeden z Roańczyków zrezygnował z dalszej gry wyrażając głośno swe niezadowolenie. Poziom zakładów w grze i poza nią wzrósł raptownie i teraz stawką były naprawdę duże pieniądze. Błękitnokrwisci uśmiechali się szeroko, inni oplakiwali hałaśliwie swą przegraną. Dwaj dalsi Slammabadden i jeden Deeper dołączyli do gry, zasileni szybką zbiórką pieniędzy u towarzyszy broni. Żaden Volpończyk nie odważył się stanąć w szranki z majorem. Zachwycony wygraną oficer włożył do puli całą wygraną i jeszcze ją podwoił. Część oglądających grę gwardzistów, zwłaszcza Roańczyków i Tanithijczyków, nigdy jeszcze nie widziała tak wielkiej gotówki w jednym miejscu. Caffran pociągnął z butelki łyk wódki i zaczął błagać o pożyczkę Brostina, nakłaniając go w końcu do wyłożenia niezbędnej sumy.

Kolejna runda. Gilbear i Deeper, obaj typujący numery oddalone o trzy otwory od dziury wybranej przez owada, podzielili się równo wygraną.

Kolejna runda. Pieniądze do puli wrzucili Gilbear, trzech Slammabaddenów, dwóch

Deepersów, Caffran zasilony gotówką przez zatroskanego Raglona (wściekły Brostin wyszedł w międzyczasie z ładowni) oraz Milo. Na podłodze piętrzyła się wielka sterta gotówki.

Caffran pomylił się o dwa numery, Slammabadden o jeden. Gilbear był po drugiej stronie kadzidła. Milo trafił w dziesiątkę. Krzyki, gwizdy, gratulacje, tumult.

- Miał szczęście - powiedział Varl zgarniając wygraną. - Kończymy?

- To ci mały farciarz - warknął Gilbear i ponaglił ręką swych towarzyszy, aby opróżnili kieszenie. Volpończyk postawił kolejną małą fortunę. Roącznicy zrezygnowali, podobnie jak zawiedziony Caffran, który wyszedł z pomieszczenia wraz z Raglonem. Slammabaddeni połączyli swe zasoby finansowe obstawiając wspólnie jeden numer.

Milo zamknął kadzidło i postawił je na skrzynce. Cisza.

Wołek miotał się we wnętrzu metalowej kuli. Wypadł przez jeden z otworów. Milo znów trafił w dziesiątkę. Pandemonium. Wydawało się, że lada moment zamieszki ogarną całą ładownię. Varl chwycił wygraną, kadzidło i chłopca zmuszając go do szybkiej ewakuacji z pomieszczenia. Ludzie tłoczyli się wokół, krzyczeli. Gdzieś wybuchła bijatyka spowodowana odmową wypłacenia przegranego zakładu.

Do idących korytarzem wiodącym do ładowni zamieszkaną przez Tanithijczyków Varla i Mila dołączyli Caffran, Raglon i Brostin. Wszyscy śmiali się radośnie, a Caffran sprawiał wrażenie całkowicie trzeźwego. Musiał tylko wyprać swą zmoczoną alkoholem mundurową koszulę.

Varl wyszczerzył zęby i potrząsnął okazałym mieszkciem.

- Forsa do podziału, moi przyjaciele - oświadczył klepiąc chłopca po plecach swą sztuczną ręką. Nie zdołał się wciąż przyzwyczaić do siły protezy i Milo omal nie upadł na podłogę pod wpływem tego przyjacielskiego szturchnięcia.

Caffran krzyknął ostrzegawczo. W korytarzu za plecami Duchów pojawiły się mroczne sylwetki. Gilbear i czterej inni Błękitnokrwieści.

- Teraz zapłacisz za szachrajstwo, skurwysynu - powiedział do sierżanta Gilbear.

- To była uczciwa gra - zaprotestował Varl, ale natychmiast pojął, że tym razem jego słodki język nie pomoże ocalić skóry z opresji.

Stosunek sił wynosił jeden na jednego, ale wszyscy Volpończycy zdecydowanie górowali nad Brostinem, największym ze stojących w korytarzu Duchów. W walce wręcz w ciasnym pomieszczeniu Tanithijczycy mogli nabić przeciwnikom trochę siniaków i może nawet zaliczyć remis, ale musieliby go okupić krwią i guzami.

- Jakiś problem? - zapytał nadchodzący właśnie szósty członek zespołu hazardzistów. Bragg przepchnął swe potężne bary między kolegami i spojrzął z góry na Błękitnokrwistych.

Sylwetka olbrzyma zdawała się wypełniać korytarz, poruszała się ze złowieszczym spokojem i wystudiowanym pod czujnym okiem Varla niemym ostrzeżeniem.

- Idźcie sobie, Błękitnokrwieści. Nie zmuszajcie mnie, żebym was skrzywdził - wycedził przez zęby Bragg wygłaszając kwestię, której nauczył się wcześniej od Varla. W ustach dobrodusznego kolosa zabrzmiała ona fałszywie i dziecinnie, ale Volpończycy zbyt byli zalęknieni, aby zwrócić na to uwagę.

Odwrócili się i odeszli pośpiesznie. Gilbear parsknął z wściekłością i dołączył do swoich towarzyszy.

Duchy zaczęły się śmiać szaleńczo, aż im po policzkach pociekły łzy.

W dole znajdował się Monthax, zielony, pokryty kobiercem dżungli.

Gaunt patrzył w milczeniu przez jedno z pancernych okien widokowych orbitalnej katedry Sanctity, studiując wzrokiem odległą powierzchnię planety, na której w ciągu najbliższego tygodnia miały lądować jego oddziały. Od czasu do czasu komisarz sięgał po trzymany w rękach elektroniczny notes sprawdzając zapisane w nim dane geograficzne. Niezwykle gęsta dżungla stanowiła największy problem, skutecznie skrywała bowiem siły nieprzyjaciela nie pozwalając nawet na ich przybliżone oszacowanie.

Raporty wywiadu sugerowały, że duże zgrupowanie sił Chaosu oderwało się od armii Krucjaty po bitwie na Piolitusie i okopało się właśnie na Monthaxie. Marszałek Macaroth nie zamierzał ryzykować. Wokół cielska orbitalnej katedry, gigantycznej platformy najeżonej licznymi wieżycami, zbierały się imperialne jednostki wyznaczone do udziału w inwazji. Tuzin wojskowych liniowców dokował już przy burtach katedry niczym tłuste prosięta tłoczące się przy sutkach maciory, holowniki ciągnęły kolejny statek na wyznaczone miejsce. Nieco dalej, na wysokiej orbicie planety, unosiły się w kosmicznej pustce imperialne krążowniki i okręty eskorty, wśród nich również fregata Navarre, na której pokładzie Duchy spędziły wiele czasu. Od sylwetek wojennych okrętów odrywały się eskadry myśliwców zmierzających w stronę Monthaxu w ramach lotów patrolowych.

Gaunt odwrócił się od okna i zszedł po metalowych schodach do jednej z głównych sal operacyjnych katedry, Orrery. Wielki walcowaty terminal holograficzny stał pośrodku pomieszczenia. Mierzył dobre trzydzieści metrów średnicy, a jego wykonane z brązu i złota elementy poruszały się niczym koła zębate i przekładnie gigantycznego zegara. Terminal zgrzytał i warczał, a emitowany przez niego wielki trójwymiarowy obraz planety wirował wolno wokół swej osi uzupełniany o szereg wykresów i raportów wyświetlanych poniżej projekcji głównej.

Oficerowie Gwardii i marynarki kosmicznej Segmentum Pacificus, noszący powłóczyście szaty członkowie Eklezjarchii i Munitorium oraz zakapturzeni diakoni należący do załogi katedry studiowali przetwarzane przez terminal dane lub konferowali w niewielkich grupkach. Serwitorzy podłączeni do gniazd transmisyjnych kablami wszczepionymi w ich usta, oczy, dłonie i kręgosłupy mruzcili coś do siebie cicho. Po wszystkich stronach terminalu stały stoły taktyczne, wyświetlające na swych blatach różne sekcje mapy topograficznej Monthaxu. Oficerowie sztabowi kręcili się przy każdym ze stołów, prowadząc dyskusje i analizując szczegółowe dane operacji. W powietrzu unosił się gwar rozmów i szum transmisji radiowych. Koła zębate terminalu zazgrzytały, obróciły się kilkakrotnie. Na powierzchni hologramu pojawiły się nowe informacje.

Gaunt obszedł nieśpiesznie całe pomieszczenie kiwając głową niższym stopniem oficerom i salutując swym przełożonym. Cała sala wydawała się wręcz dyszeć niecierpliwie, niczym drapieźnik gotowy do pierwszego skoku na ofiarę.

Komisarz postanowił zająć się na pokład statku transportowego przewożącego Duchy. Jego ludzie pozostawali bezczynni, oczekiwali rozkazów. Gaunt zdawał sobie sprawę z kłopotów, jakie prowokowało takie nudne bezsilne wyczekiwanie.

I budziło frustrację. To był najgorszy efekt uboczny. W każdym gwardyjskim regimencie liczba spraw dyscyplinarnych rosła znacząco w takim specyficznym okresie, a sprawujący nad jednostkami kontrolę komisarze nie narzekali na brak zajęć. Często dochodziło do bójek, kradzieży, pijaństwa, a nawet morderstw w bardziej barbarzyńskich regimentach i co gorsza chaos taki szybko się rozprzestrzeniał.

Rozglądając się po komnacie Gaunt dostrzegł generała Sturm, dowódcę Pięćdziesiątego Regimentu IG Volpone oraz grupę jego wyższych oficerów. Sturm najwyraźniej nie zwracał na tanithijskiego dowódcę uwagi, nie skinął mu też na powitanie głową, sam Gaunt natomiast nie zamierzał Volpończykowi salutować. Pomimo upływu czasu zbrodnia popełniona przez Sturm na Voltemandzie wciąż bolała komisarza. Kiedy po raz pierwszy dowiedział się, że Błękitnokrwieści i Duchy będą walczyć obok siebie na Monthaxie, był bardzo negatywnie do tego planu nastawiony. Akcja na Menazoidzie Epsilon dobitnie ukazała mu skalę kłopotów, jakie niósł za sobą zbyt długo trwający zatarg pomiędzy gwardyjskimi regimentami. Zmiana planów inwazyjnych nie wchodziła jednak w grę i komisarz mógł jedynie pocieszać się w myślach, że właściwie tylko Sturm i jego adiutanci żywili niechęć do Tanithijczyków. Szeregowe Duchy i Błękitnokrwieści nie mieli żadnych powodów, by się nienawidzić. Wciąż musiał zachowywać czujność, ale ostatecznie doszedł do wniosku, że żołnierze obu jednostek mogą bezpiecznie przebywać w tych samych kwaterach do czasu lądowania, tam zaś ich

drogi najpewniej miały się rozejść.

Co więcej, w przeciwieństwie do Voltemandu tutaj komendy nad operacją nie sprawował Sturm, tylko lord generał Bulledin.

Gaunt spostrzegł komisarza Volovoi, służącego z roańskimi Deepersami, przystanął przy nim na chwilę, by wymienić pozdrowienia. Konwersacja ograniczała się w zasadzie do luźnych plotek, chociaż Volovoi słyszał jakoby Bulledin zwracał się do Astropathicusu z prośbą o konsultacje. Wśród lojalistów szerzyły się pogłoski o wiedźmie magii ukrytej w dżunglach planety. Podobno sztab zaaprobował wykorzystanie Tarota w celu potwierdzenia lub obalenia tych pogłosek.

- To ostatni czynnik, jakiego potrzebujemy - mruknął Volovoi - Roańczycy to istne diabły w kwestiach dyscypliny. Fakt, są świetnymi żołnierzami, jeśli odpowiednio się ich przyciśnie, ale potrafią być cholernie krnąbrni. Kilka tygodni w ładowniach transportowców i muszę każdego z osobna wyganiać kopniakami do kapsułów zrzutowych. Okropne z nich lenie, a co gorsza, są bardzo przesądni. Kilka słów o wrogich psionikach i tak będą przerażeni, że w dwójnasób utrudni mi to pracę.

- Znam to z własnego doświadczenia - odparł Gaunt. Jego poprzedni regiment, Hyrkanie, składał się z żołnierzy twardych niczym kompozytowe płyty, ale nieraz widział jak na wieść o psionikach kulili się lękliwie.

- A co u ciebie słychać, Gaunt? - spytał Volovoi - Słyszałem, że dostałeś opiekę nad jakimiś zacofanymi barbarzyńcami. Nie tęsknisz za hyrkańską dyscypliną?

Gaunt pokręcił przecząco głową.

- Tanithijczycy są na swój sposób bardzo zdyscyplinowani.

- To prawda, że sprawujesz też nad nimi bezpośrednią komendę? To rzadko spotykany przypadek jak na komisarza.

- Prezent Slaydo, niech Imperator ma w opiece jego duszę. Na początku byłem mu przeciwny, ale z biegiem czasu się przyzwyczailem.

- Dobrze sobie z nimi radzisz, przynajmniej tyle słyszałem. Czytałem raport z operacji na Menazoidzie Epsilon w ubiegłym roku, ktoś opowiadał też, że to właśnie twoi ludzie otworzyli Gwardii drogę do Bucephalonu.

- Mieliśmy swoje wielkie chwile.

Gaunt spostrzegł, że Volovoi patrzy na coś ponad jego ramieniem.

- Nie odwracaj się - powiedział roański komisarz nie zmieniając luźnego tonu rozmowy - Nie swędzą cię przypadkiem uszy? Ktoś właśnie debatuje na twój temat.

- Kto taki?

- Generał Błękitnokrwistych. Sturm. Arogancki pyszałek. Przyszedł właśnie jeden z jego oficerów i coś szepcze mu do ucha. Patrzą w twoim kierunku.

Gaunt nie zmieniał pozycji.

- Niech zgadnę: ten, który przyszedł to wielki bydlak z zapadniętymi oczami?

- Czyż tak nie wyglądają wszyscy Volpończycy?

- Ten jest wyjątkowy jak na volpońskie standardy. Major.

- Takie właśnie dystynkcje nosi na mundurze. Znasz go?

- Odrobineń, a to i tak zbyt wiele jak na mój gust. Nazywa się Gilbear. Razem ze Sturmem i nim właśnie miałem pewną ostrą wymianę poglądów na Voltemandzie osiemnaście miesięcy temu.

- Ostrą wymianę?

- Kosztowała życie kilkuset moich ludzi.

Volovoi sapnął cicho.

- Mówiąc szczerze, to raczej ty masz powody, by szeptać innym w ucho na ich temat.

Gaunt uśmiechnął się posepnie, bez cienia wesołości.

- Czyż właśnie tego nie robimy, Volovoi?

Pożegnał się z roańskim komisarzem i ruszył w dalszą drogę. Przechodząc przez pokład Orrery spojrzał z ukosa na grupę Volpończyków. Gilbear stał samotnie przy stole taktycznym, mierząc komisarza gorejącym nienawistnie wzrokiem. Sturm i jego zauszniczy wchodzili właśnie po schodach wiodących do położonych nad salą operacyjną prywatnych apartamentów lorda generała Bulledina.

Krążąc po korytarzach statku transportowego pułkownik Corbec zdawał Gauntowi standardowe sprawozdanie.

- Wyjątkowo spokojnie. Wybuchła mała bójka przy podziale racji żywnościowych, ale nie było to nic poważnego i zaraz ją spacyfikowałem. Costin i dwaj jego kumple nawąchali się za dużo rozpuszczalników znalezionych w zbrojowni. Costin przewrócił się i złamał sobie goleń.

- Ostrzegąłem zbrojmistrzów, żeby zamykali takie rzeczy na klucz!

- Zrobili to, ale Costin zbyt dobrze radzi sobie z wytrychem, sir.

- Wymierzysz im wszystkim karę dyscyplinarną.

- Sądzę, że Costin zapłacił już za swoją...

- Nie będę tego tolerował. Dostają już przydziały grogu i sacry. Nie są mi potrzebni ludzie o mózгах wyniszczonych oparami paliwa.



Corbec podrapał się po policzku.

- Racja, sir. Tyle, że ludzie są coraz bardziej rozdrażnieni. A wielu z nich wypilo sacre zaraz pierwszego dnia.

Gaunt odwrócił się gwałtownie w stronę swojego zastępcy, w jego oczach pojawiły się iskierki gniewu.

- Uświadom im jedną rzecz, Colm: Imperator obdarowuje ich pozaregulaminowymi przydziałami alkoholu i papierosów. Jeśli tego zaszczytu nie doceniają należycie, zabiorę im go. Wszystkim bez wyjątku. Zrozumiano?

Corbec skinął głową. Weszli do jednej z ładowni i spojrzeli ponad balustradą pomostu na jej dno. Powietrze przesycone było tytoniowym dymem i zapachem ludzkiego potu. W dole, na setkach ustawionych w rzędach łóżek gwardziści spali, rozmawiali, grali, modlili się lub patrzyli niemo przed siebie. Klerycy krążyli pomiędzy nimi udzielając posług i wysłuchując spowiedzi wszędzie tam, gdzie ktoś potrzebował pomocy kapłana.

- Martwi się pan czymś, sir? - spytał Corbec.

- Naciągają jakieś kłopoty - odparł Gaunt - Nie mam pojęcia jakie, ale bardzo mi się to nie podoba.

Ktoś poruszał się w drugim pokoju. Gaunt oderwał głowę od poduszki. Na pokładzie obowiązywała pora nocna i wszystkie lampy zgasły automatycznie kilka godzin temu. Komisarz padł nieco wcześniej w ubraniu na łóżko i zasnął wciąż ściskając w dłoniach zestawienie raportów.

Obudziły go ciche kroki w pokoju przylegającym do sypialnej kwatery.

Podniósł się bezszelestnie z łóżka i odłożył na blat stolika stertę papierów. Jego łańcuchowy miecz i boltowy pistolet leżały w pokrowcach w drugim pokoju, ale miał jeszcze schowany pod poduszką niewielki laserowy pistolet, który wsunął natychmiast za pas. Zasnął w spodniach, butach i podkoszulku, toteż nie musiał się ubierać. W myślach rozważył możliwość założenia służbowej kurtki albo czapki, lecz natychmiast z tego pomysłu zrezygnował.

Drzwi dzielące oba pokoje były lekko uchylone. Z wąskiej szczeliny sączyło się skaczące po pomieszczeniu światło silnej latarki. Ktoś grzebał w jego bagażu.

Runął do środka kopiąc z rozpędu w drzwi, pochwycił intruza wykręcając mu ręce, po czym uderzył twarzą człowieka w krawędź pancernego okna kabiny. Szamoczący się rozpaczliwie mężczyzna w kapturze protestował przeciwko takiemu traktowaniu do chwili zderzenia z oknem. Jego nos chrupnął złamany, a sam intruz natychmiast stracił przytomność.

Lampy włączyły się nieoczekiwanie i wtedy Gaunt dostrzegł za sobą sylwetki dwóch innych osób. Usłyszał basowy pomruk uruchamianych baterii laserów.

Obrócił się w miejscu i cisnął ogłuszonym człowiekiem w bliższego napastnika, który upadł pod nieoczekiwanym ciężarem. Drugi próbował uderzyć komisarza lufą swej broni, ale Gaunt uskoczył obok niej i wymierzył przeciwnikowi cios pięścią, który złamał mu dolną szczękę. Dopiero wtedy, kilka sekund po rozpoczęciu bójki, uświadomił sobie, że właśnie znokautował żołnierza służb bezpieczeństwa katedry w charakterystycznym brązowym pancerzu osobistym. Jego towarzysz, uwolniony w końcu od balastu w postaci nieprzytomnego człowieka w kapturze, skoczył w stronę dowódcy Duchów. Gaunt chwycił go za wyciągniętą rękę, złamał ją z trzaskiem w łokciu, po czym powalił mężczyznę jednym uderzeniem w nasadę nosa.

Sięgnął po zatknięty za pas pistolet i zlustrował wzrokiem pomieszczenie. Dwaj żołnierze służb bezpieczeństwa i człowiek w kapturze leżeli u jego stóp jęcząc i mamrocząc z bólu. Zewnętrzne drzwi otworzyły się szeroko.

- Wielu spojrzaloby z odrazą na taki popis bezwzględnej brutalności, komisarzu - oświadczyła melodyjnym tonem wchodząca do pokoju postać.

Gaunt wymierzył lufę w gardło intruza.

- Wielu w taki sam sposób potępiłoby włamanie i bezzasadne przeszukiwanie cudzej własności. Twoja tożsamość?

Postać weszła w światło lamp. Była to kobieta, wysoka, ubrana w prosty czarny strój. Jej popielate włosy były spięte w warkocz. Miała chłodną, szczupłą, piękną twarz.

- Jestem Lilith. Inkwizytor Lilith.

Gaunt opuścił broń, odłożył ją na pobliski stół.

- Nie żądasz okazania mojej rozety. Wierzysz w me słowa?

- Znam cię. Wybacz, ale niewiele jest kobiet, które osiągnęły podobny status, co ty.

Lilith podeszła do jednego z jęczących żołnierzy i trąciła go lekko czubkiem buta.

- Zabieraj się stąd. I zabierz pozostałych.

Zakrwawiony mężczyzna podniósł się chwiejnie z podłogi i pomógł pobitym towarzyszom opuścić kwaterę.

- Proszę o wybaczenie, komisarzu - powiedziała Lilith. - Poinformowano mnie, że właśnie bierzesz udział w naradzie. Nie przysłałabym tutaj swoich ludzi, gdybym wiedziała, że odpoczywasz.

- Gdybym mnie tutaj nie było, przeszukałabyś moje rzeczy?

Spojrzała na niego i roześmiała się wdzięcznie. Była atrakcyjna, pewna siebie i twarda

zarazem.

- Oczywiście. Jestem inkwizytorem, komisarzu. To jeden z elementów mej pracy.

- A czego tutaj właściwie szukasz, jeśli można wiedzieć?

- Chłopca - wzięła sobie jedno ze stojących pod ścianą krzeseł i usiadła na nim przyjmując pozornie rozluźnioną pozę. - Chcę dowiedzieć się czegoś o chłopcu. Twoim chłopcu, komisarzu.

Stojący cały czas w miejscu Gaunt zmrużył gniewnie oczy.

- Nie podoba mi się twój ton i metody - wycedził przez zęby. - Jeśli nadal nie będą mi się podobać, puszcze w niepamięć fakt, iż jesteś kobietą...

- Czy ty naprawdę mi grozisz, komisarzu?

Gaunt odetchnął głęboko.

- Sądzę, że tak. Widziałas, co zrobiłem z twoimi poplecznikami. Daj mi jakiś dobry powód, bym się powstrzymał przed dalszymi takimi czynami.

Lilith westchnęła i uniosła swe długie smukłe palce. A potem wycelowała kompaktowy laserowy pistolet prosto w głowę Gaunta.

Komisarz patrzył na nią oniemiały. Nawet nie drgnęła, a mimo to w jej ręce znalazła się nieoczekiwanie broń położona chwilę wcześniej na odległym od kobiety stoliku.

- Jak dobrego powodu potrzebuję? - zapytała uśmiechając się nieznacznie.

Gaunt cofnął się o krok.

- Ta mała demonstracja wygląda na dostatecznie widowiskową - Lilith uśmiechnęła się ponownie i wsunęła pistolet za swój pas.

Splotła dłonie palcami i podniosła wyżej głowę.

- Dobrze, zacznijmy zatem. W świetle udzielonych mi pełnomocnictw najświętszego Imperatora, ucieleśnionego w mej postaci po kraniec wszelkich czasów, jako przedstawiciel Inkwizycji zobowiązuję cię do udzielenia odpowiedzi na wszelkie zadane pytania, szczerze i wyczerpująco. Sankcje za świadome wprowadzenie mnie w błąd lub zatajenie informacji są liczne i bardzo restrykcyjne. Czy mnie zrozumiałeś?

- Mów dalej.

Znów się uśmiechnęła.

- Polubiłam cię, komisarzu. Prawdziwy diabeł, tak o tobie mówili. Mieli rację.

- Kto taki?

Lilith nie odpowiedziała. Wstała z krzesła i kładąc lewą dłoń na kolbie wsuniętego za pas pistoletu zaczęła okrążyć nieśpiesznie mężczyznę. Gaunt czuł się coraz bardziej zirytowany jej zachowaniem i rzucanymi z ukosa spojrzzeniami.

- Pomijając zgodnie z twoją sugestią dalsze formalności proponuję, abyś opowiedział mi o chłopcu.

- Jakim chłopcu?

- O adiutancie. Nazywa się Brin Milo. Tanithijczyk, członek twojej jednostki, ale cywil.

- Co takiego chcesz wiedzieć, inkwizytorze?

- Wszystko, komisarzu, wszystko.

Gaunt chrząknął oczyszczając z flegmy gardło.

- Milo... znalazł się tutaj przez przypadek. To maskotka regimentu, nasz pupil. Jest moim asystentem.

- Dlaczego?

- Bo jest bystry, szybki i chętny do pomocy. Ludzie go lubią. Potrafi wykonywać swe obowiązki bardzo efektywnie.

Lilith uniosła palec wskazujący.

- Zaczynij od początku. Dlaczego chłopiec znalazł się tutaj?

- Kiedy Chaos uderzył na Tanith, podjąłem decyzję o wycofaniu stamtąd wszystkich zdolnych do noszenia broni ludzi. Moja droga ucieczki została odcięta, a chłopiec ją oczyścił. W geście wdzięczności zabrałem go ze sobą. Jest zbyt młody, aby służyć w oddziale liniowym, dlatego zrobiłem z niego swego adiutanta.

- Z powodu jego talentów?

- Tak. I dlatego, że nie istniała żadna inna stosowna dla niego funkcja.

Lilith podeszła bliżej i spojrzała Gauntowi prosto w oczy.

- A jakie są właściwie te jego talenty?

- Efektywność, bystry umysł, zdolność...

- Do rzeczy, komisarzu. Możesz się do tego przyznać. Niejeden chciałby mieć przy sobie takiego zgrabnego czyściutkiego chłopczyka na każde skiniecie...

Ostry dźwięk wymierzonego policzka zabrzmiał dziwnie głośno w ciasnym pomieszczeniu. Lilith nawet nie próbowała się uchylić. Roześmiała się krótko i wznowiła swój marsz wokół dowódcy Duchów.

- Bardzo dobrze. Bardzo bezpośrednia reakcja. Myślę, że możemy sobie darować dalsze podchody i przejść do rzeczy. Uważam, że chłopiec jest wiedźmiarzem. Co ty na to?

- Nie jest - przełknął ślinę Gaunt - Jad Osnowy dosłownie wywraca mi wnętrzności. Sądziś, że tolerowałbym spokojnie obecność takiej istoty u swego boku? - urwał na moment, po czym dodał. - Dla ciebie rzecz jasna czynię wyjątek.

Lilith nadal okrążała go nieśpiesznie.

- Bez wątpienia jest użyteczny. Dokonałam wcześniej wywiadu terenowego, Gaunt. On przewiduje rzeczy, zanim te się wydarzą... ataki, incydenty, raporty niezbędne dla jego przełożonego. Skład śniadania, na które danego dnia będzie miał ochotę komisarz...

- To nie są wiedźmie sztuczki. Chłopak jest bystry i logicznie myśli.

- Jest taka gra hazardowa na niższych pokładach. Chłopiec stanowi jej kluczowy element. Wie jak z premedytacją wygrywać. Jest perfekcyjny w odgadywaniu jej przebiegu. Jak chcesz polemizować z takimi faktami?

- Spytam krótko: kto cię na nas napuścił?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- To był Sturm, prawda? I jego łańcuchowy ogar Gilbear? Mają ze mną poważny zatarg, jak mogłaś zaufać ich słowom?

Lilith przystanęła i spojrzała w twarz mężczyzny.

- Oczywiście wiem o tym zatargu, nie zdołali zataić przede mną prawdy. Sturm i Gilbear nienawidzą cię i twoich Duchów. Próbowali was unicestwić na Voltemandzie, ale im się nie udało, więc chwytają się każdej innej okazji, by dopiąć swego.

Gaunt omal nie stracił mowy z wzburzenia.

- Wiesz o tym, a mimo to tutaj przyszedł?

- Jestem inkwizytorem, Ibramie - odparła z lekkim uśmiechem - Sturm i jego ludzie to bezmyślne tępaki. Nie mam żadnego interesu we wspieraniu ich nienawiści względem ciebie, ale lord generał Bulledin sprowadził mnie tutaj, abym nadzorowała czystość mentalną uczestników inwazji na Monthax. Mam zlokalizować wiedźmie źródła zagrożenia po stronie nieprzyjaciela... a także te, które kryją się w naszych własnych szeregach. Zwrócono mą uwagę na chłopca, toteż obowiązek nakazuje go sprawdzić. Ludzie powiadają, że jest dzikim psionikiem. Nie dbam o to, dlaczego tak mówią i co chcą przez to zyskać, lecz jeśli mają rację... po to tutaj jestem. Czy Milo posiada dar? Czy jest mentatem? Nie próbuj go chronić, Gaunt. Coś takiego bardzo źle by się dla ciebie skończyło.

- Nie jest. Cała ta sprawa to stek bredni. Błękitnokrwisci uważają, że odkryli mój słaby punkt i chcą go wykorzystać.

- Zobaczymy. Chcę porozmawiać z tym Milo. Natychmiast.

Wezwanie do pokojów komisarza w trakcie cyklu nocnego nie było dla Mila żadną nowością - w porze spoczynku często odbywały się narady i spotkania wyższych rangą oficerów. Zaraz po wejściu do kwatery chłopiec uświadomił sobie jednak, że coś jest nie w porządku. Gaunt ubrany był w kompletny uniform służbowy, na jego twarzy gościł posepny

grymas. Towarzyszyła mu wysoka kobieta w czerni roztaczająca wokół subtelną aurę lęku.

- Ta przedstawicielka Imperatora ma do ciebie kilka pytań - wyjaśnił Gaunt rozmyślnie unikając terminu inkwizytor. - Udzielisz jej szczerych i wyczerpujących odpowiedzi.

Lilith powiodła ich bez słowa długim korytarzem prowadzącym do stacji orbitalu, tam zaś cała trójka przeszła do samej katedry. Milo z trudem krył swą ekscytację. Nigdy wcześniej nie miał okazji postawić stopy na pokładzie gigantycznej kosmicznej stacji. Przesycające konstrukcję powietrze pachniało wonią kadzideł, było też znacznie chłodniejsze od gęstej dusznej atmosfery panującej w ładowniach gwardyjskich liniowców. Rozmiary mijanych po drodze pomieszczeń wprawiały go w niemy podziw. Mijali diakonów w długich powłóczystych szatach, noszących brązowe pancerze osobiste żołnierzy ochrony oraz grupki wyższych stopniem oficerów. Dla Milo był to zupełnie odmienny świat.

Lilith obrała trasę wymagającą blisko dwudziestominutowego spaceru, wiodącą przez kilka robiących wrażenie swymi wymiarami i wystrojem kaplic oraz sal holograficznych, w tym również Orrery. Gaunt pojął w mig jej podstęp. Obrana przez kobietę trasa oznaczała nadłożenie drogi i zmęczenie chłopca, co w połączeniu z atmosferą panującą na pokładach katedry miało zmiękczyć jego psychikę. Przebiegłość Lilith graniczyła z okrucieństwem.

Dotarli do rozsuwanego wjazdu na końcu pełnego pancernych szyb korytarza. Lilith wykonała nieznaczny gest dłonią i wjazd otworzył się z cichym warkotem. Machnięciem ręki poleciała chłopcu wejść do środka i odwróciła się w progu, by porozmawiać z komisarzem.

- Możesz uczestniczyć w przesłuchaniu, ale nie wolno ci zabierać głosu. Jesteś wartościowym oficerem i jeśli ten chłopiec faktycznie okaże się skażony, mogę sprawić, że nie poniesiesz żadnych konsekwencji poważniejszych od reprimendy za brak stosownej czujności.

- Bardzo uprzejma propozycja. Czego żądasz w zamian?

Lilith uśmiechnęła się lodowato.

- Jesteśmy instrumentami ładu i porządku, ja i ty, komisarzu. Moim obowiązkiem jest odkrycie źródła korupcji, twoim jej eliminacja. Jeśli Milo jest skażony, oczyścisz swe dobre imię dokonując na nim osobiście egzekucji. Ten akt upewni wszystkich o twym słusznym gniewie i pragnieniu oczyszczenia własnych szeregów.

Gaunt nie odezwał się słowem. Jego umysł wydawał się rozpadać na drobne kawałki.

- Nie ma innego sposobu na uratowanie twojej reputacji i kariery. Co gorsza, położysz na szali własne życie, jeśli ktoś uzna, że konspirowałeś w celu ukrycia istnienia pionka Ciemności. Czy ty mnie słuchasz, Gaunt?

- Słucham pogrózek pod adresem mojego życia i przyszłości. Z pogrozkami zwykłem

radzić sobie w profesjonalny sposób.

- Będę zatem całkowicie szczerą. Sturm zainicjował ten proces, ponieważ uznał, że jest to doskonały sposób na eliminację zarówno ciebie jak i Duchów. Jeśli Milo okaże się skażony, a ty nie podejmiesz odpowiednio rygorystycznych kroków, by się od niego odciąć, podpiszesz na siebie wyrok śmierci. Sturm dopilnuje rozwiązania regimentu. Już zasiał w umyśle Bulledina podejrzenie, że skoro jeden Duch jest potencjalnym psionikiem, pozostali też mogą nimi być. Pierwszy Tanithu zostanie uwięziony, do ostatniego człowieka, w kazamatach Inkwizycji, gdzie jego członków podda się ekstremalnym technikom śledczym. Wielu z tych ludzi ich nie przeżyje, a pozostali zostaną potem odrzuceni jako niezdolni do dalszej służby w Imperialnej Gwardii. Obowiązki zmuszają mnie do zbadania zarzutów Sturm. Nie mam zamiaru stać się narzędziem jego prywatnej vendetty, ale zmienię się w nie, jeśli nie będziesz postępował w tej sprawie uczciwie, honorowo i lojalnie wobec Imperatora.

- Rozumiem. Dziękuję za twoją szczerą.

- Chaos jest największym zagrożeniem, jakiemu musi stawiać czoła ludzkość. Nie wolno pozwolić na istnienie mocy mentalnych w umysłach, które nie przeszły odpowiedniego szkolenia. Jeśli chłopiec posiada dar, musi zostać zniszczony.

- A dlaczego nie zabrano przez Czarne Statki... jak w twoim przypadku?

Lilith zeszywniała na moment.

- Nie tym razem. Naciski polityczne są zbyt silne. Jeśli Milo jest dzikim psionikiem, musi ponieść śmierć. Tylko takie rozwiązanie usatysfakcjonuje wszystkie strony.

- Rozumiem.

Skinęła głowę i weszła do pokoju. Gaunt przystanął na chwilę w miejscu spoglądając na swój tkwiący w kaburze boltowy pistolet. Czy zdołam to zrobić, pomyślał. Życie każdego Ducha stało się nagle uzależnione od ewentualnej śmierci Mila i wszystkie wysiłki podjęte w celu uratowania tych ludzi, stworzenia z nich sprawnej jednostki i umotywowania zostały okupione zbyt wieloma wyrzeczeniami, aby teraz komisarz mógł je bez namysłu odrzucić. Miał wobec Tanith dogonny dług, który mógł spłacić tylko przez opiekę nad jej ostatnimi dziećmi. Ale egzekucja Brina... chłopca, który tak bezinteresownie uratował mu życie, który lojalnie służył pomocą... myśl ta tak dalece kłóciła się z prywatnym kodeksem honorowym Gaunta, że lodowata obręcz rozpaczy ścisła mu serce.

Lecz jeśli chłopiec naprawdę był dotknięty mocami Osnowy, jeśli w jego umyśle kryła się złowroga potęga...

Wszedł po pomieszczenia z zaciętą ponurą twarzą, a właz zasunął się za jego plecami z głuchym łoskotem.

Pokój był przestronny i wysoki. Nie miał okien w ścianach, ale środek sufitu wieńczyła wielka okrągła tafla pancernego szkła. Światło migotliwych gwiazd wpadało przez nią do środka stanowiąc niemal jedyne źródło oświetlenia w komnacie - nie licząc kilku małych przygaszonych lampek ustawionych w kątach pomieszczenia. Na podłodze znajdował się gruby puszysty dywan ozdobiony emblematem Imperialnego Orła. Pośrodku dywanu ktoś ustawił dwa meble, zwrócone ku sobie wzajemnie - wielki drewniany tron z masywnymi oparciami oraz niskie krzeselko. Lilith usiadła na krzeselku i wskazała chłopcu tron. Jego masywna bryła zdawała się połykać postać Milo. Gaunt stanął w kącie, zdenerwowany i targany niepewnością.

- Jak się nazywasz?

- Brin Milo.

- Jestem Lilith. Inkwizytor - mroczne słowo zostało w końcu wypowiedziane, przesycając atmosferę panującą w pokoju nutą strachu i poczucia zagrożenia.

Milo rozszerzył szeroko oczy, w ich głębi błysnął lęk.

Lilith zaczęła wypytywać go o Tanith, przeszłość, tamtejsze życie codzienne. Z początku odpowiadał urywanymi zdaniami, ale z biegiem czasu jego wypowiedzi na niewinne pytania stawały się coraz bardziej płynne i pewne siebie.

Pytała go o okoliczności towarzyszące pierwszemu spotkaniu z Gauntem, o upadek Tanith i podjętą wówczas decyzję, by walczyć przy boku komisarza.

- Dlaczego? Nie byłeś wówczas żołnierzem, zresztą nadal nim nie jesteś. Dlaczego postanowiłeś bronić życia obcoświatowca, którego ledwie zdążyłeś poznać?

Milo zerknął z ukosa na Gaunta.

- Elektor Tanith, w którego świecie służyłem jako muzykant i chłopiec na posyłki, polecił mi strzec komisarza i dbać o zaspokajanie jego potrzeb. Dotyczyło to również kwestii bezpieczeństwa. Został zaatakowany i nie posiadał dużych szans na przeżycie. Zrobiłem to, co mi nakazano.

Lilith wyprostowała się nieco, zagrała palcami na swych kolanach.

- Jestem ciekawa, dlaczego jeszcze nie zapytałeś, jaki właściwie jest powód tego przesłuchania? Większość sprowadzanych przed moje oblicze ludzi głośno protestuje i dowodzi swej niewinności zastanawiając się jednocześnie panicznie, dlaczego coś takiego ich spotkało. Lec ty się tak nie zachowujesz. Doświadczenie mówi mi, że winni zawsze wiedzą, dlaczego trafiają przed sędziego i rzadko szukają potwierdzenia swych podejrzeń. Czy ty wiesz, dlaczego tutaj jesteś?

- Mogę tylko zgadywać.



Gaunt zastygł w bezruchu. Zła odpowiedź, Brin, zła odpowiedź...

- Zgaduj na głos - zaproponowała Lilith. - Słyszałam, że jesteś bardzo dobry w zgadywaniu.

Milo był wyraźnie zakłopotany.

- Jestem postrzegany przez wielu za odszczepieńca. Niektórzy Tanithijczycy nie lubią, kiedy jestem w pobliżu. Nie jestem taki jak oni.

Feth, Milo! Prosiłem o szczere odpowiedzi, ale istnieją różne stopnie szczerości, jęknął w myślach Gaunt. Jego tętno przyspieszyło.

- Co masz na myśli? W jakim sposób nie jesteś taki jak oni?

- Jestem... jestem inny. To budzi ich niechęć.

- Co to znaczy, że jesteś inny? - w głosie Lilith pojawiła się nuta tryumfu i ekscytacji.

- Nie jestem żołnierzem.

- Nie jesteś... czym?

- Oni wszyscy są żołnierzami. To dlatego tutaj trafili, dlatego przeżyli zagładę Tanith. Wszyscy byli wtedy gwardzistami, którzy i tak mieli opuścić nasz świat, a komisarz uratował ich wyłącznie z powodu wartości militarnej, jaką przedstawiali. W moim przypadku jest inaczej. Jestem cywilem. Nie powinno mnie tutaj być. Tanithijczycy patrzą na mnie i myślą Dlaczego ten chłopiec przeżył? Dlaczego jest tutaj? A jeśli on, dlaczego nie mój brat, córka, żona, ojciec? Reprezentuję sobą błogosławieństwo ratunku, którego ich bliskich pozbawiono.

Lilith milczała przez dłuższą chwilę.

Gaunt czynił wszystko, by powstrzymać uśmiech. Odpowiedź Mila była perfekcyjna, podobnie jak słowne manewry utrwalające kobietę w przekonaniu, iż wciąga go w pułapkę. Cały ten zabieg jeszcze uwiarygodniał szczerość wypowiedzi chłopca.

Lilith wstała z krzesła i podeszła do Gaunta. W jej oczach dostrzegł zawzięty błysk gniewu.

- Rozmawiałaś już wcześniej na ten temat z chłopcem? - szepnęła. - Uczyłeś go stosownych odpowiedzi na wypadek takiego przesłuchania?

Gaunt pokręcił przecząco głową.

- Nic takiego nie uczyniłem. Zresztą przez samo takie podejrzenie sugerujesz mi, że wiedziałem coś o rzekomej skazie Mila.

Zdusiła w ustach przekleństwo i zamyśliła się na chwilę.

- Po co ta cała szarada pytań? - odezwał się Gaunt. - Dlaczego nie użyjesz sondy mentalnej? Masz przecież dar, prawda?

Spojrzała na niego i kiwnęła głową.

- Mam, dobrze o tym wiesz. Ale dobry psionik, niebezpieczny psionik, potrafi ukryć swą moc. Taktyka pytań i odpowiedzi pozwala zmiękczyć jego umysł i poczynić pewne luki w mentalnych barierach. A jeśli jego umysł faktycznie stał się tym, przed czym czuję lęk, nie mam najmniejszej ochoty stykać się z nim myślą w myśl.

Odwróciła się i stanęła za tronem.

- Opowiedz mi o grze.

- Grze?

- Tej, którą ty i twoi tanithijscy przyjaciele zabawiacie się na pokładzie liniowca.

Obeszła tron i wyciągnęła w stronę chłopca swą prawą dłoń, odwróconą grzbietem ku podłodze i zaciśniętą w pięść. Otworzyła ją. Na dłoni siedział żywy wołek zbożowy.

- Tej grze.

- A, tej - mruknął Milo - To zgadywanka. Trzeba odgadnąć, z której dziury w pojemniku wyjdzie wołek.

Położyła owada na kolanie chłopca. Wołek siedział w bezruchu nie czyniąc żadnych prób ucieczki. Milo patrzył na niego zafascynowany. Lilith przeszła przez pomieszczenie i zdjęła coś z ukrytej w półmroku ściennej półki. Przedmiot zawinięty był w płachtę welwetowego materiału. Kiedy ją rozwinęła, w ruchu tym było coś z aury sztukmistrza, ale nie dorównywała ona nawet w połowie talentowi Varla.

Podąła zardzewiałe kadzidło chłopcu.

- Otwórz je. Włóż owada do środka.

Milo wykonał otrzymane polecenia.

- A teraz do rzeczy, Milo. To nie jest gra, prawda? To oszustwo. Sztuczka, którą Tanithijczycy używają w celu wyłudzenia pieniędzy od żołnierzy innych regimentów. A jeśli to pułapka na naiwnych, potrzebuje przynęty. I musi mieć precyzyjny mechanizm, skoro za każdym razem wygrywają Duchy. Ty jesteś przynętą, prawda? Skoro umiesz poprawnie odgadywać... a to właśnie potrafisz. Twój umysł dokonuje sztuczki i sprawia, że staje się ona rzeczywistością.

- To tylko gra - pokręcił przecząco głową Milo.

- Jestem absolutnie przekonana, że jednak nie. Gdyby to faktycznie jest niewinna gra, dlaczego bawicie się nią wyłącznie przeciwko ludziom z innych jednostek? Z moich informacji wynika, że w ostatnich dniach zdobyliście małą fortunę w tych zawodach. Znacznie więcej niż dyktowałby rozsądek i prawdopodobieństwo, jeśli miałyby to być wyłącznie gra losowa.

- Szczęście, jak sądzę.

- Nie możesz za każdym razem mieć szczęścia przy tak dużej ilości otworów w kadzidle.

W jaki sposób sprawiasz, że owad wychodzi odpowiednią dziurą?

Milo podniósł naczynie, w jego wnętrzu zaklekotał wołek.

- W porządku. Skoro to takie ważne, pokażę. Proszę wybrać otwór.

- Szesnaście - odparła Lilith siadając ponownie na stołku. Na jej twarzy pojawił się wyraz napięcia.

- Ja wybieram dziewięć - położył kadzidło na podłodze. Owad wyskoczył z otworu o numerze dwadzieścia.

- Wygrała pani. Była pani bliżej.

Lilith wzruszyła ramionami.

Milo otworzył kadzidło i włożył wołka z powrotem do środka.

- To była pierwsza runda. Jest pani teraz bardziej pewna siebie. Gramy dalej. Proszę wybrać numer.

- Siedem.

- Dwadzieścia pięć - odparł Milo.

Zaczekali chwilę i owad wypadł z otworu oznaczonego numerem szóstym próbując ukryć się w dywanie.

- Znowu pani wygrała. Czuje się pani teraz wyśmienicie, nieprawdaż? Dwa zwycięstwa pod rząd. Na liniowcu miałyby pani teraz przed sobą całą stertę monet i mogła znacznie podwyższyć stawkę. Proszę włożyć owada do środka.

Umieściła wołka w naczyniu i podała je chłopcu.

- Jaki numer? - zapytał.

- Dziewiętnaście. Wszystkie moje pieniądze oraz moich towarzyszy stawiam na dziewiętnaście.

Milo uśmiechnął się nieznacznie.

- Jedyńka - oświadczył.

Owad pojawił się w otworze o numerze pierwszym.

- I tak zgarniam całą wygraną zostawiając panią z szeroko otwartymi ustami i życząc grzecznie dobrej nocy. - Milo oparł się wygodniej o krzesło.

- Przepiękna demonstracja... i dowód, który cię całkowicie pogrąży. W jaki inny sposób mogłeś w odpowiednim momencie wytypować odpowiedni numer, jeśli nie dzięki darowi jaki posiada twój umysł?

Milo postukał delikatnie palcem w swoją głowę.

- Pani jest naprawdę przekonana, że winien temu jest mój umysł, prawda? Że działa w

wypaczony sposób... że jestem psionikiem?

Jej twarz sprawiała wrażenie wyciosanej z bryły lodu.

- Zaproponuj mi alternatywne wyjaśnienie.

Postukał tym samym palcem w kieszeń swej kurtki.

- Przyczyna tkwi tutaj, nie w głowie.

- Wyjaśnij.

- Na początku każdej gry sięgamy do kieszeni po kolejne pieniądze na zakłady. Pozwalam innym włożyć do kadzidła wołka, ale to ja zawsze ostatni je ustawiam na podłodze. Te owady uwielbiają sproszkowany cukier. Mam go trochę na dnie kieszeni. Wyciągając pieniądze nabieram cukru na palec, a potem ścieram go o krawędź otworu, który zamierzam obstawić. Proszek jest niewidoczny na zardzewiałej powierzchni kadzidła. Na tym polega sztuczka, zawsze znam miejsce wyjścia owada. Bawię się przeciwnikiem przez cały czas, pozwalając mu wygrać kilka pierwszych rund i przekonać o dobrej passie, a kiedy postawi wszystko, zabrać mu pulę w jednym zagranu.

Lilith wstała ze stołka i zmiażdżyła wołka podeszwą jednego ze swoich eleganckich butów. Uśmiercony owad pozostawił po sobie brązową plamkę na dziobie zdobiącego dywan emblematu Orła. Odwróciła się do oficera.

- Zabierz go stąd. Złożę odpowiedni raport Bullediniowi i Sturmowi. Ta sprawa została zamknięta.

Gaunt skinął głową i poprowadził chłopca w stronę wyjścia.

- Komisarzu! - zawołała, kiedy przechodzili przez próg. - Może on i nie jest dzikim psionikiem, ale na twoim miejscu trzymałabym tę małą podstępna zmię z dala ode mnie.

- Wezmę sobie tę radę do serca, inkwizytor Lilith - odparł Gaunt i wyszedł z pokoju.

Szli razem przez długie korytarze orbitalnej katedry. Nocny cykl dobiegał końca i w mijanych kaplicach rozbrzmiewały poranne psalmy. Wszędzie rozchodził się zapach kadzideł.

- Dobra robota. Przykro mi, że musiałeś przez coś takiego przechodzić.

- Myślał pan, że ona mnie dopadnie, prawda? - spytał Milo.

- Nigdy nie wątpiłem w twą uczciwość i lojalność, Brin, ale też zawsze czułem pewien lęk przed twoją zdolnością przewidywania przyszłości. I lękałem się, że ktoś wykorzysta to, by wpędzić nas w kłopoty.

- Zastrzełiłby mnie pan, prawda?

Gaunt przystanął na moment.

- Zastrzełiłbym?

- Gdybym zawiódł i wpędził Duchy w kłopoty. Gdybym okazał się... tym, kogo ona oczekiwała.

- Hmm - pułkownik-komisarz ruszył w dalszą drogę. - Tak, zrobiłbym to. Musiałbym to zrobić.

Milo wzruszył ramionami.

- Takiej odpowiedzi się spodziewałem - mruknął cicho.

## XI - Pewna mroczna tajemnica.

Gaunt obudził się raptownie i uświadomił sobie ze zdziwieniem, iż śniło mu się Tanith. Sam temat przewodni snu nie był niczym nowym, ponieważ koszmary odtwarzające zagładę Tanith nękały komisarza stosunkowo często, lecz tym razem, po raz pierwszy w życiu, utracony świat pojawił się w jego majakach w swej pierwotnej krasie: żywy i barwny.

Sen wprowadził go w sentymentalny nastrój, toteż podjął próbę odtworzenia go w pamięci i w tym samym momencie stał się zniecałkiem świadom panującego wokół rozgardiaszu. Na zewnątrz habitatu, w blasku przedświt, powietrze przenikały ludzkie okrzyki i alarmowe gwizdki, ponad nimi zaś górował odległy dźwięk bitewnej wrzawy. Ktoś tłukł pięścią w drzwi wejściowe budowli. Gaunt usłyszał podniesiony głos Mila.

Włożył pośpiesznie buty i wyszedł na zewnątrz, w chłód poranka mile przenikający przez jego spocony podkoszulek. Odpędzając się dłonią przed natrętnym insektem słuchał zdyszanego raportu adiutanta, nie przerywając jednocześnie lektury zawartości podanego mu elektronicznego notesu. Jego oczy podążyły ku zachodniemu horyzontowi. Różowe i bursztynowe rozbłyski podświetlały niską warstwę białych chmur, punktowanych co chwila jaskrawą plamą flary sygnalizacyjnej lub silniejszym błyskiem jakiejś potężnej broni wsparcia.

Gaunt nie potrzebował informacji Mila ani lektury raportu, by pojąć, że główna ofensywa właśnie się zaczęła. Nieprzyjaciel był w ruchu, i to w znaczącej sile.

Polecił dowódcom plutonów przygotować swych ludzi, chociaż większość zdążyła już to zrobić bez rozkazu, po czym wezwał starszych stopniem oficerów na odprawę w centrum dowodzenia. Mila posłał z powrotem do swego habitatu z poleceniem odszukania służbowej kurtki, czapki i broni.

W ciągu dziesięciu minut w pomieszczeniu znaleźli się Corbec, Rawne, Lerod, Mkoll, Varl i kilku innych Tanithijczyków. Gaunt stał już przy stole czytając jakieś wydruki. Obyło się bez zbędnych formalności.

- Orbitalne rozpoznanie oraz raporty wysuniętych grup zwiadowczych pozwalają przyjąć za pewnik fakt, iż pojedyncza silna kolumna wojsk Chaosu przemieszcza się poprzez dżunglę w kierunku zachodu.

- Jej cel? - zapytał Corbec.

Gaunt wzruszył ramionami bezradnie i wszyscy poczuli się dziwnie nieswojo widząc taki

gest w wykonaniu człowieka zazwyczaj doskonale panującego nad sytuacją.

- Brak danych, pułkowniku. Oczekiwaliśmy uderzenia wroga od wielu dni, ale obecna ofensywa wydaje się w ogóle nie zagrażać naszym pozycjom. Według niedawno otrzymanych raportów nieprzyjaciół przebił się przez... a raczej wyciął w pień oddział kayleńskich lansjerów w sile batalionu, ale odnoszę wrażenie, iż stało się to tylko dlatego, że lansjerzy stali heretykami na drodze. Wygląda na to, że wróg ma zupełnie inny cel, o którym my nie mamy najmniejszego pojęcia.

Mkoll przyjrzał się uważnie mapie. Osobiście przeczesał w trakcie zeszlotygodniowych patroli większość tego obszaru. Jego bystry umysł nie znajdował żadnych przyczyn, dla których wojska Chaosu mogłyby atakować zachodnią część pasa dżungli. Nie omieszkał stwierdzić tego na głos.

- A może ich zwiadowcy zebrali niewłaściwe informacje? - zaproponował Varl. - Może prąd do przodu, bo myślą, że właśnie tam znajdują się nasze główne pozycje?

- Szczerze wątpię - odparł Mkoll. - Do tej pory wydawali się doskonale poinformowani. Istnieje jednak taka możliwość. Jeśli jest prawdziwa, rzuciliby do błędnie zaplanowanego ataku naprawdę spore siły.

- Jeśli faktycznie popełnili błąd w planach, możemy go wykorzystać. Jeśli zaś skrywają w swych działaniach jakąś mroczną tajemnicę, nie zamierzam czekać biernie do chwili jej ujawnienia - oświadczył Gaunt drapiąc się w zamyśleniu po policzku.

- Poza tym - dodał po chwili - mamy jasne i precyzyjne rozkazy. Generał Thoth wysłał nas do kontruderzenia, kiedy tylko będziemy na to gotowi, w myśl poleceń samego lorda generała Bulledina. Tanithijczycy mają stanowić jedno z ramion nożyc. Przeciwno siłom wroga wyruszy blisko sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy z kilku gwardyjskich regimentów. Za względu na tę zadziwiającą marszrutę nieprzyjaciół ustawił się do nas bokiem, odsłaniając swą flankę. Duchy otrzymały odcinek frontu o szerokości dziewięciu kilometrów - Gaunt zaznaczył na mapie nową strefę frontową stawiając świetlnym piórem małe runiczne znaczki na szklanym blacie. - Nie chcę, by zabrzmiało to dufnie, ale dzięki nietypowemu ustawieniu nieprzyjaciela możemy poczynić w jego szeregach znaczące straty. Thoth domaga się frontalnego uderzenia. Mamy być maszynką do mielenia mięsa, wbić się w bok kolumny wroga i przynajmniej złamać jej szyki eliminując odizolowane grupy przeciwnika.

- Przepraszam, komisarzu - lodowaty cichy głos majora Rawne przeciął duszne gorące powietrze wewnątrz pomieszczenia niczym nóż. - Tanithijczycy nie są ciężką piechotą. Mamy uderzyć frontalnie na główne zgrupowanie sił nieprzyjaciela. Feth, to dla nas pewna zagłada.

- Ma pan rację, majorze - odparł Gaunt mierząc rozmówcę twardym spojrzeniem - Thoth

dał dowódcom regimentów pewną swobodę w działaniu. Nie powinniśmy zapominać o grubości poszycia leśnego w dżungli i mnogości osłon terenowych. Duchy wciąż mogą wykorzystać swe umiejętności infiltracji, by zbliżyć się na odpowiedni dystans do nieprzyjaciela, może nawet wejść pomiędzy jego szyki. Nie zamierzam wysłać was en masse. Ruszycie odrębnymi trasami w sile plutonów, poprzez mokradła. Sądzę, że dzięki takiej taktyce poradzicie sobie z zadaniem równie dobrze jak ciężka piechota.

Odprawa dobiegła końca, oficerowie wyszli z pomieszczenia zмирzając do swoich plutonów.

Gaunt zatrzymał zмирzającego w stronę drzwi Mkolla.

- Ta uwaga o rzekomym błędzie w rozpoznaniu wroga... nie wierzysz w taką opcję, prawda?

- Mam swoje powody, sir - odparł Mkoll. - To prawda, że dżungla jest tutaj gęsta i można się w niej zagubić, co możemy wykorzystać na naszą korzyść. Lecz nie wierzę, by wróg się pomylił. Nie, sir. Oni mają jakiś powód, by przedzierać się w tamtym kierunku.

- Jaki?

- Nie chciałbym bawić się w zgadywanki - odpowiedział sierżant, ale pochylił się nad mapą i coś na niej wskazał. Niemal w samym środku obszaru zdefiniowanego jako nowa strefa frontowa widniał mały znaczek symbolizujący tajemnicze ruiny dostrzeżone przez Mkolla podczas patrolu kilka dni wcześniej.

- Nie zdołałem im się bliżej przyjrzeć. Nie... znalazłem ich ponownie.

- Co? Powtórz to jeszcze raz.

Mkoll wzruszył ramionami.

- Ujrzałem je z pewnej odległości w czasie patrolu, w tym samym dniu, kiedy to panu zgłosiłem. Ale potem nie umiałem ich już odnaleźć ponownie. Ludzie sądzą, że miałem omamy.

- Ale ty uważasz... - Gaunt nie dokończył zdania, a wyraz twarzy Mkolla wystarczył mu w zupełności za odpowiedź.

Komisarz zaczął dopinać kaburę pistoletu.

- Kiedy ruszymy do ataku, twoim priorytetem będzie odnalezienie tych ruin. Zlokalizuj je ponownie. Cała sprawa pozostaje między nami. Zgłoś się do mnie, gdy tylko wykonasz zadanie.

- Rozumiem, pułkowniku-komisarzu. Mówiąc szczerze, dla mnie to teraz kwestia honoru. Wiem dobrze, że je widziałem.

- Wierzę ci - odparł Gaunt - Feth, wierzę twoim zmysłom bardziej niż moim własnym.



Ruszajmy i zrobmy to, co nam zlecono.

Kamienne mury były gładkie niczym szkło, ciemne, perfekcyjnie wykonane. Otaczały Wewnętrzne Sanktuarium na podobieństwo ścian zastygłej wody, tworząc azyl wycięty pozornie w odmętach oceanu. Odnosił wrażenie, że jakaś nadnaturalna moc zmusiła morskie wody do rozstąpienia się tworząc suche ciemne przejście dla jego stóp.

Był niezmiernie wiekowy, nie aż tak bardzo jednak, by nie czuć czaru starożytnych mitów. Świadomość ta zdawała się ogrzewać jego stare kości, nie budząc dreszczu podekscytowania, tylko ciepły spokój duszy.

Sanktuarium było ciche, gdzieś z oddali dobiegał jedynie ledwie słyszalny dźwięk modlitewnego dzwonu. I jeszcze dalszy rozgardiasz, kryjący się na granicy zmysłów, przypominający pomruk śpiącego od wieków boga lub zew prastarej gwiazdy.

Długimi smukłymi palcami, uwolnionymi od okrycia powieszanej przy pasie rękawicy, wieszcz przesuwiał po powierzchni złotych runicznych znaków wyrzeźbionych w fakturze zielonkawych kamiennych bloków. Zamknął swe oczy, pomarszczone cienkie powieki przesłoniły ciasno źrenice, a sprzężone z jego organizmem wizjery hełmu zasunęły się synchronicznie.

Przypomniała mu się kolejna starożytna legenda. W odległej przeszłości, zanim jeszcze gwiazdy znalazły się na właściwych miejscach, a jego przodkowie znali tylko jeden świat, blask innych słońc dostępny był dla nich wyłącznie poprzez astronomiczne przyrządy. Później, w trakcie bezmiaru mijających lat, umiejętności jego przodków rozwijały się coraz bardziej, poznawali coraz więcej tajemnic związanych z odległymi planetami. Wtedy właśnie pojęli, że nie są sami, lecz stanowią zaledwie drobną cząstkę ogromnej całości galaktyki. Dostrzegane w przestworzach gwiazdy przyzywały ich coraz bardziej i kiedy w końcu stało się to możliwe, polecili im na spotkanie.

Obecna chwila stanowiła dziwne echo tamtych zamierzchłych czasów. Mędrzec tkwił przez chwilę w bezruchu, samotny i świadom wyłącznie obecności kilku innych żywych dusz - swych pobratymców znajdujących się w Zewnętrznym Pałacu. Później w ciemności otaczającej wieszczka zaczęły pojawiać się inne światła, migoczące w jego umyśle. Wpierw kilka, potem tuziny, setki, tysiące. Legion.

Umysł wieszczka był budzącym nabożny lęk aparatem. Kiedy setki tysięcy światełek przedstawiających rozumne stworzenia zaczęły układać się w jego jaźni, przywodziły na myśl formujące się na nowo konstelacje gwiazd. A tak wiele spośród nich płonęło mrocznym złym światłem.

Toczył przegrywaną z każdą chwilą walkę z czasem. Nie cierpiał pochopnych działań, ponieważ to właśnie pośpiech był jedynym nieznanym mu wcześniej elementem niezwykle długiego życia. Lecz teraz pozostało bardzo niewiele czasu, niemalże ułamek chwili w jego rachubie. Musiał wykorzystać każdą jego sekundę, jeśli chciał dopiąć swego.

Jego umysł już wprowadził w ruch pewne rzeczy. Marzenia, pragnienia i wola mędrca zaczynały przesączać się w jego otoczenie. Proste zabiegi zdolne bez trudu zwieść i omamić zmysły słabiej rozwiniętych istot zaczynały powoli oddziaływać.

Lecz to nie wystarczało.

Wieszcz westchnął świadom tego, co musi uczynić. Nadchodził czas ofiary, chwila mająca zakończyć jego długie życie. Chwila będąca być może jedynym celem i sensem jego egzystencji.

Był gotów. Nadszedł czas, by stworzyć nową legendę.

Pośród gęstych krzewów, lian i pnączy trzeci pluton brnął powoli przez mokradła i rozlewiska, zbliżając się coraz bardziej do nadbiegających z zachodu odgłosów wojny. Poranne promienie słońca przebijały się przez korony drzew tworząc w powietrzu siateczkę snopów światła.

Trzeci pluton, oddział majora Rawne. Corbec przydzielił im w charakterze snajpera Larkina po tym jak własny strzelec wyborowy majora trafił do lazaretu z objawami ostrej gorączki. Niewielkie insekty ustawicznie nekające stacjonujących na bagnach żołnierzy zaczynały szerzyć zatrucia i infekcje. Dorden oczekiwał na pierwszy transport rannych, a tymczasem na jego łóżka trafili ostatniej nocy chorzy.

Milo ruszył na akcję wraz z trzecim plutonem. Chłopiec nie wiedział do końca, kto bardziej znienawidził ten nieoczekiwany przydział - Rawne czy sam Milo. Tuż przed opuszczeniem umocnień Gaunt poprosił Brina na ubocze i polecił mu dołączyć do jednostki majora.

- Jeśli ktoś będzie potrzebował wsparcia twoich dud, to będzie to właśnie trzeci pluton - oświadczył komisarz. - Jeśli któraś z naszych sekcji pójdzie w rozsypkę, najpewniej będzie to trzeci pluton. Chcę, żebyś miał ich na oku, a w krytycznym przypadku powiadomił mnie o tym przez radio.

Milo zaprotestowałby przeciwko temu przydziałowi, gdyby nie wyraz twarzy Gaunta. Komisarz powierzył mu autentycznie delikatne zadanie, obarczył poważną odpowiedzialnością. Zaufał w zdolność kontrolowania oddziału od wewnątrz przez swego adiutanta. Poza tym chłopiec miał przy sobie nowiutki laser i swój instrument, a snajper nie

był jedynym żołnierzem majora, który ostatnio zachorował.

- Nie hałasuj! - syknął na niego Feygor, kiedy przekradali się przez chaszczę.

Milo skinął głową dusząc jednocześnie w ustach przekleństwo. Wiedział, że porusza się znacznie ciszej i zwinnie od wielu ludzi z trzeciego plutonu. Zdawał też sobie sprawę z faktu, że jego ekwipunek jest starannie spakowany, a pasta kamuflująca precyzyjnie rozsmarowana po twarzy i rękach. Colm Corbec poświęcił swój wolny czas, by nauczyć go tego i owego.

I wiedział jeszcze jedno: nie był już odszczepieńcem, maskotką, człowiekiem z zewnątrz. Stał się Duchem, a to zobowiązywało go do skrupulatnego wypełniania rozkazów starszych rangą towarzyszy, nawet jeśli byli niebezpiecznymi i zdradzieckimi ludźmi.

Idąc za przeczesującym przód zwiadowcą Logrisem dziesiątka Duchów brnęła przez mokradła i zbitą roślinność Monthaxu. Milo znalazł się w szyku tuż za Caffranem, jedynym człowiekiem w plutonie, którego lubił. Któremu mógłby zaufać.

Rawne wstrzymał swą grupę w płytkim basenie błotnistej wody, gęsto zaścienionej liliami wodnymi. Logris i Feygor poszli do przodu myszkując w zaroślach. Chmary uciążliwych muszek kłębiły się wokół tkwiących w bezruchu mężczyzn.

Wysmarowany pastą kamuflującą Caffran odwrócił się w stronę Mila i delikatnie poprawił pasek broni chłopca, niczym starszy brat opiekujący się młodszym rodzeństwem.

- Widziałeś już wcześniej akcję, prawda? - szepnął pocieszającym tonem. - To nie będzie nic nowego.

Milo wzruszył ramionami.

- Tak, ale wcześniej nie byłem żołnierzem.

Caffran uśmiechnął się ciepło.

- Wszystko będzie w porządku.

Larkin obserwował obu młodych żołnierzy ze swego miejsca w plątaniu mangrowcowych korzeni. Wiedział, że Caffran i mały muzykant nie byli nigdy wcześniej przyjaciółmi, słyszał rozmowy Caffrana na ten temat. Chociaż dzieliły ich zaledwie dwa lata, Caffran czuł się nieswojo w obecności chłopca, ponieważ ten zbyt boleśnie kojarzył mu się z utraconym domem. Teraz ta antypatia najwyraźniej znikła, co bardzo Larkina cieszyło. Snajper odnosił wrażenie, że przydział Mila do jego plutonu wywołał u Caffrana poczucie odpowiedzialności za chłopca. Oto zjawił się nieoczekiwanie nowicjusz, mały braciszek, Duch jeszcze młodszy od szeregowca, którym Caffran mógł się zaopiekować.

Caffran również poczuł zmianę. Jego niechęć wobec Brina Milo znikła. Szeregowiec Milo był teraz jednym z nich... Caffran czuł jakby znienacka powrócił do domu. Nie potrafił sobie wyjaśnić, dlaczego przez tak długi czas unikał młodzieńczego adiutanta. Obaj byli

Tanithjczykami. A jeśli Gaunt przez cały ten czas dokładał tylu starań, by uchronić chłopca przed krzywdą, Caffran nie wybaczyłby sobie nigdy, gdyby Brinowi stało się coś złego w trakcie przydziału do trzeciego plutonu.

Rawne tkwił w wodzie przy brzegu rozlewiska, czekając na powrót Logrisa i Feygora. Jego oczy błyszczały gorączkowo w czerni umazanej kamuflującą pastą twarzy. Czuł przepływające przez umysł znajome emocje. Zbliżał się czas zabijania.

Stadko ptaków załopotało w górze skrzydłami. Mkoll odwrócił się w stronę Domora wieszając na ramieniu swój karabin.

- Sir? - zapytał ściszym głosem szperacz.

- Poprowadź ich do przodu - polecił Mkoll. - Ja?

- Dasz przecież radę?

Domor wzruszył potakująco ramionami, optyczne implanty zawarczały operując przesłanami w daremnej próbie odtworzenia gestu przewracanych z wyrzutem oczu.

- Muszę pójść przodem, na zwiad. Tylko sam. Przejmiesz dowodzenie nad dziewiątką do mojego powrotu.

- Ale...

- Gaunt nie będzie miał pretensji. Już z nim rozmawiałem - Mkoll pstryknął dwukrotnie mikroprzełącznikiem komunikatora i przekazał reszcie dziewiątego plutonu informację, że od tej chwili oddziałem dowodzi Domor. - Wykonujcie jego rozkazy tak, jakbyście wykonywali moje - dodał z naciskiem.

- To bardzo ważne zadanie - pochylił się w stronę szperacza. - Być może kwestia życia i śmierci dla nas wszystkich. Wszystko w porządku?

- Dla Tanith - skinął głową Domor.

- Dla Tanith, wiecznie żywej.

Kilka sekund później Mkoll wtopił się w półmrok tropikalnej gęstwiny niczym obłok mgły znikając z oczu towarzyszy.

- Przywrócić szyk i za mną - szepnął do komunikatora Domor. Dziewiąty pluton ruszył jego śladem.

Prześlizgując się w cieniu gigantycznych drzew drugi pluton pokonywał kolejne mokradła i grząskie zapadliska. Corbec tęsknił za Larkinem, ale miał już w drużynie strzelającego wybornie Merrta i w żaden sposób nie zdołałby wiarygodnie usprawiedliwić obecności dwóch snajperów w swym plutonie. Feth, pomyślał pułkownik, przez całe życie

denerwowały mnie narzekania Szalonego Larkina, a teraz zniecka tak mi go brakuje.

Gdzieś z przodu rozlewisko przechodziło w płytką lagunę. Stojąca w miejscu woda upstrzona była opadłymi liśćmi, spod jej powierzchni wystawały poskręcane czarne korzenie drzew i gnijące konary. Corbec przywołał ruchem dłoni swych podkomendnych i zanurzył się po pas w lagunę. Brudna ciecz wlała mu się do butów, przemoczyła bieliznę. Podniósł wyżej broń chcąc ją uchronić przed zalaniem.

- Tam! - szepnął przez mikrofon Merrt.

Na odległym krańcu laguny Corbec dostrzegł niewyraźne kształty poruszających się ludzkich sylwetek.

- Nasi? - zapytał Merrt.

- Tylko Varl mógłby wprowadzić swoich ludzi do strefy sojuszniczego ostrzału, a jego pluton znalazł się na samym końcu zachodniego skrzydła. Nie. Biermy się do roboty.

Corbec podniósł broń do ramienia, słysząc wszędzie wokół szcęknięcia przesuwanych bezpieczników.

- Za Tanith! Za Imperatora! Za nas wszystkich! - wrzasnął.

Promienie laserowego światła przecięły półmrok panujący nad laguną, ludzkie sylwetki na odległym brzegu zaczęły miotać się zaskoczone. Niektóre padały twarzami w czarną toń, inne chowały się za korzeniami podtopionych drzew odpowiadając na atak ostrzałem z własnej broni. Laserowe wiązki utworzyły w powietrzu jaskrawą siateczkę. Ścięte ładunkami energii gałęzie wpadały do laguny, kłęby pary buchały w powietrze w miejscach, gdzie promienie laserów dotykały wody.

Przeszywani wiązkami ludzie przewracali się znikając pod wodą albo zastygając w karykaturalnych pozach na wystających z rozlewiska korzeniach. Merrt oddał trzy perfekcyjne strzały między oczy zanim czyjaś kontra nie trafiła go prosto w usta. Runął w wodę młócąc konwulsyjnie rękami i charcząc w agonii.

Corbec wykrzyczał do komunikatora informację o nawiązaniu kontaktu ogniowego z wrogiem, po czym przestawił karabin w tryb ognia automatycznego i zaczął biec poprzez lagunę z palcem zaciśniętym na spuście.

Jeden heretyk za Merrta. Dwóch. Trzech. Czterech. Wciąż za mało. Wciąż cholernie za mało!

- Drugi pluton wszedł do walki! - zameldował pośpiesznie radiooperator Raglon spoglądając w stronę Gaunta.

- Do przodu! - wydał zdyszany rozkaz komisarz.

Ludzie z pierwszego plutonu puścili się biegiem przez sięgającą do połowy łydek wodę rozlewiska. Gaunt trzymał w ręku swój łańcuchowy miecz, jego ostrze wibrowało lekko pracując na jałowym biegu. Gdzieś z przodu do uszu oficera dobiegała silna kanonada, znacznie głośniejsza od odległego grzmotu artyleryjskich wystrzałów na zachodzie - walczył tam pluton Corbeca. Gaunt nie potrafił do końca zlokalizować kierunku, z którego dobiegały odgłosy strzelaniny. Przeklął w myślach tropikalną gęstwinię i zdradzieckie echa niesione daleko ponad powierzchnią rozlewisk. Jak odnaleźć poprawny kierunek w tym przeklętym lesie?

W stronę plutonu posypały się znieca laserowe wiązki. Lowen upadł z dymiącym mundurem, pocięty krechami światła. Raglon przypadł do ziemi, jakaś wiązka wypaliła mu w policzku głęboką bruzdę. Gaunt chwycił radiooperatora za ubranie i pociągnął w stronę zapewniających osłonę korzeni mangrowców.

- Wszystko z tobą w porządku?

- Będę żył - odparł radiooperator spryskując przecinającą pół twarzy ranę środkiem dezynfekującym.

Ostrzał nieprzyjaciela okazał się zbyt silny, by można było wyprowadzić na jego pozycje szarżę. Wykorzystując osłony terenowe Duchy zaczęły odpowiadać ostrzałem, pociągając za spusty z profesjonalną dokładnością. Przeciwnik strzelał chaotycznie, bez przemyślanego planu ogniowego. Gaunt lokalizował pozycje nieprzyjacielskich żołnierzy po rozbłyskach ich laserów. Heretycy rozproszyli swe siły zdradzając wyraźny brak doświadczenia wojskowego.

Komisarz nakazał swym ludziom ruszyć powoli do przodu, cały czas korzystając z osłony drzew. Próbował sklecić naprędce jakąś podniosłą myśl, ale zdołał złożyć tylko jedno zrozumiałe zdanie.

- Pierwszy pluton! Walczcie jakbyście byli pierwsi i jedyni! Zabijcie ich wszystkich!

To powinno wystarczyć. To musiało wystarczyć.

Żołnierze trzeciego plutonu zastygli w miejscu wstrzymani nagłym gestem majora Rawne i nieoczekiwanym hukiem kanonady dobiegającym gdzieś z gęstwiny tropikalnej puszczy. Gwardziści przykucnęli na ziemi pośród krzewów i paproci, w półmroku szmaragdowego oceanu roślin, śledząc szeroko otwartymi oczami swe otoczenie. Feygor starł z policzka stróżkę potu. Larkin przesuwiał lufę snajperskiego karabinu przepatrując uważnie pobliskie zagajniki. Wheln zagryzł do krwi dolną wargę strzelając na wszystkie strony oczami. Caffran zamarł w idealnym bezruchu, niczym żywa statua.

- Z lewej - syknął Rawne pokazując w tamtą stronę palcem. - Walka ogniowa. Nie dalej

jak dwieście metrów.

Kłęczący tuż za plecami majora Milo podniósł wyżej głowę i przekrzywił ją w bok nasłuchując pilnie.

- I po prawej, sir. Trochę dalej - wyszeptał.

Feygor zacisnął pięść, by uciszyć młodziutkiego żołnierza, ale major powstrzymał swego adiutanta ruchem dłoni i pokiwał twierdząco głową.

- Chłopak ma ostry słuch. Racja. Echo potrafi wprowadzić w pomyłkę, ale faktycznie tam też słyhać strzelaninę.

- Zatem są już po obu stronach... a co z nami? - mruknął Feygor.

Rawne podzielał niecierpliwość swego podwładnego. Przekłętę, szargając nerwy oczekiwanie bywało znacznie gorsze od samej walki.

- Poszukajmy sobie przeciwnika - oświadczył major i zaczepił pod lufą swego lasera srebrny nóż - cholerny nóż otrzymany w prezencie od samego Gaunta! Błyszczące ostrze broni zostało pocernione popiołem z obozowego paleniska. Pozostali gwardziści poszli w ślady dowódcy zakładając na karabiny własne noże.

- Musimy maksymalnie wykorzystać czynnik zaskoczenia - polecił Rawne i machnął dłonią nakazując podjęcie marszu.

Powietrze wypełniał szmer wodnej kaskady. Pomruk niewielkiego wodospadu zagłuszał niedalekie strzały, ale nie potrafił całkowicie wyprzeć odległego grzmotu artyleryjskiej kanonady.

Mkoll przekradał się po śliskich wilgotnych kamieniach wystających z wody przy brzegu głębokiej sadzawki. Niewielka rzeczka spadała ze skalistego wzniesienia liczącego trzydzieści metrów wysokości, spadając z miłym dla ucha szmerem w toń jeziora. Wokół panował półmrok, wysokie korony drzew zatrzymywały blask słonecznych promieni.

Mkoll usłyszał jakieś dźwięki u szczytu kaskady, zgrzyt trącanych butami kamyków. Znalazł się na odkrytej przestrzeni, toteż bez chwili namysłu wsunął się po kark do wody i trzymając tuż nad głową karabin zaczął przesuwać się w stronę wodospadu. Zastygł w jezioru ukryty w cieniu wznoszącego się ponad nim skalnego bloku.

Na krawędzi wzniesienia pojawiły się jakieś kształty. Piętnaście, może dwadzieścia postaci. Sierżant pochwycił w nozdrza ich zapach: ostry silny odór istot z trudem zachowujących pokrewieństwo z ludźmi. Słyszał krótkie, urywane komunikaty radiowe rozbrzmiewające wewnątrz ich hełmów, wypowiedane w języku, którego znajomości los litościwie mu oszczędził. Mkoll poczuł zimne kleszcze targające jego wnętrznościami. Nie

bał się samego nieprzyjaciela czy śmierci, tylko trawiących go wynaturzeń i diabolicznej natury.

Woda w jeziorku wydawała się lodowata, kończyny sierżanta drętwiały coraz bardziej, a mimo to po jego czole ściekały bezszelestnie strużki gorącego potu. Wtedy przechodzący nad kaskadą żołnierze w końcu znikli.

Mkoll odczekał pełne dwie minuty, by zyskać pewność, że wroga nie ma już w pobliżu. Potem wyslizgnął się z wody i nie czyniąc żadnego hałasu ruszył w kierunku, z którego heretycy nadeszli.

Siódmy pluton wypadł z gęstych chaszczy prosto w oślepiający blask słońca i grad nieprzyjacielskich pocisków. Trzej ludzie sierżanta Leroda zginęli zanim ich dowódca zdążył wykrzyknąć rozkaz odwrotu. Ogień wroga karczował dżunglę, rozbijał w drzazgi pnie drzew i szatkował krzewy. Heretycy dysponowali przynajmniej dwoma ciężkimi karabinami maszynowymi i tuzinem laserów ustawionych po drugiej stronie kamienistej przecinki tworzącej brzegi płytkiego potoku.

Lerod krzyczał do komunikatora cofając się krok za krokiem i strzelając z opartego o biodro karabinu. Dwaj jego żołnierze zdołali zająć osłonięte pozycje i odpowiadali ogniem, pozostali cofali się z odkrytej przestrzeni w ślad za sierżantem. Radiooperator Targin został dwukrotnie trafiony w klatkę piersiową, jego wyprężone ciało zaplątało się w zwisające z gałęzi pnącza i kołysało się lekko w powietrzu niczym marionetka na sznurkach.

Laserowa wiązka opaliła udo Leroda. Przyklęknął bezwiednie, a potem padł na brzuch strzelając z dziką desperacją prosto przed siebie. Jego chaotyczny ostrzał musiał w coś trafić - prawdopodobnie baterię energetyczną - ponieważ pomiędzy drzewami wykwitła kula ognia. Płomienie liznęły kamienie na brzegu strumienia osmalając pnie drzew i wrzucając do wody dwa poczerniałe dymiące ciała. Uznając Leroda za źródło śmiertelnie niebezpiecznego ostrzału operatorzy niewidocznych w gęstwinie karabinów maszynowych przesunęli lufy swych broni i posłali długie serie w stronę wyciągniętego na ziemi sierżanta. Pociski wyrwały w wilgotnym podłożu małe fontanny gruntu przesuając się z zawrotną szybkością wprost na Leroda.

Duch pojął grozę sytuacji w ułamku sekundy, widział dokładnie dwie linie obłoczków sterowanej pociskami ziemi biegnące w jego kierunku. Nie mógł nic już zrobić... nie miał nawet ułamka sekundy czasu. Zamknął tylko oczy.

Otworzył je ponownie. Jakimś niewiarygodnym zbiegiem okoliczności obie serie nawet go nie drasnęły, przecinając grunt po bokach leżącego w bezruchu sierżanta.



Zaczął śmiać się histerycznie, wciąż nie mogąc uwierzyć w łut szczęścia. Potoczył się kilka metrów w lewo, pod osłonę drzew, zebrał swych wyczerpanych ludzi i z niezwykłym dla siebie wigorem poprowadził ich do taktycznego odwrotu. Czuł się wspaniale, niczym świeży rekrut na Polach Fundacji, przed Zagładą. Nie sądził, że jeszcze kiedykolwiek będzie zdolny czuć tak ogromne podekscytowanie.

Pomimo złości i niechęci Corbec zmuszony został do podjęcia decyzji o odskoku w tył i opuszczenia rejonu laguny. Jego ludzie byli żałośnie nieliczni w obliczu nieprzyjaciela, który powoli zaczynał zachodzić ich z flank. Tanithijczycy ruszyli w głąb dżungli pozostawiając za sobą ładunki wybuchowe i pułapki.

Po krótkiej wymianie komunikatów radiowych drugi pluton wycofał się prosto na pozycje zajmowane przez jedynekę. Ludzie Gaunta przyczaili się na brzegu niewielkiej rzeczki.

- Gęsto tam! - krzyknął do komisarza Corbec, kiedy jego gwardziści padali na brzuchy pomiędzy swymi towarzyszami z pierwszego plutonu. - Spore zgrupowanie nieprzyjaciela, bardzo zdeterminowane!

Gaunt pokiwał głową i polecił swym ludziom przemieszczać się do przodu metr po metrze, starannie przeczesując teren w poszukiwaniu śladów nieprzyjaciela. Pośród drzew, zza których wychynęła grupa Corbeca dobiegły głośnie eksplozje. Pierwsi heretycy ścigający pluton pułkownika wpadli na rozrzucone w zaroślach bomby-pułapki. Gaunt zaklął pod nosem. Ten teren miał ułatwić Duchom ich dywersyjne zadanie, ale wróg wydawał się znajdować wszędzie, jakby nieco zdezorientowany i zmieszany. I chociaż główne założenia planu lojalistów najwyraźniej zostały zrealizowane, znacznie silniejsze od ich sił zgrupowanie nieprzyjaciela uległo rozbiciu na mniejsze formacje krążące po dżungli we wszystkich kierunkach, w nieprzewidywalny i skrajnie niebezpieczny sposób.

Raglon zaczął strzelać zza pnia przewróconego drzewa. Gaunt przykucnął za plecami radiooperatora, przywołując gestami dłoni Corbeca. Pułkownik rzucił się biegiem przez odkrytą przestrzeń, jego mundur i twarz oblepione były wilgotną masą powstałą z poszatkowanych liści i kory. Wyglądał niczym Starzec z Puszczy, występujący w tradycyjnym Świącie Liści jeszcze na Tanith, kiedy...

Gaunt znieruchomiał nagle, dziwnie zmieszany i rozkojarzony. Jeszcze na Tanith? Cóż za sztuczki płatał mu własny umysł? Nigdy wcześniej nie słyszał o żadnym Świącie Liści, a mimo to wspomnienie tego festiwalu wychynęło nieoczekiwanie z jego jaźni. Przez ułamek sekundy czuł nawet nikły zapach kandyzowanych owoców gotowanych w niewielkich świątecznych rondelkach.

- Co się dzieje, sir? - sapnął Corbec próbując wcisnąć swą potężną sylwetkę za skrywający komisarza pień. Nad głowami mężczyzn świstały pociski i laserowe wiązki.

Gaunt potrząsnął niepewnie głową.

- Nic - odparł i wyjął z kieszeni skórzanego płaszcza swój elektroniczny notes. Wiszącą przy obudowie urządzenia krótką wtyczkę wepchnął w otwór widniejący u podstawy radiokomunikatora Raglona. Po wprowadzeniu za pomocą małej runicznej klawiatury kodu dostępu na ekranie notesu zaczęły pojawiać się informacje transmitowane bezpośrednio z pokładu Leviathana stanowiącego bazę operacyjną generała Thotha. Gaunt włączył ogólny podgląd taktyczny, by razem z Corbecem przeanalizować bieżącą sytuację lojalistów.

Tanithijczy widnieli na wyświetlaczu w postaci wąskiej statycznej linii biegnącej wzdłuż lokalnych cieków wodnych. Na obu ich flankach większe jednostki pancerne i zmotoryzowane wysunęły się bardziej do przodu, ale one również przemieszczały się w sposób niezwykle powolny. Volpończycy nacierali ze wschodu, wspierani silną nawałnicą artyleryjską, natomiast Szósty i Szesnasty Regimenty Trynai zostały przygwożdżone przez kontratakującego nieprzyjaciela, który sukcesywnie je eksterminował.

- Feth, ale kiepsko - wymamrotał Corbec. - Całe natarcie zaczyna stawać w miejscu...

- Zobaczymy, czy nie da się czegoś zaimprovizować - odparł skupiony komisarz. Przełączył ustawienia notesu żądając wyświetlenia informacji o postępach poszczególnych tanithijskich plutonów. Wszystkie jednostki Duchów zwolniły tempo marszu, zdecydowana większość uwikłała się w ciężkie walki. Pluton Leroda wykrawiał się w przerażającym tempie. Rawne nie zdążył jak dotąd nawiązać kontaktu z nieprzyjacielem.

- Ma szczęście? - zasugerował Corbec.

- Albo rozmyślnie unika walki - mruknął Gaunt.

Trzeci pluton dotarł do niewielkiego jeziora zasilanego kaskadą wody spadającą ze szczytu skalistego wzniesienia. Rawne rozdzielił swych ludzi na dwie grupy i kazał zabezpieczyć pagórek.

Feygor zatrzymał się, by podnieść coś z ziemi, pokazał znalezisko majorowi. Była to bateria do lasera, ale nie standardowa imperialna.

- Byli tutaj.

- A myśmy ich przeoczyli! - warknął Rawne. - Niech diabli wezmą tę cholerną dżunglę! Wleźliśmy im prawie na łby, a nikogo nie zauważyliśmy!

Na dalekim krańcu jeziora Milo przystanął na moment i spojrzął na idącego obok Caffrana.

- Czujesz ten zapach? - wyszeptał.

Caffran zmarszczył pytająco czoło.

- Błoto? Stojąca woda? Zgnilizna?

- Ta dżungla pachnie zupełnie inaczej niż wcześniej. Przysięgłbym, że... czuję sosnową żywicę - Milo potarł swój nos gestem niedowierzania.

Caffran chciał się roześmiać, ale nie zdołał tego zrobić. Pojął, że jego węch również płata figle. Zapach był niesamowity, wręcz nostalgiczny, powietrze wydawało się przesycone wonią iglastych tanithijskich drzew. Przesuwając wokół zmieszonym wzrokiem szeregowiec zauważył, że otaczające go drzewa i zarośla są znacznie ciemniejsze od zwykłej tropikalnej roślinności, że bardziej przypominają jego ojczystą puszcę niż wilgotne duszne gęstwiny Monthaxu.

- To szaleństwo - wyszeptał dotykając czubkami palców pień najbliższego z drzew.

Milo pokiwał głową. To było szaleństwo, na domiar złego przerażające.

Leżąc w gęstych krzakach i ignorując uciążliwe insekty Mkoll obserwował zmrużonymi oczami leśną polanę. Nie dalej jak dwie godziny temu miała tam miejsce krótka, ale zaciekle konfrontacja. Ściółka była zryta i naznaczona brudami, drzewa połamane i osmalone. Na ziemi poniewierały się ludzkie ciała.

Sierżant poczołgał się do przodu chcąc lepiej obejrzeć miejsce potyczki. Trupy należały do żołnierzy Chaosu, ciężko uzbrojonych, ubranych w czerwone kombinezony z nałożonymi na wierzch elementami stalowych pancerzy. Na ich hełmach widniały tak potworne insygnia i grawerunki, że sam ich widok wywoływał u Mkolla torsje.

Na polance zginęli też inni uczestnicy walki, ale ich ciała usunięto z pola bitwy. Sierżant był pewien, że żadna imperialna jednostka nie zdołała dotrzeć tak daleko w głąb strefy frontowej. Na Monthaxie działała jeszcze jedna ukryta siła militarna. Mkoll przyjrzał się uważnie obrażeniom zabitych. Hełmy i metalowe napierśniki nosiły ślady przebić, ślady te nie pochodziły jednak od wiązek energetycznych ani klasycznych pocisków, tylko amunicji zdolnej bez trudu przeciąć kompozytowy stop. W kikucie połamanego pnia za jednym z trupów Mkoll znalazł pocisk: płaską metalową gwiazdkę o niewiarygodnie ostrych wierzchołkach.

Wzdychając głęboko wieszcz usiadł na kamiennym tronie ustawionym w samym sercu Wewnętrznego Sanktuarium.

Niczym pająk tkwiący pośrodku skomplikowanej pajęczyny, mędrzec zaczął mentalnie

badać zasięg swej powłoki złudzeń i omamów, rozciągającej się na całe mile we wszystkich kierunkach. Jak na razie wszystko toczyło się po jego myśli. Studiował wnikliwie umysły istot przebywających w obrębie sieci. Przeważająca większość tych intelektów porażała swym prymitywnym barbarzyństwem i jadem Osnowy. Inne płonęły iskierkami jaźni ludzi czystej krwi. Wieszczy pojął, że imperialiści również zaangażowali się w walkę, próbując swych sił w konfrontacji z armią Chaosu. Mistrz widział krwawe starcia, prymitywną brawurę i męstwo. Ludzie zawsze go zadziwiali w tej kwestii. Żyli tak śmiesznie krótko, a mimo to wręcz płonęli furją istnienia. Ich dzielność była niemal godna podziwu, gdyby tylko nie marnotrawili jej nadaremno.

Lecz mimo wszystko mógł spróbować ich wykorzystać. Zawarcie sojuszu nie wchodziło rzecz jasna w grę, ale potrzebował każdej dostępnej minuty czasu, a ci ludzie - przepelnieni żądzą walki i zwycięstwa - mogli mu wydatnie pomóc.

Nadszedł czas, by zagrać ostatnią z kart. Pokieruje ludźmi na tyle, na ile zdoła, wprowadzając ich do skomplikowanej gry. Wpierw jednak musiał skontrolować pewne rzeczy.

Muon Nol, Złowieszczy Mściciel, dowódca przybocznej straży mistyka, wszedł do Wewnętrznego Sanktuarium przywołany mentalnym rozkazem wieszca. Trzymał swój biały, ozdobiony przepyszny czerwony grzebieniem hełm w zagięciu ręki, a opalizujący niebieski pancerz osobisty pobłyskiwał iskierkami złota niczym serce stygnącej gwiazdy. Klamry długiego płaszcza przecinały pierś wojownika biegnąc ku jego pasowi i zasłaniając przewieszane przez plecy pokrowce z bronią. Dumne roztropne oczy studiowały wnikliwie postać wieszca. Na twarzy Mściciela zastygł wyraz ogromnego zmęczenia.

- Muon Nol. Jak postępują prace?

- Droga jest otwarta, mój panie.

- Musi zostać zamknięta. Jak długo to jeszcze potrwa?

Muon Nol spojrzał ku wypolerowanej kamiennej posadzce, w której odbijała się jego opancerzona sylwetka.

- Wszyscy oprócz straży przybocznej już odeszli, mój panie. Rozpoczęła się procedura Zamknięcia Bramy. Potrzeba jeszcze trochę czasu na jej zakończenie.

- Trochę czasu podług naszej rachuby, Muon Nol. Lecz dla nieprzyjaciela to bardzo dużo. Lękam się, że wystarczająco dużo. Nie zdołamy prawidłowo zamknąć przejścia. Musimy je przerwać.

- Panie!

Wieszcz uniósł w powietrze swą nagą dłoń. Widok jego smukłych, niemal

przeźroczystych palców uciszył protesty Mściciela.

- Nie jest to sposób budzący mą satysfakcję, Muon Nol, ale to wszystko, co możemy w tej chwili zrobić. Trzeba ratować Dolthe. Zrobię to, o czym ci już wcześniej mówiłem i wprowadzę w życie ostatnie działania opóźniające wroga.

Muon Nol upadł na kolana i pochylił głowę przed siedzącą na tronie postacią.

- Lecz to doprowadzi do końca, wieszczu Eon Kull!

Eon Kull, wiekowy mistyk, uśmiechnął się kącikami ust.

- Jam jest Droga, Muon Nol. To była moja święta misja i obowiązek przez wszystkie te lata. Brama i ja tworzymy jedność. Jeśli pojawi się konieczność jej zamknięcia na zawsze, a ta właśnie się pojawiła, przeznaczenie żąda ode mnie zapisania ostatniego rozdziału życia. To słuszne i niezbędne zarazem. Nie postrzegam tego obowiązku za tragedię i ty również nie powinienes. Eon Kull zamknie ponownie Drogę, tym razem na zawsze. Eon Kull odejdzie w przeszłość wraz z Bramą.

Muon Nol podniósł swą twarz. Czy to naprawdę łyzy załśniły przez moment w jego ciemnych oczach, zastanowił się wieszcz i uznał, że być może łyzy najwierniejszego towarzysza broni wcale nie były powodem do wstydu.

- Pozostaw mnie teraz samego. Powiadom swych braci, aby przygotowali się na mentalny wstrząs. Wezwę cię ponownie, gdy już dokonam dzieła, abyśmy mogli się pożegnać.

Dowódca straży przybocznej powstał z klęczek i ruszył ku wyjściu z Sanktuarium.

- Muon Nol!

- Mój panie?

Eon Kull podniósł z kamiennego oparcia tronu swą broń. Nikłe światło komnaty odbijało się w gładkiej lśniącej lufie buanny, tańczyło na obudowie i naramiennym uchwycie. Uliowye, Pocałunek Zimnych Gwiazd. Broń herosów, czczona niczym relikwia. W rękach Eona Kulla przyniosła Dolthe wiele zwycięstw.

- Weź ją. Stań do boju, gdy nadejdzie ku temu czas i dobrze jej użyj.

- Uliowye... nie mogę, mój panie! Ona zawsze była twoja!

- Więc do mnie należy prawo jej darowania, Muon Nol. Uliowye nie będzie szczęśliwa, jeśli zmusimy ją do snu w czasie tego wielkiego przejścia. Musi chociaż ostatni raz posłać swój pocałunek wrogowi.

Muon Nol ujął z czcią starożytny miotacz.

- Nie będzie milczeć, mój panie. Uczyniłeś mi ogromny zaszczyt.

Eon Kull skinął głową i nie mówiąc nic więcej odesłał swego towarzysza poza granice Wewnętrznego Sanktuarium. Mędrzec siedział przez dłuższą chwilę w bezruchu, nie myśląc o

niczym szczególnym i odprężając swój umysł. Potem otworzył ponownie swą jaźń obserwując mrowie śmiertelnych umysłów otaczających go za granicami kamiennych murów, walczących i umierających w dusznych dżunglach Monthaxu.

Eon Kull wstał i zstąpił z kamiennego tronu. Przyklękając na posadzce rozwiązał przytroczony do pasa woreczek, jego zawartość zaszczękała cicho. Wieszczyk wysypał przedmioty na podłogę. Były to odłamki kości pieczołowicie ozdobione runami mocy. Chociaż w pomieszczeniu panował głęboki półmrok, kości lśniły silnym blaskiem przywodzącym na myśl promienie słońca skrzące się w kryształkach lodu. Wieszczyk obserwował przez chwilę utworzony na posadzce wzór, zaczął przesuwając nagimi palcami między runami grupując kości w pary, piętrząc je na większych kupkach lub oddalając od siebie w innych miejscach. Pracował w milczeniu tworząc skomplikowany wzór.

Czuł czystą moc Osnowy. Wyryte w mentalnych półprzewodnikach runy umożliwiały mu dostęp do niewyczerpalnego rezerwuaru energii psionicznej działając niczym klucze otwierające zamki krępujące potężny umysł.

Zaczął przyciągać tę energię zmuszając ją do przepływu przez runiczne kostki. Rozbłysły natychmiast silniejszą poświatą, wibrowały ledwie słyszalnie. Umysł wieszczki zaczynał wirować, jego posiadacz nigdy wcześniej nie próbował manipulować z materializacją tak ogromnego poziomu mentalnej energii.

Nie, nie była to do końca prawda. W latach swej młodości, pnąc się po ścieżce wiedźmiarzy, dokonywał bardziej spektakularnych wyczynów mając do dyspozycji znacznie mniej runicznych kostek. Teraz posiadał wiedzę i doświadczenie będące efektem setek lat studiów, lecz już od dawna nie był młody. Ujarzmienie takiego potencjału energii wymagało od niego bardzo dużego wysiłku. Kamienie dusz wprawione w jego runiczny pancerz zamigotały w wyrazie sympatii i uznania, odpowiedział im blask tuzinów kryształów zdobiących kamienny tron. Budząc się z wieczystego letargu pod wpływem przenikających komnatę wibracji dusze starożytnych mistyków dołączały do umysłu wieszczki wspomagając go i chroniąc.

Kilku starszych i bardziej sceptycznych przodków przestrzegало go przed podjęciem tak wielkiego wyzwania. Inni poparli starania wieszczki i obdarzyli go myślami pełnymi otuchy. Cel przedsięwzięcia był jasny i przejrzysty w swej prostocie: przetrwanie Dolthe. Dolthe nie mogło zginąć, a Eon Kull musiał uczynić wszystko, co było w jego mocy, by nie dopuścić do takiej tragedii.

Jakiś dobiegający zza pleców dźwięk omal go nie zdekoncentrował, lecz był to tylko Fuehain Falchior, runiczny miecz wyczuwający rychły rozlew krwi, wibrujący niecierpliwie

w swej ozdobionej kamieniami dusz pochwie.

- Zamilcz, wiedźmie ostrze - wymruczał Eon Kull i powrócił do procedury transferu energii przez runy.

Kostki płonęły jaskrawym blaskiem. Niektóre podskakiwały i przesuwały się po posadzce pod wpływem drgań powietrza. Kamienie dusz pulsowały miarowym światłem. Eon Kull spojrzał w otchłań Osnowy, a Immaterium wlało się w jego duszę. Kondensował moc w swym organizmie.

Naga dłoń wykrzywiła się na kształt szponów, nabrzmiące żyły pulsowały na nadgarstku. Targany paroksyzmami bólu, czuł ściekające z nosa kropelki rzadkiej krwi.

Pomimo cierpienia roześmiał się głośno. Nie ważne jak bardzo dziwne i bolesne miało to być zwycięstwo, liczyło się tylko ono. Dla dobra Dolthe i jego pobratymców, tak właśnie musiało się stać.

Przestworza nad frontową strefą Monthaxu zakotłowały się i eksplodowały. Oślepiające zygzaki błyskawic w setce miejsc jednocześnie przecięły niebo, którego jeszcze chwilę wcześniej nie znaczyła nawet jedna burzowa chmura. Drzewa rozlatywały się w drzazgi pod wpływem upiornych wyładowań elektrycznych. Szereg imperialnych pojazdów znajdujących się w forpoczcie lojalistów uległ zniszczeniu. Volpoński Hellhound wyleciał w powietrze trafiony piorunem prosto w zbiorniki paliwa. W innym miejscu, na stromym brzegu rzeki, czternaście przygotowanych do otwarcia ognia Basilisków przemieniło się wskutek swych wysoko podniesionych luf w piorunochrony. Obsługujący je ludzie miotali się spazmatycznie smażeni żywcem przez dziesięć sekund, po czym kilometr kwadratowy dżungli obrócił się w dymiące pogorzelnisko w efekcie połączonej detonacji zapasów amunicji w poszczególnych haubicach.

Masywny, wysoki na sto metrów Leviathan sztabu inwazyjnego stojący szesnaście kilometrów za linią frontu zadygotał pod wpływem uderzenia mas powietrza, oficerowie i operatorzy runęli na podłogi zbici z nóg. Generał Thoth zerwał się z fotela na widok gasnących jeden po drugim ekranów i zaczął wykrzykiwać w ciemność desperackie rozkazy.

Z niebios runął deszcz: lodowate kaskady nietypowej o tej porze roku ulewy drącej ciężarem kropli leśne poszycie i korę drzew. Przemoczeni na wskroś, imperialni gwardziści wycofywali się pośpiesznie na pozycje wyjściowe brnąc przez grząską błotnistą ziemię pełną rdzawych, coraz głębszych kałuż. Nikt nie myślał o kontynuowaniu walki.

Pluton Varla schronił się w skalnym rumowisku, ludzie szeptałi trwożliwie modlitwy i trzęśli się w strugach zimnej wody. Wszystkie komunikatory wysiadły, a widoczność została

ograniczona do zaledwie jednego metra.

Przemożny lęk trawił umysły lojalistów. Na całej długości frontu utracono kontakt z nieprzyjacielem. Artyleria Chaosu nadal strzelała ze swoich baterii, ale rezultaty tej kanonady wyglądały wręcz żałośnie w obliczu rozszalałego żywiołu. Gwardziści szeptali o przywołanym przez psioników mentalnym sztormie.

Niedobitki plutonu Leroda umykały poprzez deszczową zasłonę, oślepione strugami wody i wdzięczne losowi za możliwość oderwania się od napierającego nieprzyjaciela.

Połowa plutonu Domora została zmyta wodami występującego z brzegów potoku, dwóch gwardzistów utonęło.

Wtedy pośród deszczowych kropli posypał się grad. Wielkie niczym męskie pięści bryły lodu spadły na zachodzie, łamiąc kości i zabijając na miejscu dziewiętnastu żołnierzy z volpońskiej forpoczty. Gradowe kule były tak twarde, że wgniatały czołgowe pancerze.

Brnąc po kolana w płynnym błocie, Tanithijczycy z pierwszego i drugiego plutonu wycofywali się z będącej miejscem potyczki laguny. Prowadził Gaunt, trzymający się kurczowo lian i pnączy, by nie runąć w błoto. Corbec poganiał sanitariuszy wlokących szeregowca Melka, któremu bryła lodu strzaskała kolano.

- Co to na fetha jest?! - wykrzyczał w deszcz komisarz.

Nikt nie odpowiedział mu na głos, ale wszyscy pomyśleli jednocześnie o wiedźmich mocach.

Wzdłuż granic burzy szalały potworne tajfuny. Imperialne lotnictwo zostało wycofane z rejonu kataklizmu, ale dwa Maraudery nie zdążyły opuścić niebezpiecznej strefy. Jeden z nich, spadający z oderwanymi stabilizatorami, zdołał obrócić swą katastrofę w pyrrusowe zwycięstwo uderzając w szeregi czołgów Chaosu unieruchomionych na leśnej przecince zamienionej zniemacka w jeziorko. Ciąg głośnych eksplozji utonął pośród nieustającego ryku burzy.

Podmyty pojawiającą się bez ostrzeżenia wodą, oślepiony deszczem i uderzeniami wiatru, Mkoll chwycił kurczowo korzeń pobliskiego drzewa chcąc uchronić się przed upadkiem. Przecierając zalane wodą oczy ujrzał swój laser unoszony przez powódź na pryzmie liści. Poczul na ten widok nagłe ukłucie żalu. Dbał w podziwu godny sposób o tę zwykłą przydziałową broń, nie było w całym regimencie lepiej utrzymanego i czystego karabinu od egzemplarza sierżanta. Fala wody porwała jego wypieszczony laser niosąc go w mrok nienaturalnej nocy. Pocieszał się, że przynajmniej wciąż żyje - przynajmniej tak długo jak naporowi wody opierały się korzenie stanowiącego jego schronienie drzewa.

Rawne skierował swój pluton w głąb strefy frontowej. Włosy i mundury Duchów



przylegały ciasno do ich skóry, ciężkie i ociekające wodą. Jakaś budowla majaczyła przed zdyszczanymi ludźmi, kamienna struktura wzniesiona z równo ociosanych bloków. Major dostrzegł w niej coś dziwnie znajomego. Potworny wicher zagłuszał wykrzykiwane przez oficera komendy.

Oderwana uderzeniem wiatru gałąź świsnęła w powietrzu i uderzyła szeregowca Logrisa w gardło. Milo skoczył w jego stronę, by podtrzymać towarzysza, ale na pomoc było już za późno. Kark mężczyzny został złamany, jego głowa zwisała wykrzywiona pod nienaturalnym kątem. Pozostawione na ziemi ciało zaczęło zapadać się w rozmiękłą błotnistą glebę.

Caffran chwycił Mila za ubranie i pociągnął poprzez deszcz i grad w stronę dających pewną osłonę kamiennych bloków. Rawne przyklęknął tuż przy nich przywołując resztę swych ludzi: Feygora, Cowna, Whelna, Mkendrika, Larkina i Cheffersa. Lecz Cheffers już nie żył. Na jego ciele nie widać było żadnych wyraźnych obrażeń i dopiero szeregowiec Cown dostrzegł strużkę krwi sącząca się z niewielkiego rozcięcia na szyi Ducha. Coś sterczało z rany. Był to liść. Niesiony falą powietrza, fragment rośliny niczym nóż wbił się w ciało Tanithijczyka przebijając mu krtań. Przerażeni, skuleni pod kamienną ścianą żołnierze dopiero teraz zauważyli swe podarte innymi liśćmi mundury.

- Co to za burza?! - wrzasnął ponad rykiem wiatru Caffran.

- I skąd się tak cholernie szybko wzięła?! - dodał Feygor.

Rawne nie znał odpowiedzi na te pytania. Wszystko szło zgodnie z planem aż do tej przerażającej chwili. Rejestracja na Polach Fundacji. Przygotowania do załadunku na statki transportowe. A teraz huragan, jakiego nigdy wcześniej nie miał okazji doświadczyć spadł nieoczekiwanie na Tanith Magna.

- Idę w zakład, że to robota nieprzyjaciela! - odkrzyknął - Nagłe uderzenie na Tanith! Przygotować broń!

Wszyscy skinęli głowami przesuając bezpieczniki karabinów.

Wszyscy z wyjątkiem Mila.

- Majorze... co pan powiedział?

Rawne spojrzał w dół na chłopca.

- Wiem, że to twój chrzest bojowy, szczeniaku, ale postaraj się myśleć i działać jak żołnierz! Jesteś ze świeżego zaciągu i mleko masz jeszcze pod nosem, ale teraz musisz walczyć!

Milo zamrugał oczami. Ryk burzy go dekoncentrował, niemal odbierał zdolność trzeźwego myślenia. Rawne i pozostali gwardziści najwyraźniej postradali rozum. To nie jest Tanith! Oni zachowują się jakby znów byli w domu i...

Urwał swój niemy monolog. Ścianę za jego plecami tworzyły bloki solidnego bazaltu wycięte z kamieniołomów w Pryze. Na ich powierzchni pyszniły się wyrzeźbione emblematy z koroną elektora. Milo znał to miejsce... był to boczny fragment zachodnich fortyfikacji stolicy.

Ale...

Przez chwilę chłopiec czuł wyłącznie bezbrzeżną konsternację. Jakieś wspomnienia majaczyły w jego podświadomości. Konający świat, małe braterstwo ocalałych z zagłady... duchy... gra na dudach...

To tylko sen, pomyślał, zły sen. Chaos uderzył na Tanith w chwili zaciągu. Nie dano im wyboru. Walka z bronią w ręku albo śmierć. A jeśli mieliby umrzeć, wraz z nimi zginąć miało Tanith.

Burza, czarny krąg wyładowań elektrycznych o średnicy sześćdziesięciu kilometrów, pustoszyła dżunglę w całej strefie frontowej. Siła żywiołu była tak ogromna, że nawet potężne instrumenty pomiarowe na orbitalnej katedrze Sanctity nie potrafiły oszacować jego wektorów ani przebić się przez tarczę zakłóceń elektromagnetycznych. Wszystkie imperialne jednostki posiadające przynajmniej szczątkową mobilność wycofywały się co sił w nogach na swe pozycje wyjściowe. Wiele oddziałów, w większości pancernych, ugrzęzło na mokradłach bez możliwości odwrotu.

Nawet najbardziej doświadczeni analitycy generała Thotha nie potrafili określić statusu i bieżących pozycji nieprzyjaciela. Czy wróg również został złamany? Czy też błąkał się pośród cyklonu czy też potęga żywiołu zdołała go unicestwić? A może burza była efektem jego działań?

Wielu weteranów Gwardii i wyższych stopniem oficerów miało już okazję widywać wcześniej psioniczne sztormy, ulubione narzędzie terroru wojsk Chaosu. Lecz ta burza była inna. Nie wyczuwało się w niej charakterystycznej aury zepsucia, żadnego specyficznego, ciężkiego powietrza wywołującego silne dreszcze, torsje i niszczycielskie zaburzenia pracy mózgu.

Tytaniczna furia. Czysta, nieskrępowana niczym potęga natury. Lecz gdyby zwykli śmiertelnicy posiadali bardziej wyostrzone zmysły, zdołaliby dostrzec w jej głębi moc Osnowy. Mentalna energia przesyciła żywiołowy kataklizm.

Inkwizytor Lilith nie miała żadnych wątpliwości w tym względzie. Jej psioniczny talent natychmiast odkrył obecność mentalnej mocy w aurze roztaczanej przez cyklon. Zdołała jedynie zamknąć swój umysł na przetaczający się pod czaszką ryk energii uciszając

rozbrzmiewające w umyśle wycie. Plotki o nawiedzających ten świat wiedźmich mocach okazały się prawdą, ale ta moc miała w sobie czystość i klarowność, jakiej Lilith nigdy wcześniej w życiu nie doświadczyła.

Szła poprzez mżawkę w mokrym skórzanym płaszczu z naciągniętym na głowę kapturem, nie odrywając wzroku od czarnego nieba kotłującego się dobre dwie mile przed nią. Honorowa eskorta maszerowała w milczeniu za przedstawicielką Inkwizycji. Lilith wyczuwała bez problemów zdenerwowanie i niechęć żołnierzy do wejścia w strefę, z której właśnie uciekali wszyscy rozsądni ludzie. Lecz lord generał Bulledin kazał im strzec Lilith w czasie tej misji, a gwardziści bali się lorda generała i Inkwizycji znacznie bardziej od najgorszego nawet cyklonu.

Eskortę tworzyło trzydziestu żołnierzy z Pięćdziesiątego Królewskiego Regimentu Volpone, Błękitnokrwistych. Wszyscy mieli na sobie szarozłote pancerze osobiste i charakterystyczne płytkie volpońskie hełmy, na ramiona narzucili przeciwdeszczowe płaszcze. Torsy i barki mężczyzny skrywały się pod masywnymi segmentami karapaksów, w rękach trzymali matowoczarne ciężkie lasery niedawno wyjęte z pokładowej zbrojowni Leipaldo. Każdy gwardzista nosił na kołnierzu jasnofioletowy emblemat Imperialnego Orła świadczący o przynależności do Dziesiątej Brygady, elitarniej volpońskiej jednostki gwardyjskiej. Do dyspozycji inkwizytor oddano najlepszych z najlepszych. Żołnierzom towarzyszył też zakapturzony astropata należący do przybocznej świty Lilith. Psionik dygotał i trząsał się przy każdym zawirowaniu burzowych mas powietrza, a gwardziści starali się omijać go szerokim łukiem.

Dowódca eskorty, major Gilbear, zrównał krok z inkwizytor. Na jego twarzy malował się posepny grymas, ale kobieta doskonale wyczuwała roztaczaną przez Volpończyka aurę pompatycznej dumy z otrzymanego zadania. Z trudem ignorowała spływające do jej umysłu emocje majora.

- Czy mogę prosić o wyjaśnienie celu naszej misji oraz przebiegu marszruty, moja pani? - zapytał Gilbear posługując się arystokratycznym dialektem wyższych sfer. Użył go po części w celu wywarcia wrażenia na Lilith, po części zaś dla podkreślenia swej rzekomej wyższości. Potężny Volpończyk najwyraźniej przekonany był o przewadze swego statusu społecznego nad zwykłymi żołnierzami. Jakby chciał zasugerować... że jest wręcz równy przedstawicielowi Inkwizycji.

- Powiem, kiedy uznam to za konieczne, majorze - odpowiedziała gardłowym prymitywnym slangiem używanym przez szeregowych gwardzistów. Była to obelga dla majora, ale uczyniła ją z rozmyślną satysfakcją chcąc pozbyć się towarzystwa aroganckiego

natręta. Nie miała dość wolnego czasu, by pozwolić mu na zawracanie sobie głowy.

Skinął krótko głową, a ona uśmiechnęła się pod nosem wyczuwając falę targającego mężczyznę gniewu.

Grupa przekroczyła szerokie koryto rzeczki, płytkiej, ale gnanej silnym nurtem. Tuzin roańskich Chimer utopił się po osie w błocie zalegającym na grząskim brzegu potoku. Zdenerwowani żołnierze biegali wokół pojazdów krzycząc na siebie wzajemnie, klnąc i szarpiąc się z ciężkimi kłodami drewna podkładanymi pod gąsienice transporterów. Mżawka padająca na obrzeżach burzowej strefy przemacała ubrania, krople wody tworzyły miliony zmarszczek na powierzchni mokradeł.

Dostawszy się na drugi brzeg zespół śledczy pomaszerował wzdłuż koryta rzeki zmierzając w stronę cyklonu. W spienionym nurcie można było dostrzec coraz więcej obiektów: szczątków ekwipunku, hełmów, połamanych gałęzi, martwych ciał, niesionych wzbierającymi falami rzeczki w dół jej koryta.

Lilith nakazała grupie postój w miejscu, gdzie powtarzające się uderzenia piorunów całkowicie zwęgliły grupę wysokich drzew redukując je do postaci poczerńiałych kolumn. Na powierzchni pobliskiego mokradła unosiła się gruba warstwa drzewnej miazgi i liści. Lilith włączyła swój elektroniczny notes i spojrzała na jego ekran. Urządzenie wyświetlało pozycje wszystkich imperialnych jednostek, każdego pojedynczego oddziału, zarejestrowane tuż przed rozpętanym kataklizmem. Skomplikowana mozaika złożona z tysięcy elementów wymagałaby ogromnego skupienia ze strony nawet doświadczonego sztabowca, jednakże ona już wcześniej zlokalizowała ten element układanki, który ją interesował: trzeci pluton Pierwszego Regimentu Tanith.

Mkoll zdołał przedostać się na położony wyżej grunt, walcząc ustawicznie z przenikliwym wiatrem i deszczem. Niebo było czarne, a wszędzie wokół panowały isticie nocne ciemności, ale sierżant nie mógł skorzystać ze swego noktowizora, ponieważ instrument oślepiły tnące bez przerwy przestworza błyskawice. Nieustający grzmot burzy prawie całkowicie go ogłuszył. W wielu miejscach obsuwająca się wskutek nadmiaru wilgoci skarpa omal nie pociągnęła go za sobą w kotłującą się poniżej błotnistą kipieli. Pochwyił coś wzrokiem w chwili, gdy błyskawica rozpała ciemność, toteż przystanął na chwilę czekając na następne uderzenie elektrycznych wyładowań, by w jego świetle uzyskać potwierdzenie dla swych podejrzeń.

Ruiny. Pozostałości budowli, które dostrzegł w trakcie wcześniejszego patrolu i których nie zdołał już później mimo wielu prób odnaleźć. Tym razem nie zamierzał dać się zwieść.

Stał w miejscu przez następne trzy rozbłyski błyskawic zapamiętując fragmenty swego otoczenia oświetlane krótkotrwałymi, ale upiornie jaskrawymi emisjami światła.

W ostatnim rozbłysku dostrzegł również jakiś ruch.

Nieprzyjacielscy żołnierze, znajdujący się znacznie wyżej na skarpie, wpadli na niego przez czysty przypadek. Kiedy świat pogrążył się znów w ciemnościach, zaczęli strzelać w stronę sierżanta, znacząc mrok krechami czerwonego światła. Mkoll rzucił się na kolana w grząskie błoto próbując wykorzystać jak najlepiej osłonę tworzoną przez ukos skarpy.

Kolejna błyskawica. Wrogowie byli bliżej. Przynajmniej sześciu, w większości ściskających broń w jednej ręce, drugą łapiących za bryły skał i krzewy w celu zachowania równowagi na stromym zboczu wzgórza. Ciemność rozpałyły kolejne czerwone wiązki.

Mkoll wyjął z kabury swój pistolet. Nie dostrzegał żadnych kształtów w smolistej czerni, ale rozbłyski luf przeciwników wystarczały mu w zupełności. Odczekał jeszcze moment, a później strzelił w stronę źródła światła.

Zaraz potem rzucił się w lewo, by przeciwnicy nie zastosowali tej samej sztuczki w stosunku do niego. Obawy okazały się jak najbardziej słuszne. Gliniaste wybrzuszenie skarpy, które zapewniało mu wcześniej prowizoryczną osłonę zostało trafione niemal jednocześnie czterema wiązkami energii. Dymiące błoto rozprysło się na wszystkie strony parując w powietrzu, ale ulewny deszcz niemal natychmiast poradził sobie z kłębamii pary.

Następna błyskawica. W ułamku sekundy Mkoll dostrzegł wielką sylwetę żołnierza Chaosu stojącego na zboczu tuż nad nim. Przeciwnik najwyraźniej zamierzał obejść z flanki poprzednią pozycję sierżanta albo też poślizgnął się i zjechał wbrew własnej woli w dół zbocza omal nie zderzając się z Duchem.

Mkoll poderwał pistolet i strzelił wrogowi z przyłożenia w pierś, zanim tamten zdążył zareagować na obecność sierżanta. Przeciwnik, cuchnący odrażająco trup obciążony zwojami łańcuchów i zardzewiałymi owalnymi płytami pancerza runął na Mkolla i przewrócił go swym ciężarem na ziemię. Uwięziony pod zwłokami Duch zaczął zsuwać się w dół zbocza. Walczył zaciekle z martwym ciężarem próbując zepchnąć z siebie trupa. Oba ciała, żywe i martwe, przyśpieszyły ślizg osuwając się głowami w dół stromego zbocza.

Mkoll przewrócił się na brzuch i dwukrotnie upadł twarzą w błoto zanim złapał wystarczająco solidną podpórę. Był umazany błotem, chociaż krople deszczu miłosiernie wypłukały grząską ziemię z jego oczu. Czuł też, że błoto wypełnia szczelnie jego uszy, bo całkowicie stracił już słuch. Czy też może to grzmot piorunów rozerwał mu w końcu bębni? W ciemnościach rozpętała się kanonada, skoncentrowana na miejscu ostatniej wymiany ognia. Sierżant dostrzegał czerwone krechy laserowej energii, ale niczego nie słyszał. W jego

uszach rozbrzmiewał jedynie niski, niekończący się pomruk.

Przypadł do skarpy tuż obok trupa. Nigdzie nie dostrzegł jego karabinu, ale przy pasie zabitego wisiał zabytkowy laserowy pistolet. Sierżant zdjął go pośpiesznie z zaczepu. Broń miała dłuższą lufę i była znacznie cięższa od standardowej wersji gwardyjskiej, zdobiły ją liczne ornamenty. Profilowaną kolbę otulała wyprawka ze skóry otoczona delikatnymi łańcuszkami, zaś pod lufą biegły groteskowe inskrypcje wykonane z masy perłowej i srebra. Paląca się żółtym światłem kontrolka sygnalizowała pełną baterię.

Niebieska poświata, jaskrawa, elektryczna, skąpała sierżanta w swym blasku. Fosforowe flary, w pierw dwie, później jeszcze trzecia, rozpały mokre od deszczu przestworza ponad wzgórzem. Oczy Mkolla szybko przystosowały się do migotliwego zwodniczego światła. Dostrzegł czarną ścianę lasu, kurtynę deszczu otaczającą go z wszystkich stron. Dostrzegł przeciwników, przynajmniej dziesięciu, zbiegających po skarpie w kierunku Ducha. Najbliższy z nich był oddalony o zaledwie dwadzieścia metrów.

Oni też go dostrzegli.

Zacząli strzelać. Mkoll wciąż nie słyszał niczego prócz pomruku przywodzącego na myśl powolne zgrzytanie zębami, ale widział gejzery błota wytryskające wokół swych nóg i wiązki przecinające pień wznoszącego się tuż obok drzewa. Mierzący dobre pięćdziesiąt metrów kolos runął podcięty krechami światła. Mkoll wślizgnął się pod pień w miejscu, gdzie dostrzegł niewielkie zagłębienie terenu, omal nie znikając przy tym pod powierzchnią wypełniającej dziurę wody. Wypelzając po drugiej stronie pnia pełniącego teraz rolę barykady sierżant odkrył, że jego słuch częściowo powrócił. Woda splukwała błoto pokrywające grubą warstwą uszy Tanithijczyka. Fala nowych dźwięków zalała zmysły Ducha: huk piorunów, trzask wystrzałów, chrapliwe okrzyki przypominające szczeknięcia sfory ogarów.

Sadowiąc się wygodniej na kolanach sierżant wyjrzał ponad pniem i zaczął strzelać z obu rąk. Laserowe wiązki jego regulaminowej broni były jaskrawobiałe, te wystrzeliwane ze zdobycznego pistoletu płonęły brudną czerwienią. Wypalił w dwóch najbliższych przeciwników zwalając ich jednocześnie z nóg. Jeden upadł pomiędzy połamane gałęzie, drugi runął nosem w błoto i zjechał z rozrzuconymi szeroko rękami w dół skarpy znikając w spienionej brudnej kipieli.

Mkoll zgiął się wpół i przesunął wzdłuż pnia. Salwa heretyków skremowała fragment drzewa, za którym przed momentem ukrywał się Tanithijczyk. Wychylając się ponad drzewem wystrzelił ponownie, zabijając żołnierza Chaosu trafieniem w bok głowy.

Dwaj następni byli już blisko, ale ich ruchy ograniczały sterty połamanych gałęzi.

Laserowe wiązki przecięły powietrze nad głową sierżanta. Wypalił z obu pistoletów jednocześnie spopielając ramię jednego z przeciwników. Krecha energii uderzyła w odpowiedzi w pień tuż poniżej twarzy Ducha. Mężczyzna schował się pośpiesznie sycząc z bólu, skórę jego palców i przedramion poszatkowały kolejne drzazgi.

Mkoll stłumił kąśliwy ból. Zaczął się ponownie czołgać wzdłuż pnia drzewa, lecz tym razem skierował się w kierunku swej poprzedniej pozycji. W chwili, kiedy znowu podnosił się na nogi, trzech nieprzyjacielscy żołnierze dotarli właśnie do jego poprzedniej pozycji i przechylali się ponad pnem zamierzając ostrzelać puste już stanowisko ogniowe lojalisty. Mkoll posłał wiązki laserów wzdłuż pnia zabijając na miejscu wszystkich trzech przeciwników, zanim ci uświadomili sobie, że strzelają do zdeptanego błota. Jeden z nich upadł na plecy i ześlizgnął się pod drzewo, drugi przeleciał przez pień i zagłębił się do połowy ciała w grząską maź. Trzeci znieruchomiał pośród gałęzi.

Flary gasły, stroboskopowe światło błyskawic znów obejmowało niebiosa w swe niepodzielne władanie.

Mkoll ujrzał dziesiątki kolejnych żołnierzy nieprzyjaciela wyłaniających się spoza grzbietu skarpy, a czterech czy pięciu wciąż znajdowało się w jego bezpośrednim polu ostrzału.

Sierżantowi kończyły się możliwości działania. Zaczął biec, wpierw wzdłuż pnia drzewa, później z boczem wzgórze w stronę załomu, za którym dostrzegł wcześniej ruiny. Ścigały go krechy laserowego światła. Raz potknął się i upadł - i to uratowało mu życie, kiedy laserowe wiązki przecięły powietrze w miejscu, gdzie jeszcze ułamek sekundy wcześniej znajdowała się głowa Ducha. Potoczył się w dół skarpy, bynajmniej nie z własnej woli, pozbierał na nogi i dalej uciekał. Kolejne flary rozpały ciemność, srebrne światło zalało dżunglę, grząskie zbocze i strumienie deszczu. Drzewa przeistoczyły się w jego blasku w rozcapierzone czarne palce o licznych cieniach.

Dwaj żołnierze wroga rzucili się na niego z pochylonymi do przodu głowami. Jeden pociągnął za spust, ale chybił. Mkoll wciąż ścisnął w dłoniach swoje pistolety. Strzelił każdemu z przeciwników w głowę mijając ich w biegu. Za dwójką zabitych znajdowali się następni trzej heretycy. Jeden z nich zareagował dostatecznie szybko, by nacisnąć spust swej broni i Mkoll poczuł gwałtowne szarpnięcie karku uderzonego czymś boleśnie twardym i gorącym. Po twarzy sierżanta pociekła krew. Zastanowił się przelotnie, czy faktycznie został postrzelony w głowę, czy jego myśli i odczucia były zaledwie ostatnią reakcją układu nerwowego pchającego ciało do działania z obejściem wypalonego wiązką światła mózgu.

Pomimo obrażeń nie zwolnił nawet na krok. Zastrzelił salwą z obu pistoletów człowieka,

który go trafił, po czym przesadził trupa rozkładając ręce na boki i próbując pochwycić na muszki towarzyszy zabitego. Był to brawurowy, ale i lekkomyślny ruch. Zdradliwe błoto uległo naciskowi buta lądującego na ziemi sierżanta, mężczyzna stracił równowagę i chybił celu. Przesuwając lufami za sylwetką mijającego ich lojalisty żołnierze Chaosu pociągnęli jednocześnie za spusty i zastrzelili się wzajemnie. Mkoll odzyskał chwiejnie równowagę i roześmiał się histerycznie będąc świadkiem tego niezamierzonego aktu boskiej sprawiedliwości. Przystanął na moment, schował do kabury jeden z pistoletów i przeciągnął palcami dłoni po swej głowie. Wbrew swym obawom nie natrafił na ostrą krawędź strzaskanej czaszki, tylko głęboką krwawiącą szramę otoczoną pasem zwęglonych włosów. Jego beret znikł bez śladu. Postrzał okazał się powierzchownym draśnięciem. Pomyślał z ironią, że major Rawne nie omieszka przy najbliższej sposobności wyrazić komentarza na temat twardej czaszki sierżanta.

Popędził w dół skarpy, krechy czerwonego światła ścigały go nieustannie. Znajdując się w obliczu przeważającego liczebnie wroga, załóżnie kiepsko uzbrojony, pojął zniecacka, że nadszedł czas na najbardziej drastyczne rozwiązanie.

Pochwycił rękami wystający z ziemi solidny korzeń drzewa i przypiął się do niego pośpiesznie swym pasem. Wyjmując z kieszeni na udzie trzy ładunki wybuchowe okleił je ciasno taśmą i cisnął z całej siły za swe plecy, w górę stromego zbocza.

Błyskawica rozpała przestworza w tym samym momencie, kiedy ładunki eksplodowały z tonącym pośród grzmotu wyładowań hukiem. Całe zbocze zatrzęsło się silnie i zaczęło obsuwać z rosnącą szybkością. Tony płynnej ziemi, skał i roślin runęły w dół skarpy porywając nieprzyjacielskich żołnierzy i grzebiąc ich w grząskim bajorze.

Błoto omal nie zalało sierżanta, kawałki drewna i kamieni uderzały boleśnie w jego unieruchomione ciało. Zakrztusił się i zaczął wymiotować śmierdzącą mazią.

Błotna lawina zniecacka ustała. W mokrym powietrzu rozszedł się silny zapach świeżej ziemi. Mkoll odkrył, że wisi w powietrzu na swym pasie, wciąż przytroczony do korzeni drzewa. Lawina porwała spod jego nóg kilka metrów ziemi, ale wrośnięte głęboko korzenie wytrzymały napór mas błota i wody. Drzewo okazało się jednym z kilku ocalałych elementów okaleczonego, przypominającego teraz swym kształtem półksiężyc wzgórza.

Mkoll rozpiął pas i spadł na ugięte nogi. Wystająca opodal z błota dłoń pogrzebanego płytko żołnierza Chaosu zaczęła poruszać się i zaciskać szponiaste palce. Sierżant zaczął strzelać w pryzmę ziemi, dopóki drgająca konwulsyjnie dłoń nie znieruchomiła.

Duch powlókł się w stronę krawędzi wzgórza i spojrzął z niej na głęboką dolinę tkwiącą w głębi dżungli. Na rozległym wzniesieniu pośrodku depresji majaczyły ruiny, mroczne i



tajemnicze. Druga seria flar też dogasała, ale sierżant wiedział, co takiego dostrzegły w ich słabym blasku jego oczy.

Ruiny były oblężone przez żołnierzy Chaosu. Dziesiątki tysięcy nieprzyjacielskich wojowników poruszały się niczym gigantyczne stado insektów, napierając z wszystkich stron na prastare fortyfikacje.

Atakowali bez wytchnienia, bez chwili spoczynku, jakby szalejący wokół kataklizm wcale nie robił na nich wrażenie. Jakby liczył się tylko i wyłącznie krąg masywnych kamiennych bloków wzniesiony na szczycie wzgórza.

- Co to za miejsce? - wydyszał głośno Mkoll. - Czego tutaj chcecie?

Jego pytanie utonęło pośród grzmotu piorunów i ryku wiatru.

Przestworza nad głowami lojalistów dygotały spazmatycznie, wstrząsane konwulsjami elektrycznych wyładowań. Pierwszy pluton, wzmocniony niedobitkami oddziału Corbeca i grupą żołnierzy Leroda, napotkaną przypadkowo w tropikalnym gąszczu, wycofywał się co sił w nogach z burzowej strefy.

Gaunt dobiegł do Corbeca, przedzierającego się przez smaganą deszczem gęstwinę na czele jednostki. Szeregowiec Melk trafił chwilę wcześniej na nosze ciągnięte pośpiesznie w tyle grupy.

- Co jest? - wykrzyczał komisarz. Strugi deszczu ściekały po jego szczupłej twarzy.

- Rzeka! - wrzasnął zaskoczony pułkownik. Przed ich oczyma przelewała się rozszalała woda, spieniona, głęboka i bez wątpienia śmiertelnie niebezpieczna. Gaunt był pewien, że żadnej rzeki nie było w tym miejscu, kiedy Duchy przechodziły tędy w przeciwnym kierunku. Wyprostował się smagany deszczem i zaczął studiować wzrokiem elementy otoczenia próbując odnaleźć swe położenie. Przywołał szeregowca Mkteę i zabrał mu jeden z pakietów wybuchowych. Corbec gapił się z niedowierzaniem na komisarza wieszającego ładunek u podstawy masywnego drzewa ginkgo i uzbrajającego zegar detonatora.

- Cofnąć się! - krzyknął Gaunt.

Detonacja ścięła potężne drzewo tuż ponad korzeniami i pchnęła jego mierzący sześćdziesiąt metrów pień w kierunku drugiego brzegu rzeki tworząc prowizoryczny most kołyszący się ponad kipiela.

Jeden po drugim gwardziści zaczęli pełznąć po pniu. Corbec szedł przodem chcąc pokazać swym podwładnym, że przejście jest możliwe i klnąc bluźnierczo za każdym razem, gdy wilgotne dłonie traciły oparcie na szorstkiej korze drzewa. Szeregowiec Vowl stracił uchwyt i runął w dół rzeki. Spienione fale poniosły go w ciemność niczym korek. Krzyżący przeraźliwie ludzki korek.

Zeskakując na drugi brzeg Corbec zajął się zabezpieczeniem przyczółka, rozsyłając depczących mu po piętach żołnierzy na boki w celu stworzenia szerszego wachlarza czujek. Sam zagłębił się pośpiesznie w gęstwinę paproci i hiacyntów, smagany po twarzy ich mokrymi liśćmi. Z przodu dostrzegł zniecka jakiś ruch. Zgłosił kontakt poprzez swój mikrokomunikator, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Burza czyniła moduły łączności praktycznie bezużytecznymi. Zaciskając zeszywniałe z zimna palce na karabinie pułkownik podkraść się do przodu.

Ciężki laser wypalił gdzieś po prawej, powietrzem wstrząsnął charakterystyczny szczęk wystrzału. Pułkownik skoczył przed siebie i zderzył się z trzema masywnymi postaciami, które wychyły nieoczekiwanie z mroku. Upuścił swój karabin. Czyjaś pięść trafiła go w kark i powaliła na kolana. Zerwał się z ziemi i oddał cios, jeden z przeciwników runął w błoto. Inny próbował kopnąć pułkownika, ale oficer odpowiedział równie szybkim kopniakiem. Trzasnęła jakaś pękająca kość.

Zwarł się z największym przeciwnikiem, oślepiony kroplami deszczu i rozbryzgami błota. Mrugając rozpaczliwie dostrzegł w świetle błyskawic złotoszary karapak i emblemat dwugłowego orła. Przygnieciony do ziemi ciężarem adwersarza uderzył dwa razy pięścią w miejsce, gdzie spodziewał się twarzy przeciwnika, po czym odepchnął oszołomionego napastnika i przetoczył się na niego.

Kolejny błysk stroboskopowego światła. Corbec ujrzał pod sobą wolpońskiego Błękitnokrwistego, potężnego mężczyznę o posiniaczonej zakrwawionej twarzy. Majora. Duch zaciskał ręce na jego gardle.

- Co na fetha? - sapnął zaskoczony i w tej samej chwili jego głowy dotknęły przystawione do niej lufy ciężkich laserów.

- Ty skurwielu! - warknął bełkotliwie major próbując zrzucić z siebie przeciwnika.

Corbec podniósł ręce w geście kapitulacji zdając sobie sprawę z mierzących między jego oczy karabinów. Uwolniony od ciężaru Tanithijczyka major wstał i wyciągnął z kabury ciężki laserowy pistolet mierząc z niego prosto w twarz pułkownika.

- Nie rób tego - powiedział czyjś głos, cichy, a mimo to posiadający dostatecznie wiele autorytetu, by przebić się ponad grzmiotem burzy.

Gaunt wysunął się spośród paprotników, jego boltowy pistolet mierzył w głowę Gilbeara. Lasery Błękitnokrwistych odwróciły się w kierunku komisarza, ten jednak nawet nie drgnął na ich widok.

- Odłóż broń - zażądał Gaunt. Lufa jego pistoletu wciąż nie zmieniła celu.

Corbec leżał na plecach patrząc na rozgrywającą się przed jego oczami konfrontację, cały

czas świadom faktu, że pistolet majora mierzy w jego czaszkę.

- Zastrzel go, a możesz być pewien, Gilbear, że zginiesz zanim którykolwiek z twych ludzi pociągnie za spust - głos Gaunta był niski i złowieszczy. Corbec zdążył już poznać ten ton.

- Gaunt... - wymamrotał Gilbear nie opuszczając broni.

Kilku Tanithijczyków wyslizgnęło się spośród gęstwiny zajmując pozycje po bokach komisarza i osłaniając go gotową do użycia bronią.

- Chyba mamy tutaj pat - mruknął Corbec.

Gilbear uciszył go zręcznym kopniakiem wciąż celując w głowę pułkownika i nie odrywając przy tym wzroku od Gaunta.

- Proszę opuścić broń, majorze Gilbear - inkwizytor Lilith weszła na polankę. Miała naciągnięty na czoło kaptur, a powtarzający się rytmicznie grzmot piorunów zdawał się punktować jej stanowcze słowa.

Gilbear schował pistolet do kabury.

- Proszę pomóc wstać pułkownikowi Corbecowi - dodała w perfekcyjnym dialekcie wyższych sfer Lilith.

Gaunt wciąż ścisnął broń w ręce.

- Pana to też dotyczy, komisarzu. Proszę schować pistolet.

Oficer opuścił powoli broń.

- Inkwizytor Lilith.

- Spotykamy się ponownie - powiedziała odwracając się plecami do komisarza. Głęboka ciemność czyniła z niej złowieszczą, okrytą czarnym płaszczem postać.

Gilbear podał dłoń Corbecowi i pomógł mu wstać z ziemi. Spojrzenia obu oficerów skrzyżowały się na dłuższą chwilę. Gilbear miał nad Corbecem kilka centymetrów wzrostu przewagi, a jego tkwiące w masywnej bryle karapaksu szerokie ramiona sprawiały imponujące wrażenie, niemniej jednak tanithijski pułkownik nadrabiał te braki czystą masą mięśni.

- Bez urazy - wysyczał Volpończyk prosto w twarz Colma.

- Żadnej urazy, Błękitnokrwisty... do następnego razu.

Gaunt minął Gilbeara podchodząc do Lilith, wymienił krótkie spojrzenie z majorem. Żaden z nich nie zapomniał Voltemandu.

- Inkwizytor Lilith - zaczął komisarz próbując przekrzyczeć kakofonię burzy. - Czy mamy do czynienia z przypadkowym spotkaniem czy też wytropiłaś mnie swymi psionicznymi sztuczkami?

Odwróciła się i spojrzała na niego czystym bystrym wzrokiem.

- A jak myślisz, Ibrahimie?

- A kim ja jestem, żeby rozmyślać nad takimi sprawami, pani inkwizytor?

Uśmiechnęła się kącikami ust, po jej bladej twarzy ciekły wielkie krople wody.

- Psioniczna burza szaleje nad całą strefą frontową, skutecznie uniemożliwiając nasz atak na pozycje nieprzyjaciela.

- Nie usłyszałem niczego, czego bym wcześniej sam nie zauważył.

- Gdzie jest teraz twój trzeci pluton?

Gaunt wzruszył ramionami.

- Ty mi powiedz. Straciliśmy w tym piekle łączność radiową.

Kobieta pokazała mu podświetlony ekran swego notesu.

- Według ostatniego meldunku tkwią w samym środku tego kataklizmu. Powiedz sam, nie sądzisz, że to zadziwiające?

- Niby czemu?

- Milo... Wiem, że odpowiedział na moje pytania i wymknął się z pułapki, ale wciąż jeszcze budzi to mą zadumę.

- Co takiego cię zadziwia, pani?

- Chłopiec podejrzewany o posiadanie talentu mentalnego, znajdujący się pod twoją pieczołowitą opieką, odnajduje się znienacka w samym środku tego zjawiska.

- To nie jest sprawka Brina Milo.

- Doprawdy? Skąd możesz posiadać tak niezbitą pewność?

Gaunt nic nie odparł.

- Co ty właściwie wiesz o psionikach, komisarzu? Co wiesz? Rozmawiałeś kiedyś z nimi? Znasz drogę, którą muszą podążać? Chłopiec, dziewczynka, jeszcze dziecko, nigdy wcześniej nie przejawiające nawet iskierki talentu, potrafi znienacka przerodzić się w coś, czego wszyscy lękamy się z całego serca.

Gaunt wciąż milczał, czując coraz większy niepokój z toru obieranej przez rozmówczynię konwersacji.

- Ja miałam już okazję coś takiego widzieć, Ibrahimie. Użycie niewyшкоowanego daru, nagłą erupcję mentalnej aktywności. Nie możesz mieć pewności, że Milo nie maczał w tym palców.

- To nie on. Wiem, że to nie on.

- Czas pokaże. W końcu po to właśnie tu jesteśmy. Żeby odkryć prawdę.

Rawne wyjrzał na zewnątrz wąskiego okienka wyciętego w masywnych kamiennych

blokach, mokry nocny wiatr zrosił mu twarz kroplami deszczu. Dostrzegał w oddali płomienie, ale nie były to bynajmniej ciepłe ogniska rozpalane co noc na Polach Fundacji. Przesztorza pochłonęła ciemność. Zguba spadła nieoczekiwanie na Tanith. Jeśli w sercach niektórych tliła się jeszcze nadzieja, Rawne nie miał złudzeń: nie dalej jak trzy minuty wcześniej dostrzegł ostrzegawcze flary wznoszące się ponad koronami drzew.

Przycisnął swój nowiutki laser do piersi. Przynajmniej raz będzie mu dane go użyć przed śmiercią.

- Co się dzieje, sir? - zapytał szeregowiec Caffran.

Rawne stłumił w sobie chęć skrzyczenia go. Chłopak był nowicjuszem, stojącym w obliczu swego bojowego chrztu. A Rawne stał się jedynym oficerem w okolicy.

- Planetarny desant. Nieprzyjaciel uderzył na nas w trakcie orbitalnego załadunku.

Pozostali członkowie drużyny jęknęli z rozpaczą.

- Jesteśmy skończeni - wyrzucił z siebie żalosne słowa Larkin. Feygor zdyscyplinował go ciosem pięści.

- Dość takich tekstów! - warknął Rawne - Nie zdobędą Tanith bez walki! I nie wierzę, byśmy byli jedynym oddziałem w elektorskim pałacu! Naszym zadaniem jest ochrona życia elektora.

Żołnierze odpowiedzieli pomrukami i skinieniami głów. W słowach majora kryła się determinacja, ale i poczucie słusznego obowiązku. Wszyscy czuli to samo.

Feygor ponownie sprawdził główny kanał radiowy.

- Nic. Wszystkie częstotliwości są martwe. Muszą nas zakłócać.

- Próbuj dalej. Musimy zlokalizować elektora i zorganizować jego ubezpieczenie.

Świat w głowie Brina Milo wirował szaleńczo. Wszystko wydawało się tak dziwnie nierealne, ale chłopiec wmawiał sobie ustawicznie, że to tylko efektu wstrząsu wywołanego nagłym rozwojem wydarzeń. Już same przygotowania do opuszczenia Tanith były dostatecznie stresujące. Wszyscy ludzie od kilku dni mieli nerwy napięte jak postronki. A teraz... ten koszmar.

Tak właśnie to wyglądało. Senny koszmar. Zapaść realności, gdzie pewne rzeczy wydawały się rozmyte i nieczytelne, inne zaś płonęły nadludzką ostrością.

Zabrakło mu czasu na uspokojenie nerwów, wzięcie się w karby dyscypliny. Huk wystrzałów i języki płomieni eksplodowały nieoczekiwanie w głębi kamiennego korytarza. Nieprzyjaciel zdołał się wedrzeć do wnętrza pałacu.

Drużyna Rawne skoczyła za filary i we wnęki przejścia, strzelając w stronę wyłomu.

- Za Tanith! - krzyknął Rawne. - Póki jeszcze żyje!

Eon Kull ocknął się z mroku nieświadomości i krzyknął boleśnie. Odkrył, że leży bezwładnie na wypolerowanej posadzce Wewnętrznego Pałacu. Przez krótką chwilę nie potrafił sobie nawet przypomnieć, kim jest i co w tym miejscu robi.

Wspomnienia zaczęły do niego powracać niczym ziarenka piasku przesypujące się przez klepsydrę, niczym proch czasu. Stracił przytomność i pozostawał samotnie w sanktuarium pogrążony we własnym delirium.

Ledwie zdołał podnieść się z podłogi. Jego ręce dygotały konwulsyjnie, nogi miał słabe niczym fildassai. W ustach i nosie czuł posmak zakrzepłej krwi. Serce i płuca tłukły się w obręczy klatki piersiowej jak spłoszone ptaki w klatce.

Podjął wyzwanie, lecz czy zdołał mu sprostać?

Kamienie dusz straciły swój blask. Fuehain Falchior tkwiła w milczeniu w pochwie. Runiczne kostki poniewierały się po podłodze jakby ktoś kopniakiem buta rozrzucił ich misterną układankę po całym pomieszczeniu. Niektóre rozpalone były do czerwoności, trzeszczały cicho niczym kawałki żelaza w kuźni. Po innych pozostały tylko kupki jasnego popiołu.

Eon Kull westchnął głęboko na ten widok. Sięgnął po kostki gromadząc ich szczątki, parząc sobie palce. W imię Vaula Kowala, cóż takiego mędrzec uczynił tego dnia? Co takiego zrobił? Wyzwanie okazało się zbyt potężne, tego był już pewien. Wiek i słabość ciała wieszczą zdradziły go, odarły z przytomności i pozbawiły kontroli nad rezerwuarem mocy, lecz przerwa ta nie mogła przecież trwać dłużej niż sekunda, może dwie. Cóż takiego wyzwolił swą nieświadomością? Święty Asuryanie, do czego doprowadził?

Wyczerpany umysł mędrca odkrył obecność powracającego do sanktuarium Muon Nola. Wojownik nie powinien był ujrzeć swego mistrza w tak upokarzającym stanie. Znajdując w sobie nieoczekiwanie dość zrodzonej z desperacji siły Eon Kull usiadł na tronie, przywiązując jednocześnie pełen popiołu i kryształowych szczątków woreczek do pasa swej szaty. Jego obolałe kości trzaskały głośno, w głowie pojawiły się ponownie zawroty. Posmak krwi w ustach jeszcze się nasilił.

- Mój panie? Czy... czujesz się dobrze?

- Jestem zmęczony, nic więcej. Jak postępują nasze sprawy?

- Twoja... burza... to dzieło niezwykłego kunsztu. Jest potężniejsza niż mógłbym sobie wyobrazić.

Eon Kull zmarszczył czoło. Co takiego miał na myśli Muon Nol? Wieszcz nie mógł okazać swej niewiedzy w obliczu wojownika, musiał sięgnąć swym umysłem na zewnątrz sanktuarium i samodzielnie uzyskać informacje. Lecz jego zmysły były tak udreżone i

wyczerpane.

- Droga musi zostać zamknięta natychmiast. Burza nie będzie trwać wiecznie.

Muon Nol uklęknął i nakreślił dłońmi gest formalnej prośby.

- Mój panie, proszę cię ponownie, ostatni już raz, nie pozwól zamknąć Drogi. Wyślę na Dolthe wezwanie o pomoc. Z wsparciem exarchów, wsparciem samego awatara, możemy się utrzymać i...

Eon Kull nakazał podwładnemu podnieść się z klęczek, kręcąc w geście zaprzeczenia swą ukrytą pod hełmem głową. Cieszył się skrycie, że Muon Nol nie może ujrzeć strużek krwi ciekących z jego nozdrzy i plamiących suche wargi.

- A ja mówię ci ponownie, ostatni już raz, że nie możemy tego uczynić. Dolthe nie zdoła poświęcić nawet jednego z naszych pobratymców więcej. Wyczerpaliśmy rezerwy. Czy zdajesz sobie sprawę ze skali zagrożenia, jakie sprawia tu na Monthaxie nasz nieprzyjaciel?

Eon Kull pochylił się do przodu i dotknął nagą dłonią czoła Muon Nola przesyłając do umysłu wojownika silny mentalny przekaz stanowiący wizualizację niezliczonych hord wroga dostrzeżonych wcześniej zmysłami wieszczka. Muon Nol zeszywniał, po czym zadrżał lekko. Odwrócił w bok głowę.

- Chaos nie może nas ogarnąć. Nie może uzyskać dostępu do Drogi. Tutejsza brama musi zostać zamknięta, zgodnie z moimi zaleceniami.

- Rozumiem - skłonił się wojownik.

- Idź teraz i obejmij pieczę nad ostatnimi przygotowaniem. Kiedy dobiegną końca, przybędziesz po mnie i odprowadzisz do Wielkiego Miejsca. Tam właśnie stanę twarzą w twarz ze swym przeznaczeniem.

Pozostawiony sam sobie, Eon Kull skoncentrował umysł próbując sięgnąć nim poza mury Wewnętrznego Pałacu i ogarnąć zmysłami swe otoczenie. Nie znalazł w sobie dość siły. Czyżby aż tak bardzo nadwreżył witalność ciała i umysłu? Co takiego miał na myśli Muon Nol, kiedy wspominał o wywołanej burzy?

Chwiejnym krokiem, powłócząc nogami, wieszcz przemierzył posadzkę sanktuarium i uchylił wieko wykonanej z kwarcu skrzyni stojącej pod jedną ze ścian. Pełna była prochu i pustych jedwabnych woreczków. Pośród tych szczątków leżało kilka ostatnich bezcennych przedmiotów mędrca. Sięgnął po jeden z nich. Wyrzeźbiona z duszokości laska wślizgnęła się w dłoń starca. Była ciepła, pulsowała nieznacznie. Była ostatnią laską, jaka mu pozostała. Powrócił na tron, usiadł na nim z ciężkim westchnieniem i przycisnął artefakt do piersi. Modlił się w duchu, by laska posiadała w sobie wystarczający rezerwuuar energii dla zogniskowania jego rozproszonej mocy. Płynące z umysłu wieszczka mentalne wyładowania

wniknęły w przedmiot, a leżące wokół tronu bądź wprawione w zbroję starca kamienie dusz zamigotały powracając do życia. A raczej większość z nich. Niektóre pozostały ciemne i martwe, inne żarzyły się ledwie zauważalnie.

Umysł wieszcz zaczął gromadzić rozmazane obrazy, umacniać je i koncentrować. Ujrzał świat zewnętrzny.

Ujrzał burzę, dziki kataklizm, i przeklął samego siebie. Powinien był wcześniej pojąć, że jest już zbyt słaby, by kontrolować taką moc. Zaplanował co prawda burzę, ale miała być ona zaledwie przykrywką maskującą jego bardziej subtelne, bardziej złożone iluzje. Nadmierny wysiłek pozbawił go świadomości i kontroli nad wyzwalaną energią.

Zrodził mentalny cyklon, katastrofalny w skutkach żywioł, który szalał teraz pozostając całkowicie poza kontrolą swego stwórcy. Zamiast osłonić ludzi i pozwolić im się zbliżyć niepostrzeżenie do skomplikowanej pułapki mającej przeistoczyć te istoty w narzędzia wieszcz burza przyniosła całkowicie odmienny rezultat - odrzuciła ludzi daleko w tył.

Głowa wieszcz opadła w dół. Dzieło jego życia okazało się porażką. Wyczerpał całą swą moc, spopielił runiczne kostki, unicestwił niektórych z duchowych przewodników i wszystko po co? Kaela Mensha Khaine! Stworzył destruktywną siłę żywiołów, która runęła na cały region. Niebiosa kotłowały się ponad jego głową niczym pies myśliwski, którego właściciel poświęcił długie miesiące tresury tylko po to, by ujrzeć jak jego ulubieniec ponownie popada w sidła zwierzęcego instynktu.

Dostrzegł kilka nikłych iskerek światła, ślady garstki ludzi znajdujących się dostatecznie blisko, by wpaść w moc iluzji mędrca. Było ich zbyt niewiele.

Eon Kull, prastary wieszcz i mistyk, zapłakał. Podjął tę próbę. I nie podołał jej.

Mkoll przedzierał się przez strugi deszczu dobre piętnaście minut, zanim przystanął zniechęcony w miejscu, potrząsnął z niedowierzaniem głową i skoczył pośpiesznie w płataninę korzeni pobliskiego drzewa.

To było niemożliwe. To... było jakieś szaleństwo.

Zerknął na burzowe przestworza, drżąc i kuląc się w cieniu. Od samego początku podejrzewał, że żywioł nie miał naturalnego pochodzenia, teraz zaś zyskał już całkowitą pewność, iż jego moc igra z jego umysłem.

To jest Monthax, Monthax, powtarzał sobie w duchu w kółko. Nie Tanith.

Lecz jeśli się nie mylił, dlaczego spędził ostatnie dwadzieścia minut na pośpiesznej wędrówce ku farmie w lasach nad Hebanem, gdzie mieszkał wraz z żoną i synami?

Krew tętniła mu w skroniach. Czuł się jakby ponownie tracił Eiloni, chociaż wiedział, że



jego żona nie żyje od piętnastu lat wpędzona do grobu krwiotoczną gorączką. Czuł, że traci ponownie Tanith. Swoich synów.

Był całkowicie przekonany, że biegnie poprzez letnią burzę z wysokogórskich pastwisk, gdzie czuwał nad stadem cuchlainów. Wydawało mu się, iż wciąż posiada żonę, rodzinę i farmę, do której pragnął powrócić. Lecz w rzeczywistości maszerował z powrotem w stronę ukrytych w dżungli ruin i oblegających je żołnierzy nieprzyjaciela.

W jaki sposób jego umysł mógł zostać tak otumaniony? Cóż za mentalne sztuczki użyto przeciwko jego zdrowemu rozsądkowi?

Zerwał się na równe nogi i pobiegł w przeciwnym kierunku, modląc się, by obrał właściwą drogę ku liniom sojuszniczych wojsk.

Postępując w myśl rozkazów Lilith silna grupa żołnierzy zawróciła w głąb targanej burzą dżungli. Eskorta przedstawicielki Inkwizycji utworzyła wokół niej ciasny krąg podążając w ślad za równie licznym oddziałem Duchów pod komendą Gaunta. W jego skład wchodziłi ludzie z pierwszego, drugiego i siódmego plutonu. Rannych odesłano na tyły.

Gilbear protestował, zarówno przeciwko dalszemu marszowi w głąb strefy kataklizmu jak i współpracy z Tanithijczykami, jednakże Lilith nawet nie próbowała ukrywać swojej niechęci do majora odrzucając jego sprzeciw. Jeśli jej podejrzenia miały uzasadnienie, cała ta sprawa miała równie ogromne znaczenie dla Gaunta. Ponadto Duchy były już wcześniej w burzowej strefie i wiedziały, czego należy się tam spodziewać. Pomimo budzącego respekt wyszkolenia wolpońskiej Dziesiątej Brygady inkwizytor spodziewała się uwikłania w poważne walki i potrzebowała liczniejszej jednostki, by zrekompensować w ten sposób nieuniknione straty. Teraz miała pod swą komendą około sześćdziesięciu ludzi, w połowie żołnierzy ciężkiej piechoty gotowych poświęcić dla jej bezpieczeństwa życie, w połowie najlepszych zwiadowców i infiltratorów Gwardii, działających na rozkaz własnego charyzmatycznego dowódcy.

Wystarczająca grupa szybkiego reagowania, uznała w myślach Lilith, ale poleciła swemu astropacie wysłać żądanie wsparcia. Thoth opierał się jej wnioskowi, dopóki nie powołała się na autorytet swego urzędu i wstępnie przedstawiła skalę potencjalnego zagrożenia. Pięciuset Błękitnokrwistych pod rozkazami majora Russa oraz trzystu roańskich Deepersów majora Alefa i komisarza Jaharna przedzierało się teraz przez dżunglę w ślad za forpocztą, pozostając dobrą godzinę marszu za grupą Lilith. Astropata nie przeżył wymiany psionicznych komunikatów, zabił go potworny wysiłek niezbędny do ich emisji. Żołnierze porzucili ciało mentata w miejscu, gdzie mężczyznę dopadła śmierć.

Dla człowieka z zewnątrz na szaleństwo zakrawał pomysł powrotu do strefy, którą wszystkie imperialne jednostki opuszczały co sił w nogach, podobnie jak żądanie wysłania do niej posiłków. Lecz Lilith wiedziała swoje: burza czy nie burza, horda Chaosu czy nie horda, klucz do zwycięstwa na Monthaxie leżał w samym sercu kataklizmu. Klucz oraz jej prywatny, osobisty cel poszukiwać.

Lerod prowadził szpicę. Zgłosił się na ochotnika, emanując tak pełnym ożywienia entuzjazmem, że Gaunt z miejsca poczuł się nim zaalarmowany. Yael, jeden ze służących w siódmym plutonie ludzi Leroda, opowiedział dowódcy o zakrawającym na cud uratowaniu sierżanta przed śmiercią w ogniu nieprzyjacielskich strzelców nad potokiem i wyjaśnił, że Lerod najwyraźniej uznał się za obiekt boskiej protekcji.

Gaunt rozmyślał nad tą sprawą przez dłuższą chwilę. Miewał już okazję widzieć wcześniej u żołnierzy taki wybuch przekonania o swej nieśmiertelności. Konsekwencje mogły być poważne, ale komisarz uznał, że przekonany o swym nadnaturalnym szczęściu Lerod lepiej sprawdzi się w pierwszej linii niż w głębi formacji.

Poza tym sierżant należał do świetnych żołnierzy. Był jednym z najlepszych Duchów, bystrych i posiadających taktyczny zmysł.

I było coś jeszcze... wszyscy Tanithijczycy, również i sam Corbec, zdradzali dziwną chęć jak najszybszego powrotu w objęcia morderczej nawałnicy. Można było wręcz odnieść wrażenie, że coś ich tam przyciąga. Gaunt rzadko widywał tak ogromną motywację u swych podwładnych.

I wtedy, po chwili namysłu, komisarz przyznał sam przed sobą, że osobiście też był aż nader chętny do powrotu w targane wichrem i smagane strugami deszczu gęstwiny. Nie potrafił wytłumaczyć w logiczny sposób tej ochoty, momentami wręcz go lękała.

Grupa Lilith przedzierała się przez podmokły gąszcz, ociekając deszczem, chwiejąc się na silnym wietrze, brnąc przez grząskie trzęsawiska. Porośnięte gęsto wzgórza sprawiały teraz wrażenie wysp górujących ponad bagnami.

Lilith wysłała przodem pary żołnierzy z linami. Corbec wraz z kilkoma towarzyszącymi mu Duchami i Błękitnokrwistymi wspiał się na śliskie błotniste zbocze jednego ze wzgórz idąc śladem szperaczy Leroda. Sprawdzał liny przytwierdzone przez szpicę do pni i korzeni drzew. Błyskawice trzaskały w górze rozszczepiając korony leśnych olbrzymów.

Docierając do grzbietu wzniesienia pułkownik przymocował końcówkę swej liny do wyjątkowo masywnego korzenia i przystanął w miejscu ubezpieczając wspinaczkę głównej części ekspedycji. Jeden z Błękitnokrwistych spoglądał na niego z uśmiechem na twarzy.

- Culcis?

- Pułkownik Corbec!

Colm uderzył dłonią w naramiennik młodego żołnierza. Pozostali Volpończycy spoglądali na ten gest powitania z wyraźną podejrzliwością i zmieszaniem.

- Gdzie to było... Nacedon?

- Na farmie. Zawdzięczam panu życie, pułkowniku.

Corbec parsknął krótko.

- Pamiętam, że walczyłeś tamtej nocy równie twardo jak my, Culcis!

Młody gwardzista wyszczerzył w uśmiechu zęby. Krople deszczu kapały z krawędzi jego hełmu prosto na twarz.

- Więc trafiłeś do Dziesiątki, co? - zapytał Corbec przyklękając tuż obok Błękitnokrwistego i mierząc z karabinu w nieprzenikniony mrok nocy.

- Pański lekarz dobrze się o mnie wypowiadał, a pański dowódca, Gaunt, wymienił moje nazwisko w raporcie. Potem dopisało mi szczęście na Vandamaarze i dostałem medal.

- I jesteś teraz weteranem? Jednym z elity Błękitnokrwistych? Najlepszy z najlepszych i tak dalej?

- Wszyscy jesteśmy tylko żołnierzami, sir - roześmiał się Culcis.

Dwa rzędy gwardzistów wspinały się mozolnie w górę zbocza ściskając kurczowo wilgotne liny, manewrując pomiędzy pniami drzew i rozłożystymi korzeniami. Ziemia przypominała swą konsystencją rozwodniony miód, grzaski i płynny, sięgający ludziom do łydki. Tylko insekty przestały dręczyć lojalistów, ukrywając się w zakamarkach dżungli na czas zawieruchy.

Gwardziści parli przed siebie w szyku ogniowym, wychodząc z głębokiej doliny i trafiając na położone wyżej tereny dżungli, prosto w serce cyklonu. Lilith wstrzymała marsz grupy i sięgnęła po notes, by skorygować swoją bieżącą lokalizację. Podnosiła go właśnie do oczu, kiedy oślepiający rozbłysk zapłonął w mrocznych przestworzach, a uszami ludzi wstrząsnął ogłuszający huk.

Piorun uderzył w drzewo dwadzieścia kroków za przedstawicielką Inkwizycji rozsiewając na wszystkie strony deszcz szczątków. Dwaj Błękitnokrwisci zginęli na miejscu porażeni elektrycznymi wyładowaniami, dwaj inni wraz z towarzyszącym im Tanithijczykiem zostali odarci żywcem z mięśni przez chmurę drzazg.

Major Gilbear wpadł na Lilith próbując odzyskać utraconą na śliskiej powierzchni równowagę.

- Musimy się wycofać, pani! To szaleństwo!

- To konieczność, majorze - poprawiła go kobieta i powróciła do analizy zawartości swego notesu. Gaunt stał u jej boku. Zaczęli porównywać dane nie zważając na deszcz ściekający po ekranach ich urządzeń.

- Tutaj jest twój trzeci pluton - oświadczyła Lilith.

- Raczej był tam przed rozpełnieniem się burzy - oświadczył Gaunt. - Znajdowali się faktycznie w środku tego kataklizmu, ale czy jesteś w stanie określić ich bieżącą pozycję? Albo nawet naszą?

Lilith zakłęła bezgłośnie. Gaunt miał rację. Burza odcięła ekspedycję od wsparcia orbitalnych skanerów, a elektryczne wyładowania skutecznie ekranowały działanie przenośnych systemów łączności. Gwardzistom pozostawały w takiej sytuacji jedynie mapy i próby wzrokowej identyfikacji swego położenia, ale w obliczu potwornej burzy ludzkie zmysły straciły już dawno swą wiarygodność.

Gaunt odciągnął Lilith na bok, poza zasięg słuchu Gilbeara.

- Moi ludzie są najlepszymi zwiadowcami w Gwardii, ale czują się całkowicie oślepieni. Jeśli ta burza faktycznie ma mentalne źródło, oszukuje nasz zmysł orientacji. Nie sądzę, byśmy zdołali odnaleźć drogę do ostatniej potwierdzonej lokalizacji trzeciego plutonu.

- Co zatem sugerujesz?

- Nie wiem - odparł oficer spoglądając prosto w posępne oczy Lilith. - Lecz jeśli pójdziemy dalej przed siebie, zapewne nie zdołamy nawet odtworzyć drogi powrotnej...

- Sir! Komisarzu!

Krzyczał Raglon, radiooperator. Zbiegając pośpiesznie po błotnistej skarpie niewielkiego wzniesienia wyciągnął przed siebie rękę i podał Gauntowi słuchawki.

- Trzeci, sir! Złapałem ich! Sygnał jest rozmyty i rwie się cały czas, ale to na pewno major Rawne i pozostali! Przechwyciłem transmisję na kanale operacyjnym, pomiędzy żołnierzami. Wygląda na to, że są zaangażowani w walkę.

Gaunt założył słuchawki i zaczął nasłuchiwać.

- Możesz wzmocnić sygnał?

Raglon pokręcił przecząco głową.

- Burza zakłóca wszystkie urządzenia, sir. Nie mogę wykorzystać tych transmisji do uruchomienia lokalizatora. Wydaje się, że oni... są wszędzie i nigdzie jednocześnie.

- Brednie! - warknął Gilbear, zabrał Gauntowi słuchawki i zaczął manipulować pokrętłami zawieszzonego na plecach Raglona komunikatora. Po kilkunastu sekundach z głośnym przekleństwem zaprzestał dalszych bezowocnych wysiłków.

- Wywołuj ich dalej - polecił radiowcowi Gaunt. - Nadawaj na wszystkich kanałach.

- Jaki komunikat?

- Gaunt do trzeciego plutonu. Podać status i lokalizację.

Raglon zaczął nadawać transmisję.

- Brak odpowiedzi, sir... Powtarzam... Chwila! Jest odpowiedź! Pozycja: pałac elektorski, Tanith Magna. Tylina straż.

- Co takiego? - Gaunt wyrwał podwładnemu słuchawki z dłoni - Rawne! Rawne! Odpowiedz!

Trzeci pluton utknął w wąskim korytarzu, laserowe wiązki śmigały w powietrzu tam i z powrotem tworząc szaleńczą plątaninę dzikiej kanonady. Gdzieś z głębi swych słuchawek do Rawne docierał ledwie zrozumiały głos Gaunta.

- Wywołaj ich ponownie - ponaglił Whelna, walczącego rozpaczliwie z pokrętłami swego komunikatora.

Rawne zdążył już zniechęcić tego Gaunta, nowego przełożonego obcoświatowca. Gdzie znajdował się teraz? Czy w ogóle troszczył się o los Tanith?

Wheln wyrwał majora z posepnej zadumy.

- Sygnał od Gaunta, sir! Każe nam wykonać odwrót! Mamy do niego dołączyć na podanych koordynatach!

Rawne rzucił okiem na podany mu miniaturowy wydruk, zmiął go i cisnął pod nogi. Otrzymane koordynaty nic mu nie mówiły. Wiedział tylko jedno: Gaunt nakazywał im opuścić pałac i Tanith Magna.

- Dawaj mi te słuchawki! - wrzasnął na Whelna.

- Sir? - Raglon podał swój zestaw łączności komisarzowi. - Nic z tego nie rozumiem...

Gaunt odebrał od radiowca słuchawki i zaczął odbierać przekaz.

- ...nie wycofamy się teraz... nie pozwolimy zniszczyć Tanith! Bądź przeklęty, Gaunt, jeśli myślisz, że damy temu światu umrzeć!

Komisarz opuścił słuchawki, oparł je o udo.

- Oszalał - wymamrotał cicho. - On całkowicie oszalał.

Mkoll osłaniał mokrą od deszczu twarz uniesionymi nad głową rękami. Koncentrował ustawicznie swój umysł starając się pozostać w realnym świecie, walczył z nękającymi jego jaźń omamami. Dom, linie sojusznice... da radę tam dotrzeć...

Krechy laserowego światła pomknęły jego śladem, poszatkowały leśne poszycie. Sierżant

rzucił okiem przez ramię i popędził przed siebie.

Nieprzyjacielski żołnierz wyrósł tuż przed Duchem. Mkoll poderwał lufę pistoletu, pociągnął za spust. Energetyczny ładunek oderwał przeciwnikowi większą część czaszki.

Wszędzie wokół, pośród strug deszczu, nadciągali żołnierze Chaosu.

Tanithijczyk przykucnął za niewielką pryzmą liści, wiązki laserów rozrzuciły wokół jego skulonej sylwetki strzępy roślin. Dwa strzały na lewo, dwa strzały na prawo. Celne trafienie i drgające ciało runęło na błotnistą ziemię. Sierżant zerwał się na nogi i rzucił do ucieczki.

Laserowa wiązka otarła się o głowę Ducha, runął jak długi twarzą w błoto. Chociaż próbował się podnieść, osłabione ciało nie chciało usłuchać poleceń umysłu. Maż zdawała się wsysać mężczyznę w swą głębię.

Czyjaś silna ręka chwyciła gwardzistę za ramię, szarpnęła w górę. Błoto mlasnęło niczym w pożegnalnym pocałunku.

Mkoll spojrział w twarz śmierci, zdeformowane rysy nieprzyjacielskiego żołnierza. Strzelił jej prosto między oczy i wstał chwiejnie ścinając następnego heretyka podwójną salwą wymierzoną w kolana. Obracając się w miejscu zaczął ścigać ogniem mroczne cienie, majaczące pomiędzy czarnymi drzewami, rozmazane strugami lejącej się z nieba wody, strzelające w jego kierunku.

Kolejna wiązka lasera osmałiła mu bok pozostawiając szramę, która nigdy już nie miała bezpowrotnie zniknąć. Mkoll upadł na jego kolano nie przerywając ostrzału z obu pistoletów. Zabijał napastników po swej lewej i prawej stronie. Maksymalna siła rażenia. Nagle uświadomił sobie, że jego zdobyczny pistolet bucha kłębami gazu. Cisnął pod nogi rozładowaną broń. Kiedy próbował przeładować pośpiesznie swój regulaminowy pistolet, jakaś masywna postać uderzyła w niego z rozpędu i przewróciła na ziemię. Żołnierz Chaosu wzniosł w górę dzierzony w ręce bagnet próbując wypruć z sierżanta życie.

Siłowali się w błocie przez kilka sekund, zanim lepiej wyszkolony Duch odrzucił przeciwnika w bok.

Rozciągnięty na ziemi renegat cisnął swym bagnetem. Ostrze broni ze zgrzytem prześlizgnęło się po rzepce kolanowej Tanithijczyka przebijając jego kończynę, rozcinając mięśnie. Mkoll runął bezwładnie w błoto.

Nieprzyjaciel ponownie przygwoździł go do ziemi, sięgając do gardła rozczapierzonymi palcami i mamrocząc coś pod nosem. Zaczęli tarzać się w błocie, kopiąc i uderzając pięściami. Mkoll nie potrafił sięgnąć po swój przytroczony do pasa sztylet, ale zdołał zacisnąć palce na rękojeści wbitego w kolano noża. Wyrwał go z ciała.

Przeklinając swe życie i oplakując w myślach Eiloni sierżant wbił nóż raz, drugi, trzeci w

bok szyi heretyka szarpiąc ostrzem do chwili, w której przerażający antagonistą znieruchomiał całkowicie.

Mkoll wyzwolił się spod ciężaru martwego ciała. Krew tryskała wartkim strumieniem z jego rany na nodze, wyciekała zbyt szybko, by rozcięcie zdołało zakrzepnąć.

Chwiał się cały czas próbując utrzymać równowagę. Uzbrojony był już tylko w zdobyczy nóż. Słabł z każdą chwilą, jego ranna noga na przemian pulsowała potwornym żarem i przenikliwym zimnem. Kolano nie reagowało na polecenia wysyłane mięśniom przez mózg. Strzelanina przybrała na sile, laserowe ładunki cięży powietrze wokół wyczerpanego sierżanta.

Jakaś przelatująca tuż obok ciała wiązka powaliła Ducha z powrotem na ziemię, twarzą w głęboką kałużę. Ogluszony, zdezorientowany, szarpał się konwulsyjnie czując jak maź wlewa mu się do otwartych w próbie zaczerpnięcia oddechu ust i nosa.

Coś podniosło go znów na nogi. Coś dziwnego, niezrozumiałego. Przemoczony impuls.

Eiloni. Stała nad nim, bladokóra i wciąż tak piękna jak w wieku dwudziestu lat.

- Co ty robisz na ziemi? Kto nakarmi naszych synów? Odpowiedz, mężu?

Znikła równie szybko jak się pojawiła, ale Mkoll był już na nogach, kiedy pierwszy z żołnierzy Chaosu do niego dobiegał. Stał na równych nogach przepelnięty dziką pasją.

Pomimo potwornych oparzeń na plecach przewrócił rebelianta na ziemię łamiąc mu gołymi rękami kark i żebra, roztrzaskując o kamienie czaszkę. Chwytny upuszczony karabin ofiary przestawił go w tryb ognia automatycznego i nacisnął spust odwracając lufę w kierunku nadciągającej tyraliery nieprzyjacielskich żołnierzy.

Wciąż jeszcze strzelał, niczym oślepiiony szaleniec, z wyczerpanym niemal całkowicie akumulatorem i trzydziestką martwych heretyków wokół swego ciała, kiedy odnalazł go Corbec.

Gaunt wyznaczył pośpiesznie warty mające strzec tymczasowego obozowiska. Sanitariusze opatrywali w tym czasie rany sierżanta zwiadowców. Burza nie ustawała na sile, szarpiąc z upiorną mocą drzewami i zacinając niemal poziomo strugami deszczu.

Lilith, Gilbear i Gaunt stali obok szeregowca Lespa, nakładającego bandaż na liczne oparzenia i rozcięcia Mkolla. Głowa zwiadowcy nikła pod opatrunkami, podobnie jak jego usztywnione temblakiem kolano.

- To naprawdę twardy drań - wymamrotał Corbec stając u boku komisarza.

- Nigdy nie przestanie mnie zadziwiać - odparł szeptem Gaunt.

Lilith spojrzała na obu mężczyzn z wyrazem zapytania na twarzy. Gaunt doskonale

pojmował jego sens: jak ten człowiek zdołał przeżyć?

- Tracimy czas - warknął niecierpliwie Gilbear - Co robimy?

Gaunt odwrócił się z grymasem gniewu w stronę majora, ale Lilith stanęła pomiędzy dowódcą Duchów i Volpończykiem.

- Majorze Gilbear. Czy jest pan nadal przełożonym mojej straży przybocznej?

- Tak, moja pani.

- Nie spadły na pańskie barki żadne nowe obowiązki od czasu otrzymania tego zadania?

- Nie, moja pani.

- W takim razie proszę się zamknąć i pozostawić kwestie działania mnie i komisarzowi, bo pana najwyraźniej one przerastają.

Gilbear odwrócił się w miejscu i poszedł skontrolować stanowiska wartowników. Corbec odwrócił głowę w stronę pleców majora, wystawił język i wydał z siebie wulgarny odgłos. Gaunt otworzył usta, by udzielić swemu podwładnemu reprimendy, ale nic nie powiedział dostrzegając nieoczekiwany uśmiech na twarzy Lilith.

- Strasznie pompatyczny z niego dupek - oświadczyła przedstawicielka Inkwizycji.

- A prawda - pokiwał głową komisarz.

- Nie miałem zamiaru okazywać braku respektu, moja pani - zastrzegł się pośpiesznie zmieszany Corbec.

- Owszem, zamierzałeś - uśmiechnęła się ponownie Lilith.

- No tak, ale nie do końca poważnie - pogubił się w zeznaniach Corbec.

- Pułkowniku, jeśli byłbym pan tak łaskaw, proszę sprawdzić status wartowników - odezwał się przyciszonym głosem Gaunt.

- Ale major właśnie poszedł...

- I uważasz, że zrobi to w kompetentny sposób? - zapytał komisarz.

- Nie, w obecnej formie na pewno nie - Corbec wyszczerzył zęby, zasalutował komisarzowi, uklonił się głęboko kobiecie i odszedł szybkim krokiem.

- Musisz wybaczyć memu zastępcy, pani. Jego styl dowodzenia posiada sporą dozę specyfiki.

- Ale się sprawdza?

- Tak, ale... tak. Corbec to najlepszy oficer, z jakim zdarzyło mi się współpracować. Ludzie go kochają.

- I widzę dlaczego. Ma w sobie charyzmę, odwagę. Odpowiednio wysoki poziom braku szacunku dla pompatyczności i pychy. Cołm to bardzo atrakcyjny mężczyzna.

Gaunt umilkł i spojrział w ciemność, pośród której przepadł bez śladu jego zastępca.



- Doprawdy?

- Och, tak. Możesz mi zaufać w tej kwestii - Lilith spojrzała ponownie na Mkolla. - A zatem mamy tutaj twojego najlepszego zwiadowcę, pobitego i postrzelanego niczym rzeszoto, wpadającego wprost na nas ze środka tego kataklizmu?

- Tak - chrząknął Gaunt oczyszczając gardło z flegmy - Mkoll to mój najlepszy zwiadowca. Feth, wygląda jakby przeszedł przez piekło i wrócił z powrotem.

- Feth... ładne słowo. Wydaje się odpowiednie. Będę z niego korzystała, jeśli nie masz nic przeciwko.

Gaunt zmarszczył czoło.

- Miałbym mieć coś przeciwko?

- Co ono oznacza?

Komisarz ujrzał zniechęca przed oczami prawdziwe znaczenie tanithijskiego terminu, czysto i przejrzyście. Wspierany mentalnym talentem Lilith ujrzał ten obraz bez skazy.

- Nie... nie jestem pewien.

- Ależ owszem, wiesz to doskonale.

Piorun uderzył w pobliskie drzewo zmuszając Błękitnokrwistych do pośpiesznej ucieczki przed sypiącymi się z nieba gałęziami. Jego huk okazał się dla Gaunta niemalże fizycznym policzkiem. Jego umysł powrócił do pełni władz.

- Nie używaj na mnie swych mentalnych sztuczek, pani - warknął.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Tak, wiesz. Próbujesz rozbudzić we mnie zazdrość o Corbeca względem twojej osoby. I emitujesz te psioniczne wizerunki. Feth to jeden z tanithijskich bogów drzew, nie barbarzyński eufemizm. Będę pracował z tobą, ale nie dla ciebie.

Lilith uśmiechnęła się bez wesołości i uniosła w obronnym geście dłoń.

- Szczerza odpowiedź. Przepraszam, Gaunt. Staram się samodzielnie tworzyć sojuszników tam, gdzie nie mogę ich odnaleźć, wykorzystując swój talent do manipulowania wolną wolą towarzyszy. To bardzo rzadki dla mnie przypadek mieć u boku człowieka chcącego współpracować z własnej i nieprzymuszonej woli.

- Takie już są losy inkwizytorów. A ja sądziłem, że to życie oficerów politycznych jest naznaczone samotnością.

Lilith spojrzała mu w oczy i jej blada twarz rozjaśniła się w jeszcze jednym uśmiechu. Gaunt pomyślał w pierwszej chwili, że to kolejna z kobiecych sztuczek, ale emocje Lilith wydały mu się tym razem pozbawione fałszu.

- Oboje musimy odnaleźć i opanować źródło tego piekła - oświadczył komisarz

wskazując dłonią rozszalałe przestworza. - Oboje potrzebujemy tego zwycięstwa. Zyskasz we mnie znacznie lepszego sojusznika, jeśli będę w pełni swych sił umysłowych niż bezwolnym pionkiem.

Przedstawicielka Inkwizycji pokiwała głową.

- Oboje potrzebujemy tego zwycięstwa - powtórzyła słowa Gaunta - Lecz to nie wszystko, czego pragnę... - dodała tajemniczym tonem.

Gaunt otworzył usta chcąc zapytać ją o sens tego oświadczenia, ale w tej samej chwili Lilith zadrżała, zdjęła z głowy kaptur i przesunęła wąską dłonią po pięknych mokrych włosach. Komisarz-pułkownik po raz pierwszy uświadomił sobie jak napięte były rysy jej twarzy.

- Ta burza... jest dla ciebie naprawdę ciężka, czyż nie?

- Tańczę na krawędzi, Ibramie. Moc Osnowy mnie przepelnia, spala umysł. Przepraszam za swoje wcześniejsze zachowanie. Zrodziła je desperacja.

Gaunt podszedł do niej i ujął pod ramię kierując w stronę Mkolla.

- Powiedziałaś, że starasz się tworzyć sojuszników tam, gdzie się ich nie spodziewasz. Dlaczego zatem tak uporczywie pastwisz się nad Gilbearem?

Lilith błysnęła zębami.

- On to kocha. Nie wiedziałaś? Potężna i wpływowa kobieta sprawuje nad nim niepodzielną władzę. Pragnie mnie tak mocno, że gotów jest dla mnie umrzeć.

Teraz to Gaunt wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Niezwykła z ciebie osoba, inkwizytor Lilith.

- Przyjmuję to oświadczenie za komplement.

- Wystarczy obietnica, że nie będziesz próbowała stosować tych sztuczek na mnie.

- Obiecuję - odparła - Nie sądzę, bym musiała.

Gaunt złapał się nagle na tym, że od dłuższej chwili tonie w oczach Lilith. Oderwał od niej z wysiłkiem spojrzenie.

- Pora pogadać z Mkollem.

- Zrobię to.

- Nie - poprawił kobietę. - Razem to zrobimy.

Gilbear obchodził krąg posterunków wlokąc się pośród strug deszczu. Jakies niewidoczne w ciemności płazy rechotały głośno pomimo burzy. Obchodząc kępę drzew major wpadł na dwójkę Tanithijczyków zajętych zapalaniem wyjętych z małego pudełeczka papierosów.

Dopadł ich w mgnieniu oka, kopiąc jednego w brzuch, drugiego zaś uderzając zaciśniętą

pięścią w kark.

- Co to jest? - wydyszał - Pilnujcie flanki? Nie! Za bardzo jesteście zajęci papierosami i żartami!

Jeden z gwardzistów zaprotestował i Gilbear kopnął go ponownie przewracając na ziemię. W twarz, w żebra, w brzuch. Nie przestawał wymierzać ciosów swym ciężkim wojskowym butem.

- Wokół mamy całe uniwersum nienawiści, a wy nawet nie potraficie zatroszczyć się o dopilnowanie warty!

Drugi Duch próbował bronić swego skulonego w embrionalnej postaci towarzysza ściągając na siebie gniew majora. Gilbear znokautował go ciosem pięści, poprawił kopnięciem.

Czyjaś wielka dłoń pochwyciła go za naramiennik osadzając w miejscu.

- Przy tobie też czai się całe uniwersum nienawiści - oświadczył Corbec.

Uderzył swym czołem w twarz majora rozcinając mu skórę, wyprowadził dwa błyskawiczne uderzenia pięściami wymierzone w usta i pierś Volpończyka. Drugie uderzenie zostało nieco zamortyzowane przez twardy karapak.

Gilbear runął na ziemię pociągając za sobą tanithijskiego pułkownika, szarpiąc go w ataku w dzikiej furii.

- Chcesz mnie, Duchu?! No to mnie masz! - wycharczał.

- Najwyższy czas - odwarknął Corbec i uderzył Gilbeara pięścią w szczękę. - To za Cluggana, niech jego dusza spoczywa w pokoju.

Gilbear ugiął nogi, po czym wyprostował je wbijając buty w brzuch pułkownika i przerzucając go ponad swoją głowę. Colm grzmotnął ciężko o pochylony pień drzewa, lądując na nim głową w dół. Ostre końcówki połamanych gałęzi skaleczyły mu plecy.

Volpończyk szybciej zerwał się na nogi, wymachując pięściami. Corbec rzucił mu się na spotkanie ciskając w biegu płaszcz. Oczy płonęły mu gorączką wściekłości. Obaj mężczyźni zwarli się na błotnistej przecince, deszczowa woda spływała po ich skórze zmywając gorącą krew. Cios pięści, kontra, dziki warkot i szarża. Dwaj pobici Tanithijczycy pozbiali się już z ziemi i zagrzewali do walki swego dowódcę. Inni, zarówno Duchy jak i Błękitnokrwieści, zaczęli tworzyć krąg wokół dwóch zmagających się ze sobą w świetle błyskawic oficerów.

Gilbear był bokserem, czempionem wagi ciężkiej jeszcze na Volpone, z potwornym prawym sierpowym i przerażającą odpornością na ciosy przeciwnika. Corbec uprawiał dla odmiany zapasy, uzyskując w trzech następujących po sobie latach mistrzostwo w zawodach w dystrykcie Pryze. Gilbear poruszał się na szeroko rozstawionych nogach wyprowadzając

silne uderzenia, Corbec parował je w zgiętej postawie, po czym wystrzelił do przodu mierząc dłońmi w gardło majora.

Krzycząc głucho Duch zanurkował pod gradem ciosów Gilbeara i staranował go pchając przed siebie poprzez gęste zarośla. Przewracając się na nieoczekiwanej pochyłości mężczyźni pokoziołkowali w stronę biegnącego u podstawy skarpy potoku. Tanithijska i volpońska publiczność zgromadziła się u szczytu wzniesienia gwizdząc i pokrzykując z uciechy.

Gilbear zerwał się pierwszy na nogi, ociekając czarną brudną wodą, zamachnął się pięścią. Uderzenie nie dotarło do celu. Corbec wystrzelił spod powierzchni wody, oblepiony błotem i niemal całkowicie czarny, zgiął majora wpół ciosem w żołądek i zaraz posłał z powrotem pod wodę silnym sierpowym. W powietrze trysnęła spieniona fontanna.

Błękitnokrwisty nie zamierzał się poddawać. Wychynął z potoku niczym wynurzający się wieloryb, równie głośny i rozwścieczony jak pustoszący dżunglę kataklizm, zaczął okładać Corbeca szybkimi ciosami. Wargi pułkownika zmieniły się w miazgę, cieknąca ze złamanego nosa krew krzepła mu na brodzie.

Duch przykucnął nisko i pochwycił majora w pasie wytrącając go z równowagi. Dźwigając w górę swego przeciwnika przerzucił go ponad ramieniem w zapaśniczym chwycie, ciskając na plecy w wody potoku. Kiedy Błękitnokrwisty zniknął pod wodą, Corbec posłał mu jeszcze silnego kopniaka.

Szeregowiec Alhac, Błękitnokrwisty, przerwał dzikie klaskanie w dłonie uświadamiając sobie, że jego faworyt przegrywa. Właśnie zamierzał wyładować swą frustrację na pokrzykującym radośnie tuż z tyłu Duchem, kiedy w krańcu swego pola widzenia gdzieś po lewej dostrzegł nieznaczne poruszenie.

Alhac zeszywniał, podobnie jak Duch, którego zamierzał uderzyć.

Coś czarnego i odrażającego wyskoczyło spośród zwodniczych cieni zapelniających dżunglę.

Alhac umarł pocięty na strzępy tkanki mięśniowej i organów wewnętrznych. Stojącego za nim Ducha ten sam los spotkał sekundę później. Zaraz potem następny Błękitnokrwisty został w ułamku chwili obdarty ze skóry. Pozostali obserwujący pojedynek gwardziści rozpierzchli się na wszystkie strony w bezrozumnej panice.

- Och, feth! - wysapał Corbec spoglądając w górę zbocza.

- Co jest? - warknął dźwigający się na nogi Gilbear.

- To!

Stworzenie przypominało psa, tyle że psy nie przybierają rozmiarów konia, a konie nie skaczą z szybkością nurkującego ptaka. Czerwony, czworonożny drapieżnik o długich łapach

wyposażonych w trzy stawy kolanowe pokryty był zmierzwionym wyliniałym futrem. Wielki łeb o krótkim pysku budził lęk swym groteskowym wyglądem: dolna szczęka wystawała przed górną prezentując rzędy trójkątnych ostrych kłów. Bestia nie miała oczu. Był to stwór Osnowy, przywołany do życia mentalną energią burzy, polujący dla swych czczących Chaos panów.

- Och, feth! - wypłuł z ust wodę Corbec.

- Na wielkiego Vulpo! - zaklął Gilbear.

Psopodobny drapieżnik wskoczył do potoku i zaczął pędzić w stronę oficerów. Corbec i Gilbear odwrócili się bez słowa uciekając pośpiesznie w drugą stronę, potykając się o niesione nurtem potoku gałęzie. Bestia była już tuż za nimi, ujadając głośno.

Gilbear runął powalony ciężarem skaczącego mu na plecy stwora, zazgrzytał rozdzierany szczękami karapaks. Odgryzane z naramienników kawałki ceramitu zaczęły latać w powietrzu. Major krzyknął przeciągle, bezradny i pozbawiony możliwości obrony.

Corbec doskoczył do potwora, pochwycił go od tyłu za gardziel i wbił pod dolną szczękę swój sztylet. Z rany zaczęła tryskać cuchnąca purpurowa posoka. Bestia otworzyła zaciśnięty pysk wydając z siebie przeciągły skowyt.

- Teraz, Błękitnokrwisty! Teraz! - wrzasnął Corbec próbując utrzymać się na grzbiecie drapieżnika, ciągnąc z całej siły jego łeb do siebie.

Gilbear zerwał z pasa odłamkowy granat i cisnął go prosto w pysk stwora, w głąb wąskiego czerwonego gardła.

Major runął płasko na brzuch, Duch zeskoczył z drapieżnika uciekając w stronę brzegu. Przypominający psa zwierz eksplodował od środka obryzgując kawałkami śmierdzącego mięsa zarówno gwardzistów jak i brzegi potoku.

Corbec podźwignął się z błotnistego dna, spojrzał na Gilbeara. Major siedział w wodzie oparty plecami o brzeg, jego oczy przypominały dwie poziome kreski.

- Wszystko z tobą w porządku? - wychrypiął Corbec.

Gilbear pokiwał głową.

- Na jakiś czas zawieszenie broni, co?

Gilbear kiwnął ponownie. Obaj wydostali się jakoś z potoku, brudni, obolali, pokryci błotem i strzępami tkanki drapieżnika.

- Rozejm. Tak. Rozejm... - Gilbear wciąż nie potrafił zebrać myśli. - Na jakiś czas.

- Ruiny, sir. Te, które widziałem wcześniej. Znalazłem je ponownie - głos Mkolla był cichy i chrapliwy, oddech wciąż ciężki. Sierżant siedział na pniu przewróconego drzewa,

pociągając na przemian z manierki wody i butelki sacry przyniesionej przez Bragga. Jego rany opatrzone, ale wciąż pozostawał niemiłosiernie brudny. Gaunt kuczał obok swego zwiadowcy słuchając go uważnie. Mkoll sprawiał wrażenie nieco załężnionego postacią Lilith, ale po wstępnej prezentacji kobieta cofnęła się dyskretnie pozwalając na prowadzenie rozmowy komisarzowi.

- Co to takiego? - spytał Gaunt.

Mkoll wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Są wielkie, stare, ufortyfikowane. Stoją na szczycie wzniesienia, które nie przypomina mi naturalnej formacji skalnej. Ma zbyt regularne kształty. Wiem tylko, że nieprzyjaciel oblażł je gęściej niż sokomuchy glukozową pułapkę.

Gaunt poczuł alarmujące ostrzeżenie umysłu. Nie tylko pojął doskonale znaczenie słów sierżanta, na krótki ułamek chwili dostrzegł też przed oczami obraz owadów o podłużnych ciałach, tłoczących się przy pojemniczku połyskliwego płynu zawieszonym na ścianie drewnianego domku leśnika. Owadów stanowiących endemiczny gatunek występujący tylko na Tanith. Owadów, których komisarz nigdy w życiu nie miał okazji ujrzeć na oczy.

- Liczebność wroga? - podjął przesłuchanie.

- Nie liczyłem zbyt dokładnie - odparł szorstko Mkoll. - Byłem nieco zajęty innymi sprawami. Postawiłbym na dziesiątki tysięcy. Może i więcej, poza moim polem widzenia. Teren jest pofałdowany, gęsto porośnięty dżunglą. Mogą ich tam być setki tysięcy.

- Czego tam szukają? - zapytał na głos Gaunt.

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć - odpowiedziała cicho Lilith.

Komisarz podniósł się z kucków i spojrzał uważnie na twarz kobiety, ukrytą w cieniu naciągniętego ponownie na głowę kaptura.

- Zanim w ogóle zaczniemy roztrząsać zasadność rzucania sześćdziesięciu ludzi przeciwko przypuszczalnej setce tysięcy, pragnąłbym przypomnieć, że nie potrafimy nawet odnaleźć tego miejsca. Nasze lokalizatory i skanery nie działają, zwiadowcy przestali odróżniać północ od południa. Feth, Mkoll to mój najlepszy człowiek, a przyznał się, że natrafił na nie przez czysty przypadek.

Lilith przytaknęła mu ruchem głowy.

- Istnieje duże ryzyko zabłądzenia w tej burzy, przyznaję. Sama też nie znam odpowiedzi.

- Mogę was tam zaprowadzić - odezwał się posepnie siedzący za ich plecami Mkoll.

Gaunt spojrzał przez ramię na sierżanta.

- Potrafiłbyś? Mówiłeś, że wcześniej to był przypadek.

Mkoll podniósł się z trudem na nogi.

- To było wcześniej. Sam nie wiem... po prostu czuję, że znajdę drogę. Coś w kościach mi to mówi. To takie uczucie jak... jak szukanie drogi powrotnej do domu.

Gaunt spojrzał pytająco na Lilith.

- Spróbujmy - odpowiedziała - Mkolll wygląda na pewnego swych słów, a ja ufam mu podobnie jak ty. Jeśli zrobi się zbyt gorąco, zawsze możemy odskoczyć na bezpieczniejsze pozycje.

Komisarz skinął głową. Zamierzał właśnie wezwać Raglona i wydać członkom całej grupy szczegółowe rozkazy, kiedy do jego uszu dotarł przytłumiony huk granatu, ledwie słyszalny ponad zawodzeniem wiatru. Kilka sekund później gdzieś w pobliżu rozpętała się kanonada ze standardowych i ciężkich laserów, sporadyczny trzask zwykłych karabinów nakładał się na wyższego tonu szczęknięcia szturmowych egzemplarzy broni. Gaunt rzucił się w kierunku źródła strzelaniny, wyciągając z pokrowca swój łańcuchowy miecz i wykrzykując w komunikator pytania.

Sierżant Lerod dowodził ludźmi trzymającymi wartę na wschodniej flance.

- Lerod?!

- Sir! Jakieś stwory wylazły z tej burzy! Wielkie! To istne potwory!

Gaunt wpadł między gęste poszycie i dostrzegł mroczne zwinne cielska rodzące się na krańcach uderzających w ziemię błyskawic. W powietrzu rozszedł się charakterystyczny odór Chaosu. Karabiny Tanithijczyków i Błękitnokrwistych powalały skaczące w stronę ludzi drapieżniki, kiedy te tylko pojawiały się w ich polu widzenia.

- Stwory Osnowy - wyszczała Lilith pojawiając się u boku Gaunta. - Fizyczna manifestacja energii będącej źródłem tej burzy. Są bezmyślne, ale śmiertelnie niebezpieczne.

Corbec wychynął spośród zarośli. Wyglądał fatalnie. Krzyczał do wiszącego przy ustach mikrofonu nakazując żołnierzom z zachodniej sekcji wart na odskoczenie w stronę środka grupy.

- Co ci się stało? - zapytał ostrym tonem Gaunt dostrzegając opodał podobnie sponiewieranego majora Gilbeara, biegnącego na czele drużyny Błękitnokrwistych.

- Mała konfrontacja - odparł wymijająco Corbec. - Jakieś cholerne zwierzaki wyskoczyły na nas prosto z ciemności.

Gaunt nie zamierzał wnikać w dalsze szczegóły, nie miał teraz czasu na wygłaszanie reprimend. Musiał utrzymać jednolity poziom dyscypliny w całej grupie. Sprawdził i włączył swój własny mikrofon.

- Gaunt do brygady. Idziemy do przodu, podwojone standardowe tempo. Formacja grotu. Pierwszy pluton i połowa Volpończyków przodem. Koordynację szyku opierać na

wskazaniach sierżanta Mkolla. Wszyscy obserwują flanki i tyły. Inkwizytor Lilith ostrzega, że w każdej chwili mogą się wokół lub pośród nas pojawić stwory Osnowy. Strzelać bez wahania. Sierżant Lerod wyznaczy sześciu ludzi i zajmie się tylną strażą. Wszyscy dowódcy mają potwierdzić odbiór rozkazów i gotowość do ich wykonania.

W słuchawce rozległy się radiowe potwierdzenia. Raglon, monitorujący ich napływ poprzez swój przenośny komunikator, kiwnął głową w kierunku Gaunta. Wszystkie sekcje przesłały stosowne sygnały.

Lecz komisarz jeszcze nie skończył. Oddanie i lojalność Tanithijczyków znacząco ułatwiały pełnienie obowiązków oficera politycznego przez ostatnie kilka lat, ale teraz miał pod sobą przestraszonych, dezorientowanych podwładnych wymieszanych z gwardzistami, których nie znał i którym nie ufał. Morale i dyscyplina - kluczowe hasła komisariatu. Powrócił myślami do czasów swej nauki w Schola Progenium, do liniowej praktyki kadeta pod rozkazami Oktara. Przyłożył do ust mikrofon podłączony do komunikatora Raglona.

- Nie będę wam wmawiał, że czeka nas łatwe zadanie. Lecz jest ono dla nas krytycznie ważne. Krytyczne dla imperialnego zwycięstwa na tym świecie, krytyczne być może nawet dla postępów całej krucjaty. Nieprzyjacieli i jego plany mogą być powstrzymane, dopóki jarzy się w nas choćby iskierka życia, krąży w żyłach choć kropla krwi. Walczymy dziś dla Imperatora, więc zrobmy to tak jakbyśmy kroczyli u jego boku. Strzeżcie towarzyszy po bokach jakby byli oni Imperatorem w swej własnej osobie. Nie wahajcie się i nie lękajcie. Oczekuje nas zwycięstwo, a jeśli nawet nie jest nam ono dziś pisane, nagrodą będzie śmierć w służbie Złotego Tronu. Imperator ustrzeże wierne serca. Jego ręka nas wiedzie, Jego oczy czuwają nad nami, a w chwili śmierci wyciągnie do nas dłonie, byśmy mogli w chwale zasiąść po jego prawicy za Bramą Wieczności. Za utracone Tanith, za wielkie Volpone, za imperialną Terrę... naprzód!

Niczym pojedynczy skomplikowany twór brygada ruszyła w górę wzniesienia, przedzierając się poprzez gąszcz w kierunku pasma wzgórz, nie bacząc na koszmarną pogodę. Błękitnokrwisci i Duchy poruszali się w perfekcyjnym zgraniu, ramię w ramię, nie pamiętając o żadnych wcześniejszych animozjach. Gaunt uśmiechnął się widząc zwartą zdyscyplinowaną formację swych ludzi i wiedział, że elita Volpończyków w niczym od nich nie odbiega. Gdzieś z przodu rozlegały się ustawicznie strzały z broni laserowej, wieszczące eliminację kolejnych krążących w pobliżu drapieżników Chaosu.

Lilith biegła u boku komisarza. Wyjęła spod płaszcza plazmowy pistolet i włączyła go szybkimi ruchami ukrytych w czarnych rękawiczkach palców.

- Dobra przemowa - błysnęła w uśmiechu zębami. - Dała im sporo motywacji. Oktar



dobrze cię wyszkolił.

- Sprawdziałaś moje akta. Moją przeszłość.

- Jestem inkwizytorem, Gaunt. Czego ode mnie oczekujesz? Prowadziłam dochodzenie.

- I czego tak naprawdę dotyczy twoje dochodzenie tu na Monthaxie? - zapytał ostro Gaunt.

- Co właściwie masz na myśli?

- Nie jestem psionikiem, ale potrafię dobrze czytać w ludziach. Tutaj chodzi o coś więcej niż tylko lokalne zwycięstwo, coś więcej niż tylko eliminację utalentowanych mentalnie dewiantów nieprzyjaciela. Masz jeszcze inny motyw.

Znów się uśmiechnęła.

- To żadna tajemnica, Ibram. Powiedziałam ci to na Sanctity. Generał Bulledin zgłosił się do Inkwizycji, ponieważ zachodziły podejrzenia, jakoby istniał tutaj silny komponent mentalny. Uznałam, że chodzi o nieprzyjaciela, o zwykłą wojnę psioniczną. Lecz teraz pojawiły się te ruiny. Wróg ruszył do masowej ofensywy, ignorując nas całkowicie i angażując wszystkie swe siły w zdobycie tego miejsca. Sam się zastanawiasz, dlaczego. Nie muszę ci chyba sugerować, że musi się tam znajdować coś niezwykle cennego.

- Coś, co wywołało tę burzę?

Wzruszyła ramionami.

- Lub coś, co ją wywołało, by osłonić postępy sił nieprzyjaciela. Ale sądzę, że twoja wersja jest znacznie bardziej prawdopodobna.

- I to jest właśnie cel twego dochodzenia? Tego pragniesz?

- To mój obowiązek, Ibramie. Nie sądzę, bym musiała wyjaśniać istotę tego terminu jednemu z najlepszych komisarzy Imperium.

- Nie próbuj zbyć mnie pochlebstwami. Lepiej rzuć nieco więcej światła na określenie coś cennego.

- Przypomnij sobie Menazoid Epsilon. Już mówiłam, że przejrzałam twoje akta. Jako inkwizytor mam wgląd nawet do ściśle utajnionej dokumentacji. Wiesz dobrze, o jaką stawkę toczyła się wówczas gra.

Gaunt zrobił się zniechęca wyjątkowo ostrożny.

- Mówisz o technologii? O artefaktach?

- Być może - skinęła głową.

- Dzieła starożytnych ludzi? Czy obcych?

Lilith wyjęła coś ze swej kieszeni.

- Mkolł to znalazł. Wyciągnął to z pnia drzewa w miejscu niedawnej bitwy, tuż przed

rozpętaniami nawałnicy. Sam mi powiedz, co o tym myślisz.

Podniosła dłoń demonstrując metalową gwiazdkę o ostrych krawędziach. Gaunt patrzył na nią przez chwilę z grymasem złowieszczych zrozumienia na twarzy.

- Teraz wiesz tyle, co i ja.

Brygada zaczęła zbiegać w dół stromego zbocza na dno ocienionego drzewami wąwozu, który przynajmniej częściowo chronił ludzi przed upiornymi efektami mentalnej burzy. Gaunt zaczynał już drętwieć pod wpływem smagających go kropli lodowatej wody i wiedział, że jego podwładni czują się równie fatalnie. Droga poprzez głęboką depresję, porośniętą wielkimi, przypominającymi katedralne nawy drzewami okazała się chwilą wytchnienia. Gęste listowie powstrzymywało deszcz, spadający w dół pojedynczymi kaskadami wody. Burza huczała wysoko nad nimi, jej ryk wydawał się teraz cichszy, bardziej stłumiony.

Gaunt zbliżył się do prowadzącego szpicę Mkolla.

- Wciąż na właściwej drodze?

Sierzant skinął głową.

- Jak już powiedziałem, sir. Teraz nie mógłbym stracić tropu nawet wtedy, gdybym tego chciał.

- Jakbyś wracał do domu - przypomniał mu Gaunt.

Mkoll przymknął oczy i natychmiast dostrzegł postać Eiloni, przywołującej go z powrotem na farmę. Szeptala do niego mówiąc o gotowym gorącym posiłku i zniecierpliwionych chłopcach czekających przy kominku na kolejną z wieczornych opowieści ojca.

- Nie ma pan pojęcia jak bardzo, komisarzu.

Szturm żołnierzy Chaosu ustał w chwili, gdy przyzmy ich trupów całkowicie zablokowały korytarz.

Rawne polecił żołnierzom odskoczyć w tył. Przebiegli przez ciężkie podwójne drzwi i zaczęli obracać ich skrzydła. Milo pomógł Whelnowi zatrzasnąć jego połowę, palce chłopca przesunęły się po heraldycznych insygniach elektora wyrzeźbionych w ciężkim drewnie. Zamrugał oczami i na ułamek sekundy ujrzał wyższe, znacznie smuklejsze wrota ze szlifowanego kamienia, pokryte niezrozumiałymi runami.

- Co z tobą? - zapytał Wheln sapiąc ciężko.

Milo zamrugał ponownie. Na drewnianych drzwiach pysznił się znowu emblemat elektora.

Feygor i Mkendrik wsunęli w klamry na drzwiach długą metalową sztabę barykadując je

od wewnątrz. Zza grubej bariery dobiegały ich przytłumione eksplozje i żarłoczny syk miotacz ognia - nieprzyjaciel desperacko usiłował odblokować zapchany trupami korytarz.

Ośmiu Tanithijczyków dyszało ze zmęczenia. Jeszcze dzień temu, na Polach Fundacji, żaden z nich - z wyjątkiem być może Rawne i Feygora - nie miał za sobą okazji strzelenia w gniewie, nie mówiąc już o zabijaniu. Dziś przeszli prawdziwy chrzest ognia. Nikt nie zdołałby zliczyć zwłok zaścielających korytarz.

Cown przykleknął opierając się o ścianę, walczył z wysiłkiem o każdy oddech.

- Czy już po nas? - zapytał - Czy już po Tanith?

Rawne odwrócił się w stronę żołnierza z dzikim błyskiem w oczach.

- Czy żyjemy? Czy Tanith żyje? Wstawaj! Wstawaj i ruszaj się! Tylko ten obcoświatowy bękart Gaunt próbuje porzucić Tanith! Odwrót? Ucieczka? Co to za dowódca? On z nas chce zrobić bezdomne duchy!

- Duchy... - wymamrotał Larkin, przytulony policzkiem i ramieniem do chłodnej kamiennej ściany korytarza - Duchy Gaunta...

- Co powiedziałeś? - odezwał się do niego Milo czując pulsującą w skroniach krew. Wydawało mu się, że budzi się nieporadnie z jakiegoś sennego majaku.

- Pieprz go! - krzyknął Feygor. - Ten czubek ma nie po kolei w głowie. Gdyby nie jego oko, już dawno sam bym go zastrzelił za podkopywanie morale.

- Nie - zaczął Milo. - To nie w porządku... to...

- Oczywiście, że to nie w porządku - wysyczał prosto w twarz chłopca Feygor. Milo wzdrygnął się czując na policzku kropelki śliny żołnierza - Imperium przybyło na Tanith, bo potrzebowało ludzi, ale gdzie jest teraz, gdy to właśnie Tanith go potrzebuje? Zostawiło nas na śmierć!

Caffran ostrym szarpnięciem odciągnął Feygora od Brina.

- No to umrzyjmy dobrze, Feygor! Umrzyjmy w walce! - twarz młodego szeregowca płonął gorączkową pasją, w jego myślach wciąż pojawiała się Laria. Dziewczyna była gdzieś tutaj, w pobliżu, i Caffran zamierzał zabijać bez cienia wahania, by ocalić to miejsce i ją odnaleźć.

- Caff ma rację, Feygor - wtrącił się Mkendrik. Cown i Wheln skinęli potakująco głowami słysząc jego słowa - Umrzyjmy jak mężczyźni, a Tanith ocaleje.

- I pieprzyć każdego komisarza, który powie coś innego! - splunął na posadzkę Cown.

Przekonany Feygor kiwnął głową i wyciągnął akumulator ze swojego lasera wymieniając go na nowy.

Rawne, nieobecny od dłuższej chwili, powrócił z głębi korytarza wchodząc pomiędzy

swych podwładnych.

- Słyszałem strzelaninę gdzieś w dole przejścia, jakieś trzysta kroków od nas. Wygląda na inny punkt oporu naszych chłopaków. Proponowałbym iść im z wsparciem.

- Wzmocnimy nasze siły - przytaknął Mkendrik - Może tamci będą wiedzieli, gdzie jest elektor.

- Jeśli zdołamy go przeprowadzić na lądowisko, być może zdoła stąd odlecieć wahadłowcem - dodał Cown.

Rawne skinął głową.

- Feygor, przygotuj w progu małą niespodziankę.

Żołnierz wyszczerzył zęby i wyjął ze swojego plecaka parę pakietów wybuchowych. Wprawnymi szybkimi ruchami przymocował ładunki do sztaby blokującej drzwi. Ktokolwiek zdołałby je wyłamać, zdetonowałby pakiety powodując zawalenie całej sekcji korytarza.

- Ruszamy! - rozkazał Rawne.

Milo pobiegł w ślad za przemierzającymi długi pałacowy korytarz towarzyszami, ich buty uderzały z trzaskiem w kamienną posadzkę. Chłopiec pragnął z całego serca odkryć źródło swego niepokoju, prześladowające go przekonanie, że wokół coś jest nie w porządku. Brakowało mu słów na wyrażenie swych obaw. Cały świat wydawał się jakimś nieprawdziwym majakiem, skręcającym mu wnętrzności. To musiała być robota demonów Chaosu, pomyślał. Może major Rawne będzie wie...

Przystanął na moment zmieszany. Major Rawne? W namiotach na Polach Fundacji Rawne obozował wraz ze zwykłymi żołnierzami. Był szeregowcem. Żadnych epoletów, żadnej władzy. Kiedy go awansowano?

Czy o czymś zapomniałem, pomyślał Milo. Czy czegoś...

Kolejny przeblysł obcych wspomnień. Obraz... sterylnej kabiny na pokładzie kosmicznego statku. Rawne, Corbec, Milo. Delegacja. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o szczupłej twarzy, który mógł być tylko komisarzem-pułkownikiem Ibramem Gauntem ruszył im na spotkanie. Skąd wiedział jak ten Gaunt właściwie wygląda? Nigdy wcześniej go nie widział. W umyśle młodziutkiego gwardzisty rozbrzmiewały wyraźne słowa oficera: pułkownik Corbec, major Rawne.

Kolejny sen?

Nie starczyło mu czasu na snucie domysłów. Grupa żołnierzy niemal dotarła do miejsca strzelaniny, kanonada wypełniała ściany pałacu, tłumiała gniewne niezrozumiałe krzyki.

To nie są strzały z laserów, pomyślał Milo zwalnając krok i sprawdzając swą broń. W ciągu ostatnich trzydziestu minut usłyszał dostatecznie dużo wystrzałów z broni laserowej, by

rozpoznać bez wahania jej charakterystyczny trzask. Ten dźwięk był inny: wręcz melodyjny, sykliwy, przywodzący na myśl nagranie brzęczenia osy, wzmocnione akustycznie i pocięte na krótkie serie.

Co to na fetha jest?

- Słyszysz to? - zapytał stojącego z tyłu Larkina. Snajper zakładał na swą broń noktowizyjny celownik, cieniutka wiązka błękitnego światła wystrzeliwała z teleskopu mierząc prosto w sufit korytarza.

- Co? Lasery na pełnym auto? Tak... ktoś tam ma ciężki dzień.

To nie lasery, pomyślał Milo, to nie...

Trzeci pluton ominął róg korytarza. Poruszając się w ciasnej zwartej formacji żołnierze wpadli do rozległej sali audiencyjnej wzniesionej z bloków ciemnej wulkanicznej skały. Rozbite okna o barwionych szybach, przedstawiające anrotha i resztę tanithijskich duchów puszczy, biegły wzdłuż jednej ściany sali. Wykonane z drewna ławy, w większości nadpalone i połamane, piętrzyły się pośrodku pomieszczenia. Proporzec elektora, podarty i dymiący w kilku miejscach, powiewał w roztrzaskanym oknie w głębi komnaty. Trzej tanithijscy żołnierze, odwróceny plecami do gwardzistów, kłęczeli za pryzmą ławek strzelając w kierunku widniejących pod proporcem łukowatych drzwi. Wojownicy Chaosu pchali się poprzez nie do środka sali, próbując sforsować zwały trupów swych towarzyszy. Przynajmniej pięciu martwych Tanithijczyków leżało nieruchomo pośród szczątków ław.

Nie oczekując rozkazów ani nie okazując wahania trzeci pluton wpadł pomiędzy swych towarzyszy broni strzelając w biegu prosto w otwór drzwi. Trzej broniący sali Tanithijczycy spojrzeli ze zdumieniem na przybyszów. Milo nie rozpoznawał żadnego z nich, chociaż mężczyzna w randze pułkownika był człowiekiem, którego raz ujrzawszy nie sposób byłoby zapomnieć: prawdziwy olbrzym o śnieżnobiałych włosach ozdobionych pasem czerwonej farby, dumnych rysach twarzy i błękitnym tatuażu w kształcie kosi na policzku.

- Za Tanith! Za elektora! Za Terrę! - krzyknął Rawne pociągając za spust.

Rosły pułkownik zastanawiał się nad czymś przez chwilę, po czym sam podjął ostrzał.

- Jak to mówisz - odezwał się melodyjnym głosem o bardzo dziwnym akcencie. - Za Tanith!

Muon Nol, Złowieszczy Mściciel, bronił onyksowej komnaty wraz z drużyną swych wojowników ścinając krótkimi seriami kolejnych czcicieli Chaosu wdzierających się do sali poprzez wycięte na kształt diamentu drzwi a widniejące pod podartym jedwabnym sztandarem Dolthe.

Jedyną osłonę zapewniały im wykonane z psychoczułych plastików ławy wypełniające niegdyś tę czcigodną komnatę - ławy połamane, nadpalone, zniszczone ogniem broni nieprzyjaciela. Po jednej stronie obrońców rząd smukłych okien pysznił się witrażami z przeźroczystej duszokości, przedstawiającymi obrazy Króla-Feniksa Asuryana, Krwaworękiego Boga, okaleczonego kowala Vaula, Prządkę Losu Moraiheg i dziewczicą Lileath, boginię szczęścia. Od zewnątrz wizerunki iluminowała feria elektrycznych wyładowań burzy rozpętanej przez Eona Kulla. To właśnie Lileath najbardziej spośród wszystkich bogów czczył Muon Nol - przepiękną panią przyszłości i fortuny; to jej runiczny symbol nosił na szyi, pod swym jadeitowoniebieskim pancerzem.

Biały hełm Muon Nola poznaczony był czarnymi szramami postrzałów, zdobiący go czerwony grzebień zmierzwił się chaotycznie. Uliowye, święta buanna mistrza Eona Kulla, pluła strugami miniaturowych dysków w stronę nieprzyjaciela, tnąc go na strzępy, wyrzucając z siebie tysiące pocisków po każdym naciśnięciu spustu. Żyrostabilizatory masywnej broni warczały cicho w ukrytych pod rękawicami dłoniach wojownika, sfera pola siłowego tworzącego akcelerator migotała u wylotu lufy. Uliowye, Pocałunek Zimnych Gwiazd. Wojownikowi pozostało już tylko sześć bębnow z amunicją. Liczył każdy zużyty magazynek. Dla Lileath, dla Dolthe, liczył każdy.

Nieoczekiwanie ośmiu ludzi w obszarpanych brudnych mundurach znalazło się tuż obok obrońców, strzelając bez wahania z laserów do napierającego wroga. Byli zawzięci, pozbawieni śladu strachu ani też zaskoczenia na widok miejsca, w którym przyszło im walczyć i nowych towarzyszy broni.

Posługując się łącznością mentalną Muon Nol polecił swym wojownikom zaakceptować niespodziewaną pomoc i podjąć walkę. To był bez wątpienia efekt działań mistrza Eona Kulla - i należało to przyjąć do wiadomości.

I, na Khaine'a, ci monkeigh potrafili walczyć! Jakby bronili swego własnego domu, jakby strzegli wszystkiego tego, co było dla nich najcenniejsze w życiu!

W przeciągu pięciu minut ludzcy żołnierze wyparli heretyków poza mury komnaty. Dobiegając do drzwi wejściowych zastrzelili ostatniego z intruzów i zatrzasnęli wielkie kamienne wrota blokując przejście.

Dowódca straży przybocznej wieszca odwrócił się w stronę szczupłego ciemnowłosego mężczyzny sprawiającego wrażenie prowodyra grupy. Sięgnął w głąb swego umysłu poszukując zwrotów w niskim gothicu, wyuczonych podczas sympozjów lingwistycznych na Dolthe.

- Jestem Muon Nol z Dolthe, Strażnik Bramy. Wasza interwencja i pomoc przyjęta

została z aprobatą. Mistrz Eon Kull okaże wam stosowną wdzięczność.

- Pułkownik Munnol, z Tanith Dale. Dobrze was widzieć, chłopaki. Elektor potrzebuje teraz wszystkich ludzi, jakich tutaj mamy.

Tanithijski oficer z grzywą białych włosów podszedł do żołnierzy trzeciego plutonu zaraz po tym jak zatrzasnęli drzwi prowadzące do sali. Trupy czcicieli Chaosu piętrzyły się wokół ich nóg.

Rawne pokiwał głową.

- Dobrze, że mogliśmy pomóc. Jestem Rawne, major, dowódca... tego, co pozostało z trzeciego plutonu. Proszę nas rozmieścić zgodnie ze swoimi potrzebami, pułkowniku.

Munnol skinął z aprobatą, ale coś w jego postaci budziło zaniepokojenie Mila. Mówiąc szczerze, chłopiec jeszcze nigdy nie widział Tanithijczyka, który miałby włosy innego koloru niż czarny. A tutaj nie tylko sam pułkownik miał białe włosy, również obaj jego podkomendni, równie spięci i niespokojni jak on sam.

Munnol wskazał drzwi po swej lewej stronie robiąc przy tym dziwaczny, nienaturalny gest. I co za broń trzymał właściwie w ręce? Laser... ale długi i masywny, znacznie większy od snajperskiego egzemplarza Larkina. Milo czuł jakieś myśli dobijające się uporczywie do jego umysłu.

- Jeśli jesteś gotów, Rawne człowieku, zachodnie fortyfikacje desperacko potrzebują wsparcia - oświadczył pułkownik Munnol.

- Prowadź! - wyrzucił z siebie Rawne i płynnym ruchem wyrzucił na podłogę pusty magazynek wkładając w jego miejsce pełny. Munnol skinął głową i nakazał gestem dłoni, by żołnierze podążyli w ślad za nim.

Rawne człowieku? Czy to przesłyszenie? Milo biegł w ślad za oficerami, zmieszany i niespokojny. Człowieku? Senny koszmar uparcie nie chciał się skończyć. Chłopiec czuł coraz większe zawroty głowy.

Pokonując szybkimi krokami czarną granitową posadzkę Munnol prowadził żołnierzy trzeciego plutonu na odsłonięte blanki, gdzie dwa tuziny tanithijskich obrońców strzelało ponad parapetami z laserów uwijając się pod czarnym, pociętym błyskawicami niebem. Dźwięk laserowych karabinów był jakiś dziwny, nie przypominał znajomego trzasku gwardyjskiej broni, tylko nietypowe syczenie.

Rawne biegł tuż za pułkownikiem, Feygor deptał mu po piętach.

- Potrafisz uwierzyć w taki łut szczęścia?! - major wybuchnął szaleńczym śmiechem - Chaos atakujący nas w dniu Fundacji?!

- Nie... nie potrafię - odparł nieco zmieszany Munnol.

- Będę z tobą szczery, Munnol... omal nie zrezygnowałem ze złożenia podpisu na karcie zaciągu - ciągnął Rawne. - Co to właściwie za życie, taka ciągła walka pośród gwiazd dla jakiegoś pieprzonego Imperatora, który ma ciebie gdzieś, bez nadziei na powrót do domu?

- To niezbyt ekscytująca wizja, Rawne człowieku - zgodził się Munnol.

- Feth, całkiem nieźle się urządziłem w Tanith Attica. Mały niezły interesik, jeśli mnie rozumiesz. Nic specjalnie nielegalnego, ale rozumiesz, po niewłaściwej stronie...

- Rozumiem...

- Feygor był ze mną. Prawda, Feygor? - Rawne kiwnął głową w stronę swego kompana.

- Aye, Rawne, aye.

- Dobra robota, nie chciałem z niej zrezygnować... ale niech mnie feth w chulana zmieni, cieszę się, że to zrobiłem! Pieprzyć Złoty Tron! Anrothowi dzięki, że mam w ręku broń i mogę walczyć o Tanith w tej koszarnej godzinie!

- Wszyscy winniśmy okazać wdzięczność Anrothowi, Rawne człowieku - zgodził się Munnol.

Gwardziści dotarli na blanki, ostrzał nieprzyjaciela ciął powietrze ponad ich głowami. Pułkownik Munnol zawołał do swych podkomendnych. Tanithijscy żołnierze spojrzeli w stronę nowych towarzyszy ze stanowisk strzeleckich usytuowanych wzdłuż fortyfikacji. Białe włosy, pomyślał z dreszczem grozy Milo, z domieszką czerwieni. Wszyscy mieli śnieżnobiałe włosy.

Chłopiec uznał, że popada w obłąd.

- Synowie Dolthe! - krzyknął Munnol.

Dolthe? Dolthe? Co to za miasto? Milo nie potrafił sobie odpowiedzieć na to pytanie.

- Nasi sojusznicy przybyli walczyć wraz z nami. Major Rawne i inni ludzie. Traktujcie ich dobrze, albowiem są dzielni i pozostaną z nami do samego końca!

Słowom pułkownika odpowiedziały liczne gwizdy aplauzu.

Rawne rozmieścił żołnierzy trzeciego plutonu pomiędzy strzelającymi z muru Tanithijczykami, doskoczył do parapetu i zaczął naciskać spust swej broni posyłając wiązki laserowej energii w dół umocnień, ponad krawędzią osmalonego wału.

Milo zamierzał właśnie stanąć przy najbliższym wolnym otworze strzelniczym, gdy kątem oka dostrzegł sylwetkę Larkina. Snajper kulił się w tyle za plecami obrońców, przytulony kurczowo do kamiennej ściany. Swój karabin przyciskał do wstrząsanej niekontrolowanymi drgawkami piersi.

Milo podbiegł do niego pośpiesznie.



- Larkin, co się stało?

- Popopatrzyłem przez lunetę... Bbrin... to nie są ludzie!

- Co? - chłopiec poczuł zimny uścisk w żołądku, ale zignorował go z niemałym trudem.

- Wiem, co widziałem! Przez moją... lunetę. Nigdy mnie nie okłamała! Ten wielki sukinsyn Munnol i reszta! Oni nie są... nie są Tanithijczykami!

Milo wyszarpnął snajperski karabin z drżących dłoni Larkina, przyłożył kolbę do ramienia i spojrział poprzez celownik optyczny na postać pułkownika Munnola. Wiązka błękitnego światła dotknęła płaszcza kamuflującego oficera żarząc się na jego materiale niczym jaskrawy punkt. Ze względu na włączony tryb noktowizyjny Brin początkowo dostrzegł jedynie roszą sylwetkę człowieka skapaną w odcieniach błękitu i czerni.

Munnol odwrócił się w stronę chłopca jakby wyczuł podświadomie przesuwający się po jego ciele promień laserowego celownika. Milo ujrzał przesuwającą się w bok twarz pułkownika, poważne oczy osadzone w bladokórej arystokratycznej twarzy. W następnym ułamku sekundy oczy te zmieniły się w podłużne kryształowe wizjery białego hełmu ozdobionego przepysznym grzebieniem czerwonych piór. Ciemnoszary mundur Munnola okazał się zniecka opływowym niebieskim pancerzem okrywającym majestatycznie ciało postaci. Trzymany w rękach mężczyzny laser stał się masywną bronią o długiej lufie, zdobioną złotem, srebrem i perłową macicą.

Tanithijski pułkownik przerodził się nieoczekiwanie w najbardziej zatrważającą istotę, jaką Milo dotąd spotkał.

- Och, mój Imperatorze... - wydyszał chłopiec. - To Eldarowie!

Brygada Lilith wydostała się z wąwozu na płaski obszar, gdzie dżungla znikła zatopiona pod zwałami błota osuwającego się ze zboczy większych wzgórz. Tempo marszu spadło zauważalnie, w wielu miejscach żołnierze zmuszeni byli brnąć po pas w grząskiej mazi. Idące przodem czujki już wychwytywały ponad rykiem burzy zgiełk bitewnej wrzawy dobiegający z pobliskiej doliny. Jaskrawe rozbłyski iluminowały grzbiet wzniesienia i nie były to bynajmniej błyskawice.

Gaunt rozesłał ostatnie komunikaty operacyjne. Volpończycy Gilbeara mieli przemieszczać się połową zbocza, natomiast Duchy ruszyły w dwóch formacjach dowodzonych przez Corbeca i Leroda, biegnąc w dole skarpy, okrążając podstawę wzniesienia. Gaunt i Lilith dołączyli do forpoczty grupy Corbeca.

Mkoll doprowadził ich wprost do celu. Spoglądając ponad krawędzią stoku dostrzegli po raz pierwszy wzniesienie, na którym górowały ruiny - i ogromną rzeszę otaczających je

żołnierzy nieprzyjaciela. Pomimo ostrzeżeń Mkolla Gaunt okazał się nieprzygotowany na ten widok. Tysiące heretyków, wielu z nich wyposażonych w broń ciężką, uwijały się na zboczach wzgórza bombardując bez ustanku wieńczące je fortyfikacje, rażąc mury z siłą, której kamień nie miał prawa się oprzeć. Całą dolinę wypełniały rozbłyśki wystrzałów i eksplozji. Wilgotne powietrze przesycone było dymem i zapachem krwi.

Gwardziści weszli do walki nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Błękitnokrwieści Gilbeara wpadli na tyły nieprzyjacielskich stanowisk broni ciężkiej, budząc całkowite zaskoczenie wśród ich obsługi. Artylerzyści sięgnęli po broń krótką próbując powstrzymać ogniem nieoczekiwanych intruzów. Chwilę później obie grupy Duchów runęły z rozpędu prosto na oddziały żołnierzy Chaosu wycofujące się ze szturm na fortecę z zadaniem wsparcia operatorów broni ciężkiej. Laserowe wiązki i boltowe pociski wykreślały nad błotnistym zboczem niesamowitą plataninę jaskrawych smug.

Pociągając za spust pistoletu Gaunt rozważał gorączkowo dwie możliwości działania: natychmiastowy odskok w tył lub nieuniknione wejście w ciężką walkę na bliskim dystansie.

Komisarz-pułkownik dostrzegł żołnierzy Gilbeara pędzących w dół zbocza i wpadających na stanowiska artylerii z morderczą gracją, mordujących obsługę dział w przeciągu minuty, góra dwóch. Ciężkie lasery wsparte dwoma ręcznymi granatnikami i plazmowym karabinem dokonały istnej rzezi pośród lekko uzbrojonych kanonierów.

Gilbear wykrzykiwał do komunikatora potwierdzenie zajęcia stanowisk podczas gdy jego podwładni zmieniali koordynaty ognia raketowych wyrzutni i dział polowych rozpoczynając ostrzał tyłów głównej formacji wroga. Elita volpońskiej Dziesiątki była cholernie dobra, Gaunt musiał im to przyznać. Szkolenie we wszystkich dyscyplinach militarnych sprawiało, że Błękitnokrwieści bez trudu mogli szturmem zająć baterię artylerii, a potem obsługiwać ją równie wprawnie jak wytrenowani kanonierzy.

Gaunt pojął, że czas na podjęcie decyzji upłynął. Rozkaz odwrotu wydany w tej chwili pozostawiłby Volpończyków samych w obliczu wroga. Los dokonał wyboru za komisarza. Lojalistów czekała teraz ciężka konfrontacja bez nadziei na jakikolwiek ślad litości czy miłosierdzia.

Dwa kliny Duchów wbiły się w tylne szeregi heretyków oblegających ruiny. Gilbear, trzeźwo myślący taktyk i operatywny oficer, przestawiał koordynaty ognia zaporowego swych dział osłaniając postępy sojuszników, tworząc krwawe wyrwy w siłach wrogów. Precyzyjnie wystrzelwane pociski rozrywały się zaledwie dwadzieścia metrów przed pierwszymi Duchami, ciskając w powietrze fontanny błota, strzępy roślinności i szczątki żołnierzy Chaosu.

Dzika kanonada jeszcze przybrała na sile, lecz ku swemu niepomiernemu zdumieniu Gaunt odkrył, że poza kilkoma oparzeniami i rozcięciami jego ludzie nie odnieśli żadnych poważnych obrażeń.

W przeciągu pięciu minut od pierwszego strzału imperialni żołnierze wbili się w formację nieprzyjaciela na dobre pięćset metrów zabijając ponad dwustu przeciwników i nie tracąc ani jednego własnego człowieka.

Gilbear nie próżnował na swych stanowiskach artylerii, ale nadszedł w końcu ten moment, gdy zgodził się z wywołującym go przez radio Gauntem, iż dystans dzielący Volpończyków od Duchów przybrał niebezpieczne rozmiary.

Słyszając zakodowany komunikat Błękitnokrwisici podłożyli na stanowiskach artylerii ładunki wybuchowe i pobiegli w dół wzniesienia starając się jak najszybciej dogonić tanithijskich sprzymierzeńców. Dokładnie wyliczone detonacje rozerwały opustoszałe baterie i zapasy amunicji przemieniając stosunkowo płaski w tym miejscu fragment zbocza w niewielką kotlinkę.

Przemierzając dno doliny i pierwsze partie forttecznego wzniesienia imperialna brygada przybrała formację grotu - Duchy na jego prawej krawędzi, Volpończycy na lewej, Gaunt z Corbecem u szczytu.

Gaunt od dawna wiedział, że Tanithijczycy są dobrymi żołnierzami, ale nigdy wcześniej nie widział u nich takiej brawury, takiej zaciekłości. Nie potrafił uwierzyć, by to jego mowa pobudziła ludzi w tak ogromnym stopniu do działania. Gwardziści walczyli za coś innego, coś skrytego głęboko w ich sercach.

- Dla Tanith! Dla Tanith, niech błogosławiona będzie jej pamięć! - komisarz usłyszał krzyk biegnącego opodal Corbeca.

Krzyk ten, podchwycony przez wszystkich pędzących wokół ludzi, trącił w sercu Gaunta jakąś ukrytą nutę. Zszokowała go ta reakcja. Jego podwładni walczyli dla Tanith... ale nie dla wspomnień czy żądzy zemsty. Czynili to w imię miłości do macierzystego świata, jego otulonych mgłą miast, mrocznych puszczy, majestatycznych mórz.

Wiedział o tym, ponieważ sam czuł to samo. Spędził na Tanith zaledwie jedną dobę, a większość tego czasu minęła mu w ciemnych pomieszczeniach elektorskiego pałacu. Lecz teraz odnosił wrażenie, że ten świat był jego domem, miejscem narodzin i dzieciństwa, miejscem, które pokochał, a które wciąż znajdowało się tuż na wyciągnięcie rąk...

W towarzystwie Corbeca i dwóch innych Duchów jako pierwszy dotarł do płytkiego okopu obiegającego niższą część wzniesienia. Rzesza żołnierzy Chaosu zawracała w stronę napastników przerywając szturm na fortecę. Dzierżąc w dłoni łańcuchowy miecz komisarz

pędził co sił przed siebie. Sprawiał wrażenie całkowicie odpornego na ostrzał wroga, wiązki laserowego światła mijały go o cale. Czuł niezwykle irracjonalną chęć, by ze szczęścia śpiewać na głos.

Zeskoczył do okopu rozcinając pierwszego napotkanego heretyka wpół jednym pociągnięciem miecza, potem zamachnął się ostrzem w lewo pozbawiając następnego głowy. Trzymany w drugiej dłoni boltowy pistolet huknął głucho ścinając z nóg parę rebeliantów szarżujących na oficera z bagnietami w rękach. Zamek broni szczękął metalicznie wieszcząc wyczerpanie amunicji. Corbec deptał dowódcy po piętach, wrzeszcząc coś dziko, strzelając z lasera w kłębiące się wokół sylwetki. Tuż obok szeregowcy Yael i Mktea walczyli ramię w ramię za pomocą swych srebrnych noży, z pasją i furją. Ponad ich głowami Bragg strzelał ogniem ciągłym ze swojego karabinu maszynowego, zasypując gradem stali i ognia wyższe partie wzgórza.

Gaunt odrzucił na bok pistolet i miecz, pochwycił w dłonie uchwyt podwójnie sprzężonego boltera na trójnogu ustawionego w wykopie. Ciężką broń zamocowano na metalowej płycie, trójnog przynitowano do niej, by uniknąć szarpania wywoływanego odrzutem. Gaunt nacisnął spust i zaczął przesuwac lufą z lewej strony na prawą i z powrotem, masakrując szeregi miotających się w górze wzniesienia nieprzyjaciół.

Poczuł na swoim ramieniu czyjaś dłoń. Pobladła Lilith stała tuż za nim, jej oczy tonęły we łzach.

- Czego?! - warknął nie zdejmując palca ze spustu.

- Nie czujesz tego? Też cię opętała ta magia?

Puścił uchwyt broni, bolter przechylił się lufą w dół.

- Jaka magia?

- Mówię o sieci złudzeń... omamiła wszystkich twoich ludzi, Błękitnokrwistych też!

Rozdziera mój umysł! Gaunt...

Podtrzymał ją bezwiednie, kiedy traciła równowagę. Odepchnęła go po krótkiej chwili.

- Już w porządku, w porządku!

- Lilith!

- Cokolwiek... ktokolwiek... znajduje się w tych ruinach, wykorzystuje nasze emocje.

- Co masz na myśli?

- Ja... ja myślę, że oni potrzebują wszelkiej pomocy jaką mogą znaleźć. Pod osłoną burzy rozsnuli potężny mentalny urok, który uczynił nas... uczynił nas podatnymi na swe najgłębsze przeżycia i pragnienia! Dla twoich Duchów to jest Tanith... Tanith, które wciąż jeszcze można uratować! Dla Błękitnokrwistych to Ignix Majeure, gdzie przegrali po desperackiej walce!

Lecz Ibramie... mnie to zabija! Jest zbyt silne, zbyt potężne!

Gaunt walczył o każdy oddech.

- Ale co ze mną? Dlaczego Tanith?

- Co? - zapytała wycierając zalzawione oczy.

- Nie jestem Tanithijczykiem, a mimo to serce odpowiada mi w ten sam sposób. Dlaczego nie walczę za jakąś ważną sprawę swego własnego życia? Czemu wciąż w myślach stąpam po tamtej ziemi?

Uśmiechnęła się pomimo grymasu cierpienia na twarzy, jej oblicze iluminowały jaskrawe rozbłyśki światła.

- Naprawdę tego nie wiesz, Ibramie? Tanith jest największą sprawą twego życia i nie ma tu znaczenia fakt, czy się tam urodziłeś czy też nie. Poświęciłeś siebie samego tym ludziom, pamięci ich świata. Zagłada Tanith pożera twoje sumienie, podobnie jak i ich, i chociaż nie jesteś prawdziwym synem puszczy, ta magia igra z twymi najskrytszymi emocjami! Jesteś Duchem, Ibramie, chcesz tego czy nie! Nie tylko ich panem, lecz jednym z nich!

Gaunt zerwał z głowy swą czapkę i wtarł perlący się na czole pot z powrotem w posklejane jasne włosy. Dyszał ciężko, jego żyły rozpalala adrenalina.

- Więc to wszystko nieprawda?

- Staliśmy się pionkami. Ofiarami manipulacji. Zmuszono nas do walki poprzez grę na najgłębszych uczuciach.

- Zatem... w imię Imperatora, jeśli to pomoże nam zabić ten heretycki pomiot, nie odrzucamy tego! Wykorzystajmy to! - komisarz pochwycił swój mikrofon i otworzył główny kanał komunikacyjny - Sześćdziesięciu ludzi przeciwko dziesięciu tysiącom! Tak się rodzą legendy! Do przodu! Do przodu, dla Tanith i Ignix Majeure! Zająć to wzgórze i przebić się do ruin!

Biegący na czele Błękitnokrwistych Gilbear usłyszał słowa Gaunta i wrzasnął tryumfalnie opróżniając do końca kolejną baterię ciężkiego lasera. Volpończycy jeszcze przyspieszyli szarżę, ścinając strzałami przeciwników, spychając ich na siebie.

Lerod, teraz całkowicie już przekonany o własnej nieśmiertelności, pędził w górę wzgórze prosto na ruiny, tratując przewracających się w panice heretyków.

Corbec, z Braggiem stanowiącym źródło niszczycielskiej siły ognia u boku, prowadził swych ludzi pomiędzy pozostałymi dwoma klinami lojalistów. Po obu stronach imperialnej brygady tysiące żołnierzy Chaosu kłębiło się z dezorientacją reformując siły do kontruderzenia, lecz sześćdziesiątka lojalistów przeszła poprzez ich szeregi niczym nóż.

Wiele lat później, pieczołowicie rekonstruuując detale tej bitwy na podstawie nielicznych raportów i sprawozdań, imperialni analitycy wojskowi na Foridonie stanęli w obliczu całkowitej niemożności potwierdzenia sukcesu Gaunta. Nawet po uwzględnieniu czynnika zaskoczenia tak istotnego przy szarży na tyły nieprzyjaciela, dane wciąż okazywały się niewiarygodne. Zwykle obliczenia wykazywały, że ekspedycja lojalistów powinna była wyginać do ostatniego człowieka najdalej pięćset metrów od ruin. Analitycy uzupełnili badany model o czynniki takie jak charyzma przywódcy, talent taktyczny, łut szczęścia... i wciąż nie uzyskiwali pożądanego wyniku. Ludzie Gaunta nie mieli prawa żyć przed dotarciem do ruin.

Lecz raporty mówiły o czymś innym. Gaunt przeprowadził swe siły pod fortecę bez utraty choćby jednego człowieka w trzydzieści minut. Lojaliści przebili się przez formację nieprzyjaciela liczącą dobre dziesięć tysięcy żołnierzy i zajęli obszar, który wróg bezskutecznie próbował zająć od wielu godzin. Zabili przy tym około dwóch tysięcy czterystu heretyków.

W rezultacie końcowym, po długich i żmudnych debatach, analitycy znaleźli tylko jedno wyjaśnienie zagadkowej sprawy: na polu bitwy nie było sił nieprzyjaciela. Lojaliści padli ofiarą iluzji. Gaunt zmontował natarcie poprzez pusty, niebroniony obszar. Tylko w takim przypadku wszelkie wyliczenia, statystyki i modele generowały pożądaną wynik.

Nikt nigdy nie przyznał się do wątpliwości w kwestii wyniku badań. I w taki oto sposób największy być może i najbardziej spektakularny sukces wojsk Macarotha został wykasowany z annałów imperialnej historii wojskowej jako konfrontacja z fantomami. Oto los prawdziwego herozimu.

W murze znajdowały się drzwi: wysoka arkada zamknięta kamienną ścianą. Gaunt zgrupował swych ludzi w obrębie wejścia do fortyfikacji, nie zważając na nasilający się z każdą sekundą ostrzał prowadzony przez zacieśniające w dole pierścień legiony Chaosu.

Gilbear zaproponował podminowanie wejścia i wysadzenie go w powietrze, ale Corbec trzeźwo zauważył, że nieprzyjaciel już próbował tego samego: powierzchnię drzwi znaczyły liczne szramy i sadza świadczące o bliskich detonacjach.

Właśnie zaczęli się pogrążyć w desperackiej kłótni, kiedy drzwi otworzyły się znenacka. W progu stanął Brin Milo, towarzyszyli mu Caffran i posepny eldarski wojownik z trzymanym w ręce białym hełmem o czerwonym grzebieniu. Burza wciąż szalała w przestworzach, dzika i nieugięta.

- Dotarliście tak daleko - powiedział Milo. - Czas skończyć to wszystko.

Zamknięci w murach fortecy, lojaliści słyszeli wyraźnie niskie śpiewy eldarskich żałobników, przygotowujących ostatnią fazę zamykania Bramy.

Muon Nol spoglądał dłuższą chwilę na Gaunta. Komisarz przełamał w końcu milczenie salutując obcemu i wyciągając swą dłoń.

- Ibram Gaunt.

Nic więcej do dodania, pomyślał.

Muon Nol popatrzył na wyciągniętą dłoń, po czym zawiesił Uliowye na ramieniu i uścisnął rękę człowieka. Powiedział coś w dźwięcznym melodyjnym języku, którego komisarz zupełnie nie rozumiał.

- Właśnie zostałeś formalnie powitany jako równy mu rangą przedstawiciel kasty wojskowej - oświadczyła Lilith stając u boku komisarza.

Muon Nol przeniósł spojrzenie na jej postać.

- Jestem Lilith, imperialna Inkwizycja - powiedziała.

Muon Nol, wyższy o głowę nawet od Gilbeara, skinął jej na powitanie. Gaunt rzucił okiem na przedstawicielkę Inkwizycji.

- Daleko w ten sposób nie zajdziemy - syknął - Czy ktoś tutaj mówi po eldarsku?

- Ja - oświadczyła Lilith, ale w tym samym momencie odezwał się również Muon Nol.

- Nie ma takiej potrzeby - powiedział w miękko akcentowanym niskim gothicu - Rozumiem wasze słowa. Musisz ze mną natychmiast pójść, mistrz czeka na ciebie.

- Dobrze... - zaczął Gaunt.

Muon Nol cofnął się o krok.

- Nie, nie ty. Kobieta.

Wieszcz Eon Kull wyczuwał parzącą umysł obecność szturmujących ze wszystkich stron sanktuarium nieprzyjaciół. Fuehain Falchior znów zaczął pomrukiwać w pochwie.

Drzwi Wewnętrznego Sanktuarium otworzyły się szeroko i do środka wszedł Muon Nol, prowadzący zakapturzoną kobietę, potężnie zbudowanego szturmowca w szarozłotym pancerzu oraz mężczyznę w długim płaszczu i czapce z daszkiem.

Muon Nol uklonił się mistrzowi. Podobnie uczyniła Lilith. Gaunt i Gilbear pozostali wyprostowani.

Eon Kull przemówił w perfekcyjnym niskim gothicu, na który zmarnotrawił w swym mniemaniu cały rok nauki.

- Jestem wieszcz Eon Kull. Moje wpływy przywiodły was do tego miejsca. Nie zamierzam wyrażać słów przeprosin. Droga musi być zamknięta, nim Ciemność na nią

wkroczy i gotów jestem użyć wszelkich moich mocy, by tego dokonać.

Muon Nol postąpił krok do przodu wskazując dłonią Lilith.

- Mój panie... ta kobieta zwie się w ludzkim języku Lilith. Czy to nie znak?

- Czego?

- Przeznaczenia?

Eon Kull umilkł jakby i on dostrzegł symboliczną zbieżność w imieniu kobiety. Lecz zaraz potem opadł raptownie na poręcz swego tronu, a spod jego hełmu wyciekła wąska strużka krwi.

- Mój panie!

Gaunt pierwszy dobiegł do wieszczki, zdejmując jego hełm i ujmując w dłonie bladą twarz wiekowego konającego mistyka.

- Mogę posłać po medyków... uzdrowicieli - zaczął.

- Nie... nie mamy czasu. To bezcelowe. Ja chcę umrzeć, Gaunt człowieku. Brama musi zostać zamknięta, nim Chaos ją skoroduje.

Nadal podtrzymując Eon Kulla komisarz podniósł głowę w górę i spojrzał bezradnie na Lilith. Podeszła bliżej, zajęła jego miejsce obejmując rękami głowę i ciało kruchego starca.

- Z tego właśnie powodu siły nieprzyjaciela znalazły się na Monthaxie, prawda mistrzu?

- Masz rację. Ta Brama stała otwarta od dwudziestu siedmiu wieków. Teraz wróg odnalazł ją i zarazem odkrył drogę prowadzącą prosto na Dolthe. Dla bezpieczeństwa Dolthe, dla ocalenia eldarskich dusz, ta Brama musi zostać zamknięta. To dla wypełnienia tej misji sprowadziłem was tutaj. To dla tej misji moi wierni wojownicy dali tu z siebie wszystko.

- Wszystko to... sztuczki jakiegoś cuchnącego obcego... - wycharczał z niedowierzaniem Gilbear.

Gaunt rzucił się do przodu przewracając na posadzkę Muon Nola, zanim rozwścieczony Eldar zdążył poszatkować Gilbeara serią ze swej buanny.

Zrywając się znad powalonego eldarskiego wojownika komisarz doskoczył do majora.

- Co? Co takiego złego powiedziałem? - zapytał Gilbear na ułamek chwili przed tym jak pięść Gaunta pozbawiła go przytomności.

- Ibram! - oficer odwrócił się w miejscu słysząc krzyk Lilith. Kobieta tuliła ciało wieszczki w swych ramionach. Gaunt pobiegł w jej stronę czując dłoń Muon Nola zaciśniętą na swym łokciu, ale już wiedział, co spowodowało nagły bezwład mistyka.

Wieszcz Eon Kull, wiekowy mistyk i mędrzec, nie żył.

Złożyli jego kruche zwłoki na posadzce sali.

- Zatem jesteśmy zgubieni - odezwał się Muon Nol. - Bez wieszczki nie zdołamy utrzymać



wieżów Osnowy i zamknąć Bramę. Dolthe umrze tak jak sam Eon Kull.

- Lilith może to zrobić - powiedział zniecierpliwiony Gaunt.

Kobieta i eldarski wojownik spojrzeli na niego równocześnie.

- Wiem, że to potrafisz i wiem, że tego chcesz. Dlatego właśnie tutaj jesteś, Lilith.

- O czym tym mówisz, Ibramie? - odparła.

- Nie jesteś jedyną osobą potrafiącą ciągnąć za sznurki, mogącą przeglądać zastrzeżone dokumenty. Przyjrzałem ci się w podobny sposób jak ty mnie. Lilith Abfequarn... psioniczka, przedstawicielka Inkwizycji, rekrut z czarnego naboru.

- Boże Terry - roześmiała się nagle - Dobry jesteś, Ibramie.

- Nie masz pojęcia jak dobry. Zabrano cię na pokład Czarnego Statku zaraz po identyfikacji talentu. Córka imperialnej gubernator, której planeta leżała na krańcach terytorium nawiedzanego przez Eldarów. Twa matka zginęła podczas jednego z ich rajdów. Złożyłaś przysięgę... wpięram się słubowałaś ich zniszczyć, później zaś zapragnęłaś poznać bliżej te zagadkowe istoty, które tak obrabowały ci życie. To dlatego tak desperacko pożądałaś tej misji. To była szansa na kontakt z twoim przeznaczeniem. Chciałaś tego, Lilith.

Zachwiała się i usiadła nieporadnie na posadzce obok ciała Eona Kulla.

Muon Nol pomógł jej podnieść się z powrotem na nogi.

- Jesteś Lileath. Możesz uczynić to, co miał zrobić wieszcz. Zamknij Bramę, Lileath. Zabierz nas na zawsze z powrotem na Dolthe.

Spojrzała na Gaunta i komisarz jeszcze raz z bólem uzmysłowił sobie jak piękną była kobietą.

- Zrób to... po to tutaj przybyłaś.

Objęła go i przytuliła na moment, a później odstepiła o krok spoglądając mężczyźnie w oczy.

- To może być interesujące, komisarzu.

- Myślę, że to będzie fascynujące, pani inkwizytor. A teraz wykonaj swą misję.

Wszyscy uczynili stosowne pożegnania. Mkoll pożegnał się z Eiloni, Caffran z Larią. Duchy pożegnały się z Tanith, Błękitnokrwisici z Ignix Majeure.

Zimne światło, jaskrawe i ostre niczym diament, rozpało przestworza ponad ruinami, wsysając i kumulując w sobie burzę w przeciągu zaledwie minuty. Trzy czwarte astropatów znajdujących się na orbicie planety doznało katastrofalnych obrażeń umysłu i zmarło na miejscu, reszta straciła przytomność. Mentalny huk psionicznego wyładowania mocy dało się odczuć w promieniu lat świetlnych od systemu.

Zakłęcie przestało działać w momencie zamknięcia Bramy. Eldarowie opuścili na zawsze Monthax, odeszli na Dolthe zabierając ze sobą Lilith. Kobieta zamknęła portal czyniąc rzecz, dla której być może dane jej było się narodzić. Kiedy Brama została zamknięta, zmasowane bombardowanie orbitalne jednostek marynarki unicestwiło zgromadzone wokół fortecy siły nieprzyjaciela.

Tropikalne lasy Monthaxu stanęły w ogniu.

Kiedy orbitalny ostrzał ustał, Gaunt zabrał Duchy i Volpończyków ku liniom sojusznicznych wojsk. Burza znikła bez śladu, w przestworzach tańczyło blade słoneczne światło. Świat wokół lojalistów przypominał teraz pustynię spieczonego błota i zwęglonych roślin.

Jedynym człowiekiem, jakiego Gaunt stracił w czasie ostatniej walki był sierżant Lerod, ugodzony wskutek nieprawdopodobnego wręcz pecha przez rykoszet odbity od dachu eldarskiej świątyni.

Ibram Gaunt zaszył się w swym habitacie i przespał blisko półtora dnia. Zmęczenie omal nie powaliło go z nóg. Wstał dopiero wtedy, gdy Raglon przyniósł mu bezpośredni komunikat od samego lorda generała Bulledina, nakazujący imperialnym wojskom opuszczenie Monthaxu.

Ubrał swój pełny regulaminowy uniform, po czym wyszedł na zasnute dymami dzieńne światło, by przyjrzeć się pakującym swe rzeczy Tanithijczykom. Ciężkie statki transportowe rzucały cienie na powierzchnię ziemi podchodząc do lądowania w wyznaczonych strefach załadunku.

Gaunt wyczuwał wyraźnie uczucia swych podwładnych: zmęczenie, ośpienie. Duma ze zwycięstwa szybko przygasła, rozwiała się.

Znalazł Brina, siedzącego na schodkach opuszczonego lazaretu, czyszczącego swój laserowy karabin. Przysiadł obok chłopca.

- Dziwne są koleje losu, prawda? - zapytał w zadumie Milo.

Gaunt pokiwał głową.

- Ale sądzę, że to było dla nas dobre.

- Co?

- Ta eldarska sztuczka. Była dobra dla nas. Dla Duchów.

- Co masz na myśli?

- Wiem, co czuję w sercu. Słyszałem też, co mówili inni ludzie. Znów byliśmy na Tanith,

pan zresztą chyba też. W głębi swych dusz każdy z nas nienawidził tego, że nie było nam dane walczyć w obronie domu. Wielu zacięło się w sercach, nie wybaczyli... ludzie tacy jak major Rawne. Inni zrozumieli pańskie motywy, przyczyny, dla których musieliśmy stamtąd odlecieć. Ale nigdy nie wyrazili swej aprobaty.

Chłopiec odwrócił głowę, spojrzął komisarzowi w oczy.

- Być może był to tylko mentalny trik, ale przez kilka godzin prawie czterdziestu z nas znów mogło walczyć w obronie Tanith, swojego domu. Odzyskaliśmy to, co ukradło nam wcześniej przeznaczenie. To dobre uczucie. Nawet teraz, kiedy wiem już, że to było kłamstwo, wciąż czuję się dobrze. To... wyegzorcyzowało kilka duchów.

Gaunt uśmiechnął się kącikami ust. Przemowa chłopca była szczerą, lecz prawdziwą. Duchy Tanithu pozostawiły na tym świecie dręczące je demony. Teraz mieli stać się silniejsi. Podobnie jak on sam, pomyślał. W końcu byli jego Duchami. Duchami Gaunta.

KONIEC